



RICHARD A. KNAAK

WarCraft

Dzień Smoka

JEDEN

Wojna.

Niektórym z członków Kirin Tor, rady magów, która rządziła niewielką krainą Dalaran, zdawało się, że świat Azeroth nigdy nie zaznał niczego innego, jak tylko ciągłego rozlewu krwi. Przed utworzeniem Sojuszu z Lordaeron były trolle, a kiedy w końcu ludzkość poradziła sobie z tym wstrętnym zagrożeniem, pierwsza fala orków spadła na krainy, wydostając się z przerażającego rozdarcia w samej materii wszechświata. Z początku zdawało się, że nic nie będzie w stanie powstrzymać tych groteskowych napastników, jednak co wpierw było straszliwą rzezią, wkrótce przekształciło się w męczącą sytuację patową. Bitwy wygrywano przez zmęczenie. Setki ginęły po obu stronach, bez żadnego, jak się zdawało, powodu. Przez lata Kirin Tor nie było w stanie przewidzieć zakończenia.

To jednak wreszcie się zmieniło. Sojuszowi udało się odepchnąć Horde, a w końcu całkiem ją rozgromić. Nawet wielki wódz orków, legendarny Orgrim Młot Zagłady, nie był w stanie powstrzymać nacierających armii i w końcu skapitulował. Za wyjątkiem kilku klanów-renegatów, ci najeźdźcy, którzy przeżyli, zostali zamknięci w enklawach pilnowanych przez oddziały wojskowe, którymi dowodzili osobiście rycerze Srebrnej Dłoni. Po raz pierwszy w ciągu bardzo wielu lat trwały pokój zdawał się być możliwością, nie tylko słabą nadzieją.

A jednak członkowie wewnętrznej rady Kirin Tor wciąż odczuwali niepewność. Dlatego też najwyżsi z najwyższych spotkali się w Komnacie Powietrza, nazwanej tak, gdyż zdawała się być pomieszczeniem bez ścian, pod ogromnym, ciągle zmieniającym się niebem, na którym chmury, słońce, księżyc i gwiazdy pędziły, jakby przyspieszono czas. Szara, kamienna podłoga z błyszczącym rombem symbolizującym cztery żywioły była jedynym materialnym elementem tej sceny.

Czarodzieje odziani w ciemne płaszcze, które zasłaniały nie tylko twarze, lecz i figury, wydawali się migotać zgodnie z poruszeniami na niebie, jakby sami również byli jedynie iluzją. Chociaż znajdowali się wśród nich zarówno mężczyźni jak i kobiety, można było to odkryć jedynie wtedy, gdy któreś z nich przemówiło. Wówczas twarz mówcy stawała się częściowo widoczna, choć nie w pełni.

Na tym spotkaniu było ich sześcioro. Sześcioro najstarszych rangą, choć niekoniecznie najbardziej utalentowanych. Przywódców Kirin Tor wybierano na różne sposoby, a magia była tylko jednym z nich.

- Coś się dzieje w Khaz Modan - oznajmił pierwszy z nich stentorowym głosem. Na

chwilę pojawił się niewyraźny zarys brodatej twarzy. Przez jego ciało przepływały tysiące gwiazd. - Niedaleko jaskiń klanu Smoczej Paszczy lub w ich środku.

- Powiedz nam coś, czego jeszcze nie wiemy - powiedział zgrzytliwym głosem drugi czarodziej, kobieta, prawdopodobnie w zaawansowanym wieku, ale o silnej woli. Blask księżycy przez chwilę przenikał jej kaptur. - Teraz, kiedy wojownicy Młota Zagłady się poddali, a sam wódz zniknął, to jeden z ostatnich punktów oporu orków.

Pierwszy mag najprawdopodobniej poczuł się tym urażony, jednak odpowiadał spokojnie.

- Dobrze! Może to was bardziej zainteresuje - uważam, że Skrzydła Śmierci znów się pojawił.

To zaskoczyło pozostałych, nawet starszą kobietę. Noc nagle zmieniła się w dzień, ale czarodzieje zignorowali coś, co dla nich było zwyczajnym zjawiskiem w komnacie. Chmury przepłynęły przez głowę trzeciego maga, który najwyraźniej nie wierzył w to stwierdzenie.

- Skrzydła Śmierci nie żyje! - stwierdził. Jego sylwetka, jako jedyna w komnacie, wskazywała na nadwagę. - Spadł do morza wiele miesięcy temu, po tym jak ta właśnie rada i wybrani przez nas najsilniejsi czarodzieje zadali mu śmiertelny cios! Żaden smok, nawet on, nie przeżyłby takiego ataku!

Część magów pokiwała głowami, ale pierwszy kontynuował.

- A gdzie ciało? Skrzydła Śmierci był inny niż wszystkie smoki. Nawet zanim gobliny przymocowały płyty z adamantium do jego skóry, stanowił zagrożenie większe niż Hor a...

- Ale jaki masz dowód na jego dalszą egzystencję? - Pytanie padło z ust młodej kobiety, z pewnością znajdującej się kwiecie życia. Nie była tak doświadczona jak pozostali, ale na tyle silna, by zostać członkiem rady.

- Śmierć dwóch czerwonych smoków z miotu Alexstraszy. Rozdartych w taki sposób, że mógł to zrobić tylko ktoś z ich rodzaju, i to ogromny.

- Są inne duże smoki.

Rozpoczęła się burza, błyskawice i deszcz spadały na czarodziejów, jednak nie dotykały ani ich, ani podłogi. Burza w mgnieniu oka przeminęła i płonące słońce znów pojawiło się na niebie. Pierwsi z Kirin Tor ani trochę się tym nie zainteresowali.

- Najwyraźniej nigdy nie widziałaś dzieła Skrzydeł Śmierci, gdyż wtedy byś czegoś takiego nie powiedziała.

- Może być tak, jak mówisz - wtrącił piąty mag. Zarys elfiej twarzy pojawił się i zniknął szybciej niż burza. - A jeśli tak, sprawa jest poważna. Jednak nie możemy się tym teraz zajmować. Jeśli Skrzydła Śmierci żyje i atakuje potomków swojego największego

rywała, to przynosi nam to korzyść. W końcu Alexstrasza jest wciąż więźniem klanu Smoczej Paszczy i to jej pomiot orki wykorzystują od lat do szerzenia chaosu we wszystkich krainach Sojuszu. Czy już zapomnieliśmy o tragedii Trzeciej Floty z Kuł Tiras? Sądzę, że admirał Daelin Proudmoore nigdy jej nie zapomni. W końcu stracił tam swojego najstarszego syna i sześć wspaniałych statków wraz z załogami, kiedy spadły na nie ogromne czerwone lewiatany. Proudmoore z chęcią dałby medal Skrzydłom Śmierci, gdyby okazało się, że to on odpowiada za te dwa zgony.

Nikt nie sprzeciwił się tym słowom, nawet pierwszy mag. Ze wspaniałych okrętów pozostały tylko kawałki drewna i kilka poszarpanych trupów znaczących miejsce całkowitej destrukcji. Trzeba było przyznać admirałowi Proudmoore, że się nie załamał i natychmiast zarządził wybudowanie nowych statków, po czym kontynuował walkę.

- A, jak już mówiłem wcześniej, nie możemy się obecnie zajmować tą sytuacją, zwłaszcza że pojawiły się inne problemy, które musimy natychmiast rozwiązać.

- Mówisz o kryzysie w Alterac, nieprawdaż? - zagrział brodaty mag. - Czemuż ciągle utarczki między Lordaeron i Stromgarde miałyby nas bardziej martwić niż możliwość powrotu Skrzydeł Śmierci?

- Ponieważ teraz do sporów dołączyło się Gilneas. Ponownie magowie byli poruszeni, nawet milczący szósty. Cień ze śladami nadwagi zbliżył się do elfa.

- Dlaczego kłótnia dwóch królestw o ten żalony kawałek ziemi miałyby interesować Genna Szarą Grzywę? Gilneas znajduje się na końcu południowego półwyspu, dalej od Alterac niż jakiegokolwiek inne królestwo Sojuszu!

- Naprawdę musisz pytać? Szara Grzywa zawsze chciał być przywódcą Sojuszu, chociaż powstrzymywał swoje armie do chwili, kiedy orki zaatakowały jego granice. Jeśli kiedykolwiek zachęcał króla Terenasa z Lordaeron do działania, to tylko dlatego, żeby osłabić militarną potęgę Lordaeron. Teraz Terenas pozostaje przywódcą Sojuszu tylko dzięki naszej pracy i otwartemu wsparciu admirała Proudmoore.

Alterac i Stromgarde, sąsiadujące królestwa, nie zgadzały się ze sobą od początku wojny. Thoras Zguba Trolli wszystkimi siłami Stromgarde wsparł Sojusz z Lordaeron. Ponieważ górskie królestwo bezpośrednio graniczyło z Khaz Modan, zjednoczone działanie leżało w jego interesie. Nikt nie mógł również negocjować determinacji wojowników Zguby Trolli. Gdyby nie oni, orki w ciągu pierwszych tygodni wojny zajęłyby większą część terytorium Sojuszu, przez co wynik konfliktu mógłby być zupełnie inny i na pewno gorszy.

Alterac z kolei, choć jego przedstawiciele mówili wiele o odwadze i słuszności sprawy, nie szafował tak chętnie swoimi oddziałami. Podobnie jak Gilneas zaofiarował

jedynie symboliczne wsparcie. O ile jednak Genn Szara Grzywa powstrzymywał się z powodu ambicji, lord Perenolde, jak mówiono, robił tak ze strachu. Nawet członkowie Kirin Tor zadawali sobie pytanie, czy Perenolde nie był gotów zawrzeć ugody z Młotem Zagłady, gdyby Sojusz załamał się pod nieustającym naporem Hordy.

Okazało się, że te obawy były uzasadnione. Perenolde rzeczywiście zdradził Sojusz, ale na całe szczęście jego fałszywe poczynania były krótkotrwałe. Terenas, kiedy tylko się o tym dowiedział, wprowadził wojska Lordaeron do Alterac i ogłosił stan wojenny. Ponieważ trwała wojna, nikt nie uznał za stosowne, by przeciw temu protestować, a szczególnie Stromgarde. Teraz jednak, kiedy nadszedł pokój, Thoras Zguba Trolli zaczął twierdzić, że Stromgarde powinno otrzymać jako słuszną zadośćuczynienie za wszystkie ofiary całą wschodnią część swojego zdradzieckiego sąsiada.

Terenas widział sprawę w innym świetle. Wciąż wahał się między dwoma możliwościami: mógł albo przyłączyć Alterac w całości do swojego królestwa, albo umieścić na jego tronie nowego, rozsądniejszego władcę... przypuszczalnie z sympatią patrzącego na Lordaeron. Jednak Stromgarde było lojalnym i wiernym sojusznikiem w walce i wszyscy wiedzieli, że Thoras Zguba Trolli oraz Terenas nawzajem się podziwiali. To sprawiało, że cała sytuacja polityczna była jeszcze bardziej przygnębiająca.

Tymczasem Gilneas nie miało takich związków z oboma uwikłanymi królestwami, zawsze izolowało się od innych krain zachodu. Zarówno Kirin Tor jak i król Terenas wiedzieli, że Genn Szara Grzywa pragnął się wtrącić nie tylko po to, by podnieść swój prestiż, ale także aby zrealizować swoje marzenia o ekspansji. Jeden z siostrzeńców lorda Perenolde'a uciekł do tego kraju wkrótce po zdradzie wuja i mówiono, że Szara Grzywa popierał jego prawa do sukcesji. Przyczółek w Alterac dawałby Gilneas dostęp do surowców, których południowe królestwo nie posiadało i pretekst do wysyłania swojej potężnej floty przez Wielkie Morze. Wtedy z kolei w równaniu pojawiłoby się Kuł Tiras, gdyż ten morski naród bardzo dbał o utrzymanie władzy nad morzami.

- To rozerwie Sojusz - szepnął młody mag. Jego głos nosił ślady akcentu.

- Jeszcze do tego nie doszło - zwrócił uwagę elf - ale wkrótce może. Dlatego też nie mamy czasu na zajmowanie się smokami. Jeśli Skrzydła Śmierci żyje i postanowił odnowić wendettę przeciwko Alexstraszy, nie będę mu przeszkadzał. Im mniej smoków na tym świecie, tym lepiej. Ich czas już przeminął.

- Słyszałem - stwierdził głos nie noszący śladu akcentu, mogący równie dobrze należeć do mężczyzny jak i kobiety - że kiedyś elfy i smoki byli sojusznikami, nawet szanującymi się wzajemnie przyjaciółmi.

Elf odwrócił się do ostatniego maga - szczupłej, nawet wychudzonej postaci niewiele wyraźniejszej od cienia.

- To tylko bajki, zapewniam cię. Nie zniżylibyśmy się do współpracy z tak potwornymi bestiami.

Słońce i chmury zostały zastąpione przez gwiazdy i księżyc. Szósty mag pochylił się lekko, jakby w geście przeprosin.

- Najwyraźniej słyszałem nieprawdę. Mój błąd.

- Masz rację, że należy uspokoić sytuację - powiedział brodaty czarodziej do piątego. - I zgadzam się, że powinno być to dla nas najważniejsze. Mimo to nie możemy zignorować tego, co dzieje się wokół Khaz Modan. Nawet jeśli się mylę co do Skrzydeł Śmierci, to i tak, dopóki tamtejsze orki trzymają w niewoli królową smoków, są zagrożeniem dla stabilności kraju.

- W takim razie potrzebujemy obserwatora - wtrąciła się starsza kobieta. - Kogoś, kto będzie pilnował spraw i powiadomi nas, kiedy sytuacja stanie się krytyczna.

- Ale kogo? W tej chwili nikogo nie możemy poświęcić!

- Jest ktoś taki. - Szósty mag przysunął się o krok. Jego twarz pozostawała w cieniu nawet wtedy, gdy mówił. - Rhonin...

- Rhonin?! - wybuchnął brodaty mag. - Rhonin! Po ostatniej katastrofie? Nie jest nawet godzien nosić szat czarodzieja! Stanowi większe niebezpieczeństwo niż nadzieję!

- Jest niestabilny - zgodziła się starsza kobieta.

- Szaleniectwo... - mruknął mag z nadwagą.

- Niegodny zaufania...

- Przestępca!

Szósty zaczekał, aż wszyscy się wypowiedzieli, po czym powoli pokiwał głową.

- Jest to jedyny uzdolniony czarodziej, bez którego możemy się obyć w tym momencie. Poza tym to prosta misja obserwacyjna. Nie zbliży się nawet do potencjalnego punktu zapalnego. Jego obowiązkiem będzie obserwacja i składanie nam raportów, to wszystko. - Kiedy nikt nie zaprotestował, ciemny mag dodał - Jestem pewien, że wyciągnął wnioski z przeszłości.

- Miejmy nadzieję - mruknęła starsza kobieta. - Może i osiągnął cel swojej ostatniej misji, ale większość jego towarzyszy kosztowało to życie.

- Tym razem wyruszy sam, przewodnik doprowadzi go jedynie do granic ziem kontrolowanych przez Sojusz. Nawet nie przekroczy granicy Khaz Modan. Magiczna kula pozwoli mu prowadzić obserwacje z pewnej odległości.

- Wydaje się to bardzo proste - stwierdziła młoda kobieta. - Nawet dla Rhonina. Elf skinął głową.

- W takim razie zgódźmy się na to i skończmy z tym tematem. Może, jeśli będziemy mieli szczęście, Skrzydła Śmierci połknie Rhonina i się nim zadławi, przez co uwolnimy się od obu. - Przyjrzał się pozostałym i dodał - Teraz jednak muszę zażądać, żebyśmy skoncentrowali się na obecności Gilneas w konflikcie o Alterac, i roli, jaką możemy odegrać, żeby go załagodzić...

* * *

Stał z opuszczoną głową, w takiej samej pozycji jak przez ostatnie dwie godziny, i koncentrował się. Komnatę wokół niego oświetlał tylko słaby blask bez żadnego widocznego źródła, ale i tak nie było co oglądać. Z boku stało krzesło, którego nie wykorzystał, a za nim, na grubej, kamiennej ścianie, wisiał gobelin przedstawiający skomplikowany wzór złotego oka na fioletowym polu. Pod okiem trzy sztylety, również złote, skierowane ostrzami do ziemi. Flaga i symbole Dalaranu, które strzegły Sojuszu w czasie wojny, nawet jeśli nie wszyscy członkowie Kirin Tor wypełniali swoje obowiązki z pełnym honorem.

- Rhonin - zabrzmiał głos bez śladu akcentu, dochodzący zewsząd i znikąd.

Spojrzał w ciemność zaskakująco zielonymi oczami spod czupryny w kolorze płomienia. Kiedyś jakiś uczeń złamał mu nos, a Rhonin, choć miał odpowiednie umiejętności, jakoś nigdy nie znalazł czasu, żeby go wyprostować. Mimo to był całkiem przystojny, miał silną, gładką szczękę i ostre rysy. Stale uniesiona brew nadawała jego twarzy nieco sardoniczny wyraz, jakby wszystko poddawał w wątpliwość. Wygląd ten sprawiał, że często miał kłopoty z mistrzami, w czym nie pomagała jego postawa, która odpowiadała jego minie.

Wysoki, smukły, odziany w szatę w kolorze nocnego nieba, wyglądał całkiem imponująco, co musieli przyznać nawet inni czarodzieje. Rhonin nie wyglądał na kogoś opornego, choć jego ostatnia misja kosztowała życie pięciu dobrych ludzi. Stał prosto i wpatrywał się w półmrok, chcąc się przekonać, skąd przemówi do niego mag.

- Wezwałeś mnie, więc czekam - szepnął czerwonołosy czarodziej, nie bez pewnej niecierpliwości.

- Nic nie mogłem na to poradzić. Sam musiałem czekać, aż ktoś inny wspomni o tej sprawie. - Z mroku wyłoniła się wysoka postać, odziana w płaszcz z kapturem - szósty członek wewnętrznej rady Kirin Tor. - I tak też się stało.

Po raz pierwszy w oczach Rhonina pojawił się ślad zapału.

- A moja pokuta? Czy skończył się mój okres próbny?

- Tak. Zostaniesz przywrócony do naszych szeregów... pod warunkiem, że natychmiast zdecydujesz się podjąć misję o niezwyklej wadze.

- Pozostało im tak dużo wiary we mnie? - Gorycz powróciła do głosu młodego maga. - Po tym jak inni zginęli?

- Tylko ty im pozostałeś.

- To brzmi bardziej realistycznie. Powinienem był się domyślić.

- Weź to. - Ukryty w cieniu czarodziej wyciągnął smukłą, okrytą rękawiczką rękę.

Nad dłonią nagle pojawiły się dwa błyszczące obiekty - nieduża szmaragdowa kula i złoty pierścień z pojedynczym czarnym klejnotem.

Rhonin w taki sam sposób wyciągnął swoją dłoń... i pojawiły się nad nią dwa przedmioty. Uniósł oba i przyjrzał im się.

- Rozpoznaję magiczną kulę, ale nie wiem, czym jest ten drugi. Wydaje się potężny, ale, jak zgaduję, nie w sposób agresywny.

- Jesteś bystry, i właśnie dlatego w ogóle zdecydowałem się bronić twojej sprawy, Rhoninie. Znasz przeznaczenie kuli, pierścień będzie cię chronił. Udajesz się na terytorium, gdzie wciąż można napotkać orczych warlocków. Ten pierścień ochroni cię przed wykryciem przez nich. Niestety, z drugiej strony będzie nam utrudniał monitorowanie ciebie.

- A więc będę sam. - Rhonin uśmiechnął się sardonicznie do swojego opiekuna. - Przynajmniej będzie mniej prawdopodobne, że spowoduję niepotrzebne zgony...

- Jeśli o to chodzi, nie będziesz sam, przynajmniej dopóki nie dotrzesz do portu. Będzie cię eskortować łowca.

Rhonin pokiwał głową, choć najwyraźniej nie podobał mu się pomysł jakiegokolwiek eskorty, a szczególnie łowcy. Magowi nie układała się współpraca z elfami.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze o mojej misji.

Okryty cieniem czarodziej oparł się, jakby usiadł na potężnym fotelu, którego młody mag nie mógł zobaczyć. Splótł przed twarzą palce rąk, zastanawiając się nad wyborem odpowiednich słów.

- Nie potraktowali cię łagodnie, Rhoninie. Niektórzy z rady zastanawiali się nawet nad ostatecznym wykluczeniem cię z naszych szeregów. Musisz zasłużyć na powrót i dlatego będziesz musiał wypełnić tę misję co do słowa.

- Brzmi to jak niezwykle trudne zadanie.

- Są z tą sprawą związane smoki... i tylko ktoś o twoich zdolnościach podoła zadaniu, tak uważa rada.

- Smoki... - Oczy Rhonina rozszerzyły się, kiedy usłyszał o lewiatanach. Mimo iż

zwykle miał skłonność do arogancji, wiedział, że teraz brzmiał bardziej jak uczeń.

Smoki... Samo ich wspomnienie wzbudzało lęk w młodszych magach.

- Tak, smoki. - Jego opiekun pochylił się do przodu. - Nie daj się zmylić, Rhoninie. Nikt nie może wiedzieć o tej misji oprócz rady i ciebie. Nawet łowca, który będzie cię eskortować, ani kapitan statku, który wysadzi cię na brzegach Khaz Modan. Gdyby ktoś dowiedział się, wszystkie nasze plany mogłyby znaleźć się w niebezpieczeństwie.

- Ale jaka jest moja misja?

Zielone oczy Rhonina świeciły. Wyprawa będzie niezwykle niebezpieczna, ale mag jasno widział nagrodę. Powrót do szeregów czarodziejów i oczywiście zwiększenie prestiżu. Nic nie podnosiło pozycji czarodzieja w Kirin Tor szybciej niż dobra reputacja, choć nikt z wewnętrznej rady nigdy nie przyznałby się do tego faktu.

- Masz udać się do Khaz Modan - powiedział starszy mag z pewnym wahaniem - a kiedy tam dotrzesz, musisz podjąć kroki niezbędne do uwolnienia królowej smoków, Alexstraszy...

DWA

Vereesa nie lubiła czekać. Większość ludzi uważała, że elfy cierpliwością dorównywały lodowcom, ale młodszy przedstawiciel tej rasy, tacy jak ona (dopiero rok wcześniej zakończyła naukę) pod tym jednym względem bardzo przypominali ludzi. Czekala trzy dni na jakiegoś czarodzieja, którego miała doprowadzić do jednego ze wschodnich portów na Wielkim Morzu. Zwykle szanowała czarodziejów na tyle, na ile elfy szanowały ludzi, ale ten osobnik zasłużył na jej gniew. Vereesa chciała dołączyć do swoich braci i sióstr, pomóc im w wytropieniu tych orków, które jeszcze walczyły i zadać okrutnym bestiom zasłużoną śmierć. Łowczym nie oczekiwała, że jej pierwszym poważniejszym zdaniem będzie opieka nad jakimś niezdarnym i najwyraźniej zapominalskim starym czarodziejem.

- Jeszcze godzina - mruknęła. - Jeszcze godzina i się stąd wynoszę.

Jej smukła, kasztanowata, elfia klacz cichutko parsknęła. Wiele pokoleń hodowli stworzyło istoty o wiele doskonalsze niż ich zwyczajni kuzyni, tak w każdym razie uważał lud Vereesy. Klacz była dostrojona do swojego jeźdźcy i to co dla większości ludzi zdawałoby się niczym więcej jak tylko prostym chrząknięciem, sprawiło, że łowczyni zerwała się na równe nogi, z naciągniętym łukiem w rękę.

A jednak lasy wokół niej były ciche i nic nie świadczyło o jakichkolwiek kłopotach. Tak daleko w głębi Sojuszu Lordaeron nie mogła się spodziewać ataku orków czy trolli. Vereesa spojrzała w stronę niewielkiej gospody, którą wyznaczono na miejsce spotkania, jednak oprócz chłopca stajennego niosącego siano nie zobaczyła nikogo. Mimo to elfka nie opuszczała łuku. Jej koń rzadko się odzywał, jeśli gdzieś w okolicy nie oczekiwały na nią jakieś kłopoty. Może bandyci?

Łowczyni obróciła się powoli wokół własnej osi. Podmuch wiatru sprawił, że część długich, srebrnych włosów zakryła jej twarz, nie na tyle jednak, żeby utrudnić jej obserwację. Migdałowe oczy o barwie najczystszej błękitu zauważały nawet najdrobniejsze poruszenia listowia, a długie, spiczaste uszy, które wystawały z gęstych włosów, mogły usłyszeć nawet motyla lądującego na pobliskim kwiatku.

I wciąż nie wiedziała, dlaczego klacz ją ostrzegała.

Być może odstraszyła to coś, co czaiło się w pobliżu. Jak wszystkie elfy, Vereesa wiedziała, że jej wygląd mógł wywoływać duże wrażenie. Łowczyni była wyższa niż większość ludzi, nosiła wysokie do kolan buty, spodnie i koszulę o barwie leśnej zieleni oraz podróżny płaszcz w kolorze dębowej kory. Sięgające prawie do łokci rękawiczki chroniły jej

dłonie, jednocześnie nie przeszkadzając w korzystaniu z haku czy wiszącego u boku miecza. Na koszuli nosiła mocny napierśnik, dopasowany do szczupłej, lecz kobiecej figury. Jeden z miejscowych w gospodzie popełnił duży błąd - zachwycał się kobiecymi aspektami jej wyglądu, jednocześnie całkowicie ignorując wojskowe. Ponieważ był pijany i w innej sytuacji najprawdopodobniej powstrzymałby się od niegrzecznych propozycji, skończył tylko z połamanymi palcami.

Klacz ponownie parsknęła. Łowczyni spojrzęła wściekle na klacz, na usta cisnęły jej się słowa reprimendy.

- Jak sądzę, jesteś Vereesa Córka Wiatru - stwierdził nagle niskim, przyciągającym uwagę głosem ktoś zza jej pleców.

Zanim mógł powiedzieć cokolwiek innego, przytknęła grot strzały do jego gardła. Gdyby Vereesa wypuściła strzałę, przeszłaby ona w całości przez szyję przybysza i wyszła po drugiej stronie.

Co ciekawe, ta śmiertelnie niebezpieczna sytuacja najwyraźniej nie wywarła na nim najmniejszego wrażenia. Elfica obejrzała go od góry do dołu... co wcale nie było nieprzyjemnym zadaniem... i uświadomiła sobie, że intruz mógł być tylko czarodziejem, na którego czekała. Z pewnością wyjaśniłoby to dziwne zachowanie klaczy i fakt, że nie była w stanie wcześniej go wyczuć.

- Jesteś Rhonin? - zapytała w końcu łowczyni.

- Nie tego oczekiwałaś? - odpowiedział pytaniem na pytanie, ze śladem sardonicznego uśmiechu. Opuściła łuk i rozluźniła się nieco.

- Mówili o czarodzieju. To wszystko, człowieku.

- A mnie powiedzieli o elfim łowcy, nic więcej. - Spojrzał na Vereesę w taki sposób, że miała ochotę ponownie unieść łuk. - Czyli jesteśmy kwita.

- Nie całkiem. Czekałam tutaj trzy dni! Zmarnowałam trzy cenne dni!

- Nic nie mogłem na to poradzić. Musiałem poczynić przygotowania. - Czarodziej nie powiedział nic więcej.

Vereesa poddała się. Jak większość ludzi, jej towarzysz przejmował się tylko sobą. Uznała, że i tak miała szczęście -mogła czekać dłużej. Dziwiło ją, że Sojusz mógł w ogóle zatryumfować nad Hordą, mając w swoich szeregach tak wielu ludzi przypominających Rhonina.

- Cóż, jeśli chcesz udać się do Khaz Modan, powinniśmy wyruszyć natychmiast. - Elfka popatrzyła za jego plecy. - Gdzie twój koń?

Na wpaół oczekiwała, iż odpowie jej, że nie ma żadnego i użył swoich ogromnych

mocy, żeby przenieść się aż tutaj... ale gdyby tak było, Rhonin nie potrzebowałby jej pomocy w dotarciu do statku. Jako czarodziej niewątpliwie miał imponujące umiejętności, ale również ograniczenia. Poza tym, choć niewiele wiedziała o jego misji, podejrzewała, że Rhonin będzie potrzebował całej swojej mocy, żeby przeżyć. Khaz Modan nie było przyjazne dla obcych. Jak słyszała, czaszki wielu dzielnych wojowników zdobyły namioty orków, a smoki ciągle patrolowały niebo. Nie, w takie miejsce Vereesa nie udałaby się bez armii u boku. Nie była tchórzem, ale nie była również głupcem.

- Stoi przywiązany do koryta obok gospody i pije. Przebyłem dzisiaj długą drogę, pani.

Użycie tytułu mogłoby pochlebić Vereesie, gdyby nie lekki ton sarkazmu, który zauważyła w jego głosie. Walcząc z irytacją, odwróciła się do konia, umieściła łuk i strzałę na swoich miejscach, po czym zaczęła przygotowywać swojego wierzchowca do odjazdu.

- Mojemu koniowi przydałoby się jeszcze trochę odpoczynku - stwierdził czarodziej - mnie zresztą też.

- Szybko nauczysz się spać w siodle, a jeśli chodzi o twojego konia, na początku będziemy jechać w tempie, które pozwoli mu wypocząć. Czekaliśmy o wiele za długo. Niewiele statków, nawet tych z Kuł Tiras, z ochotą popłynęłoby do Khaz Modan tylko po to, żeby dostarczyć na miejsce czarodzieja z misją obserwacyjną. Jeśli szybko nie dotrzesz do portu, mogą uznać, że mają ważniejsze i mniej samobójcze sprawy do załatwienia.

Ku jej uldze Rhonin się nie sprzeciwił. Odwrócił się tylko z kwaśną miną i poszedł w stronę gospody. Vereesa patrzyła, jak odchodził i miała tylko nadzieję, że zanim uda im się rozstać, nie podda się pokusie przebicia go na wylot.

Myślała o jego misji. Oczywiście Khaz Modan wciąż było zagrożeniem ze względu na smoki i ich orczych panów, ale Sojusz miał już innych, lepiej wytrenowanych obserwatorów w samej krainie i wokół niej. Vereesa podejrzewała, że misja Rhonina dotyczyła czegoś o wiele poważniejszego, gdyż inaczej Kirin Tor nie zaryzykowałoby tak wiele dla tego aroganckiego maga. Ale czy rozważyli sprawę, wystarczająco dokładnie, kiedy go wybierali? Z pewnością potrzebny był ktoś bardziej utalentowany... i godny zaufania. Ten czarodziej miał coś w sobie, co świadczyło o pewnej nieprzewidywalności, która mogła doprowadzić do katastrofy.

Elfka próbowała zignorować swoje obawy. Kirin Tor zdecydowało, a przywódcy Sojuszu z pewnością się z tym zgadzali, gdyż inaczej Vereesa nie zostałaby wysłana, by mu towarzyszyć. Lepiej zapomnieć o wszystkich troskach. Musiała tylko dostarczyć swojego podopiecznego do statku, a potem mogła już ruszyć w swoją stronę. Co Rhonin mógł albo

czego nie mógł zrobić po ich rozstaniu, zupełnie jej nie obchodziło.

* * *

Wędrowali przez cztery dni, a największym zagrożeniem, na jakie się natknęli, były uciążliwe insekty. W innych okolicznościach taka podróż wydawałaby się niemal idylliczna, gdyby nie fakt, że Rhonin i jego przewodniczka prawie ze sobą nie rozmawiali. Przez większość czasu magowi to nie przeszkadzało, gdyż jego myśli zajmowało niebezpieczne zadanie, które go czekało. Gdy na statku Sojuszu dopłynię do brzegów Khaz Modan, pozostanie sam w krainie opanowanej przez orki i, co gorsza, patrolowanej z powietrza przez ich więźniów - smoki. Choć Rhonin nie był tchórzem, nie miał ochoty stać się ofiarą tortur i powolnej, bolesnej śmierci. Z tego wyłącznie powodu jego dobroczyńca poinformował go o ostatnich poruszeniach klanu Smoczej Paszczy. Klan będzie ostrożny, szczególnie jeśli, jak powiedziano Rhoninowi, czarny lewiatan Skrzydła Śmierci rzeczywiście żyje.

Choć wyprawa maga wydawała się niebezpieczna, Rhonin nie zawróciłby. Teraz miał okazję nie tylko odkupić swoje winy, ale też poprawić pozycję w Kirin Tor. Za to będzie na zawsze niezwykle wdzięczny swojemu patronowi, którego znał pod imieniem Krasus. Z pewnością nie było ono prawdziwe, co często zdarzało się wśród członków rządzącej rady. Władców Dalaran wybierano w tajemnicy, o ich wyniesieniu wiedzieli jedynie ich towarzysze, nawet najbliżsi pozostawali nieświadomi. Głos dobroczyńcy Rhonina mógł brzmieć zupełnie inaczej niż jego prawdziwy głos, o ile rzeczywiście był mężczyzną.

Tożsamość niektórych członków wewnętrznej rady można było odgadnąć, jednak Krasus pozostawał zagadką nawet dla swojego sprytnego agenta. W rzeczywistości Rhonina przestała obchodzić tożsamość Krasusa, interesowało go jedynie to, że dzięki niemu młody czarodziej mógł spełnić swoje marzenia.

Marzenia te pozostaną jednak odległe, jeśli nie zdąży na statek. Pochylając się do przodu w siodle, Rhonin zapytał - Jak daleko jeszcze do Hasic?

Nie odwracając się do niego, Vereesa odpowiedziała - Co najmniej trzy dni. Nie martw się, w takim tempie dotrzemy do portu na czas.

Rhonin znów pochylił się do tyłu. I tyle przyszło z rozmowy, drugiej tego dnia. Od jazdy z elfką gorsza byłaby chyba tylko podróż z jednym z surowych rycerzy Srebrnej Dłoni. Choć paladyni byli zawsze uprzedzająco grzeczni, to jednak zwykle dawali mu do zrozumienia, że uważali magię za zło konieczne, bez którego w większości wypadków by sobie poradzili. Zachowanie ostatniego, którego Rhonin spotkał, całkiem jasno wskazywało, że wierzył, iż dusza maga zostanie po śmierci skazana na tę samą mroczną otchłań, w której

zamieszkiwały pradawne demony. I to niezależnie od tego, jak czysta mogła być dusza Rhonina w każdym innym aspekcie.

Popołudniowe słońce zaczęło ukrywać się za koronami drzew, tworząc kontrastujące obszary jasności i głębokiego cienia między drzewami. Rhonin miał nadzieję dotrzeć do krawędzi lasu przed zmrokiem, ale teraz już wiedział, że im się to nie uda. Nie po raz pierwszy w myślach przejrzał mapy, starając się nie tylko zlokalizować ich obecne miejsce pobytu, ale też sprawdzić, czy rzeczywiście uda im się dotrzeć na czas. Nie mógł uniknąć opóźnienia w spotkaniu z Vereesą, gdyż musiał zebrać odpowiednie zapasy i komponenty. Miał tylko nadzieję, że nie naraził przez to na niebezpieczeństwo całej swojej misji.

Uwolnić królową smoków...

Niektórzy uznaliby to misję za nie do wykonania, większość za pewną śmierć. Jednak Rhonin zaproponował to jeszcze w czasie wojny. Było jasne, że gdy królowa smoków zostanie uwolniona, pozbawi to orki ich największej broni. Jednak okoliczności nigdy nie pozwalały na podjęcie tak poważnej misji.

Rhonin wiedział, że większość rady miała nadzieję, iż mu się nie uda. Pozbycie się go wymazałoby coś, co uważali za czarną plamę w swojej historii. Ta misja była jak dwusieczne ostrze: gdyby mu się udało, byłiby zdumieni, ale gdyby zginął, odczuliby ulgę.

Przynajmniej mógł ufać Krasusowi. Czarodziej pierwszy przyszedł do niego, pytając go, czy wciąż wierzy, że może dokonać czegoś niemożliwego. O ile Alexstrasza nie zostanie uwolniona, klan Smoczej Paszczy będzie mógł w nieskończoność kontrolować Khaz Modan. A tak długo, jak długo tamtejsze orki były częścią Hordy, miejsce to mogło stanowić punkt zbiorczy dla ich pobratymców zamkniętych w strzeżonych enklawach. Nikt nie chciał, żeby wojna rozgorzała na nowo, zwłaszcza że Sojusz był zbyt zajęty konfliktami wewnętrznymi.

Krótki grzmot na chwilę przerwał rozważania Rhonina. Mag spojrział w górę, ale zobaczył tylko kilka wełnistych chmur. Krzywiąc się, czerwonołosy czarodziej obrócił się w stronę elfki, by zapytać się, czy ona też to słyszała.

Kolejny, bardziej przerażający grzmot sprawił, że wszystkie mięśnie Rhonina napięły się.

W tym samym momencie Vereesa rzuciła się na niego. Jakimś sposobem udało jej się obrócić w siodle i skoczyć w jego stronę.

Otoczenie przykrył ogromny cień. Łowczyni i czarodziej zderzyli się, elfka przeważała i oboje zsunęli się z grzbietu wierzchowca Rhonina.

W pobliżu zabrzmiał ogłuszający ryk, a przez okolicę przeszedł wiatr wiejący z siłą tornada. Czarodziej uderzył z całej siły o ziemię, jednak mimo bólu usłyszał krótki kwik

swojego konia, który natychmiast ucichł.

- Nie podnoś się! - krzyczała Vereesa głośniejszym głosem od wiatru i ryku. - Nie podnoś się!

Rhonin jednak obrócił się, żeby zobaczyć niebo, lecz zamiast tego ujrzał widok godny piekła.

Smok koloru szalejącego pożaru wypełniał przestrzeń nad nimi, w przednich łapach trzymał resztki jego konia i cennych, starannie dobranych zapasów. Szkarłatny lewiatan połknął w całości resztę zwierzęcia, wpatrując się jednocześnie w malutkie, żalosne postaci poniżej.

Na grzbiecie bestii siedziała groteskowa, zielonkawa istota z kłami i toporem. Wykrzykiwała rozkazy w jakimś szorstkim języku i wskazywała prosto na Rhonina.

Z otwartą paszczą i wysuniętymi pazurami smok zanurkował w jego stronę.

* * *

- Dziękuję za poświęcenie mi czasu, Wasza Wysokość - powiedział wysoki, czarnowłosy szlachcic głosem pełnym siły i zrozumienia. - Może jeszcze uda się nam powstrzymać ten kryzys, zanim zniszczy to, co z takim trudem stworzyłeś.

- Jeśli tak będzie - odpowiedziała starsza, brodata postać, odziana w eleganckie, białozłote szaty monarchy - i Lordaeron i Sojusz będą ci wiele zawdzięczać, lordzie Prestorze. Tylko dzięki twojej pracy Gilneas i Stromgarde mogą jeszcze wysłuchać głosu rozsądku. - Choć król Terenas nie był drobnym mężczyzną, czuł się nieco przytłoczony przez swojego wyższego towarzysza.

Młodszy mężczyzna uśmiechnął się, pokazując doskonale uzębienie. Terenas byłby zdziwiony, gdyby udało mu się znaleźć kogoś wyglądającego bardziej królewsko od lorda Prestora. Mężczyzna miał krótkie, zadbane, czarne włosy, gładko wygoloną twarz o ostrych rysach, która wywoływała szybsze bicie serca u wielu kobiet na dworze, bystry umysł i zachowanie bardziej książęce niż jakikolwiek książę w Sojuszu. Nie było więc nic dziwnego w tym, że wszyscy uwikłani w konflikt wokół Alterac polubili go, nawet Genn Szara Grzywa. Prestor miał tak sympatyczny sposób bycia, że władcy Gilneas zdarzało się uśmiechnąć w jego obecności, jak informowali Terenasa zdziwieni dyplomaci.

Jak na młodego szlachcica, o którym przed pięciu laty nikt jeszcze nie słyszał, gość króla wyrobił sobie niezłą opinię. Prestor pochodził z najbardziej górzystych i najmniej znanych okolic Lordaeron, ale mógł również wykazać związki krwi z królewskim rodem z Alterac. Jego niewielki majątek został zniszczony podczas wojny przez atak smoków, a sam Prestor przybył do stolicy pieszo i zupełnie bez służby. Jego tragedia i pozycja, jaką później

uzyskał, przypominały historię z książki. Co ważniejsze, jego rady pomogły królowi wiele razy, włączając w to mroczne dni, kiedy siwiejący monarcha zastanawiał się, co zrobić z lordem Perenolde. Właściwie to opinia Prestora przechyliła szalę. To on zachęcił Terenasa do przejęcia władzy w Alterac i wprowadzenia stanu wojennego. Stromgarde i inne królestwa rozumiały potrzebę działania przeciwko zdradzieckiemu Perenolde'owi, ale nie ciągnęły okupację nawet po zakończeniu wojny. Teraz jednak wydawało się, że Prestor będzie im w stanie wszystko wytłumaczyć i skłonić do przyjęcia ostatecznej decyzji.

To sprawiło, że starzejący się monarcha zaczął ostatnio zastanawiać się nad rozwiązaniem, które zaskoczyłoby nawet bystrego mężczyznę stojącego przed nim. Terenas odmówił oddania Alterac siostrzeńcowi Perenolde'a, którego próbowało wspierać Gilneas. Nie uznał też za dobre wyjście podzielenia królestwa między Lordaeron i Stromgarde. To z pewnością wywołałoby gniew nie tylko Gilneas, ale nawet Kuł Tiras. Przyłączenie Alterac w całości również nie wchodziło w rachubę.

A gdyby oddał władzę w odpowiedzialne ręce kogoś, kogo wszyscy podziwiali i kto pokazał, że pragnie jedynie pokoju i jedności? Do tego, na ile król Terenas mógł to ocenić, był sprawnym administratorem, nie wspominając już o tym, że z pewnością pozostałby wiernym sojusznikiem i przyjacielem Lordaeron...

- Naprawdę, Prestorze! - Król wyciągnął rękę, żeby poklepać dużo wyższego mężczyznę po ramieniu. Prestor musiał mieć prawie siedem stóp, a choć był szczupły, nikt nie mógłby nazwać go chudym. W niebiesko-czarnym mundurze wyglądał jak ucieleśnienie bohatera wojennego. - Powinieneś z wielu rzeczy być dumny... i zostać za nie wynagrodzony! Nie zapomnę o twoim w tym udziale, wierz mi!

Prestor wydawał się promieniować radością. Najprawdopodobniej wierzył, że zostanie mu przywrócony jego malutki majątek. Terenas uznał, że pozwoli chłopcu zatrzymać to marzenie. Kiedy władca Lordaeron zaproponuje, żeby Prestor został nowym królem Alterac, z przyjemnością zobaczy wyraz twarzy szlachcica. Bardzo rzadko ktoś zostawał królem... oczywiście o ile nie odziedziczył tej pozycji.

Gość honorowy Terenasa zasalutował mu i, skłoniwszy się wdzięcznie, opuścił królewską komnatę. Starszy mężczyzna zachmurzył się, kiedy Prestor wyszedł. Doszedł do wniosku, że jedwabne zasłony, złote kandelabry, a nawet biała marmurowa podłoga nie rozjaśniały komnaty tak jak młody szlachcic. Lord Prestor rzeczywiście wyróżniał się spośród wielu, często odrażających dworzan tłoczących się w pałacu. Był człowiekiem, któremu każdy mógł zaufać, godnym szacunku pod każdym względem. Terenas wolałby, żeby jego syn bardziej przypominał Prestora.

Król podrapał się po brodzie. O tak, doskonały człowiek do odbudowania honoru Alterac i przywrócenia harmonii pomiędzy członkami Sojuszu. Nowa i silna krew.

Terenas pomyślał teraz o swojej córce Calii. Wciąż jeszcze była dzieckiem, ale z pewnością wyrośnie na piękność. Może któregoś dnia, jeśli wszystko pójdzie dobrze, on i Prestor mogliby wzmocnić przyjaźń i sojusz królewskim małżeństwem.

Tak, odwiedzi teraz doradców i przekaże im swoje królewskie zdanie. Terenas był pewien, że zgodzą się z nim w tej sprawie. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto nie polubiłby młodego szlachcica.

Król Prestor z Alterac. Terenas prawie sobie wyobrażał wyraz twarzy przyjaciela, kiedy ten dowie się o rozmiarze nagrody...

* * *

- Masz na twarzy cień uśmiechu, czyżby ktoś zginał straszną, okrutną, krwawą śmiercią, o jadowity?

- Nie dowcipkuj sobie, Kryllu - odpowiedział lord Prestor, zamykając za sobą wielkie, żelazne drzwi.

Powyżej, w starym domku gościnnym oddanym mu przez króla Terenasa, służący specjalnie dobrani przez Prestora pilnowali, żeby do środka nie weszli żadni nieoczekiwani goście. Ich mistrz miał dużo pracy, a nawet jeśli żaden ze służących nie wiedział, co dokładnie działo się w komnatach poniżej, to jednak Prestor uświadomił im, że gdyby ktoś mu przeszkodził, kosztowałoby ich to życie.

Prestor nie spodziewał się, by mu ktoś przeszkodził, i ufał, że słudzy będą mu wierni aż do śmierci. Zakłęcie, odmiana tego, dzięki któremu król i cały dwór tak bardzo podziwiali dziarskiego uciekiniera, nie pozwalało im na refleksję. Przez lata poprawił jego efektywność.

- Przyjmij me pokorne przeprosiny, o księżę dwulicowości ! - powiedziała zgrzytliwie niska, zylasta postać przed nim. W jej głosie były nuty złośliwości i szaleństwa, jak również coś nieludzkiego. Nic dziwnego, gdyż towarzysz Prestora był goblinem.

Ponieważ głowa istoty sięgała szlachcicowi zaledwie do pasa, niektórzy mogliby uznać drobną postać o szmaragdowej skórze za prostą i słabą. Usta rozszerzone w szaleńczym grymasie uśmiechu ukazywały jednak bardzo ostre, długie zęby i krwistoczerwony, prawie rozdwojony język. W wąskich, żółtych oczach bez widocznych źrenic pojawiły się iskry rozbawienia. Był to jednak ten rodzaj wesołości, której źródłem jest wrywanie skrzydełek muchom albo raje obiektom eksperymentów. Pasma matowego, brązowego futra zaczynało się na karku stworzenia, porastało jego głowę i kończyło swego rodzaju grzebieniem tuż nad

jego niskim czołem.

- Mimo to mam powód do świętowania.

Dolna komnata służyła dawnej do składowania zapasów. W tamtych czasach chłód ziemi utrzymywał rzędy stojaków z winem w idealnej temperaturze. Teraz jednak, dzięki dokonanej przez Krylla przebudowie, w dużym pomieszczeniu było gorąco jak we wnętrzu wulkanu. Lord Prestor czuł się tu jak w domu.

- Świętowania, o mistrzu oszustwa? - Kryli zachichotał.

Kryli chichotał bardzo często, zwłaszcza jeśli działo się coś złego. Dwoma największymi namiętnościami szmaragdowej istoty były eksperymenty i sianie chaosu. Kiedy tylko było to możliwe, starał sieje łączyć. Tylną część pomieszczenia wypełniały ławy, butle, proszki, dziwne mechanizmy i cała kolekcja makabry, wszystko zebrane przez goblina.

- Tak, śśśświętowania, Kryli. - Przeszywające spojrzenie Prestora skoncentrowało się na goblinie, który nagle przestał się uśmiechać. - Chciałbyś brać udział w świętowaniu, prawda?

- Tak... panie.

Odziany w mundur szlachcic przez chwilę wdychał duszące powietrze. Na jego twarzy o ostrych rysach pojawił się wyraz ulgi.

- Ach, jak mi tego brak... - Jego rysy stwardniały. - Muszę jednak poczekać. Wyruszę, kiedy będzie to konieczne, co, Kryli?

- Jak mówisz, panie.

Uśmiech, teraz bardzo złowrogi, powrócił na twarz Prestora.

- Najprawdopodobniej patrzysz teraz na kolejnego króla Alterac, wiesz?

Goblin skłonił swoje szczupłe, ale umięśnione ciało prawie do ziemi.

- Chwała jego królewskiej mości, S...

Nagły klekot sprawił, że obaj spojrzeli w prawo. Zza metalowej kraty zamykającej stary przewód wentylacyjny wyłonił się mniejszy goblin. Nieduża istota zgrabnie wysunęła się z otworu i podbiegła do Krylla. Nowo przybyły miał na twarzy wyraz złośliwego rozbawienia, który szybko zniknął pod spojrzeniem Prestora.

Drugi goblin wyszeptał coś Kryllowi do dużego, spiczastego ucha. Kryli syknął i odesłał swojego towarzysza niebałym machnięciem ręki. Przybysz zniknął za kratą.

- O co chodzi? - Choć arystokrata mówił spokojnie i gładko, to jednak jasno dawał do zrozumienia, że domaga się natychmiastowej odpowiedzi.

- Och, łaskawy - zaczął mówić Kryli, na jego twarzy ponownie pojawił się szalony uśmiech - masz dzisiaj szczęście, na to wygląda! Może powinieneś zastanowić się nad

postawieniem na coś pieniędzy. Gwiazdy muszą sprzyjać...

- O co chodzi?!

- Ktoś... ktoś próbuje uwolnić Alexstraszę...

Prestor wpatrywał się w niego. Robił to tak długo i intensywnie, że Kryli skurczył się w sobie. Goblin wyobrażał sobie, że czeka go pewna śmierć. A tyle chciał wykonać eksperymentów, wypróbować tyle nowych środków wybuchowych...

W tej chwili stojąca przed nim wysoka, czarna postać zaczęła się śmiać, śmiechem głębokim, mrocznym i nie do końca naturalnym.

- Doskonale... - udało się powiedzieć Prestorowi między atakami śmiechu. Wyciągnął rękę, jakby chciał schwytać samo powietrze. Jego palce wydawały się niemożliwie długie i niemal zakończone szponami. - Tak, doskonale!

Śmiał się nadał, a kiedy to robił, goblin Kryli usiadł, dziwiąc się niezwykle widokowi. Leciutko potrząsał głową.

- A to mnie nazywają wariatem - mruknął pod nosem.

TRZY

Świat wypełnił ogień. Vereesa zakłęta, gdy płomienie niespodziewanie wypuszczone przez opadającego behemota sprawiły, że ona i czarodziej rozdzielili się. Gdyby Rhonin nie opóźnił rozpoczęcia podróży, to by się wcale nie wydarzyło. Już dotarliby do Hasic, a ona rozstałaby się z nim. Teraz jednak wyglądało na to, że oboje wkrótce rozstaną się z życiem...

Wiedziała, że orki z Khaz Modan od czasu do czasu wypuszczają smoki, żeby wywoływać chaos w zwykle spokojnych krainach swoich wrogów, ale dlaczego ona i jej towarzysz mieli pecha stać się ofiarami jednego z nich? Liczba smoków zmniejszała się, a Lordaeron było ogromne.

Spojrzała w stronę Rhonina, który zaczął uciekać w głąb lasu. Oczywiście. Musiało to mieć coś wspólnego z faktem, że jej towarzysz był czarodziejem. Smoki miały zmysły wyczulone bardziej nawet niż elfy; niektórzy mówili, że mogły w pewnym zakresie wyczuwać magię. W jakiś sposób za tak tragiczny rozwój wypadków musiał odpowiadać czarodziej. Ork i jego smok musieli przybyć po niego.

Rhonin najwyraźniej myślał podobnie, gdyż szybciotko zniknął jej z pola widzenia. Pobiegnął w las w stronę przeciwną do niej. Łowczyni prychnęła. Czarodzieje nigdy nie stawali na linii ognia. Mogli zaatakować przeciwnika z dużej odległości albo ciosem w plecy, ale gdy trzeba było stanąć z wrogiem twarzą w twarz...

Oczywiście, to był smok.

Smok podążył za uciekającym człowiekiem. Vereesa nie chciała śmierci czarodzieja, niezależnie od tego, co o nim myślała. Rozglądając się dookoła, nie wiedziała jednak, w jaki sposób mogłaby mu pomóc. Jej wierzchowiec został połknięty razem z koniem maga, a wraz z nim straciła swój ulubiony łuk. Pozostał tylko miecz, a nie była to broń, którą mogła zaatakować szalejącego potwora. Vereesa rozejrzała się, szukając czegoś innego, ale nic nie znalazła.

Nie miała wyboru. Była łowczynią i nie mogła pozwolić, żeby czarodziejowi stała się jakaś krzywda, jeśli tylko mogła coś na to poradzić. Vereesa musiała zrobić jedyną rzecz, która przyszła jej na myśl, żeby uratować mu życie. Elfka wyskoczyła z ukrycia, zamachała rękami w powietrzu i wrzasnęła

- Tutaj! Tutaj, pomiecie jaszczurki! Tutaj!

Smok jednak nie usłyszał jej, gdyż jego (Vereesie w końcu udało się zidentyfikować pleć bestii) uwagę pochłaniał płonący las. Gdzieś w tym piekle Rhonin walczył o życie. Smok

próbował się upewnić, że czarodziej przegra tę walkę.

Przeklinając głośno, elfia wojownicza rozejrzała się dookoła i znalazła ciężki kamień. To, co miała zamiar zrobić, dla człowieka byłoby niemożliwością, ona jednak miała pewną szansę powodzenia. Vereesa miała tylko nadzieję, że jej ramię jest nadal tak silne, jak jeszcze kilka lat wcześniej. Przechyliła się do tyłu i rzuciła kamień, celując w głowę szkarłatnego lewiatana.

Dobrze oceniła odległość, ale smok nagle się poruszył i Vereesa spodziewała się przez chwilę, że spudłuje. Pocisk jednak, choć nie trafił w głowę, odbił się od czubka bliższego z błoniastych skrzydeł. Vereesa nie spodziewała się nawet, że zrani bestię, gdyż kamień nie mógł przebić twardej smoczej łuski. Miała jedynie nadzieję, że przyciągnie uwagę behemota.

Udało się.

Potężna głowa natychmiast obróciła się w jej stronę. Smok ryczał ze złości, że mu przerwano. Ork wrzeszczał coś niezrozumiale do swojego rumaka.

Wielka skrzydlata istota nagle przechyliła się i skierowała w jej stronę. Udało się odciągnąć uwagę smoka od nieszczęsnego maga.

- I co teraz? - łajęła się łowczyni.

Elfka odwróciła się i pobiegła, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ucieknie swemu potwornemu prześladowcy.

Korony drzew nad jej głową zapaliły się od oddechu smoka. Płonące listowie opadło przed Vereesą, zamykając drogę ucieczki. Łowczyni bez namysłu skierowała się w lewo, ukrywając się między drzewami, których nie ogarnęły jeszcze płomienie.

Umrzesz! - powiedziała sobie w myślach. A wszystko to dla bezużytecznego czarodzieja.

Przerażający ryk sprawił, że obejrzała się przez ramię. Czerwony smok dogonił ją i właśnie wyciągał szponiastą łapę, żeby ją pochwycić. Vereesa wyobraziła sobie, jak łapa ta zgniatają albo, co gorsza, wciąga do straszliwej paszczy behemota.

Kiedy jednak elfka oczekiwała na zbliżającą się śmierć, smok nagle wycofał łapę i zaczął wić się w powietrzu. Szpony wbijał we własne ciało. Vereesie wydawało się, że lewiatan próbował pazurami podrapać się w każde dostępne miejsce, jakby... jakby cierpiał z powodu ataku niezwykle dokuczliwego świądu. Siedzący na jego grzbiecie ork próbował odzyskać kontrolę nad bestią, ale równie dobrze mógłby być pchłą, która wywołała takie cierpienia smoka, gdyż ten zupełnie nie zwracał uwagi na jego wysiłki.

Vereesa stała i patrzyła się, gdyż nigdy wcześniej nie miała okazji zobaczyć czegoś tak zaskakującego. Smok związał się i obracał, próbując zmniejszyć cierpienia, a jego ruchy

stawały się coraz bardziej gorączkowe. Ork ledwo mógł się utrzymać na grzbiecie bestii. Elfka zastanawiała się, co mogło spowodować, że potwór tak się...

- Rhonin? - wyszeptała zdziwiona.

Mag nagle pojawił się przed nią, zupełnie jakby wypowiedzenie jego imienia przywołało go jak ducha. Płomieniste włosy były rozczochrane, a ciemna szata brudna i podarta, ale poza tym najwyraźniej nie ucierpiał.

- Lepiej stąd odejźmy, póki jeszcze możemy, co, elfko?

Nie musiał dwa razy tego powtarzać. Tym razem to Rhonin szedł pierwszy, używając jakiejś magicznej umiejętności do prowadzenia ich przez płonący las. Nawet Vereesa, choć była łowczynią, nie mogłaby zrobić tego lepiej. Rhonin szedł ścieżkami, których nie była w stanie zobaczyć, dopóki na nich nie stanęła.

Przez ten cały czas smok unosił się na niebie i drapał się. Vereesa spojrzała w górę i zobaczyła, że po skórze smoka spływała krew. Własne pazury były jedną z niewielu rzeczy, które mogły przebić jego pancerz. Nie widziała orka, pewnie w którymś momencie stracił równowagę i spadł. Vereesa nie żałowała go.

- Co zrobiłeś smokowi? - udało jej się w końcu wykrztusić. Rhonin, usiłujący odnaleźć granicę pożaru, nawet na nią nie spojrzał.

- Coś, co nie wyszło tak, jak chciałem! Powinien cierpieć bardziej niż tylko z powodu silnego podrażnienia!

Wydawał się być zły na siebie, jednak łowczynie czuła, że po raz pierwszy wywarł na niej wrażenie. Zmienił pewną śmierć w możliwość ratunku... o ile uda im się odnaleźć drogę ucieczki.

Za nimi smok rykiem oznajmiał całemu światu swoją frustrację.

- Jak długo to potrwa?

W końcu zatrzymał się i popatrzył jej w oczy. To, co elfka zobaczyła w jego spojrzeniu, nie spodobało jej się.

- Za krótko...

Podwoili wysiłki. Gdziekolwiek się nie obrócili, otaczał ich ogień, ale w końcu dotarli do jego krawędzi. Uciekli przed pożarem w miejsce, gdzie atakował ich tylko morderczy dym. Krztusząc się i potykając, wędrowali dalej, szukając ścieżki, na której wiatr wiałby im prosto w twarz, dzięki czemu pozostawiliby za sobą płomienie i dym.

Po chwili przeraził ich kolejny ryk, gdyż rozbrzmiewało w nim nie cierpienie, lecz wściekłość i pragnienie zemsty. Czarodziej i łowczynie obrócili się i popatrzyli na znajdującą się w pewnej odległości szkarłatną istotę.

- Zaklęcie przestało działać - mruknął Rhonin, choć oboje dobrze o tym wiedzieli.

Rzeczywiście tak było. Vereesa zrozumiała, że smok doskonale wie, kto jest odpowiedzialny za jego cierpienie. Kierując się dokładnie w ich stronę, lewiatan poruszał potężnymi błoniastymi skrzydłami. Najwyraźniej miał zamiar się im odpłacić.

- Czy znasz jakieś inne zaklęcie? - zapytała w biegu Vereesa.

- Może! Ale wolałbym go teraz nie używać. Mogłoby zabrać nas ze sobą!

Jak gdyby smok nie miał zamiaru zrobić tego samego. Elfka miała nadzieję, że Rhonin zdecyduje się użyć morderczego zaklęcia, zanim oboje skończą jako przekąska dla behemota.

- Jak daleko... - Czarodziej z trudem łapał oddech. - Jak daleko stąd do Hasic?

- Za daleko.

- Są jakieś osady między nami a portem?

Próbowała się zastanowić. Tylko jedno miejsce przychodziło jej na myśl, ale nie mogła sobie przypomnieć ani jego nazwy, ani przeznaczenia.

- Coś jest, ale...

Znów przeraził ich ryk smoka. Nad ich głowami przesunął się cień.

- Jeśli masz jakieś zaklęcie, które może zadziałać, to radziłabym, żebyś użył go teraz.

Vereesa ponownie żałowała, że nie ma swojego łuku. Wtedy mogłaby przynajmniej celować w oczy i mieć nadzieję na sukces. Szok i cierpienie mogłyby sprawić, że bestia odleciałaby.

Prawie się zderzyli, gdyż Rhonin nagle stanął i odwrócił się, by stawić czoło przerażającemu zagrożeniu. Chwycił ją za ramiona bardzo silnymi, jak na czarodzieja, rękami, i odsunął na bok. Jego oczy dosłownie świeciły. Vereesa słyszała, że zdarza się to potężnym czarodziejom, ale nigdy wcześniej nie była świadkiem czegoś takiego.

- Módl się, żeby nie odpaliło w naszą stronę - mruknął.

Wyprostował ramiona, dłońmi wskazując w stronę smoka. Zaczął wypowiadać słowa w języku, którego Vereesa nie znała, ale który mimo to wywoływał u niej dreszcze. Rhonin złączył ręce i ponownie zaczął mówić...

Zza chmur wyłoniły się trzy kolejne skrzydlate kształty.

Vereesa wstrzymała oddech, a wysoki czarodziej przestał mówić, blokując zaklęcie. Wydawał się gotowy przekląć niebiosa. Wtedy jednak elfka rozpoznała, jakie istoty wyłoniły się tuż nad ich straszliwym wrogiem.

Gryfy... potężne istoty o ciałach lwów i głowach orłów... skrzydlate gryfy z jeźdźcami.

Pociągnęła Rhonina za rękę.

- Nic nie rób!

Spojrzał na nią wściekle, ale pokiwał głową. Oboje popatrzyli w górę, kiedy smok wypełnił ich pole widzenia.

Trzy gryfy nagle otoczyły behemota, zaskakując go. Teraz Vereesa mogła zidentyfikować jeźdźców, choć właściwie nie było takiej potrzeby. Tylko krasnoludy z odległych Szczytów Aerie, ponurej, górzystej krainy, leżącej nawet dalej niż kraina elfów Quel'Thalas, jeździły na dzikich gryfach. I tylko ci doskonali wojownicy na swoich wierzchowcach mogli mierzyć się w powietrzu ze smokami.

Choć gryfy były dużo mniejsze niż szkarłatny olbrzym, to nadrabiały tę różnicę wielkimi, ostrymi jak brzytwy szponami, które mogły przebić smoczą łuskę, i dziobami, które rozrywały ciało. Do tego poruszały się o wiele szybciej i łatwiej zmieniały kierunek lotu, zawracając pod takimi kątami, że żaden smok nie mógł im w tym dorównać.

Krasnoludy zaś nie tylko kierowały swoimi wierzchowcami. Nieco wyższe i szczuplejsze niż ich bardziej przyziemni kuzyni, krasnoludy górskie były równie mocno umięśnione. Choć ich ulubioną bronią w czasie patroli były legendarne młoty burzy, ta trójka miała wielkie topory o podwójnym ostrzu i długiej rękojeści, którymi posługiwała się z łatwością. Ostrza, zrobione z metalu pokrewnego adamantium, mogły przebić nawet kościste, pokryte łuskami głowy behemotów. Opowiadano, że wielki jeździec gryfów Kurdran pokonał kiedyś smoka o wiele potężniejszego niż ten jednym dobrze wycelowanym ciosem podobnego topora.

Skrzydlate istoty krążyły wokół wroga, który musiał wciąż obracać się, aby zobaczyć, który z trójki gryfów zagraża mu najbardziej. Orki wcześniej nauczyły się uważać na gryfy, ale bez swojego jeźdźcy ten akurat potwór wydawał się nieco zagubiony. Krasnoludy natychmiast to wykorzystały, ich wierzchowce to zbliżały się do smoka, to oddalały, co naturalnie jeszcze zwiększało frustrację bestii. Długie brody i spięte w końskie ogony włosy dzikich krasnoludów powiewały na wietrze, kiedy dosłownie śmiali się olbrzymowi prosto w twarz. Głęboki śmiech jeszcze bardziej rozwścieczał smoka, który rzucał się szaleńczo. Jego bezskutecznym atakom towarzyszyły strumienie ognia.

- Zupełnie go zdezorientowali - skomentowała Vereesa, najwyraźniej pod wrażeniem taktyki jeźdźców gryfów. - Wiedzą, że jest młody i ma za duży temperament, żeby atakować z jakąś strategią!

- Co oznacza, że możemy spokojnie ruszać - odpowiedział Rhonin.

- Mogą potrzebować naszej pomocy!

- Mam misję do wypełnienia - stwierdził złowieszczo. - A oni dobrze sobie radzą.

To prawda. Wydawało się, że bitwę wygrali jeźdźcy na gryfach, choć jeszcze musieli

zadać cios. Trójka krążyła i krążyła wokół smoka, któremu chyba już zakręciło się w głowie. Ze wszystkich sił próbował koncentrować się tylko na jednym napastniku, ale pozostali natychmiast odwracali jego uwagę. Tylko raz prawie udało mu się sięgnąć płomieniem do jednego ze skrzydlatych przeciwników.

Jeden z krasnoludów zaczął nagle podnosić potężny topór. Ostrze błyszczało w słońcu późnego popołudnia. Jeszcze raz obleciał smoka, a kiedy znalazł się z tyłu głowy potwora, gryf przybliżył się gwałtownie do lewiatana.

Szpony wbiły się w szyję, odrywając łuski. Zanim smok zdążył poczuć ból, krasnolud uniósł potężny topór i mocno zadał cios. Ostrze zagłębiło się. Nie na tyle, żeby zabić, ale aż nadto, żeby smok zaskrzeczał z bólu. Bestia odruchowo odwróciła się i skrzydłem zaczepiła gryfa, co zaskoczyło całkowicie zarówno jego, jak i krasnoluda. Zaczęli koziolkować w powietrzu. Jeźdźcowi udało się utrzymać, ale topór wysunął mu się z ręki i spadł na ziemię.

Vereesa instynktownie ruszyła w stronę broni, ale Rhonin zamknął jej drogę wyciągniętą ręką. - Powiedziałem, że musimy ruszać. Elfka kłóciłaby się z nim, ale kiedy spojrzała na walczących, zobaczyła, że i tak by się na nic nie przydała. Ranny smok uniósł się wyżej, wciąż otoczony przez gryfy. Nawet gdyby Vereesa znalazła topór i tak mogłaby nim tylko pomachać, bez żadnego efektu.

- Zgoda - mruknęła w końcu.

Razem oddalili się od pola walki. Tym razem to Vereesa prowadziła, gdyż wiedziała, gdzie leży ich cel. Za nimi smok i gryfy byli widoczni tylko jako małe punkciki na niebie, częściowo również dlatego, że bitwa przesuwiała się w kierunku przeciwnym niż elfka i jej towarzysze.

- Dziwne... - szepnął czarodziej.

- Co? Drgnął.

- A więc te uszy nie są tylko na pokaz, co?

Vereesa najeżyła się, choć słyszała już dużo gorsze obelgi. Ludzie i krasnoludy, zazdrośni o naturalną wyższość elfiej rasy, często wyśmiewali się właśnie z długich, spiczastych uszu. Czasem jej uszy porównywano do narządów słuchu osłów, świń albo, co gorsza, goblinów. Choć w reakcji na tego rodzaju komentarze Vereesa nigdy nie wyciągała broni, mimo to żartownisie zwykle bardzo żałowali, że użyli takich akurat słów.

Szmaragdowe oczy maga zwięzły się.

- Przepraszam, uznałaś moje słowa za obelgę. Nie to miałem na myśli.

Wątpiła w prawdziwość tego stwierdzenia, ale wiedziała, że musi przyjąć nieprzekonywującą próbę przeprosin. Usiłując zdusić gniew, zapytała - Co wydaje ci się takie

dziwne?

- Że ten smok pojawił się akurat w tym momencie.

- Jeśli tak myślisz, to równie dobrze możesz zapytać, skąd wzięły się gryfy. W końcu to one go odeгнаły. Potrząsnął głową.

- Ktoś zobaczył bestię i zawiadomił kogo trzeba. Jeźdźcy po prostu wykonywali swój obowiązek. - Zastanawiał się przez chwilę. - Wiem, że klan Smoczej Paszczy jest zdesperowany i próbuje zebrać zarówno inne klany rebeliantów, jak i orki w enklawach, ale nie powinien się zabierać do tego w taki sposób.

- Któż może powiedzieć, jak myśli ork? Trafiliśmy najwyraźniej na przypadkowego marudera. Nie byłby to pierwszy taki atak na terenie Sojuszu, człowieku.

- To prawda, ale zastanawiam się... - Rhonin nie powiedział nic więcej, gdyż nagle oboje wyczuli w lesie ruch... wszędzie dookoła.

Elfka wysunęła miecz z pochwy z łatwością świadcząca o dużej praktyce. Dłonie stojącego za nią Rhonina zniknęły w fałdach jego szaty. Najwyraźniej czarodziej przygotowywał się do rzucenia zaklęcia. Vereesa nic nie powiedziała, ale zastanawiała się, jak użyteczny byłby mag w walce. Lepiej niech stanie z tyłu i pozwoli jej zająć się pierwszymi atakującymi.

Za późno. Sześć potężnych postaci na koniach przebiło się przez las, otaczając ich. Srebrzyste broje błyszcząły mocno nawet w słabym świetle chylącego się ku zachodowi słońca. Elfka zobaczyła, że w jej pierś celuje lanca. Rhoninowi zaś druga wbijała się w plecy, między łopatkami.

Rysy napastników zasłaniały przyłbice w kształcie głowy lwa. Łowczynie zastanawiała się, jak ktokolwiek mógł poruszać się w takich zbrojach, a co dopiero walczyć, ale ta szóstka poruszała się w siodłach, jakby zupełnie nic ich nie obciążało. Ich wielkie, szare konie, również opancerzone, zdawały się nie zwracać uwagi na dodatkowy ciężar.

Przybysze nie mieli sztandaru, a o ich tożsamości świadczył jedynie wryty na ich napierśnikach stylizowany obraz dłoni sięgającej do nieba. Po tym znaku Vereesa domyśliła się, kim byli, ale mimo to nie rozluźniała się. Ostatnim razem, kiedy elfka spotkała takich ludzi, nosili inne broje i rogate hełmy, a na napierśnikach i tarczach mieli znak Lordaeron.

Wówczas z lasu powoli wyłonił się siódmy jeździec. Miał na sobie bardziej tradycyjną broję, taką jakiej spodziewałaby się Vereesa. Spod hełmu wyłaniała się silna i, jak na człowieka, mądra twarz okolona przyciętą, siwiejącą brodą. Znaki Lordaeron i zakonu znajdowały się nie tylko na jego tarczy i napierśniku, ale również na hełmie. Srebrna sprzączka w kształcie głowy lwa spinała pas, przy którym wisiał wielki młot z rodzaju

używanego przez ludzi takich jak on.

- Elfka - mruknął, przyglądając się jej. - Z radością przyjmimy twe silne ramię. - Mężczyzna, który najwyraźniej był przywódcą, przeniósł z kolei wzrok na Rhonina, stwierdzając w końcu z nieukrywaną pogardą - I przekłeta dusza. Trzymaj dłonie tam, gdzie będziemy je widzieć, abym nie odczuwał pokusy, by je obciąć.

Gdy Rhonin walczył z ogarniającą go wściekłością, Vereesa czuła się rozdarta między ulgą z jednej strony, a niepewnością z drugiej. Zostali pochwyceni przez paladynów z Lordaeron, sławnych rycerzy Srebrnej Dłoni.

* * *

Spotkali się w mrocznym miejscu, do którego mogło dotrzeć tylko niewielu, nawet z ich rodzaju. Raz po raz odgrywały się w nim marzenia z przeszłości, mroczne sylwetki poruszały się we mgle historii. Nawet dwaj, którzy się spotkali, nie wiedzieli, na ile ta dziedzina istniała w rzeczywistości, a na ile tylko w ich myślach, ale mieli pewność, że nikt nie będzie w stanie ich podsłuchać.

Tak w każdym razie sądzili.

Obaj byli wysocy i szczupli, ich twarze zakrywały kaptury. W jednym z nich można było rozpoznać czarodzieja, którego Rhonin znał pod imieniem Krasus. Drugi, za wyjątkiem zielonkawego odcienia szarych szat, mógłby być jego bratem bliźniakiem. Dopiero kiedy się odezwali, stało się jasne, że w przeciwieństwie do członka Kirin Tor, ta postać była zdecydowanie mężczyzną.

- Zupełnie nie wiem, po co tu przyszedłem - powiedział do Krasusa.

- Ponieważ musiałeś. Odczuwałeś taką potrzebę. Drugi mężczyzna odetchnął, wyraźnie przy tym sycząc.

- To prawda, ale skoro już tutaj jestem, to mogę odejść, kiedy tylko tego zapragnę.

Krasus wyciągnął smukłą, okrytą rękawiczką dłoń.

- Przynajmniej mnie wysłuchaj.

- Dlaczego? Żebyś mógł powtórzyć to, co powtarzałeś już tak wiele razy?

- Po to, byś wreszcie zwrócił uwagę na to, co mówię! - Niespodziewana gwałtowność w głosie Krasusa zaskoczyła obu. Jego towarzysz potrząsnął głową.

- Za dużo przebywałeś z nimi. Twoje osłony, zarówno magiczne, jak i osobiste, zaczynają się załamywać. Najwyższy czas, żebyś porzucił to beznadziejne zadanie... tak jak my to zrobiliśmy.

- Nie wierzę, że jest beznadziejne. - Po raz pierwszy w głosie pojawił się ślad płci. Był

on tak głęboki, że członkowie Kirin Tor nie byłiby w stanie w to uwierzyć. - Nie mogę, dopóki ona jest więziona.

- Jest zrozumiałe, że ona dla ciebie wiele znaczy, Korialstraszu. Dla nas jest tylko wspomnieniem czasu, który minął.

- Jeśli ten czas minął, to dlaczego ty i inni wciąż pozostajecie na swoich pozycjach? - odrzekł spokojnie Krasus, który znów zaczął kontrolować emocje.

- Gdyż chcielibyśmy, żeby ostatnie lata naszego życia były spokojne, pełne pokoju...

- To kolejny powód, dla którego powinniście się do mnie przyłączyć.

Jego towarzysz ponownie zasyczał.

- Korialstraszu, czy nigdy nie poddasz się nieuniknionemu? Twój plan nie zaskakuje nas, którzy znamy cię bardzo dobrze! Widzieliśmy twą marionetkę na bezowocnej wyprawie... czy naprawdę myślisz, że człowiekowi uda się tego dokonać?

Krasus milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Ma w sobie potencjał... ale on nie jest wszystkim, co posiadam. Nie, sędzę, że przegra. Mam jednak nadzieję, że jego ofiara stanie się częścią mój ego ostatecznego sukcesu, a jeśli przyłączycie się do mnie, sukces ten będzie jeszcze bardziej prawdopodobny.

- Miałem rację. - Towarzysz Krasusa wydawał się niezmiernie rozczarowany. - Ta sama retoryka. Te same błagania. Przybyłem tu jedynie z powodu sojuszu, niegdyś bardzo mocnego, który łączył nasze frakcje, ale chyba nie musiałem zadawać sobie tego trudu. Nie masz poparcia ani siły. Jesteś sam i musisz ukrywać się w cieniach - wskazał na otaczające ich mgły - w miejscach takich jak to, zamiast ukazać swą prawdziwą naturę.

- Robię to, co muszę... A czy ty coś jeszcze robisz? - Głos Krasusa nabrał ostrości. - Po co w ogóle istniejesz, stary przyjacielu?

Druga postać zadrżała, kiedy usłyszała to przenikliwe pytanie, po czym odwróciła się gwałtownie. Mężczyzna zrobił kilka kroków w stronę otaczającej ich mgły, po chwili jednak zatrzymał się i ponownie spojrzał na czarodzieja. Kiedy się odezwał, jego głos był zrezygnowany.

- Życzę... życzymy ci powodzenia, Korialstraszu, naprawdę. Po prostu nie wierzę... nie wierzymy, że można powrócić do przeszłości. Tamte dni przeminęły, a my wraz z nimi.

- Skoro taką podjąłeś decyzję... - Już prawie się rozstali, kiedy Krasus nagle zawołał - Mam jednak prośbę, zanim powrócisz do pozostałych.

- Mów, proszę.

Cała postać maga wydała się ciemnieć, a z jego ust wyrwało się syknięcie.

- Nigdy nie zwracaj się do mnie tym imieniem. Przenigdy. Nie wolno go wymawiać,

nawet tutaj.

- Nikt nie mógłby przecież...

- Nawet tutaj.

Coś w głosie Krasusa sprawiło, że jego towarzysz skinął głową, po czym w pośpiechu odszedł, znikając w pustce.

Czarodziej stał w miejscu, które wcześniej zajmował drugi mężczyzna, rozważając skutki tej bezcelowej rozmowy. Gdyby tylko tamci wysłuchali głosu rozsądku! Razem mieli nadzieję. Podzieleni, niewiele mogli zrobić, a wszystko to przynosiło korzyść ich wrogowi.

- Głupcy - mruknął Krasus. - Straszliwi głupcy.

CZTERY

Paladyni doprowadzili ich do fortecy, która musiała być bezimienną osadą, o której Vereesa wspominała wcześniej. Na Rhoninie nie wywarła ona zbyt wielkiego wrażenia. Wysokie, kamienne mury otaczały proste, funkcjonalne budynki, gdzie rycerze zakonni, giermkowie i pewna liczba pospólstwa próbowali żyć prosto i skromnie. Flagi bractwa i Lordaeron wisiały obok siebie, gdyż rycerze Srebrnej Dłoni zawsze aktywnie wspierali Sojusz. Gdyby nie widok zwykłych mieszkańców, Rhonin uznałby, że osada jest w całości wojskowa. Najwyraźniej była w pełni kontrolowana przez zakon.

Paladyni odnosili się do elfki z uprzejmością, a niektórzy młodszy rycerze byli wyraźnie oczarowani, gdy Vereesa odzywała się do nich, z czarodziejem jednak nie chcieli utrzymywać więcej kontaktów, niż to było konieczne. Kiedy spytał jednego z nich, jak daleko znajduje się Hasic, Vereesa musiała powtórzyć pytanie, żeby mógł się tego dowiedzieć. Mimo początkowego wrażenia nie byli oczywiście więźniami, lecz Rhonin czuł się wśród nich jak wyrzutek. Traktowali go z minimum grzeczności, gdyż wymagała tego przysięga, jaką złożyli królowi Terenasowi, ale mimo to pozostawał pariasem.

- Widzieliśmy smoka i gryfy - zagrział przywódca, Duncan Senturus. - Nasz honor i przysięga wymagały, żebyśmy natychmiast wyruszyli i sprawdzili, czy możemy pomóc.

Rhonin pomyślał złośliwie, że walka odbywała się w całości w powietrzu i przez to poza zasięgiem wojowników, co jednak nie osłabiło świętego entuzjazmu rycerzy ani nie wydawało im się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. W tym akurat przypominali łowczynię. Co dziwne, teraz, kiedy czarodziej nie musiał przebywać sam na sam z elfką, odczuwał pewną zazdrość. W końcu wyznaczono ją na swoją przewodniczkę. Powinna spełniać swój obowiązek aż do Hasic.

Niestety, jeśli chodziło o Hasic, Duncan Senturus miał swoje plany. Kiedy zsiadali z koni, potężny rycerz podał rękę elfce, mówiąc - Oczywiście byłoby zaniedbaniem z naszej strony, gdybyśmy nie zawiedli was najkrótszym i najbezpieczniejszym szlakiem do portu. Wiem, że jest to twoje zadanie, pani, ale najwyraźniej to siła wyższa doprowadziła was do nas. Doskonale znamy drogę do Hasic, więc jutro niewielka drużyna, prowadzona przeze mnie, wyruszy z wami.

Elfce wyraźnie sprawiło to przyjemność, ale Rhonin nie był zachwycony. Wszyscy w fortecy patrzyli na niego w taki sposób, jakby nagle zmienił się w goblina albo orka. Odczuł wystarczająco dużo pogardy ze strony innych magów i nie chciał, żeby paladyni jeszcze

dokładali się do jego problemów.

- To bardzo miło z waszej strony - wtrącił się Rhonin zza ich pleców - ale Vereesa jest doskonałą łowczynią. Z pewnością dotrzemy do Hasic na czas.

Nozdrza Senturusa rozděły się, jakby poczuł coś obrzydliwego. Z uśmiechem przyklepionym do ust stary paladyn powiedział do elfki - Pozwól, że osobiście zaprowadzę cię do twojej kwatery.

Spojrzał na jednego ze swoich podwładnych.

- Meric! Znajdź coś dla czarodzieja.

- Tędy - mruknął niezgrabny młody rycerz z wąsami.

Wydawał się gotów wziąć Rhonina za ramię, nawet gdyby oznaczało to połamanie mu kości. Czarodziej mógłby mu pokazać, jaką byłoby to głupotą, ale ze względu na swą misję i współzycie różnych części Sojuszu tylko szybko postąpił krok naprzód i znalazł się obok swojego przewodnika. Milczeli przez całą drogę.

Rhonin spodziewał się, że zostanie zaprowadzony do najbardziej wilgotnego i śmierdzącego miejsca, w jakim rycerze zakonni mogliby mu zapewnić nocleg. Zamiast tego znalazł się w komnacie prawdopodobnie nie bardziej surowej niż te należące do ponurych wojowników. Była sucha, czysta, ze ścianami w całości z kamienia za wyjątkiem drewnianych drzwi. Rhoninowi zdarzało się już sypiać w gorszych miejscach. Na całe wyposażenie składały się równo zaścielone drewniane łóżko i niewielki stolik. Stara lampa oliwna była jedynym źródłem światła, gdyż pomieszczenie nie miało nawet malutkiego okna. Rhonin zastanawiał się, czy nie poprosić o komnatę z oknem, ale podejrzewał, że rycerze nie mogli mu zaoferować nic lepszego. Poza tym tutaj przynajmniej nie będą mu się przyglądać ciekawscy.

- To mi wystarczy - powiedział w końcu, ale młody wojownik, który go przyprowadził, już zaczął wychodzić, zamykając za sobą drzwi. Czarodziej usiłował sobie przypomnieć, czy na zewnątrz drzwi był jakiś zamek albo zasuwka, ale paladyni bez wątpienia nie posunęliby się tak daleko. Rhonin może i był dla nich potępioną duszą, ale przecież należał do sojuszników. Myśl o psychicznym dyskomforcie, jaki ta świadomość musiała sprawiać rycerzom, nieco rozbawiła Rhonina. Zawsze uważał rycerzy Srebrnej Dłoni za świętoszków.

Niechętni gospodarze pozostawili go samemu sobie aż do wieczornego posiłku. Rhonin odkrył, że posadzono go z dala od Vereesy, która miała okazję do rozmowy z dowódcą, czy tego chciała, czy nie. Nikt poza elfką nie wypowiedział więcej niż kilka słów przez cały posiłek. Rhonin miał zamiar odejść tuż po jego zakończeniu, kiedy sam Senturus

zaczął mówić o smokach.

- W ciągu ostatnich kilku tygodni smoki pojawiały się częściej niż zwykle - poinformował ich brodaty rycerz. - I były bardziej zdesperowane. Orki wiedzą, że ich czas się kończy, więc próbują wywołać jak największy chaos, zanim nadejdzie dla nich dzień sądu. - Pociągnął łyk wina. - Osada Juroon została trzy dni temu podpalona przez dwa smoki i ponad połowa mieszkańców zginęła w tej piekielnej napaści. Potworom i ich jeźdźcom udało się uciec, zanim przybyły gryfy.

- To straszne - szepnęła Vereesa.

Duncan pokiwał głową, a w jego głębokich, brązowych oczach zapłonęła niemal fanatyczna determinacja.

- Wkrótce będzie to przeszłością! Wkrótce pomaszujemy na Khaz Modan, na samo Grim Batol i zmieciemy z powierzchni ziemi resztki Hordy! Popłynie krew orków!

- A dobrzy ludzie zginą - dodał pod nosem Rhonin.

Najwyraźniej dowódca miał słuch równie wyczulony jak elfka, gdyż natychmiast przeniósł spojrzenie na maga.

- Dobrzy ludzie zginą, prawda! Przysięgaliśmy jednak, że uwolnimy Lordaeron i inne krainy od groźby orków i tak też zrobimy, niezależnie od ceny!

Czarodziej, na którym nie wywarło to wrażenia, odpowiedział - Najpierw musicie zrobić coś ze smokami, nieprawdaż?

- Zostaną zniszczone, czarodzieju, wysłane do podziemnego świata, gdzie jest ich miejsce. Gdyby ty i tobie podobni, diabelscy...

Vereesa delikatnie dotknęła ręki dowódcy i uśmiechnęła się tak pięknie, że czarodziej aż poczuł się zazdrosny.

- Od jak dawna jesteś paladynem, lordzie Senturusie?

Rhonin przyglądał się ze zdziwieniem, jak łowczyni zmienia się w czarującą młodą damę, podobną do tych, które spotykał na królewskim dworze Lordaeron. Jej przemiana przemieniła z kolei Duncana Senturusa. Elfka bawiła się siwiejącym rycerzem, wydając się wsłuchiwać w każde jego słowo. Osobowość elfki zmieniła się tak bardzo, że przyglądający się jej czarodziej nie mógł uwierzyć, iż jest to ta sama kobieta, która przez ostatnie kilka dni była jego strażniczką i przewodniczką.

Duncan opowiadał ze szczegółami o swoich, nie tak znowu skromnych, skromnych początkach. Był synem bogatego lorda, który wybrał zakon, żeby rozślawić swoje imię. Choć inni rycerze bez wątplenia znali tę historię, słuchali uważnie. Z pewnością uważali piękną karierę dowódcy za przykład dla siebie. Rhonin przez chwilę przyglądał się każdemu,

zauważając z pewnym niepokojem, że pozostali paladyni prawie nie mrugali, właściwie prawie nie oddychali, pochłonięci przez opowieść.

Vereesa w kilku miejscach wtrącała własne komentarze do historii, sprawiając, że nawet najbardziej przyziemne osiągnięcia starszego mężczyzny wydawały się wspaniałe i odważne. Kiedy Senturus zapytał ją o kształcenie, zmniejszyła wagę swoich osiągnięć, choć mag był pewien, że w wypadku wielu umiejętności łowczyni przewyższała gospodarza.

Paladyn wydawał się zachwycony jej zachowaniem i zagłębił się w swą opowieść, ale Rhonin miał już dosyć. Przeprosił wszystkich, na co nikt nie zwrócił zresztą uwagi, i pospieszył na zewnątrz, poszukując powietrza i samotności.

Noc zapadła nad fortecą. Bezksiężycowa ciemność otoczyła wysokiego czarodzieja jak miękki koc. Rhonin nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do Hasic i wreszcie wyruszy w stronę Khaz Modan. Dopiero wtedy pozbędzie się paladynów, łowców i innych bezużytecznych głupców, którzy tylko przeszkadzali mu w wypełnieniu prawdziwego zadania. Rhonin najlepiej pracował w pojedynkę, co próbował wytłumaczyć wszystkim jeszcze przed ostatnią katastrofą. Nikt go nie słuchał, a potem był zmuszony zrobić to, co było konieczne, żeby osiągnąć sukces. Pozostali członkowie wyprawy nie posłuchali jego ostrzeżeń ani nie zrozumieli konieczności wykonania przez niego ryzykownej pracy. Z całą pogardą pozbawionych talentu zaszarżowali prosto w środek jego wielkiego zaklęcia... i tak zginęli razem z prawdziwym celem - bandą orczych warlocków, którzy chcieli przywrócić do życia coś, co niektórzy uważali za jednego z demonów z legend.

Rhonin żałował każdej z tych śmierci bardziej, niż kiedykolwiek przyznał się mistrzom z Kirin Tor. Wspomnienia prześladowały go, zachęcały do podejmowania bardziej ryzykownych działań, a cóż mogło być bardziej ryzykowne niż uwolnienie, bez niczyjej pomocy, samej królowej smoków z niewoli? Musiał to zrobić sam, nie tylko dla chwały, ale również, by, jak miał nadzieję, ułagodzić duchy dawnych towarzyszy, które nie dawały mu nawet chwili spokoju. Nawet Krasus nie wiedział nic o tych cieniach... może i dobrze, gdyż mógłby wtedy nabrać wątpliwości co do psychicznego zdrowia Rhonina i jego wartości.

Gdy Rhonin wchodził na szczyt muru otaczającego fortecę, wiatr zaczął nabierać siły. Kilku rycerzy stało na straży, jednak wieści o jego obecności w fortecy bez wątpienia podróżowały szybko, gdyż po tym, jak pierwszy ze strażników rozpoznał go, przyglądając mu się w świetle latarni, pozostali go unikali. Odpowiadało mu to. Wojownicy obchodzili go tak mało, jak on ich.

Za murami fortecy niewyraźne cienie drzew nadawały mrocznemu krajobrazowi niemal magiczny charakter. Rhonin odczuwał pokusę, by zrezygnować z wątpliwej

gościnności rycerzy i położyć się spać pod jakimś dębem. Tam przynajmniej nie będzie musiał wysłuchiwać pobożnych słów Duncana Senturusa, który, według czarodzieja, wydawał się bardziej zainteresowany Vereesą, niż przystoi to rycerzowi zakonnemu. Oczywiście miała piękne oczy, a jej odzienie podkreślało sylwetkę...

Rhonin prychnął, wymazując obraz łowczyni ze swoich myśli. Wymuszone odosobnienie w trakcie odbywania kary najwyraźniej miało na niego większy wpływ, niż mu się wydawało. Magia była pierwszą i najważniejszą kochanką Rhonina, a jeśli już decydował się na towarzystwo kobiet, to stanowczo wołał podatniejsze osobki, na przykład rozpieszczone młode damy dworu, a nawet łatwowieczne służące, które czasem spotykał w trakcie podróży. Z pewnością nie arogancką elfią łowczynią.

Lepiej poświęcić uwagę ważniejszym sprawom. Razem z nieszczęsnym koniem Rhonin stracił przedmioty, które dał mu Krasus. Musi więc nawiązać kontakt z czarodziejem i poinformować go o tym, co się stało. Młodszy mag żałował, że zaszła taka konieczność, ale zbyt wiele zawdzięczał Krasusowi, by tego nie zrobić. Rhonin nawet nie pomyślał o tym, by poniechać zadania - to na zawsze pogrzebałoby wszelkie jego nadzieje na odzyskanie twarzy, nie tylko wśród innych czarodziejów, ale też wobec siebie samego.

Rozejrzał się wokół - a w ciemnościach widział lepiej niż przeciętny człowiek - nie zauważył jednak żadnego strażnika. Ściana wieży chroniła go przed wzrokiem ostatniego, którego mijał. Najlepsze miejsce, żeby spróbować. Jego pokój też by się nadał, ale Rhonin wołał otwartą przestrzeń, gdyż łatwiej było mu oczyścić umysł z pajęczyn.

Z kieszeni ukrytej głęboko wewnątrz szaty wyjął niewielki, ciemny kryształ. Nawiązanie kontaktu na tak dużą odległość przy jego pomocy nie będzie proste, ale nie miał nic innego.

Rhonin uniósł kryształ do najjaśniejszej z białych gwiazd nad głową i zaczął szeptać słowa mocy. Wewnątrz kryształu pojawił się słaby blask, który powoli zaczął narastać, gdy czarodziej kontynuował zaklęcie. Mistyczne słowa spływały z jego języka...

W jednej chwili gwiazdy zniknęły...

Przerywając zaklęcie w połowie, Rhonin wpatrzył się w niebo. Nie, gwiazdy, na których się koncentrował, nie zniknęły, teraz je widział. Jednak przez krótką chwilę, nie dłużej niż mgnienie oka, mag mógłby przysiąc...

Efekt wyobraźni i zmęczenia. Biorąc pod uwagę to, co przeszli tego dnia, Rhonin powinien od razu pójść do łóżka, ale wcześniej chciał wypróbować zaklęcie. W takim razie im wcześniej skończy, tym lepiej. Chciał do rana w pełni wypocząć, gdyż lord Senturus na pewno narzuci mordercze tempo.

Rhonin po raz kolejny wysoko uniósł kryształ i zaczął szeptać słowa mocy. Tym razem żadne złudzenie nie...

- Co tutaj robisz, czarodzieju? - zapytał głęboki głos.

Rhonin zaklął, wściekły z powodu drugiego opóźnienia. Obrócił się do rycerza, który się na niego natknął i warknął - Nic, co...

Murem zatrzęsł wybuch.

Kryształ wysunął się z dłoni Rhonina. Mag nie miał czasu, by po niego sięgnąć, gdyż starał się nie spaść z muru, co oznaczałoby pewną śmierć. Strażnikowi się to udało. Kiedy umocnienia zatrzęsły się, poleciał do tyłu. Wpierw oparł się o blanki, lecz później jego ciało przeważało i wypadł na zewnątrz. Rhonin zadrzał, słysząc jego krzyk, nagle urwany.

Wybuch przebrzmiał, ale nie był to koniec zniszczeń nim spowodowanych. Kiedy tylko czarodziejowi udało się stanąć pewnie na nogach, sam mur zaczął się zapadać do wewnątrz. Rhonin skoczył w stronę wieży strażniczej, gdyż uznał, że będzie ona bezpieczniejsza. Wylądował tuż przy wejściu i rzucił się do środka, gdy nagle wieża zaczęła się trząść.

Rhonin próbował wybiec, ale wejście zapadło się. Został uwięziony w środku.

Zaczął wypowiadać zaklęcie, choć był prawie pewien, że jest już na to za późno. Sklepienie spadło na niego...

A razem z nim pojawiło się coś przypominającego ogromną dłoń, która ścisnęła czarodzieja tak mocno, że Rhonin zupełnie stracił oddech... i świadomość.

* * *

Nekros Miażdzący Czaszki rozważał los, który wypadł mu na kościach dawno, dawno temu. Posiwiwały ork bawił się jednym ze swoich kłów, przyglądając się jednocześnie trzymanemu w drugiej potężnej dłoni złotemu dyskowi. Zastanawiał się, jak ktoś, kto nauczył się władać mocą tak potężną, mógł zostać skazany na odgrywanie roli strażnika i niańki ponurej samicy, której jedyną funkcją było produkowanie potomstwa. Oczywiście mogło się to wiązać z faktem, że była ona jednym z największych smoków, jak również z tym, że bez jednej nogi Nekros nie miał nadziei na osiągnięcie i utrzymanie pozycji wodza klanu.

Złoty dysk zdawał się wyśmiewać z niego. Zawsze tak było, ale kaleki ork ani razu nie pomyślał, żeby go wyrzucić. Dzięki niemu osiągnął pozycję, która zapewniała mu przynajmniej szacunek pozostałych wojowników, nawet jeśli on sam stracił wszelki szacunek do siebie tego dnia, kiedy ludzki rycerz obciął dolną część jego lewej nogi. Nekros zabił człowieka, jednak nie mógł zmusić się do zrobienia tego, czego wymagał honor. Pozwolił

innym zabrać się z pola bitwy, wypalić ranę i pomóc w zrobieniu drewnianej nogi.

Skierował wzrok na to, co pozostało z kolana i na przyczepiony poniżej drewniany kołek. Nigdy więcej wspaniałych walk, nigdy więcej krwi i śmierci. Inni wojownicy zabijali się z powodu mniej poważnych ran, ale Nekros nie mógł. Sama myśl o zbliżeniu ostrza do własnego gardła lub piersi napełniała go przerażeniem, o którym nigdy nie odważył się wspomnieć pozostałym. Nekros Miażdzący Czaszki bardzo chciał żyć, niezależnie od ceny.

Niektórzy z klanu Smoczej Paszczy już mogliby go wysłać w drogę do wspaniałych pól bitewnych życia po śmierci, gdyby nie jego umiejętności jako warlocka. Jego talent został zauważony bardzo wcześnie i Nekros uczył się sztuki od największych. Jednak bycie warlockiem wymagało od niego decyzji, których ork nie chciał podejmować, złych decyzji, które według niego nie służyły Hordzie, lecz ją podminowywały. Opuścił szeregi warlocków i powrócił do życia wojownika, ale od czasu do czasu jego wódz, wielki szaman Zuluhed, kazał mu używać innych talentów. Szczególnie podczas wykonywania zadania, które większość orków uważała za niemożliwe - w czasie pochwylenia królowej smoków, Alexstraszy.

Zuluhed posługiwał się rytualną magią starożytnej wiary szamańskiej tak, jak niewielu od czasu powstania Hordy, ale to zadanie wymagało wezwania mroczniejszych sił, co potrafił zrobić Nekros. Zuluhed nigdy nie powiedział swojemu kalekiemu towarzyszowi, w jaki sposób udało mu się odnaleźć starożytny talizman o ogromnych ponoć mocach. Problem polegał na tym, że złoty dysk nie reagował na szamańskie zaklęcia, mimo wszelkich wysiłków, jakie wkładał w to wódz. To sprawiło, że Zuluhed zwrócił się do jedyne go warlocka, któremu, jak sądził, mógł zaufać, wojownika lojalnego wobec klanu Smoczej Paszczy.

I tak oto Nekros otrzymał Duszę Demona. Zuluhed tak właśnie nazwał gładki złoty dysk, choć kaleki ork z początku nie wiedział, dlaczego. Nekros obracał go w ręce, nie po raz pierwszy dziwiąc się jego prostemu, a jednak robiącemu wrażenie wyglądowni. Czyste złoto ukształtowano na wzór dużej monety z okrągłym brzegiem. Dysk błyszczał nawet w najśłabszym świetle i nic nie mogło go zmatowić. Olej, błoto, krew, wszystko ześlizgiwało się z niego.

„To jest starsze niż magia szamanów czy warlocków”, powiedział mu Zuluhed. „Ja nie mogę nic z tym zrobić, ale może tobie się uda...”

Choć ork o drewnianej nodze odebrał stosowne wykształcenie, to jednak wątpił, że poradzi sobie lepiej niż legendarny wódz, zwłaszcza że odrzucił mroczną sztukę. Mimo to wziął talizman i spróbował wyczuć jego przeznaczenie, możliwości wykorzystania.

Dwa dni później, dzięki swym umiejętnościom i wskazówkom Zuluheda, udało się

dokonać tego, w co nikt nie potrafił uwierzyć, szczególnie sama królowa smoków.

Nekros chrząknął i powoli wyprostował się. Noga bolała go w miejscu, gdzie kolano stykało się z drewnem, cierpienie zaś pogłębiała potężna tusza orka. Nekros nie łudził się, że potrafiłby dowodzić. W takim stanie z trudem poruszał się po jaskiniach.

Czas odwiedzić jej wysokość. Przypomnieć, że musi wypełnić plan. Zuluhed i ci przywódcy klanów, którzy pozostali wolni, wciąż marzyli o ożywieniu Hordy i wzniesieniu buntu wśród orków porzuconych przez tego słabeusza, Młota Zagłady. Nekros wątpił w możliwość spełnienia tych marzeń, ale był lojalnym orkiem, a lojalny ork wypełnia polecenia swego przełożonego co do joty.

Ściskając w dłoni Duszę Demona, ork pokuśtykał przez wilgotne korytarze. Klan Smoczej Paszczy ciężko pracował, żeby przedłużyć system jaskiń, który już istniał pod tymi górami. Kompleks korytarzy pozwalał orkom lepiej sobie radzić z trudnym zadaniem, jakim było hodowanie i ćwiczenie smoków na chwałę Hordy. Bestie zajmowały dużo miejsca i potrzebowały osobnych udogodnień, które trzeba było wykopać.

Oczywiście obecnie było mniej smoków, co Zuluhed i inni ostatnio często wypominali Nekrosowi. Potrzebowali smoków, żeby ich rozpaczliwa kampania miała jakąkolwiek szansę powodzenia.

- Jak niby miałbym sprawić, żeby szybciej się rozmnażała? - zamruczał pod nosem Nekros.

Minęło go dwóch młodych, potężnych wojowników, wysokich na prawie siedem stóp, a w barach dwa razy szerszych niż ich ludzcy przeciwnicy. Rozpoznając jego rangę, na chwilę pochyliłi głowy. W uprzężach na plecach nieśli wielkie topory. Obaj byli jeźdźcami smoków, i to nowymi. Jeźdźcy ginęli prawie dwa razy częściej niż ich wierzchowce, zwykle z powodu pechowego upadku. Czasami Nekros zastanawiał się, czy dobrych wojowników nie zabraknie wcześniej niż smoków, ale nigdy nie wspominał o tym Zuluhedowi.

Kuśtykając dalej, ork wkrótce zauważył ślady obecności królowej smoków. Zwrócił uwagę na ciężki oddech rozchodzący się na całą okolicę, jakby para z zaworu gdzieś w głębi ziemi usiłowała wydostać się na zewnątrz. Nekros wiedział, co oznaczał ten ciężki oddech. Przybył na czas.

Przed wykutym w kamieniu wejściem do potężnej komnaty smoka nie było widać strażników, lecz mimo to Nekros się zatrzymał. W przeszłości próbowano uwolnić lub zabić ogromną czerwoną smoczycę, ale wszystkie te próby zakończyły się okrutną śmiercią. Oczywiście nie z rąk smoka, gdyż Alexstrasza z ulgą powitałaby zabójców, lecz raczej ze strony nagle ujawniającej się mocy talizmanu Nekrosa.

Ork wpatrywał się w coś, co wydawało się otwartym przejściem.

- Przybądź!

W tej chwili powietrze wokół wejścia zaczęło płonąć. Z początku pojawiały się niewielkie ogniki, które natychmiast zaczynały się łączyć. Humanoidalna postać wypełniła, a później przepelniła wejście.

W miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa, pojawiło się coś przypominającego ognistą czaszkę. Zbroja z, jak się wydawało, płonącej kości utworzyła ciało olbrzymiego wojownika, przy którym nawet potężne orki wyglądały jak karty. Nekros nie czuł ciepła piekielnych płomieni, ale wiedział, że gdyby istota nawet lekko go dotknęła, przeszłyby go ból gorszy niż wszystko, co doświadczony wojownik potrafił sobie wyobrazić.

Inne orki szeptały, że Nekros Miażdzący Czaszki przywołał jednego z prastarych demonów. Nie walczył z tą plotką, choć Zuluhed znał prawdę. Potężna istota strzegąca smoka nie posiadała własnej woli. Próbując ujarzmić siły tajemniczego artefaktu, Nekros uwolnił coś innego, co Zuluhed nazwał ognistym golemem. Być może stwór był rzeczywiście esencją demonicznej mocy, ale na pewno nie należał do mitycznych istot.

Niezależnie od pochodzenia i dawnych funkcji, obecnie golem służył jako doskonały strażnik. Nawet najbardziej zajadli wojownicy trzymali się od niego z daleka. Tylko Nekros mógł wydawać mu rozkazy. Zuluhed próbował, ale artefakt, z którego pochodził golem, wydawał się związany z jednonogim orkiem.

- Wchodzę - powiedział ognistej istocie.

Golem zeszywniał i rozpadł się na tysiące powoli gasnących iskier. Mimo iż Nekros widział to wiele razy, jednak zrobił krok do tyłu i nie odważył się przejść, nim nie zgasła ostatnia iskra.

Gdy tylko znalazł się w środku, usłyszał - Wiedziałam... że wkrótce... tu będziesz...

Pogarda w głosie uwięzionej smoczyca nie zrobiła najmniejszego wrażenia na strażniku. Przez lata słyszał od niej wiele gorszych rzeczy. Ściskając artefakt, zbliżył się do jej głowy, którą z konieczności przykuto do ściany. W szczękach bestii zginął już jeden dozorca, a nie chcieli stracić kolejnego.

Wydawałoby się, że żelazne łańcuchy i obręcze nie byłyby w stanie powstrzymać tak potężnego lewiatana, ale wzmacniała je siła dysku. Alexstrasza mogła starać się ze wszelkich sił, ale nigdy nie udało jej się uwolnić. Co nie znaczy, że nie próbowała.

- Czy czegoś potrzebujesz? - Nekros zadał to pytanie nie dlatego, że go obchodziła. Chciał ją tylko utrzymać przy życiu dla potrzeb Hordy.

Kiedyś łuski szkarłatnego smoka połyskiwały metalicznie. Alexstrasza wciąż

wypełniała całą potężną jaskinię, jednak teraz pod jej skórą zaczęły się pokazywać żebra, a głos miała słaby i niewyraźny. Jednak mimo tak poważnego stanu nienawiść nie znikła z wielkich złotych oczu i ork dobrze wiedział, że gdyby królowej smoków udało się uciec, on pierwszy zostałby połknięty lub przysmażony. Oczywiście szansa na to była tak mała, że nawet jednonogi Nekros się tym nie przejmował.

- Nie obraziłabym się na śmierć... Chrząknął i odwrócił się, gdyż uznał tę rozmowę za bezużyteczną. Raz w czasie długiego uwięzienia smoczyca próbowała się zagłodzić, ale prosta taktyka zabrania właśnie zniesionych jaj i rozbicia jednego na jej oczach położyła temu kres. Mimo iż Alexstrasza dobrze wiedziała, że każdy młody smok zostanie wykorzystany do siana terroru wśród wrogów Hordy i prawdopodobnie zginie z tego powodu, wciąż miała nadzieję, że któregoś dnia smoki staną się wolne. Rozbicie jaja było rozbiciem części tej nadziei, było utratą smoka, który pewnego dnia mógł stać się swoim własnym panem.

Nekros jak zwykle przyjrzał się kolejnemu miotowi. Tym razem pięć jaj. Całkiem nieźle, mimo że były odrobinę mniejsze niż zwykle. Wódz już wspominał o karłach z poprzedniego miotu, choć nawet karłowaty smok był kilkanaście razy większy od orka.

Wsunąwszy dysk w bezpieczną sakiewkę u pasa, Nekros pochylił się i uniósł jedno z jaj. Utrata nogi nie osłabiła jego ramion, więc potężny ork nie miał z tym kłopotów. Stwierdził, że miało dobrą wagę. Jeśli wszystkie jaja były równie ciężkie, to przynajmniej wyklują się z nich zdrowe młode. Lepiej jak najszybciej zawieźć je do komnaty-inkubatora. Ciepło wulkanu utrzyma je w temperaturze odpowiedniej do wyklucia.

Gdy Nekros opuścił jajo, smoczyca wyszeptwała - To nie ma sensu, śmiertelniku. Wasza wojenka prawie się skończyła.

- Możesz mieć rację - wychrypiał, niewątpliwie zaskakując ją swoją szczerością. Posiwały ork odwrócił się do swojego ogromnego więźnia. - Ale będziemy walczyć do końca, jaszczurko.

- W takim razie będziecie musieli poradzić sobie bez nas. Mój ostatni małżonek umiera, wiesz o tym. Bez niego nie będzie więcej jaj. - Jej głos, i tak słaby, był ledwo słyszalny. Królowa smoków oddychała z trudem, jakby rozmowa wymagała od niej zbyt wiele wysiłku.

Zmrużył powieki, wpatrując się w jej gadzie oczy. Nekros wiedział, że ostatni małżonek Alexstraszy rzeczywiście umiera. Zaczęli z trzema, ale jeden zginął w trakcie próby ucieczki przez morze, a drugi zmarł w wyniku ran, które odniósł, gdy zaskoczył go smok-renegat, Skrzydła Śmierci. Trzeci, najstarszy z nich wszystkich, pozostał przy boku swojej królowej, ale był o wiele wieków starszy od samej Alexstraszy i teraz te wieki, w połączeniu

z dawnymi, niemal śmiertelnymi ranami, zrobiły swoje.

- W takim razie znajdziemy innego. Udało jej się prychnąć.

- A jak... jak to zrobicie? - zapytała słabym szeptem.

- Znajdziemy go... - Nekros nie miał dla niej innej odpowiedzi, ale prędzej by go piekło pochłonęło, zanim dałby jaszczurce tę satysfakcję. Pokuśtykał w jej stronę. - A jeśli chodzi o ciebie, jaszczurko...

Nekros odważył się podejść na odległość kilkunastu stóp od królowej smoków, gdyż wiedział, że dzięki zaczarowanym kajdanom nie będzie mogła go spalić ani zjeść. Dlatego też był ogromnie i nieprzyjemnie zaskoczony, kiedy głowa Alexstraszy, razem z obejmującą ją obręczą, nagle zwróciła się w jego stronę, w całości wypełniając jego pole widzenia. Paszcza smoka otworzyła się szeroko i ork miał nieprzyjemność spojrzeć głęboko w gardziel stworzenia, które właśnie miało zamiar go pożreć.

I tak by zrobiło, gdyby nie szybka reakcja Nekrosa. Ściskając sakiewkę, w której trzymał Duszę Demona, warlock wypowiedział tylko jedno słowo, pomyślał tylko jeden rozkaz.

Ryk bólu zatrzęsł całą jaskinią, aż ze sklepienia zaczęły spadać kawałki kamienia. Szkarłatny behemot cofnął głowę najdalej, jak tylko mógł. Obręcz wokół jego szyi płonęła taką mocą, że ork musiał zasłonić oczy.

Obok niego natychmiast zmaterializował się ognisty sługa dysku, ciemne oczodoły zwróciły się w stronę Nekrosa w oczekiwaniu na rozkaz. Warlock nie potrzebował jednak stwora, gdyż artefakt sam poradził sobie z sytuacją, która omal nie zakończyła się katastrofą.

- Odejdź - nakazał ognistemu golemowi.

Kiedy istota odeszła, raz jeszcze wybuchając iskrami, kaleki ork odważył się podejść do smoka. Jego brzydka twarz skrzywiła się. Frustracja wywołana świadomością, że służył przegranej sprawie, zwiększyła jeszcze gniew Nekrosa na ostatnią próbę lewiatana.

- Wciąż znasz dużo sztuczek, co, jaszczurko? - Spojrzał wściekle na obręcz, nad którą Alexstrasza pracowała na tyle długo, że w końcu wyrwała ją ze ściany. Zakłęcie wzmacniające jej kajdany nie rozciągało się na kamień, do którego je przymocowano, jak uświadomił sobie Nekros. Ten błąd prawie kosztował go życie.

Lecz to, że nie udało jej się odebrać mu życia, będzie dużo kosztować Alexstraszę. Nekros spojrział spod grubych łuków brwiowych na teraz naprawdę cierpiącą smoczycę.

- Odważna sztuczka... - prychnął. - Odważna, ale głupia. - Uniósł złoty dysk, aby mogła go zobaczyć szeroko otwartymi oczyma. - Zuluhed nakazał mi utrzymywać cię w jak najlepszym zdrowiu, ale nakazał mi również karać cię, kiedy uznam to za konieczne. - Nekros

zaciśnął dłoń na artefakcie, który teraz świecił jasno. - Nadszedł...

- Wybacz, że przerywa ci ktoś tak żalony, o łaskawy panie - zabrzmiał zgrzytliwy głos z wnętrza jaskini - nadeszły, jednak wieści, które musisz usłyszeć, musisz!

Nekros niemal upuścił artefakt. Obracając się jak najszybciej na zdrowej nodze, potężny ork spojrzął z góry na żalony postać z uszami jak nietoperz i dużą ilością szaleńczo wyszczerzonych ostrych zębów.

- Ty! Jak się tutaj dostałeś? - Pochylił się, chwycił małą istotę za gardło i uniósł do góry. Wszelkie myśli o ukaraniu smoka zniknęły. - Jak?

Choć słowa były zduszone, paskudne stworzenie wciąż się uśmiechało.

- P-po prostu wszedłem, o łaskawy p-panie! Po p-prostu wszedłem!

Nekros zastanowił się. Goblin musiał wejść, kiedy ognisty golem przybył na ratunek swojemu panu. Gobliny były sprytnie i często potrafiły dostać się do miejsc uważanych za bezpieczne, ale nawet ten szczwany łotr nie mógłby inaczej dostać się do środka.

Pozwolił mu opaść na ziemię.

- W porządku! Czemu przybyłeś? Jakie wieści przynosisz?

Goblin roztarł szyję.

- Tylko najważniejsze, tylko najważniejsze, zapewniam! - Uśmiech pełen zębów rozszerzył się. - Czy kiedykolwiek cię zawiodłem, o wspaniały panie?

Choć Nekros w głębi duszy czuł, że gobliny miały mniejsze poczucie honoru niż ślimak, to jednak musiał przyznać, że ten akurat przedstawiciel gatunku nigdy nie dał mu fałszywych informacji. Gobliny były w najlepszym wypadku niepewnymi sojusznikami i zwykle grały w swoje własne gierki, jednak zawsze wypełniały rozkazy Młota Zagłady, a przed nim wielkiego przywódcy Czarnej Ręki.

- Mów więc, byle szybko.

Piekielny chochlik pokiwał głową kilka razy.

- Tak, Nekrosie, tak! Przybyłem, żeby ci powiedzieć, że realizowany jest plan, nawet więcej niż jeden, żeby uwolnić... - Zawahał się, po czym przechylił głowę w stronę zmęczonej Alexstraszy. - ... żeby uniemożliwić spełnienie marzeń klanu Smoczej Paszczy.

Ork poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

- Co masz na myśli?

Ponownie goblin przechylił głowę w stronę smoczycy.

- Może gdzie indziej, łaskawy panie?

Stwór miał rację. Nekros spojrzął na więźnia, który wydawał się nieprzytomny z powodu bólu i wyczerpania. Teraz jednak lepiej na nią uważać. Jeśli szpieg przyniósł wieści,

których się spodziewał, orczy warlock wolałby, żeby królowa smoków nie usłyszała szczegółów.

- Bardzo dobrze - wychrypiał.

Nekros pokuśtykał w stronę wejścia do jaskini, już rozważając prawdopodobne wieści. Goblin podskakiwał obok niego, szczerząc się od ucha do ucha. Nekros odczuwał pokusę, żeby zetrzeć uśmiech z twarzy swojego towarzysza, ale potrzebował stwora. Mimo to, pod pierwszym lepszym pretekstem...

- Lepiej niech to będzie coś ważnego, Kryli! Zrozumiano? Kryli przytaknął, z trudem nadążając za orkiem. Jego głowa podskakiwała jak w zepsutej zabawce.

- Zaufaj mi, panie Nekrosie! Po prostu mi zaufaj...

PIĘĆ

On nie miał nic wspólnego z wybuchem - upierała się Vereesa. - Czemu miałby zrobić coś takiego? - Jest czarodziejem - odpowiedział Duncan głosem bez wyrazu, jakby to wyjaśniało wszystko. - Oni wcale się nie przejmują życiem ani dobrem innych.

Vereesa nie próbowała się spierać, gdyż dobrze знаła uprzedzenia świętego zakonu wobec czarodziejów. Elfka wzrastała w otoczeniu pełnym magii i nawet sama umiała odrobinę czarować, dlatego też nie postrzegała Rhonina w aż tak złym świetle jak paladyn. Choć uważała, że młody mag był lekkomyślny, to jednak nie uznawała go za potwora, którego zupełnie nie obchodziło życie innych. Czyż nie pomógł jej w czasie ucieczki przed smokiem? Ryzykował swoim życiem, a przecież mógł samodzielnie dotrzeć do Hasic.

- A jeśli nie jest winny - kontynuował lord Senturus - to gdzie się podział? Dlaczego pod gruzami nie ma po nim śladu? Gdyby był niewinny, to jego ciało powinno się tam znajdować razem ze zwłokami dwóch naszych braci, którzy zginęli w trakcie jego zaklęcia... - Mężczyzna pogłaskał się po brodzie. - Nie, to wszystko jego wina, jestem pewien.

I dlatego będziecie go tropić jak dzikiego zwierza, pomyślała. Z jakiego innego powodu Duncan miałby wezwać swoich dziesięciu najlepszych ludzi, żeby wyruszyli na poszukiwania zaginionego czarodzieja? Vereesa z początku uznała, iż wyruszyli na ratunek, teraz jednak wiedziała, że jest zupełnie inaczej. Kiedy usłyszeli wybuch i zobaczyli ruiny, żal ścisnął serce elfki. Nie tylko nie udało jej się utrzymać przy życiu swojego towarzysza, ale też on i dwaj inni ludzie zginęli zupełnie bez powodu. Duncan jednak od początku patrzył na to pod innym kątem, szczególnie kiedy pod gruzami nie udało się odnaleźć trupa Rhonina.

Z początku elfka pomyślała o goblinach saperach, którzy dobrze znali się na podkradaniu do fortec i zakładaniu śmiertelnie niebezpiecznych ładunków wybuchowych, jednak starszy paladyn twierdził, że ten region oczyszczono ze wszelkich śladów Hordy, a goblinów w szczególności. Choć paskudne stworzenia posiadały kilka fantastycznych i całkowicie nieprawdopodobnych machin latających, to jednak żadnej z nich nie widziano w okolicy. Poza tym taki statek powietrzny musiałby poruszać się z prędkością błyskawicy, żeby uniknąć zauważenia, co w wypadku niezgrabnych maszyn było niemożliwe.

Z czego wynikało, że to Rhonin najprawdopodobniej spowodował zniszczenia.

Vereesa nie wierzyła, że mogłby to zrobić, zwłaszcza iż był tak bardzo oddany swojej misji. Miała tylko nadzieję, że kiedy już odnajdą młodego czarodzieja, uda jej się powstrzymać Duncana i innych przed zabiciem go, zanim dowiedzą się prawdy.

Przeszukali najbliższą okolicę i ruszyli w stronę Hasic. Choć kilku młodych rycerzy twierdziło, że Rhonin przeniósł się przy pomocy magii do celu, Duncan Senturus najwyraźniej nie wierzył w umiejętności czarodzieja w tym względzie i nie wziął sobie do serca tych sugestii. Głęboko wierzył, że będą w stanie wytropić czarodzieja i wymierzyć sprawiedliwość.

W miarę jak mijał dzień i słońce znajdowało się coraz niżej, nawet Vereesa zaczęła wątpić w niewinność Rhonina. Czy to on rzeczywiście wywołał katastrofę, a potem uciekł z miejsca zbrodni?

- Wkrótce musimy rozbić obóz - ogłosił lord Senturus po jakimś czasie. Przyglądał się gęstniejącym lasom. - Nie spodziewam się kłopotów, ale nie ma sensu wędrować w ciemnościach, gdyż moglibyśmy przejść tuż obok naszego celu i nawet go nie zauważyć.

Vereesa zastanawiała się, czy samodzielnie nie kontynuować poszukiwań, gdyż wzrok miała lepszy niż jej towarzysze, ale zmieniła zdanie. Gdyby rycerze Srebrnej Dłoni odnaleźli Rhonina bez niej, czarodziej miałby małe szanse przeżycia.

Pojechali kawałek dalej, ale nic nie zauważyli. Słońce zniknęło za horyzontem i tylko słaby blask oświetlał ich drogę. Duncan, tak jak obiecał, niechętnie rozkazał im się zatrzymać, a rycerze natychmiast zaczęli rozbijać obóz. Vereesa zeszła z konia, ale wciąż rozglądała się dookoła z nadzieją, że płomiennowłosa czarodziej nagle się pokaże.

- Nie ma go tutaj, pani Vereeso.

Obróciła się i spojrzała w górę na starszego paladyna. Jako jedyny z rycerzy był na tyle wysoki, że mógł patrzeć na nią z góry.

- Nie mogę powstrzymać się od poszukiwań, panie.

- Wkrótce znajdziemy łajdaka.

- Najpierw powinniśmy go wysłuchać, lordzie Senturusie. To chyba sprawiedliwe.

Odziany w zbroję męczyzna wrzucił ramionami, jakby nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.

- Oczywiście, będzie miał możliwość odbycia pokuty.

Po czym albo zakują Rhonina w łańcuchy, albo wykonają wyrok na miejscu. Rycerze Srebrnej Dłoni może i byli zakonem, ale słynęli również z nadgorliwości w wymierzaniu sprawiedliwości.

Vereesa przeprosiła paladyna i odeszła, gdyż nie była pewna, czy będzie się w stanie powstrzymać od powiedzenia czegoś, co mogłoby wywołać jego gniew. Doprowadziła konia do drzewa na skraju obozu i sama zniknęła w lesie. Odgłosy obozujących ucichły, gdy elfka głębiej zanurzyła się w swoim żywiole.

Ponownie poczuła pokusę, by samodzielnie kontynuować poszukiwania. Poruszanie się po lesie nie sprawiało jej najmniejszych problemów, podobnie jak odszukiwanie rowów czy grubych warstw listowia, w których mogło ukrywać się ciało.

„Zawsze tak chętnie pędzisz, by załatwiać sprawy w swój własny, niemożliwy do podrobienia sposób, co, Vereeso?”, spytał jej pierwszy opiekun, wkrótce po tym, gdy została wybrana do specjalnego programu szkoleniowego dla łowców. Tylko najlepsi trafiali w ich szeregi. „Jesteś tak niecierpliwa, że równie dobrze mogłabyś być człowiekiem. Rób tak dalej, a nie pozostaniesz długo wśród łowców...”

Pomimo sceptycyzmu więcej niż jednego opiekuna, Vereesa utrzymała się, a nawet została jedną z najlepszych w grupie. Nie mogła teraz zaprzepaścić całego wykształcenia, zachowując się lekkomyślnie.

Obiecując sobie, że powróci do obozu po paru minutach relaksu w lesie, srebrnowłosa łowczyni oparła się o jedno z drzew i odetchnęła głęboko. Takie proste zadanie, a prawie mu nie podołała, i to nie raz, a dwa razy. Jeśli nie odnajdą Rhonina, będzie musiała się zastanowić, co powiedzieć swoim mistrzom, o Kirin Tor z Dalaran nie wspominając. Nie była niczemu winna, ale...

Nagły podmuch wiatru niemal oderwał Vereesę od drzewa. Elfce w ostatniej chwili udało się przytrzymać pnia, ale w pewnej odległości słyszała wściekłe okrzyki rycerzy i szaleńczy klekot fruwających przedmiotów.

Wiatr ucichł równie szybko, jak się zerwał. Vereesa odgarnęła włosy z twarzy i pobiegła w stronę obozu, obawiając się, że Duncan i inni zostali zaatakowani przez jakąś przerażającą bestię w rodzaju smoka, który wcześniej próbował ją zabić. Na całe szczęście, gdy się zbliżyła, usłyszała rycerzy dyskutujących o koniecznych naprawach, a gdy weszła na teren obozu, wszystko wydawało się być w porządku, za wyjątkiem porzrzuconych ściworów i innych przedmiotów.

Lord Senturus podszedł do niej, jego spojrzenie było pełne troski.

- Dobrze się czujesz, pani? Nie stała ci się żadna krzywda?

- Nie. Wiatr mnie zaskoczył, to wszystko.

- Zaskoczył wszystkich. - Potarł porośniętą brodą szczękę i wpatrzył się w ciemny las.

- Uderzyło mnie, że żaden normalny wiatr nie wieje w taki sposób... - Odwrócił się do jednego ze swoich ludzi. - Roland! Podwoić strażę! To może nie być koniec tej niezwyklej burzy!

- Tak, panie! - odkrzyknął smukły, blady rycerz. - Christoff! Jakob! Weźcie...

Przerwał tak nagle, że Duncan, który z powrotem odwrócił się do elfki, i Vereesa

popatrzyli w jego stronę, by sprawdzić, czy mężczyzny nie przebił nagle bełt albo strzała. Rycerz wpatrywał się w ciemny kształt leżący między śpiworami. Ciemny kształt z wyciągniętymi nogami i rękami splecionymi na piersiach, jakby w pozie wiecznego odpoczynku.

Ciemny kształt, w którym po chwili rozpoznali Rhonina.

Vereesa i rycerze otoczyli go, jeden z mężczyzn trzymał pochodnię. Elfka pochyliła się, by przyjrzeć się ciału. W migotliwym świetle pochodni Rhonin wydawał się być blady i nieruchomy, zrazu elfka nie była w stanie stwierdzić, czy jeszcze oddycha. Vereesa wyciągnęła rękę, by go dotknąć...

... a wtedy oczy maga otworzyły się szeroko, zaskakując wszystkich.

- Łowczyni... jak miło... cię znów zobaczyć. Po wypowiedzeniu tych słów czarodziej ponownie zamknął oczy i zasnął.

- Głupcze! - warknął Duncan Senturus. - Chyba nie myślisz, że możesz zniknąć po tym, jak dobrzy ludzie zginęli, a potem nagle pojawić się wśród nas i po prostu pójść spać! - Wyciągnął rękę, żeby potrząsnąć Rhoninem i go obudzić, kiedy jednak dotknął ciemnej szaty, krzyknął ze zdziwienia. Paladyn patrzył na swoją osłoniętą rękawicą dłoń, jakby go coś ugryzło. Twarz miał skrzywioną. - Otacza go jakiś piekielny, niewidzialny ogień! Nawet przez rękawice palił mnie, jakbym chciał podnieść węgielek z ogniska!

Mimo ostrzeżenia Vereesa musiała to sama sprawdzić. Rzeczywiście, odczuwała pewien dyskomfort, kiedy dotknęła szaty Roniona, ale nic tak intensywnego, jak opisywał to Senturus. Mimo to łowczyni cofnęła rękę i przytaknęła. Nie widziała powodu, dla którego miałyby powiadomić starszego paladyna o tej różnicy.

Z tyłu Vereesa usłyszała zgrzyt miecza wysuwającego się z pochwy. Szybko spojrzała na Duncana, który już potrząsał głową, spoglądając na rycerza.

- Nie, Wexfordzie, rycerzowi Srebrnej Dłoni nie wolno zabić przeciwnika, który nie może się bronić. Byłaby to zbyt wielka plama na naszym honorze. Myślę, że powinniśmy wystawić na noc strażników i zobaczyć, co będzie się działo z czarodziejem rano. - Twarz Senturusa zachmurzyła się. - Tak czy inaczej, sprawiedliwość zostanie wymierzona, kiedy się obudzi.

- Pozostanę przy nim - wtrąciła się Vereesa. - Nikt inny nie musi.

- Wybacz mi, pani, ale twój związek z... Wyprostowała się i popatrzyła paladynowi w oczy.

- Wątpisz w słowo łowczyni? Wątpisz w moje słowo? Sądzisz, że pomogę mu ponownie uciec?

- Oczywiście, że nie! - Duncan w końcu wzruszył ramionami. - Jeśli tego rzeczywiście pragniesz, to niech tak się stanie. Masz moje pozwolenie. Jednak pełnić straż przez całą noc, bez możliwości odpoczynku...

- To mój wybór. Czy zrobiłbyś mniej dla kogoś powierzonego twej opiece?

Lord Senturus nie mógł się z nią nie zgodzić. W końcu potrząsnął głową, odwrócił się do innych wojowników i zaczął wydawać rozkazy. Po kilku chwilach łowczyni i czarodziej pozostali sami pośrodku obozu. Rhonin leżał na dwóch śpiworach, gdyż rycerze nie wiedzieli, jak je wyjąć, nie narażając się na poparzenie.

Przyjrzała się śpiącemu najlepiej, jak potrafiła, nie dotykając go jednak. Szata Rhonina była w kilku miejscach podarta, a na twarzy miał niewielkie blizny i siniaki, ale poza tym nie wyglądał na rannego. Twarz jego świadczyła jednak o tym, że był zupełnie pozbawiony energii, wyczerpany.

Być może sprawiła to ciemność, ale Vereesa pomyślała, że mężczyzna wyglądał teraz na o wiele bardziej wrażliwego, nawet sympatycznego. Musiała również przyznać, że był przystojny, postarała się jednak, by jej myśli nie szły dalej tym torem. Elfka zastanawiała się, czy w jakiś sposób może ułożyć wygodniej nieprzytomnego maga, ale żeby to zrobić, musiałaby ujawnić, że jest w stanie go dotknąć. To z kolei mogłoby sprawić, że Senturus nakazałby jej związać Rhonina, co łowczyni nie odpowiadało, gdyż czuła się związana z magiem.

Nie widząc innej możliwości, Vereesa usadowiła się obok sztywnego ciała i rozejrzała dookoła w poszukiwaniu wszelkich możliwych zagrożeń. Nagłe pojawienie się Rhonina wciąż wydawało jej się dziwne, i Duncanowi prawdopodobnie też, choć nic na ten temat nie powiedział. Rhonin nie wyglądał na zdolnego do przeniesienia się w sam środek ich obozu. Oczywiście taki wysilek wyjaśniałby, dlaczego teraz leżał nieprzytomny, ale to rozwiązanie nie wydawało jej się prawdopodobne. Vereesie wydawało się raczej, że patrzy na człowieka, który został porwany, a potem wyrzucony, kiedy porywacz zrobił z nim to, co chciał.

Pozostawało tylko jedno pytanie - kto mógł zrobić coś tak fantastycznego... i dlaczego?

Obudził się ze świadomością, że wszyscy są przeciwko niemu.

Cóż, może jednak nie wszyscy. Rhonin nie wiedział, jak stały sprawy z elfią łowczynią. Zgodnie z prawem, skoro przysięgała, że doprowadzi go bezpiecznie do Hasic, to teraz powinna bronić go przed pobożnymi rycerzami. Nigdy jednak nic nie wiadomo. W trakcie ostatniej misji w jego drużynie był elf, starszy łowca bardzo podobny do Vereesy. Tamten jednak traktował czarodzieja podobnie jak Duncan Senturus, i to z mniejszym taktem.

Rhonin odetchnął bardzo lekko, aby nikt się nie dowiedział, że już jest przytomny. Mógł zrobić tylko jedno, żeby dowiedzieć się, jak wygląda jego sytuacja, ale potrzebował kilku chwil na zebranie myśli. Jedno z pierwszych pytań będzie z pewnością dotyczyło udziału czarodzieja w katastrofie i tego, co działo się z nim później. O ile na pierwszą część zmęczony czarodziej mógł udzielić pewnych odpowiedzi, o tyle w wypadku drugiej wiedział równie mało jak oni.

Nie mógł dłużej czekać. Rhonin odetchnął jeszcze raz i celowo przeciągnął się, jakby się właśnie obudził.

Z zaplanowaną niedbałością otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Z ulgą i, co go zdziwiło, przyjemnością przyjął fakt, że to zatroskana twarz Vereesy wypełniła jego pole widzenia. Łowczyni pochyliła się, jej zadziwiające błękitne oczy przyglądały się mu uważnie. Te oczy tak dobrze do niej pasowały, pomyślał przez chwilę... i szybko o tym zapomniał, kiedy brzęczenie metalu ostrzegło go, że inni też już wiedzieli o jego przebudzeniu.

- Wrócił do życia, co? - zagrzmiął lord Senturus. - Zobaczymy, jak długo to potrwa...

Smukła elfka podniosła się gwałtownie, zamykając drogę paladynowi.

- Dopiero otworzył oczy! Dajcie mu czas na dojście do siebie i przynajmniej zjedzenie czegoś, zanim zaczniecie go wypytywać!

- Nie pozbawię go żadnego z podstawowych praw, pani, ale będzie odpowiadał na pytania w trakcie śniadania, nie po nim.

Rhonin uniósł się na łokciach na tyle, że mógł zobaczyć skrzywioną twarz Duncana i domyślił się, iż rycerze Srebrnej Dłoni uznali go za zdrajcę, być może nawet mordercę. Osłabiony mag przypomniał sobie pechowego strażnika, który spadł z muru, i uznał, że mogło być więcej takich ofiar. Ktoś niewątpliwie wspominał o obecności Rhonina na murze, a fakty w połączeniu z naturalnymi uprzedzeniami zakonu dały w efekcie fałszywą odpowiedź. Jak zwykle.

Nie chciał z nimi walczyć, gdyż wątpił, czy w tym stanie będzie mógł rzucić coś więcej niż jedno czy dwa zaklęcia światła. Jeśli jednak chcieli potępić go za to, co zdarzyło się w fortecy, Rhonin będzie musiał się bronić.

- Odpowiem najlepiej, jak potrafię - odrzekł czarodziej. Z trudem podźwignął się na równe nogi, odpychając pomocną dłoń Vereesy. - Ale owszem, tylko zjedzeniem i wodą w żołądku.

Racje żywnościowe rycerzy, normalnie pozbawione smaku, od pierwszego kęsa wydawały mu się słodkie i przepyszne. Nawet ciepława woda z jednego z bukłaków bardziej przypominała mu wino. Rhonin nagle uświadomił sobie, że czuł się, jakby głodzono go przez

tydzień. Jadł ze smakiem, namiętnie, zupełnie nie przejmując się dobrymi manierami. Niektórzy rycerze patrzyli na niego z rozbawieniem, inni - szczególnie Duncan - z niesmakiem.

Kiedy w końcu zaspokoił pierwszy głód i pragnienie, rozpoczęło się przesłuchanie. Lord Senturus usiadł przed czarodziejem, wzrokiem już go sądząc, i warknął - Nadszedł czas spowiedzi, Rhoninie Czerwonołoso! Napełniłeś brzuch, teraz uwolnij duszę od brzemienia grzechu! Powiedz całą prawdę o swym złym czynie na murze...

Vereesa stała obok powracającego do siebie maga, dłoń trzymała na rękojeści miecza. Wybrała dla siebie rolę obrońcy w tym nieformalnym sądzie i to, jak wolał myśleć Rhonin, nie tylko z powodu przysięgi. W końcu po doświadczeniach ze smokiem znała go lepiej niż te gbury.

- Opowiem ci wszystko, co wiem, a nie jest tego dużo, panie. Stałem na szczycie muru, ale to nie ja spowodowałem zniszczenia. Usłyszałem wybuch, a jeden z twoich blaszanych żołnierzy miał pecha wypaść na zewnątrz. Przyjmij moje wyrazy współczucia z tego powodu...

Duncan nie założył hełmu i teraz przecesał dłonią siwiejące włosy. Wyglądał, jakby toczył bohaterską walkę ze swoim własnym gniewem.

- W twojej historii są już dziury wielkie jak przepaść w twoim sercu, czarodzieju, a dopiero zacząłeś! Ci, którzy przeżyli mimo twoich wysiłków, widzieli, jak rzucasz zaklęcia tuż przed katastrofą! Twe kłamstwa cię potępiają!

- Nie, to ty mnie potępiasz, tak jak potępiasz wszystkich z mego rodzaju za samo istnienie - odrzekł cicho Rhonin. Odgryzł kolejny kęs twardego ciastka i dodał - Tak, mój panie, rzucałem zaklęcia, przeznaczone jednak jedynie do komunikacji na odległość. Potrzebowałem rady jednego ze starszych, dotyczącej mej misji, która została usankcjonowana przez najwyższe władze Sojuszu... co, jak sądzę, może potwierdzić obecna tutaj szlachetna łowczyni.

Vereesa odezwała się, kiedy rycerz spojrział w jej stronę.

- To prawda, Duncanie. Nie widzę powodu, dla którego miałby spowodować takie zniszczenia... - Uniosła dłoń, kiedy starszy wojownik zaczął się sprzeciwiać, prawdopodobnie chcąc znów podkreślić, że wszyscy czarodzieje stawali się przeklętymi duszami w chwili, kiedy zaczynali praktykować sztukę. -... i podejmę walkę z każdym, włączając w to ciebie, jeśli będzie to niezbędne, by przywrócić mu wolność i prawa.

Lordowi Senturusowi wyraźnie nie spodobała się myśl, że miałby walczyć przeciwko elfce.

- Dobrze. Masz lojalnego obrońcę, czarodzieju, i przyjmuję jej słowo, że nie jesteś winien temu, co się zdarzyło. - Gdy tylko skończył wypowiadać to zdanie, paladyn oskarżycielskim gestem wyciągnął palec w stronę maga. - Chciałbym jednak usłyszeć więcej o twych doświadczeniach w tamtym czasie i, jeśli potrafisz odnaleźć to w pamięci, o tym, jakim sposobem zostałeś upuszczony pośrodku obozu jak liść opadły z wysokiego drzewa...

Rhonin westchnął ze świadomością, że nie będzie mógł tego uniknąć.

- Jak sobie życzysz. Spróbuję ci powiedzieć wszystko, co wiem.

Nie było tego wiele ponad to, co powiedział wcześniej. Po raz kolejny zmęczony mag opowiedział im o wędrowce po murze, próbie kontaktu z opiekunem i nagłym wybuchu, który poruszył całym fragmentem muru.

- Jesteś pewien tego, co usłyszałeś? - od razu zapytał go Duncan.

- Tak. Choć nie mogę tego dowieść bez żadnych wątpliwości, brzmiało to jak odpalany ładunek.

Wybuch nie oznaczał, że winne były gobliny, ale przez lata wojny takie oczywiste skojarzenia zadomowiły się nawet w umyśle czarodzieja. Nikt nie widział goblinów w tej części Lordaeron, lecz Vereesa wpadła na pewien pomysł.

- Duncanie, może smok, który nas wcześniej gonił, przeniósł na swoim grzbiecie jednego czy dwa gobliny. Są małe, żyłaste i z pewnością potrafią się ukrywać przez dzień albo dwa. To by wiele wyjaśniało.

- To prawda - zgodził się niechętnie rycerz. - A jeśli tak jest, to musimy być podwójnie czujni. Gobliny nie znają większej rozrywki niż przeszkadzanie i niszczenie. Z pewnością uderzą po raz kolejny.

Rhonin kontynuował, opowiadając, jak poszukiwał złudnego bezpieczeństwa w wieży, która jednak zapadła się nad nim. W tej chwili zawahał się, gdyż wiedział, że Senturus może w najlepszym razie podać jego następne słowa w wątpliwość.

- A wtedy coś uniosło mnie, panie. Nie wiem, co to było, ale uniosło mnie, jakbym był zabawką i wyniosło mnie ze zniszczenia. Niestety, ścisnęło tak mocno, że nie mogłem oddychać, a kiedy otworzyłem oczy... - Czarodziej spojrzał na Vereesę. - ... zobaczyłem jej twarz.

Duncan oczekiwał na więcej, ale kiedy uświadomił sobie, że czeka bez powodu, uderzył ręką w opancerzone kolano i krzyknął - I to wszystko? Tyle tylko wiesz?

- To wszystko.

- Na duszę Alonsusa Wilka! - wykrzyknął paladyn, wzywając imię arcybiskupa, którego spuścizna, dzięki jego uczniowi, Utherowi Przynoszącemu Światło, doprowadziła do

stworzenia zakonu. - Nie powiedziałaś nam nic, nic wartościowego! Gdybym przez chwilę pomyślał... - Lekki ruch Vereesy sprawił, że przerwał. - Ale dałem słowo i przyjąłem je od innej osoby. Pozostanę przy swej poprzedniej decyzji. - Wstał, najwyraźniej nie był już zainteresowany towarzystwem czarodzieja. - Podjąłem jeszcze jedną decyzję. I tak jesteśmy na drodze do Hasic. Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy ruszyć tam jak najszybciej i odstawić cię na statek. Niech oni zajmą się tobą tak, jak uznają to za najlepsze. Ruszamy za godzinę. Przygotuj się, czarodzieju!

Powiedziawszy to, Duncan Senturus odwrócił się i odmaszerował, za nim natychmiast podążyli jego wierni rycerze. Rhonin odkrył, że jest sam, za wyjątkiem łowczyni, która usiadła przed nim. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czujesz się na tyle dobrze, żeby jechać?

- Za wyjątkiem wyczerpania i paru siniaków jestem w jednym kawałku, elfko. - Rhonin uświadomił sobie, że jego słowa zabrzmiały ostrzej, niż chciał. - Przepraszam. Tak, mogę jechać. Zrobię wszystko, żeby dotrzeć do portu na czas.

Ponownie wstała.

- Przygotuję zwierzęta. Duncan przyprowadził dodatkowego konia, na wypadek, gdybyśmy cię znaleźli. Upewnię się, że będzie na ciebie czekał, kiedy skończysz.

Gdy łowczyni odwróciła się, nieznane uczucie przepełniło zmęczonego czarodzieja.

- Dziękuję ci, Vereeso Córko Wiatru. Vereesa obejrzała się przez ramię.

- Zajmowanie się końmi jest częścią moich obowiązków jako przewodnika.

- Chodzi mi o wspieranie mnie w trakcie tego, co mogło zmienić się w inkwizycję.

- To również jest część moich obowiązków. Przysięgłam moim mistrzom, że bezpiecznie doprowadzę cię do celu. - Mimo tego, co mówiła, kąci jej ust uniosły się przez moment do góry, co mogło oznaczać uśmiech. - Lepiej się przygotuj, mistrzu Rhoninie. To nie będzie cwał. Musimy nadrobić dużo czasu.

Pozostawiła go samemu sobie. Rhonin wpatrywał się w dogasające ognisko, rozmyślając o tym, co się wydarzyło. Vereesa nie wiedziała nawet, jak blisko była prawdy. Podróż do Hasic nie będzie łatwa, ale nie tylko z powodu czasu do nadrobienia.

Nie powiedział im całej prawdy, nawet elfce. Faktycznie nie opuścił żadnej części swej historii, ale nie wspominał o niektórych wnioskach. Gdy chodziło o paladynów, nie czuł się winny, ale poświęcenie Vereesy wywołało w nim wyrzuty sumienia.

Rhonin nie wiedział, kto umieścił ładunek. Najprawdopodobniej gobliny. Nie obchodziło go to. Martwił się raczej tym, o czym tylko wspominał, a nawet skierował podejrzania innych w złą stronę. Kiedy opowiadał o uratowaniu z walącej się wieży, nie

powiedział im, że czuł się, jakby uchwyciła go olbrzymia ręka. I tak by pewnie w to nie uwierzyli, a Senturus pewnie uznałby to za dowód konszachtów z demonami.

Olbrzymia ręka rzeczywiście uratowała Rhonina, ale nie była to ludzka dłoń. Krótka chwila świadomości pozwoliła mu rozpoznać łuskowatą skórę i zakrzywione szpony dłuższe niż całe jego ciało.

To smok uratował Rhonina od pewnej śmierci, a on nie miał pojęcia, dlaczego.

SZEŚĆ

I gdzie on jest? Nie muszę marnować czasu, spacerując po tych dekadencek salach! Król Terenas, jak mu się wydawało, już po raz tysięczny policzył w ciszy do dziesięciu, zanim odpowiedział na kolejny wybuch Genna Szarej Grzywy.

- Lord Prestor będzie tu wkrótce, Gennie. Wiesz, że w tej sprawie chciał zebrać wszystkich.

- O niczym takim nie wiem - zagrział wielki mężczyzna w szaro-czarnej zbroi.

Genn Szara Grzywa przypominał królowi ni mniej ni więcej tylko niedźwiedzia, który nauczył się ubierać, aczkolwiek dość surowo. Wydawało się, że władca Gilneas w każdej chwili mógł rozsadzić swoją zbroję. I gdyby tylko wypił jeszcze jeden dzban dobrego ale lub pożałł jeszcze jeden gruby lordaeroński pasztet przygotowany przez kucharzy Terenasa, z pewnością tak by się stało.

Mimo niedźwiedziowatego wyglądu Szarej Grzywy i jego aroganckiego zachowania, król nie lekcewał wojownika z południa. Jego manipulacje polityczne były legendarne, ostatnia również. Terenasa wciąż zadziwiała, jakim sposobem udało mu się zapewnić głos Gilneas w sprawie, która nie po winna wcale interesować odległego królestwa.

- Równie dobrze mógłbyś kazać wichrowi przestać wyć - zabrzmiał bardziej cywilizowany głos z przeciwnej stron; wielkiej sali. - Odniósłbyś większy sukces, niż gdybyś chciał uciszyć tego stwora choć na chwilę!

Wszyscy zgodzili się spotkać w sali cesarskiej, gdzie w przeszłości uzgadniano i podpisywano najważniejsze traktaty w całym Lordaeron. Poprzez swą bogatą historię i starożytny lecz wspaniały wystrój, sala dodawała powagi wszystkim dyskusjom, które się w niej odbywały... a sprawa Alterac bez wątpienia mogła mieć wpływ na dalsze istnienie Sojuszu

- Jeśli nie lubisz mojego głosu, lordzie admirale - warknął Szara Grzywa - dobra stal może sprawić, że nie usłyszysz go, ani niczego innego, nigdy więcej.

Lord admirał Daelin Proudmoore powstał na równe nogi. Smukły, osmagany wiatrem żeglarz sięgnął do miecza zwykle wiszącego u boku jego zielonego marynarskiego munduru, ale pochwa była pusta. Tak samo jak ta u boku Genna Szarej Grzywy. Na początku rozmów doszli do porozumienia, aczkolwiek dość niechętnie, że żadnej z głów państwa nie wolno wnieść na spotkanie broni. Zgodzili się nawet, włączając w to samego Genna Szarą Grzywę, by przeszukiwali ich wybrani strażnicy należący do zakonu Srebrnej Dłoni, jedynej jednostki

wojskowej, której wszyscy ufali, mimo iż składała ona przysięgę Terenasowi.

Oczywiście to dzięki Prestorowi cały ten nieprawdopodobny szczyt mógł się w ogóle odbyć. Bardzo rzadko władcy głównych dziedzin zbierali się razem. Zwykle kontaktowali się przez kurierów i dyplomatów, od czasu do czasu przybywali z wizytą państwową. Tylko niesamowity Prestor mógł przekonać niechętnych sojuszników Terenas, by pozostawili doradców oraz strażników na zewnątrz i przedyskutowali problemy twarzą w twarz.

Gdyby tylko młody szlachcic wreszcie się pojawił...

- Moi panowie! Panowie!

Rozpaczliwie poszukując pomocy, król spojrział w stronę surowej postaci stojącej niedaleko okna. Nosiła na sobie skórę i futra, mimo iż w tej okolicy było względnie ciepło. Z całej twarzy Thorasa Zguby Trolli Terenas widział jedynie brodę i garbaty nos, ale wiedział, że mimo ogromnego zainteresowania widokami za oknem, władca Stromgarde rozważył każde słowo i nutę w głosie innych uczestników. Nie zrobił nic, by pomóc Terenasowi rozwiązać obecny kryzys, co przypomniało mu, jak wielka przepaść pojawiła się między nimi, gdy zaczęła się ta cała wariacka sytuacja.

Niech piekło pochłonie lorda Perenolde'a! - pomyślał król Lordaeron. Gdyby tylko nie zmusił nas do tego!

Choć na wypadek gdyby między władcami rzeczywiście doszło do wymiany ciosów, niedaleko stali rycerze zakonni, Terenas mniej bał się przemocy, a bardziej rozwiania nadziei na utrzymanie sojuszu wszystkich ludzkich królestw. Ani przez chwilę nie czuł, że orki przestały zagrażać ludziom. W tym kluczowym momencie ludzie musieli pozostać sojusznikami. Żałował, że Anduin Lothar, regent uciekinierów z utraconego królestwa Azeroth nie mógł się zjawić, jednak nie było to możliwe, a bez Lothara pozostał tylko...

- Moi panowie! Spokojnie! Takie zachowanie nie przystoi żadnemu z nas!

- Prestor! - odetchnął Terenas. - Chwała niebiosom!

Wszyscy obrócili się, kiedy wysoka, nieskalanie odziana postać weszła do wielkiej sali. Zadziwiające, jak wielki wpływ ma ten człowiek na ważniejszych od siebie, pomyślał król. Wchodzi do pomieszczenia i kłótnie ucichają! Zagorzali przeciwnicy odkładają broń i rozmawiają o pokoju!

Tak, bez wątpienia dobrze zastąpi Perenolde'a.

Terenas przyglądał się, jak jego przyjaciel przechodził przez komnatę, witając wszystkich władców po kolei i traktując ich, jakby byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Być może byli, gdyż Prestor nie miał w sobie ani krzty arogancji. Czy chodziło o surowego Thorasa, czy pobłażliwego Genna, Prestor wiedział, jak rozmawiać z każdym z nich. Jedyne

czarodzieje z Dalaran nie byli w stanie w pełni go docenić, ale oni w końcu byli czarodziejami.

- Wybaczcie mi spóźnione przybycie - odezwał się młody arystokrata. - Rano wyjechałem na przejażdżkę i nie pomyślałem, że droga powrotna zajmie mi tak długo.

- Nie musisz przeproszać - odpowiedział uprzejmie Thoras Zguba Trolli.

Jeszcze jeden przykład na niemal magiczny wpływ Prestora. Thoras Zguba Trolli był przyjacielem i szanowanym sojusznikiem, jednak z trudem przychodziły mu uprzejmości. Zwykle mówił krótkimi i precyzyjnymi zdaniami, po czym milczał. Terenas dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że milczenie to nie było obraźliwe. Tak naprawdę Thoras nie był przyzwyczajony do długich rozmów. Pochodził z zimnego, górzystego Stromgarde i zdecydowanie wolał działać, niż mówić.

Co tylko zwiększyło radość króla Lordaeron z pojawienia się Prestora.

Prestor rozejrzał się po sali, przez moment spoglądając każdemu w oczy. W końcu się odezwał - Jak dobrze znów zobaczyć was wszystkich! Mam nadzieję, że tym razem będziemy w stanie dojść do porozumienia ponad wszystkimi różnicami i kiedy spotkamy się ponownie, będziemy dobrymi przyjaciółmi i towarzyszami broni.

Szara Grzywa pokiwał głową niemal z entuzjazmem. Na twarzy Proudmoore'a pojawił się wyraz zadowolenia, jakby przybycie arystokraty było odpowiedzią na jego modły. Terenas nic nie mówił, pozwalając swojemu utalentowanemu przyjacielowi przejąć kontrolę nad spotkaniem. Im lepiej pozostali poznają Prestora, tym łatwiej będzie królowi wysunąć swoją propozycję.

Zebrawali się wokół zdobnego stołu z kości słoniowej, który dziadek Terenasa otrzymał od północnych wasali w podziękowaniu za udane rokowania z elfami z Quel'Thalas dotyczące tamtejszej granicy. Król jak zawsze położył obie dłonie na blacie stołu w poszukiwaniu wskazówek od przodka. Na chwilę uchwycił spojrzenie siedzącego po drugiej stronie stołu Prestora. Patrząc w te czarne, pełne mocy oczy, król rozluźnił się. Prestor poradzi sobie ze wszystkim.

I tak rozpoczęły się rozmowy, pierwsze słowa były sztywne, później, w ferworze dyskusji, bardziej dosadne. Mimo to, pod przewodnictwem Prestora, nie doszło do gróźb przemocy. Więcej niż raz szlachcic brał jednego czy drugiego uczestnika rokowań na bok i rozmawiał z nim prywatnie. Za każdym razem taka rozmowa kończyła się uśmiechem na jastrzębiej twarzy Prestora i wielkim postępem we wzmacnianiu nadwerężonych więzów Sojuszu.

Gdy szczyt zbliżał się do końca, również Terenas wziął udział w takiej wymianie

zdań. Podczas gdy Szara Grzywa, Thoras i lord admirał Proudmoore pili najlepszą brandy króla, Prestor i monarcha stanęli obok okna wyglądającego na miasto. Terenas zawsze lubił to miejsce, gdyż widział z niego swój lud. Nawet teraz, kiedy trwał szczyt, jego poddani wypełniali swoje obowiązki, prowadzili zwyczajne życie. Ich wiara w niego pobudziła jego zmęczony umysł i wiedział, że zaakceptują decyzję, którą podejmie tego dnia.

- Nie rozumiem, jak to zrobiłeś, mój chłopcze - szepnął do towarzysza. - Sprawiliś, że inni zobaczyli prawdę, konieczność! Rzeczywiście siedzą w tej komnacie i zachowują się grzecznie nie tylko wobec siebie, ale także wobec mnie! W pewnej chwili spodziewałem się, że Genn i Thoras zażądają mojej głowy!

- Zrobiłem tylko to, co mogłem, żeby ich ułagodzić, mój panie, ale dziękuję ci za twe miłe słowa. Terenas potrząsnął głową.

- Miłe słowa? Nie tylko! Prestor, mój chłopcze, ty własnymi rękami powstrzymałeś Sojusz przed rozerwaniem! Co im powiedziałeś?

Prestor popatrzył na niego, jakby obaj brali udział w jakimś spisku. Pochylił się w stronę swojego władcy, nie spuszczać z niego wzroku.

- Trochę tego, trochę tamtego. Admirałowi obiecałem utrzymanie władzy nad morzami, nawet jeśli oznaczałoby to wysłanie wojsk i okupację Gilneas; Szarej Grzywie przyszłe kolonie morskie na wybrzeżach Alterac; a Thoras Zguba Trolli myśli, że dostanie całą wschodnią część tego regionu... wszystko to, kiedy zostaną jego władcą.

Przez chwilę król po prostu stał z otwartymi ustami, gdyż nie był pewien, czy wszystko dobrze usłyszał. Wpatrywał się w hipnotyzujące oczy Prestora, oczekując na pointę tego przerażającego żartu. Kiedy jednak nie nadeszła, Terenas w końcu wyrzucił z siebie cicho - Czy ty postradałeś rozum, mój chłopcze? Nawet żartowanie na taki temat jest przesadą, a co...

- A ty i tak nie zapamiętasz nic z tego, wiesz? - Lord Prestor pochylił się do przodu, pochwycił spojrzenie Terenasa i go nie wypuszczał. - Tak jak oni nie będą pamiętać, co im naprawdę powiedziałem. Musisz tylko pamiętać, moja pompatyczna laleczko, że zagwarantowałem ci jakąś korzyść polityczną, ale żebyś mógł ją uzyskać, muszę zostać władcą Alterac. Rozumiesz to?

Terenas nie rozumiał niczego innego. Prestor musiał zostać nowym władcą zniszczonej dziedziny. Wymagało tego bezpieczeństwo Lordaeron i stabilność Sojuszu.

- Widzę, że tak. Dobrze. Teraz wracaj, a kiedy konferencja będzie się zbliżać do końca, podejmiesz odważną decyzję. Szara Grzywa już wie, że będzie się zachowywać z ogromną rezerwą, ale za parę dni się zgodzi. Proudmoore postąpi tak jak ty, a Thoras Zguba

Trolli rozważy tę sprawę i w końcu też wyrazi zgodę na moją koronację.

Król nagle coś sobie przypomniał i odczuł przymus, by wypowiedzieć to na głos.

- Za... żaden władca nie może zostać wybrany bez... bez zgody Dalaran i Kirin Tor... -
Walczył, by dokończyć wypowiedź. - Oni też są członkami Sojuszu...

- Ale kto może zaufać czarodziejom? - przypomniał mu Prestor. - Któż wie, jakie są ich cele? Dlatego właśnie nie zaprosiliśmy ich do rokowań, nieprawdaż? Czarodziejom nie można ufać, a w końcu trzeba się będzie nimi zająć.

- Zająć się... oczywiście, masz rację. Uśmiech Prestora rozszerzył się, ukazując, jak się zdawało, większą niż normalnie liczbę zębów.

- Zawsze ją mam. - Otoczył Terenasa ramieniem. - Czas powrócić do innych. Jesteś bardzo zadowolony z moich postępów. Za kilka minut złożysz propozycję, która będzie naszym punktem wyjścia.

- Tak...

Smukła postać odprowadziła Terenasa do innych władców, a gdy król tam się znalazł, jego myśli powróciły do spraw, którymi miał się zająć. Inne, bardziej mroczne sugestie Prestora zostały ukryte głęboko w podświadomości władcy, czyli tam, gdzie tego pragnął odziany w czerń szlachcic.

- Smakuje wam brandy, przyjaciele? - Terenas spytał pozostałych. Kiedy przytaknęli, uśmiechnął się i powiedział -Z każdym z was powróci jej skrzynka, jako podziękowanie za waszą wizytę.

- Wspaniały pokaz przyjaźni, nie sądzicie? - zachęcił Prestor gości.

Pokiwali głowami, Proudmoore nawet wznosił toast na cześć władcy Lordaeron.

Terenas klasnął w dłoń.

- Myślę, że dzięki naszemu młodemu współpracownikowi wyjedziemy bliźsi sobie niż przedtem.

- Nie podpisaliśmy jeszcze żadnej ugody - przypomniał mu Genn Szara Grzywa. - Nawet się jeszcze nie zgodziliśmy, co należy zrobić z całą tą sprawą.

Terenas zamrugał. Doskonałe rozpoczęcie. Czemu miałby czekać ze swoją wspaniałą propozycją?

- Jeśli o to chodzi, moi przyjaciele - powiedział król, biorąc lorda Prestora za ramię i prowadząc go do szczytu stołu - to sądzę, że wymyśliłem rozwiązanie, które zadowoli wszystkich.

Król Terenas z Lordaeron uśmiechnął się do swojego młodego towarzysza, który bez wątpienia nie miał nawet pojęcia, jaka czekała go nagroda. O tak, doskonały człowiek do tej

roli. Gdy Prestor zostanie władcą Alterac, sojusz będzie miał zapewnioną przyszłość.

A wtedy będą mogli się zająć tymi zdradzieckimi czarodziejami z Dalaran...

* * *

- To nie w porządku! - wybuchł przysadzisty mag. - Nie mieli prawa nas pominąć!

- Nie, nie mieli - odpowiedziała starsza kobieta. - Ale tak zrobili.

Magowie, którzy spotkali się wcześniej w Komnacie Powietrza, zrobili to ponownie, lecz tym razem było ich tylko pięciu. Ten, którego Rhonin znał pod imieniem Krasus, nie zajął swojego miejsca, ale pozostali byli zbyt zaniepokojeni wydarzeniami na świecie, żeby na niego czekać. Władcy ludzi pozbawionych talentu magicznego spotkali się w ukryciu, omawiając poważną sytuację, bez ogólnego przewodnictwa Kirin Tor. Choć większość członków rady považowała króla Terenasa i niektórych innych monarchów, to jednak niepokoiło ich, że władca Lordaeron urządził tak bezprecedensowy szczyt. W przeszłości jeden z członków wewnętrznej rady Kirin Tor zawsze brał udział w takich wydarzeniach. Było to sprawiedliwe, gdyż Dalaran zawsze stanowił pierwszą linię obrony Sojuszu.

Wyglądało na to, że czasy się zmieniały.

- Problem Alterac można było rozwiązać dawno temu - podkreślił elf. - Powinniśmy byli nalegać, by uwzględniono nas w rokowaniach.

- I wywołać kolejny incydent? - odrzekł brodaty mag stentorowym głosem. - Czy nie zauważyłeś, że ostatnio królestwa zaczęły się od nas odsuwać? Zupełnie jakby bali się nas, teraz, kiedy orki zostały odepchnięte pod Grim Batol!

- To absurd! Pozbawieni talentu zawsze mieli podejrzenia wobec magii, ale przecież zawsze byliśmy lojalni! Starsza kobieta potrząsnęła głową.

- Czy to kiedykolwiek obchodziło tych, którzy bali się naszych umiejętności? Teraz, kiedy orki zostały pokonane, ludzie zaczynają zauważać, że różnimy się od nich. Jesteśmy od nich lepsi we wszystkim...

- To niebezpieczny sposób myślenia, nawet dla nas - zabrzmiał spokojny głos Krasusa. Czarodziej bez twarzy stał w wybranym przez siebie miejscu.

- Najwyższy czas! - Brodaty czarodziej odwrócił się do nowo przybyłego. - Czy czegoś się dowiedziałeś?

- Bardzo mało. Spotkanie nie było chronione, jednak mogliśmy odczytać tylko powierzchowne myśli. Nie powiedziały nam nic, czego nie wiedzielibyśmy wcześniej. W końcu musiałem sięgnąć po inne metody, żeby osiągnąć jakiś efekt.

Młodsza kobieta odważyła się odezwać.

- Czy podjęli decyzję?

Krasus zawahał się, po czym uniósł okrytą rękawiczką dłoń.

- Patrzcie...

W centrum komnaty, dokładnie nad symbolem wyrytym w podłodze, zmaterializowała się wysoka ludzka postać. W każdym calu wyglądała równie, a może nawet bardziej realnie, co zgromadzeni czarodzieje. Majestatycznej figury, odziana w eleganckie, ciemne szaty, o przystojnych, orlich rysach twarzy, na chwilę uciszyła szóstkę.

- Kto to? - zapytała ta sama kobieta.

Krasus przyjrzał się swoim towarzyszom i w końcu powiedział - Chwała nowemu władcy Alterac, królowi Prestorowi Pierwszemu.

- Co?!

- To niemożliwe!

- Nie mogą tego zrobić bez nas, prawda?

- Kim jest ten Prestor?

Opiekun Rhonina wzruszył ramionami.

- Mało znaczący szlachcic z północy, bez ziemi, bez poparcia. Mimo to udało mu się zaskarbić sympatię nie tylko Terenasa, ale również innych, włączając w to Genna Szarą Grzywę.

- Ale uczynić go królem? - warknął brodaty czarodziej.

- Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że nie jest to taki zły wybór. Alterac ponownie stanie się niezależnym królestwem. Inni władcy widzą w Prestorze wiele cech, które szanują, tak w każdym razie sądzę. Wydaje się, że samodzielnie powstrzymał Sojusz przed rozpadem.

- Więc go akceptujesz? - spytała starsza kobieta.

W odpowiedzi Krasus dodał - Wydaje się również nie mieć historii, najwyraźniej jest powodem, dla którego nie uwzględniono nas w rozmowach i, co najciekawsze, zdaje się pusty, gdy dotknąć go magią.

Inni szeptali między sobą, rozważając te dziwne wieści. W końcu elfi mag, najwyraźniej równie zaskoczony jak pozostali, zapytał - Co ma znaczyć to ostatnie?

- Chodzi mi o to, że każda próba badania go przy pomocy magii nic nie ujawnia. Zupełnie nic. To tak, jakby lord Prestor nie istniał, a jednak istnieć musi. Czy go akceptuję? Raczej się go boję.

Słowa pochodzące od najstarszego z zebranych zapadły głęboko w ich umysły. Przez jakiś czas nad ich głowami płynęły chmury, szalały burze, a dzień zmienił się w noc, lecz

członkowie Kirin Tor stali w milczeniu, gdy każdy na swój sposób przetrwał fakty.

Pierwszy przerwał ciszę młody mężczyzna.

- Jest więc czarodziejem, prawda?

- To wydawałoby się najbardziej logiczne - odrzekł Krasus, lekko pochylając głowę, by podkreślić swą zgodę.

- Potężnym - szepnął elf.

- To również jest logiczne.

- A jeśli tak - kontynuował elfi mag - to kto to? Jeden z nas? Renegat? Czarodziej o takich umiejętnościach byłby nam z pewnością znany!

Młodsza kobieta pochyliła się w stronę postaci.

- Nie rozpoznaję jego twarzy.

- Nic dziwnego - odrzekła jej starsza odpowiedniczka. - Każdy z nas może nosić tysiące masek.

Krasusa przebiła błyskawica, czego nawet nie zauważył.

- Decyzja zostanie formalnie ogłoszona za dwa tygodnie. Miesiąc później, o ile żaden z władców nie zmieni zdania, lord Prestor zostanie koronowany na władcę Alterac.

- Powinniśmy złożyć protest.

- To początek. Tak naprawdę uważam, że powinniśmy odkryć prawdę o tym lordzie Prestorze, przeszukać każdą szczelinę oraz grób i odkryć jego przeszłość, jego prawdziwe imię. Do tej chwili nie odważymy się mu przeciwstawić, gdyż bez wątpienia ma poparcie wszystkich członków rady oprócz nas.

Starsza kobieta pokiwała głową.

- A nawet my nie potrafimy się przeciwstawić połączonym siłom pozostałych królestw, jeśli uznają nas za zbyt kłopotliwych.

- Nie, nie potrafimy.

Krasus machnięciem ręki rozwiął obraz Prestora, jednak postać młodego szlachcica zdążyła się już wypalić w mózgach wszystkich członków Kirin Tor. Bez słów zgodzili się co do ważności tego zadania.

- Muszę ponownie odejść - powiedział Krasus. - Proponuję, żebyście wszyscy, podobnie jak ja, zastanowili się poważnie nad sprawą. Podążajcie za wszystkimi tropami, obojętnie jak zatartymi i nieprawdopodobnymi, jednak spieszcie się. Mam przecucie, że jeśli na tronie Alterac zasiądzie ten zagadkowy jegomość, to Sojusz nie przetrwa długo, nawet jeśli w tej chwili władcy są jednomyślni. - Zaczerpnął powietrza. - A obawiam się że gdyby do tego doszło, Dalaran upadłby razem ze wszystkimi.

- Z powodu tego jednego człowieka? - zapytał powoli brodaty mag.

- Z jego powodu, owszem.

A gdy reszta zastanawiała się nad jego słowami, Krasus ponownie zniknął...

* * *

... by zmaterializować się w swoim sanktuarium. Wciąż czuł się wstrząśnięty tym, co odkrył. Odczuwał wyrzuty sumienia, gdyż nie był w pełni szczery ze swoimi towarzyszami. Krasus wiedział, a raczej podejrzewał, o wiele więcej na temat tajemniczego lorda Prestora, niż ujawnił innym. Żałował, że nie mógł powiedzieć im wszystkiego, ale wtedy pozostali nie tylko zaczęliby się zastanawiać, czy jest przy zdrowych zmysłach, lecz również mogliby dowiedzieć się zbyt wiele o nim samym i jego metodach.

Nie mógł sobie na to pozwolić w tej rozpaczliwej sytuacji.

Oby postąpili tak, jak tego się po nich spodziewam.

Krasus, samotny w swoim zaciemnionym sanktuarium, w końcu odważył się zdjąć kaptur. Pojedyncze blade światełko bez widocznego źródła było jedynym oświetleniem komnaty. W jego blasku widać było przystojnego, siwiejącego mężczyznę o rysach tak ostrych, że niemal trupich. Czarne, błyszczące oczy sugerowały, że był nawet starszy i bardziej zmęczony, niż wskazywała na to reszta jego twarzy. Prawy policzek od góry do dołu przecinały trzy równoległe blizny, które mimo dawnego pochodzenia wciąż pulsowały bólem.

Czarodziej obrócił okrytą rękawiczką lewą dłoń spodem do góry. Nad nią zmaterializowała się nagle błękitna kula. Krasus przesunął nad nią drugą dłoń, a wewnątrz kuli natychmiast zaczęły się pojawiać obrazy. Za jego plecami pojawił się kamienny fotel. Usiadł na nim i zaczął obserwować wnętrze sfery.

Krasus po raz kolejny przyjrzał się pałacowi króla Terenasa. Kamienna budowla służyła władcom krainy od wielu pokoleń. Po obu stronach głównego budynku przypominającego nieco miniaturową fortecę, znajdowały się dwie wysokie na kilkanaście pięter wieże. Zarówno na nich, jak i nad bramą unosiły się flagi Lordaeron. Żołnierze w mundurach Gwardii Królewskiej pełnili straż przed bramą, zaś wewnątrz znajdowało się kilkunastu członków zakonu Srebrnej Dłoni. Zwykle paladyni nie pełnili służby w zamku, ale ponieważ odwiedzający go monarchowie wciąż jeszcze mieli kilka ważnych spraw do omówienia, godni zaufania wojownicy byli bez wątpienia niezbędni.

Po raz kolejny czarodziej przesunął dłoń nad sferą. Z lewej strony pałacu pojawił się obraz wewnętrznej komnaty. Wpatrując się weń, czarodziej przybliżył go do siebie.

Terenas i jego młody protegowany. Czyli mimo zakończenia szczytu i zbliżającego się

wyjazdu innych władców, lord Prestor pozostał z królem. Krasus poczuł ogromną pokusę, by spróbować wy badać umysł odzianego w czerń arystokraty, ale powstrzymał się. Niech inni spróbują dokonać tego, co i tak najprawdopodobniej było niemożliwe. Ktoś taki jak Prestor na pewno oczekiwał takich prób i wiedział, jak się nimi zająć. Krasus nie chciał się jeszcze ujawniać.

Choć jednak nie odważył się badać myśli mężczyzny, mógł przynajmniej przyjrzeć się jego pochodzeniu, a gdzie najlepiej byłoby rozpocząć, jeśli nie w dworcu, w którym uciekinier zamieszkał pod opieką króla? Krasus machnął dłonią nad kulą i oto pojawił się nowy obraz przedstawiający ów budynek z dużej odległości. Czarodziej przyglądał mu się przez chwilę, a gdy nie zauważył nic ważnego, posłał swą magiczną sondę bliżej.

Gdy zbliżyła się do wysokiego muru otaczającego budynek, słabe zakłęcie, o wiele słabsze niż oczekiwał, na chwilę ;uniemożliwiło mu wejście. Krasus ominął je z łatwością. Teraz znalazł się bezpośrednio obok budowli. Fasada była elegancka, jednak całość sprawiała raczej niemiłe wrażenie. Prestor najwyraźniej pragnął mieć dom zadbany, choć niekoniecznie ładny. Maga wcale to nie zdziwiło.

Szybkie sondowanie ujawniło kolejne zakłęcie, tym razem bardziej skomplikowane, nie było to jednak coś, czego Krasus nie byłby w stanie ominąć. Jeden śmiały gest i postać po raz kolejny przedostała się przez dzieło Prestora. Jeszcze chwila i Krasus znajdzie się wewnątrz, gdzie będzie mógł...

Kula szerniała.

Czerń wyszła poza krawędzie kuli.

Czerń sięgnęła po czarodzieja.

Krasus gwałtownie zerwał się z fotela i rzucił na bok, na podłogę. Macki o barwie najmroczniejszej nocy otoczyły kamień tak, jak otoczyłyby samego czarodzieja. Gdy Krasus wstał, ujrzał, jak macki wycofują się, a po fotelu nie ma śladu.

W chwili gdy pierwsze macki sięgały po niego, kolejne formowały się z tego, co pozostało wewnątrz magicznej kuli. Mag postąpił krok do tyłu. Była to jedna z niewielu chwil w życiu, gdy z zaskoczenia nie był w stanie nic zrobić. Po krótkiej chwili wrócił do siebie i zaczął szeptać słowa, których nie słyszano od wielu pokoleń i których on sam nigdy nie wymawiał, jedynie czytał o nich z fascynacją.

Przed nim pojawiła się wełnista chmura, która natychmiast poleciała w stronę macek i zetknęła się z nimi w powietrzu. Pierwsze, które dotknęły miękkiego obłoku, natychmiast skruszyły się, zamieniając w popiół, który zniknął, nim jeszcze dotknął podłogi. Krasus odetchnął z ulgą, a później spojrział z przerażeniem, kiedy kolejny zestaw macek otoczył jego

przeciwzakłęcie.

- To niemożliwe - szepnął. - To niemożliwe! Te macki postąpiły z chmurą tak, jak poprzednie z krzesłem - pochłoneły ją, pożarły.

Krasus wiedział, z czym się zetknął. Tak działał tylko Nieskończony Głód, zakazane zakłęcie. Nigdy wcześniej nie widział, jak je rzucano, ale każdy, kto tak długo jak on studiował magię, rozpoznałby jego ohydny obecność. A jednak coś się zmieniło, gdyż przeciwzakłęcie, które wybrał, powinno poradzić sobie z zagrożeniem. Przez chwilę wydawało się, że tak będzie, a wówczas zaszła przerażająca przemiana, przekształcenie samej esencji mrocznego zakłęcia. Teraz zbliżał się doń drugi zestaw macek, a Krasus przez chwilę nie wiedział, jak to powstrzymać.

Zastanawiał się nad ucieczką z komnaty, ale wiedział, że potworne macki będą podążać za nim niezależnie od tego, gdzie by się ukrył. Dlatego właśnie Nieskończony Głód był tak przerażający - nieustanny pościg zwykle tak wyczerpywał ofiarę, że w końcu się poddawała.

Nie, Krasus musi zatrzymać je tu i teraz.

Pozostała jeszcze jedna inkantacja, która mogła zadziałać. Co prawda wyczerpałaby jego siły tak, że przez wiele dni byłby bezużyteczny, ale miała w sobie tyle mocy, że mogła sobie poradzić z zagrożeniem.

Oczywiście, z drugiej strony mogła zabić go tak samo jak pułapka Prestora.

Rzucił się w bok, kiedy sięgnęła po niego jedna z macek. Nie miał więcej czasu na zastanowienie. Krasusowi pozostało tylko kilka chwil na wypowiedzenie zakłęcia. Nawet teraz Głód próbował odciąć mu drogę ucieczki, otoczyć go w całości.

Słowa, które wyszeptał stary mag, zabrzmiałyby dla zwykłego człowieka jak język Lordaeron wypowiedzany od tyłu, z akcentem położonym na nieodpowiednie sylaby. Krasus starannie wypowiadał każdą, wiedząc, że nawet jedna pomyłka wywołana trudnymi warunkami, oznaczałaby całkowite unicestwienie. Wyrzucił lewą rękę w stronę sięgającej po niego ciemności, próbując trafić w sam środek rozrastającego się monstrum.

Cienie poruszały się szybciej, niż wydawało się to mu możliwe. Kiedy ostatnie słowa wpływały z jego ust, Głód go pochwycił. Pojedyncza, cienka macka otoczyła trzeci i czwarty palec jego wyciągniętej dłoni. Krasus z początku nie czuł bólu, jednak na jego oczach palce po prostu zniknęły, pozostawiając otwarte, krwawiące rany.

Wypluł ostatnią sylabę, kiedy jego ciało przeszył ból.

W jego niewielkiej komnacie wybuchło słońce.

Macki topniały jak lód zamknięty w palenisku. Światło tak jasne, że oślepiało Krasusa

mimo mocno zaciśniętych powiek, wypełniało każdy kąt i szczelinę. Czarodziej stracił oddech i upadł na ziemię, ściskając okaleczoną rękę.

Jego uszy zaatakował syczący dźwięk, który sprawił, że serce zabiło mu jeszcze szybciej. Gorąco, niemożliwe gorąco paliło jego skórę. Krasus uświadomił sobie, że modli się o szybki koniec.

Syk zmienił się w ryk, który stawał się coraz głośniejszy, zupełnie jakby w samym środku komnaty miał nagle wybuchnąć wulkan. Krasus próbował spojrzeć, ale światło było zbyt intensywne. Skulił się więc w pozycji płodowej i oczekiwał na to, co nieuchronne.

A wtedy światło po prostu zniknęło, pozostawiając komnatę w całkowitej ciemności.

Mag z początku nie mógł się ruszyć. Gdyby Głód teraz po niego przyszedł, nie byłby w stanie się przed nim bronić. Leżał tak przez kilkanaście minut, próbując odzyskać poczucie rzeczywistości, a kiedy mu się to w końcu udało, zastopować krwawienie ze straszliwej rany.

Krasus przesunął zdrową dłoń nad okaleczoną, tamując upływ krwi. Wiedział, że nie będzie w stanie naprawić zniszczeń. Nic, czego dotknęło mroczne zaklęcie, nie było w stanie się zregenerować.

W końcu odważył się otworzyć oczy. Z początku nawet nieoświetlona komnata wydawała się zbyt jasna, ale jego oczy stopniowo się przyzwyczajały. Krasus zobaczył kilka ciemnych sylwetek - mebli, jak mu się wydawało - ale nic innego.

- Światło - szepnął zmęczony czarodziej.

Niewielka szmaragdowa kula pojawiła się pod sklepieniem, wypełniając całą komnatę słabym blaskiem. Krasus rozejrzał się uważnie. Rzeczywiście, kształty, które widział, należały do mebli. Tylko fotel nie przetrwał. Jeśli zaś chodzi o Głód, zaklęcie zostało całkowicie zniszczone. Koszt był wielki, ale Krasus zatriumfował.

A może nie. Tak wielka katastrofa w ciągu zaledwie kilku sekund, i niczego się nie dowiedział. Próba wysondowania domu lorda Prestora zakończyła się porażką.

A jednak... a jednak...

Krasus z trudem wstał i wezwał drugi fotel, identyczny jak poprzedni. Opał na niego, dysząc ciężko. Spojrzał na kikuty palców, by sprawdzić, czy rzeczywiście udało mu się zastopować krwawienie, po czym wezwał błękitny kryształ, by ponownie obejrzeć siedzibę szlachcica. Właśnie uświadomił sobie coś przerażającego, co, jak sądził, mógł zweryfikować jednym krótkim i bezpiecznym spojrzeniem, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło.

Tutaj! Ślady magii były oczywiste. Krasus podążył za nimi, patrzył, jak się splatają. Musiał być ostrożny, by ponownie nie obudzić ohydy, przed którą z trudem udało mu się uchronić.

Nadeszło potwierdzenie. Talent, z jakim rzucono Wieczny Głód i kompleksowość, z jaką zmieniono jego esencję, by unieszkodliwić jego pierwszy kontratak... to wszystko wskazywało na wiedzę i technikę sięgającą poza umiejętności Kirin Tor, a byli to najlepsi magowie wśród ludzi, a nawet elfów.

Istniała jednak jeszcze jedna rasa, która zajmowała się magią dłużej niż same elfy.

- Poznałem cię... - Krasus, oddychając ciężko, przywołał obraz dumnej twarzy Prestora. - Poznałem cię, mimo formy, jaką przyjąłeś! - Zaczął kaszleć i z trudem odzyskał oddech. Przejścia odebrały Krasusowi siłę, ale bardziej jeszcze niż jakiegokolwiek zaklęcie uderzyło go uświadomienie sobie, z czyją mocą się właśnie starł. - Poznałem cię, Skrzydła Śmierci!

SIEDEM

Duncan zatrzymał konia. - Coś jest nie w porządku. Rhonin również miał takie uczucie, a biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się w fortecy, nie mógł pozbyć się wrażenia, że ma to coś wspólnego z jego podróżą.

W pewnej odległości widzieli Hasic, było to jednak Hasic milczące, przytłumione. Czarodziej nie słyszał nic, żadnych odgłosów ludzkiej aktywności. W porcie takiej wielkości powinno być tyle hałasu, żeby część dźwięków docierała nawet do nich. A mimo to nie słyszał odgłosów życia, za wyjątkiem kilku ptaków.

- Nie wiem nic o żadnych kłopotach - poinformował Vereesę paladyn. - Gdybyśmy dostali takie wieści, natychmiast byśmy przyjechali.

- Może po prostu jesteśmy zbyt przewrażliwieni z powodu trudów wędrówki. - Mimo tych słów nawet łowczyni mówiła cicho i niepewnie.

Czekali tam tak długo, że w końcu Rhonin postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Ku zaskoczeniu pozostałych, pogonił swojego wierzchowca do przodu. Postanowił dotrzeć do Hasic, obojętnie czy z resztą towarzyszy, czy też bez nich.

Vereesa szybko podążyła za nim, a za nią naturalnie pospieszył lord Senturus. Rhonin powstrzymał uśmiech rozbawienia, gdy rycerze Srebrnej Dłoni popędzili, by znaleźć się przed nim. Jeszcze przez jakiś czas będzie znosił ich arogancję i pyszałkowatość. Tak czy inaczej, Rhonin i jego niechęciani towarzysze rozstaną się w porcie.

Oczywiście jeśli coś jeszcze pozostało z portu.

Nawet ich konie zareagowały na ciszę, stając się bardziej nerwowe. W pewnej chwili Rhonin musiał spiąć swojego wierzchowca ostrogami, żeby ten chciał ruszyć dalej, ale żaden z rycerzy nie śmiał się z jego kłopotów.

Odczuli ulgę, kiedy przybliżywszy się nieco, zaczęli słyszeć odgłosy życia od strony portu. Uderzenia młotków. Kilka podniesionych głosów. Turkot wozów. Niewiele, ale przynajmniej wiedzieli, że Hasic nie stało się miastem duchów.

Mimo to zbliżali się ostrożnie, świadomi, że coś jest nie w porządku. Vereesa i rycerze trzymali dłonie w pobliżu rękojeści mieczy, a Rhonin zaczął przebiegać w myślach znane sobie zaklęcia. Nikt nie wiedział, czego oczekiwać, ale mieli świadomość, cokolwiek miało się wydarzyć, zdarzy się wkrótce.

Gdy brama miasta znalazła się w ich polu widzenia, Rhonin zauważył trzy złowróżbne sylwetki wznoszące się w niebo.

Koń Rhonina stanął dęba. Vereesa uchwyciła jego wodze i uspokoiła zwierzę. Niektórzy z rycerzy zaczęli wysuwać miecze, lecz Duncan natychmiast rozkazał je schować.

Kilka chwil później trzy potężne gryfy wylądowały przed nimi. Dwa usiadły na wierzchołkach najpotężniejszych drzew, zaś trzeci zablokował im drogę.

- Któż jedzie do Hasic? - zapytał jego jeździec, brodaty wojownik o brązowej skórze. Prawdopodobnie nie sięgałby magowi nawet do ramienia, a jednak wyglądał na zdolnego do podniesienia nie tylko jego, ale i konia.

Duncan natychmiast podjechał do przodu.

- Witaj, jeźdźcu gryfów! Jestem lord Duncan Senturus z zakonu rycerzy Srebrnej Dłoni i prowadzę tę drużynę do portu! Wolno mi spytać, czy w Hasic zdarzyło się jakieś nieszczęście?

Krasnolud zaśmiał się ochryple. Nie był tak przysadzisty, jak jego bardziej związani z ziemią krewniacy, przypominał raczej barbarzyńskiego wojownika, którego schwytał smok i ścisnął do połowy wzrostu. Ten akurat osobnik miał ramiona szersze niż najsilniejsi rycerze, i mięśnie, które same poruszały się pod skórą. Kwadratową, nieustępliwą twarz otaczała rozczochrana czupryna.

- Jeśli można nazwać parę smoków nieszczęściem, to owszem, przydarzyło się ono Hasic! Pojawiły się trzy dni temu, niszcząc i paląc wszystko, co tylko mogły! Gdyby mój oddział nie przybył tutaj tego właśnie ranka, nic by nie zostało z twego cennego portu, człowieku! Dopiero zaczynały, kiedy spadliśmy na nie z nieba! Wspaniała bitwa to była, choć tego dnia straciliśmy Glodina! - Krasnoludy uderzyły pięściami w serca. - Niech jego duch z dumą walczy przez wieczność!

- Widzieliśmy smoka - wtrącił Rhonin, obawiając się, że cała trójka rozpocznie teraz jedną z epickich pieśni żałobnych, o których słyszał. - W tym właśnie czasie. Na grzbiecie niósł orka. Trzej z was przybyli i walczyli z nim...

Przywódca jeźdźców zachmurzył się, kiedy tylko mag otworzył usta, jednak gdy Rhonin wspomniał o drugiej walce, oczy krasnoluda rozjaśniły się, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Ano, to także byliśmy my, człowieku! Ścigaliśmy tchórzliwego gada i pokonaliśmy go na niebie! Cóż za niebezpieczna i dobra walka to była! Molok, ten tam... - Wskazał na grubszego, lekko łysawego krasnoluda na drzewie z prawej strony Rhonina. - ... stracił piękny topór, ale przynajmniej wciąż ma młot, co, Molok?

- Wolałbym raczej zgolić brodę, niż stracić swój młot, Fal-stadzie!

- Ano, to młot najbardziej powala damy, czyż nie? - odpowiedział Falstad z

uśmiechem. Wydawało się, że krasnolud po raz pierwszy zauważył Vereesę. Brązowe oczy zapłonęły. - A tutaj mamy bardzo nadobną elfią damę! - Usiłował ukłonić się, wciąż siedząc na gryfie, co niezbyt mu wyszło. - Falstad Pogromca Smoków do usług, elfia panienko!

Rhonin z opóźnieniem przypomniał sobie, że dzikie krasnoludy ze szczytów Aerie ufały poza sobą jedynie elfom z Quel'Thalas. Nie był to oczywiście jedyny powód, dla którego Falstad skoncentrował się teraz na Vereesie. Najwyraźniej, podobnie jak Senturus, uważał ją za bardzo atrakcyjną.

- Witaj, Falstadzie - odpowiedziała poważnie srebrnowłosa łowczyni. - Gratuluję pięknego zwycięstwa. Dwa smoki to poważny przeciwnik dla każdego oddziału.

- Codzienna praca, dla nas to codzienna praca. - Pochylił się najbliżej, jak mógł. - W tych okolicach nie mieliśmy szczęścia spotkać nikogo z twego ludu, a szczególnie żadnej tak pięknej damy! W czym może ci pomóc biedny wojownik, panienko?

Rhonin poczuł, jak włoski na jego karku podnoszą się. Krasnolud tonem swojego głosu, nawet jeśli nie słowami, proponował coś więcej niż tylko zwyczajną pomoc. Takie sprawy nie powinny przeszkadzać Rhoninowi, a jednak z jakiegoś powodu w tej chwili tak było.

Duncan Senturus pewnie czuł się podobnie, gdyż odpowiedział, zanim mógł to zrobić ktoś inny.

- Doceniamy twą propozycję pomocy, choć prawdopodobnie nie będzie ona konieczna. Musimy dotrzeć do statku, który oczekuje na czarodzieja, żeby mógł on opuścić nasze brzegi.

Odpowiedź paladyna sugerowała, że Rhonin został wygnany z Lordaeron. Zaciskając zęby, wściekły mag dodał - Sojusz wysłał mnie na misję obserwacyjną.

Na Falstadzie nie wywarło to zbyt wielkiego wrażenia.

- Nie mamy powodu, by powstrzymać cię przed wjazdem do Hasic i szukaniem swojego okrętu, człowieku, ale po ataku smoków nie zostało ich zbyt wiele. Twój pewnie jest już wrakiem!

Taka myśl już pojawiła się w głowie Rhonina, jednak dopiero słowa krasnoluda sprawiły, że zaczął się nad tym poważnie zastanawiać. Mimo to nie miał zamiaru przyznać się do porażki tak wcześnie, na samym początku swojej misji.

- Muszę to sprawdzić.

- W takim razie ruszamy. - Krasnolud jeszcze raz przyjrzał się Vereesie i wyszczerzył się. - To była prawdziwa przyjemność, moja elfia pani!

Gdy łowczyni pokiwała głową, gryf i jego jeździec unieśli się w powietrze. Podmuch

wiatru wzbudzony przez potężne skrzydła uniósł chmurę piachu, a nagła bliskość wznoszącego się gryfa sprawiła, że nawet najbardziej zahartowane konie cofnęły się. Pozostali jeźdźcy dołączyli do Falstada i trzy gryfy szybko uniosły się w niebo. Rhonin przyglądał się, jak trzy ledwo widoczne sylwetki zakręcają w stronę Hasic i odlatują z nieprawdopodobną prędkością.

Duncan wypluł piach. Oceniając po jego minie, o krasnoludach miał niewiele lepszą opinię niż o czarodziejach.

- Ruszajmy. Wciąż może się okazać, że fortuna nam sprzyja.

Bez słowa pojechali w stronę portu. Już wkrótce okazało się, że Hasic ucierpiało bardziej, niż przyznał to Falstad. Pierwsze budynki, które mijali, były prawie nieuszkodzone, jednak z każdą chwilą widoczne zniszczenia pogłębiały się. Pola za miastem zostały spalone, a z domostw ich właścicieli pozostały tylko drzazgi. Mocniejsze budowle z kamienia lepiej wytrzymały atak, lecz od czasu do czasu widywali całkowicie zniszczone budynki, jakby któryś smok tam właśnie zdecydował się wylądować.

Zapach spalenizny szczególnie podrażniał wyostrzone zmysły czarodzieja. Nie wszystko, co zwęgliły dwa lewiatany, było z drewna. Ilu mieszkańców Hasic zginęło podczas napaści? Rhonin z jednej strony był świadom desperacji orków, którzy z pewnością już wiedzieli, że prawdopodobieństwo wygrania przez nich wojny spadło do zera, z drugiej jednak strony ich śmierć domagała się wymierzenia sprawiedliwości.

Co dziwne, kilka miejsc blisko samej przystani wyglądało na zupełnie niezniszczone. Rhonin spodziewał się, że będą w najgorszym stanie, ale oprócz pewnego przygnębienia robotników, których tam widzieli, wszystko wyglądało tak, jakby Hasic nigdy nie zostało zaatakowane.

- Może statek jednak przetrwał - mruknął do Vereesy.

- Nie sądzę. Nie, jeśli to jest jakiś znak.

Spojrzał w stronę przystani, gdzie wskazywała łowczyni. Czarodziej zmrużył oczy, próbując zidentyfikować to, co widział.

- To maszt statku - uświadomił go Duncan. - Reszta okrętu i jego dzielna załoga bez wątpienia spoczywają pod wodą.

Rhonin powstrzymał cisnące mu się na usta przekleństwo. Przyglądając się uważnie przystani, zauważył, że po powierzchni wody pływają kawałki drewna i innych materiałów, jak podejrzewał pozostałości po kilkunastu statkach. Teraz zrozumiał, dlaczego sam port przetrwał. Orki musiały skierować atak na okręty Sojuszu, żeby powstrzymać je przed ucieczką. Nie tłumaczyło to, dlaczego zewnętrzna część Hasic ucierpiała bardziej niż

wewnętrzna, lecz może te zniszczenia powstały dopiero po przybyciu jeźdźców gryfów. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy jakaś osada znalazła się w centrum zażartej walki i ucierpiała z tego powodu. Mimo to sytuacja wyglądałaby o wiele gorzej, gdyby nie zjawiły się krasnoludy. Orki nakazałyby smokom zrównać z ziemią port i zabić wszystkich w polu widzenia.

Takie zastanawianie się nie rozwiązywało jednak jego podstawowego problemu, to znaczy tego, że nie było statku, na którym mógł dostać się do Khaz Modan.

- Twa misja zakończyła się, czarodzieju - ogłosił lord Senturus bez żadnego widocznego powodu. - Nie udało ci się.

- Mogą jeszcze mieć jakąś łódkę. Mam pieniądze, by wynająć...

- A kto popłynie do Khaz Modan za twe srebro? Ci biedacy wystarczająco dużo wycierpieli. Czy oczekujesz, że chętnie popłyną do krainy opanowanej przez te właśnie orki, które to zrobiły?

- Mogę tylko spróbować się tego dowiedzieć. Dziękuję ci za poświęcenie swego czasu, panie, i życzę ci powodzenia. - Odwracając się do elfki, Rhonin dodał - I tobie też, łow... Vereeso. Przynosisz zaszczyt swojemu powołaniu.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Jeszcze cię nie opuszczam.

- Ale twójże zadanie...

- Nie zostało zakończone. Nie mogę z czystym sumieniem zostawić cię tutaj, gdy nie masz gdzie iść. Jeśli wciąż pragniesz dostać się do Khaz Modan, zrobię wszystko, żeby ci pomóc... Rhoninie.

Duncan nagle wyprostował się w siodle.

- My także nie możemy tak tego pozostawić! Na nasz honor, jeśli uważasz, że twe zadanie jest tego warte, ja i moi towarzysze również zrobimy wszystko, żeby znaleźć dla ciebie transport!

Decyzja Vereesy, by pozostać z nim przez ten czas, ucieszyła go, ale mógł sobie poradzić bez rycerzy Srebrnej Dłoni.

- Dziękuję ci, panie, lecz wielu ludzi jest tutaj w potrzebie. Czy nie byłoby lepiej, gdyby twój zakon pomógł dobrym ludziom z Hasic powrócić do normalnego życia?

Przez krótką chwilę Rhonin myślał, że udało mu się pozbyć starszego wojownika, jednak po zastanowieniu się Duncan ogłosił - Twe słowa po raz pierwszy dobrze o tobie świadczą, czarodzieju, jednak sądzę, że istnieje sposób, by i twoja misja, i Hasic skorzystały z naszej obecności. Moi ludzie pomogą mieszkańcom Hasic w odbudowie, zaś ja osobiście

sprawdzą, czy nie uda się nam znaleźć łodzi dla ciebie! To chyba dobre rozwiązanie, prawda?

Rhonin, pokonany, tylko pokiwał głową. Vereesa zareagowała znacznie przytomniej.

- Twoje wsparcie będzie bezcenne, Duncanie. Dziękuję.

Po tym jak paladyn rozesłał innych rycerzy do pomocy w mieście, on, Rhonin i łowczynie zastanawiali się przez chwilę, jak najlepiej prowadzić poszukiwania. Wkrótce zgodzili się, że jeśli się rozdziela, będą w stanie odwiedzić więcej miejsc. Wszyscy troje mieli spotkać się w porze wieczornego posiłku, by przedyskutować możliwości. Lord Senturus wyraźnie wątpił, czy któreś z nich odniesie sukces, ale jego obowiązki wobec Lordaeron i Sojuszu (a być może również zadurzenie w Vereesie) wymagały, żeby wypełnił swoją część zadania.

Rhonin przeszukiwał północną część portu w poszukiwaniu jakiegokolwiek łodzi większej od szalupy, ale smoki były dokładne. Dzień chylił się ku zachodowi, a on jeszcze nic nie znalazł. Doszło w końcu do sytuacji, w której czarodziej nie był pewien, co martwiło go bardziej - niemożność znalezienia środka transportu, czy też obawa, że to właśnie „wspaniały” rycerz znajdzie odpowiedź na kłopoty Rhonina.

Istniały sposoby, dzięki którym czarodziej był w stanie pokonywać duże odległości, ale jedynie podobni do legendarnego i przeklętego Medivha korzystali z nich z pewnością siebie. Nawet jeśli Rhoninowi udałoby się rzucić odpowiednie zaklęcie, ryzykował nie tylko wykrycie przez każdego orczego warlocka, ale również niespodziewane znalezienie się w zupełnie nieoczekiwanym miejscu, wywołane przez emanacje regionu, gdzie znajdował się Mroczny Portal. Rhonin wolał nie ryzykować materializacji nad aktywnym wulkanem. W jaki jednak inny sposób mógłby odbyć swoją podróż?

On zastanawiał się nad odpowiedzią, a Hasic wracało do normalności. Kobiety i dzieci zbierały pozostałości statków, które morze wyrzuciło na brzeg portu, ratowały to, co nadawało się jeszcze do użytku, a resztę odkładały na bok, do późniejszego wykorzystania. Specjalny oddział straży miejskiej szedł wzdłuż brzegu, wypatrując unoszonych przez wodę ciał marynarzy, którzy utonęli wraz ze statkami. Niewielu ludzi patrzyło na poważnego, ciemno odzianego maga, który chodził między nimi. Niektórzy rodzice przyciągali do siebie dzieci, kiedy ich mijał. Od czasu do czasu Rhonin natykał się na oskarżające spojrzenia, jakby to on w jakiś sposób ponosił winę za ten straszliwy atak. Nawet w tak trudnych warunkach prości ludzie nie mogli zapomnieć o uprzedzeniach i obawach związanych z jego rodzajem.

Nad nim przeleciała para gryfów, krasnoludy najwyraźniej wypatrywały kolejnego ataku. Rhonin wątpił jednak, by w okolicy pojawiły się jakiegokolwiek smoki, gdyż ostatnia napaść zbyt wiele orki kosztowała. Falstad i jego towarzysze lepiej przydaliby się w porcie,

gdyby wylądowali i zaczęli pomagać tym, którzy przeżyli, lecz zmęczony mag podejrzewał, że krasnoludy, najmniej przyjaźni z sojuszników Lordaeron, wolały pozostać w górze i w izolacji. Gdyby podać im dobry powód, pewnie opuściliby Hasic, zamiast... . Dobry powód?

- Oczywiście - mruknął Rhonin.

Patrzył, jak dwa stwory i ich jeźdźcy lądują na południowym wschodzie. Któż inny jak nie krasnoludy mógł uznać jego ofertę za kuszącą? Któż inny byłby na tyle szalony?

Nie zwracając zupełnie uwagi na to, że robi z siebie przedstawienie, Rhonin pobiegł za oddalającymi się postaciami.

* * *

Vereesa opuściła najbardziej wysuniętą na południe część doków z niesmakiem. Nie tylko nie miała szczęścia, ale do tego z wszystkich ludzkich osad, jakie odwiedziła, Hasic śmierdziało najbardziej. Nie miało to wiele wspólnego z napaścią czy nawet odorem ryb. Hasic po prostu śmierdziało. Większość ludzi miała słaby węch, ci tutaj nie mieli go wcale.

Vereesa chciała wynieść się z tego miejsca i powrócić do swojego ludu, gdzie zostałyby jej wyznaczone poważniejsze zadanie. Dopóki jednak nie była pewna, że zrobiła dla Rhonina wszystko, co w jej mocy, łowczym nie mogła z czystym sumieniem odejść. Z drugiej jednak strony nie widziała żadnego sposobu, w jaki czarodziej mógłby kontynuować swoją misję, która, Vereesa była tego najzupełniej pewna, obejmowała coś więcej niż tylko obserwację. Rhonin był zbyt zdeterminowany jak na tak mało znaczące zadanie. Nie, czarodziej planował coś innego.

Gdyby tylko wiedziała co...

Szybko zbliżała się pora wieczornego posiłku. Nie widząc żadnej nadziei, łowczyni powędrowała w głąb lądu, zagłębiając się w śmierdzące ulice i uliczki. Z Hasic do najbliższych sąsiadów, szczególnie Hillsbrad i Southshore, prowadziły szlaki lądowe. Choć dotarcie do któregośkolwiek z nich zajęłoby ponad tydzień, być może była to jedyna szansa.

- A cóż to, moja nadobna elfia dama!

Z początku Vereesa spojrzała w złą stronę, przekonana, że to jeden z ludzi odezwał się do niej, po krótkiej chwili przypomniała sobie jednak, kto ostatnio zwracał się do niej w taki sposób. Elfka obróciła się nieco w prawo i skierowała spojrzenie w dół, gdzie ujrzała Falstada w całej swojej niewysokiej chwale. Oczy dzikiego krasnoluda błyszczały, a na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. Na jednym ramieniu niósł wór, a na drugim swój potężny młot. Waga każdego z nich przygięłaby do ziemi niejednego elfa czy człowieka, lecz Falstad niósł oba zupełnie bez trudu, co było typowe dla jego rasy.

- Pan Falstad. Przyjmij me powitanie.

- Proszę! Przyjaciele mówią do mnie Falstad! Nie jestem panem niczego poza swoim cudownym losem!

- A do mnie przyjaciele mówią po prostu Vereesa.

Mimo iż krasnolud miał najwyraźniej bardzo wysokie mniemanie o sobie, to jednak coś w jego zachowaniu sprawiało, że trudno było go nie lubić, choć nie aż tak bardzo, jak Falstad miał pewnie nadzieję. Nie próbował ukryć swojego zainteresowania, a jego spojrzenie od czasu do czasu wędrowało poniżej jej twarzy. Łowczyni uznała, że musi od razu się tym zająć.

- I pozostają moimi przyjaciółmi tak długo, jak długo odnoszą się do mnie z szacunkiem, podobnie jak ja odnoszę się z szacunkiem do nich.

Falstad natychmiast przeniósł spojrzenie ciemnych oczu w górę, ale poza tym udawał, że jest niewinny.

- Jak idą poszukiwania czegoś, w czym czarodziej mógłby się znaleźć na morzu, elfia panienko? Nie za dobrze, jak zgaduję, nie za dobrze!

- Nie, nie za dobrze. Wygląda na to, że wszystkie statki, które nie zostały zniszczone, natychmiast wypłynęły w poszukiwaniu bezpieczniejszych przystani. Hasic jako port nie spełnia swojej funkcji...

- Szkoda, szkoda! Może przedyskutujemy to nad butelką dobrego trunku! Co na to powiesz?

Powstrzymała lekki uśmiech, który wywołała w niej jego jowialna wytrwałość.

- Może innym razem. Wciąż mam zadanie do spełnienia, a ty... - Vereesa wskazała na wór - ... chyba masz swoje.

- Ta sakiewka? - Z łatwością podrzucił ciężki wór. - Odrobina zapasów, wystarczy nam do chwili, kiedy opuścimy to ludzkie miasto. Muszę tylko oddać je Molokowi, a potem ty i ja będziemy mogli ruszyć do...

Vereesa nie zdążyła wypowiedzieć grzecznej, jednak bardziej dosadnej odmowy, o której pomyślała, gdyż jej uwagę, podobnie jak Falstada, odwrócił pobliski gniewny skrzek gryfa i następujące po nim odgłosy kłótni. Krasnolud bez słowa odwrócił się od niej, upuścił na ziemię wór i chwycił młot burzy. Poruszał się z niesamowitą prędkością, jak na kogoś o takim wzroście i budowie, a choć Vereesa natychmiast podążyła za nim, Falstad zdążył już przejść połowę ulicy.

Vereesa wyciągnęła swój miecz i przyspieszyła kroku. Głosy stawały się coraz mocniejsze, coraz bardziej natarczywe. Elfka miała nieprzyjemne uczucie, że jeden z nich

należy do Rhonina.

Ulica doprowadziła ją szybko do jednej z otwartych przestrzeni powstałych w wyniku ataku. Tam kilku jeźdźców gryfów oczekiwało na swojego dowódcę i tam najwyraźniej czarodziej zdecydował się zaczepić ich z jakiegoś trudnego do Zrozumienia powodu. Magów często nazywano wariatami, ale Rhonin musiał być jednym z bardziej szalonych, skoro uznał, że może bezpiecznie kłócić się z dzikimi krasnoludami.

A jeden z nich zdążył już chwycić maga za szatę i unieść ponad stopę nad ziemię.

- Powiedziałem, zostaw nas, nieczysty! Jeśli twe uszy nie działają, to równie dobrze mogę ci je wyrwać!

- Molok! - krzyknął Falstad. - Co zrobił ten czarodziej, że cię to tak rozwścieczyło?

Drugi krasnolud, który mógł być bliźniakiem Falstada, gdyby nie blizny na nosie i mniej wesołe rysy twarzy, obrócił się do swego dowódcy, nie wypuszczając jednak czarodzieja z rąk.

- Ten tutaj poszedł za Tupanem i innymi, najpierw do obozu, a kiedy Tupan mu odmówił i odleciał, udał się za nim w miejsce, gdzie zgodziliśmy się spotkać! Trzy razy kazałem mu się wynosić, ale ludzie nigdy nie zwracają na nic uwagi! Pomyślałem, że może zwróci ją, kiedy podniosę go w górę i z tej wysokości będzie mógł się wszystkiemu przyjrzeć!

- Czarodzieje... - mruknął dowódca. - Przyjmij moje wyrazy współczucia, elfia panienko!

- Każ swojemu towarzyszowi postawić go na ziemi albo będę musiała mu udowodnić wyższość dobrego elfiego miecza nad jego młotem.

Falstad odwrócił się i zamrugał. Patrzył na łowczynię, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Jego spojrzenie przeniosło się na gładkie, błyszczące ostrze, a później na zwięzione, zdeterminowane oczy.

- Zrobiłabyś to, prawda? Broniłabyś tego człowieczka przed tymi, którzy byli przyjaciółmi twojego ludu w czasach, zanim jeszcze pojawili się ludzie!

- Nie musi mnie bronić - zabrzmiał głos Rhonina. Wiszący mag wyglądał bardziej na zezłoszczonego niż na przerażonego. Może nie uświadamiał sobie, że Molok mógłby mu z łatwością złamać kręgosłup. - Do tej pory kontrolowałem swoje nerwy, ale...

Cokolwiek by w tym momencie powiedział, z pewnością doprowadziłoby do bijatyki. Vereesa natychmiast zareagowała, przerwała Rhoninowi machnięciem ręki i ustawiła się między Falstadem a Molokiem.

- To wszystko jest godne potępienia! Horda nie została jeszcze zniszczona, a już skaczymy sobie do gardeł. Czy tak powinni zachowywać się sojusznicy? Niech twój

wojownik uwolni go, Falstadzie, a wtedy zobaczymy, czy nie da się tego wszystkiego rozwiązać, rozmawiając, a nie walcząc.

- To tylko czarodziej... - mruknął dowódca gryfów, ale mimo to skinął głową, dając znak Molokowi, by wypuścił Rhonina.

Drugi krasnolud zrobił to, choć niechętnie. Rhonin obciągnął szatę i przycesał palcami włosy. Jego twarz była bez wyrazu. Vereesa modliła się, żeby zachował spokój.

- Co się tu zdarzyło? - zapytała go.

- Pragnąłem złożyć im pewną propozycję. To, że zareagowali w taki sposób, pokazuje, jak barbarzyńskie...

- Chciał, żebyśmy polecieeli z nim do Khaz Modan! - warknął Molok.

- Jeźdźcy gryfów? - Vereesa mogła tylko podziwiać odwagę Rhonina, jeśli nie jego lekkomyślność. Przelecieć nad morzem na grzbiecie jednej z bestii, i to nie jako jeździec, lecz ktoś zmuszony trzymać się krasnoluda? Misja Rhonina musiała być o wiele ważniejsza niż to, o czym im mówił, skoro czarodziej próbował przekonać Moloka i innych do zrobienia czegoś takiego! Nic dziwnego, że uznali go za szaleńca.

- Myślałem, że mają odpowiednie umiejętności i że są odważni. Jak widać się myliłem. Falstad poczuł się obrażony.

- Jeśli twe słowa świadczą, że uważasz nas za tchórzy, człowieku, to sam zrobię to, przed czym powstrzymałem Moloka! Nie ma odważniejszych i bardziej mocnych wojowników niż krasnoludy ze Szczytów Aerie! Nie obawiamy się orków ani smoków z Grim Batol, lecz nie chcemy stykać się z twoim rodzajem dłużej niż to konieczne!

Vereesa oczekiwała wybuchu wściekłości ze strony swojego podopiecznego, jednak Rhonin tylko zacisnął usta, jakby spodziewał się, że taka właśnie będzie reakcja Falstada. Przypominając sobie własne opinie i komentarze na temat czarodziejów, łowczyni zrozumiała, że Rhonin musiał przez całe życie znosić takie potępienie.

- Wypełniam misję dla Lordaeron - odrzekł mag. - Tylko to powinno się liczyć, ale widzę, że tak nie jest. - Odwrócił się plecami do krasnoludów i zaczął iść.

Wciąż ściskając mocno miecz, Vereesa podjęła szybką, choć rozpaczliwą decyzję. Wynikła ona z jej podejrzeń dotyczących tak zwanej misji obserwacyjnej.

- Zaczekaj, magu!

Zatrzymał się, najwyraźniej zdziwiony jej nagłym okrzykiem. Łowczyni jednak nie zwróciła się do niego, lecz do dowódcy jeźdźców gryfów.

- Falstadzie, czy nie ma możliwości, żebyście zabrali nas i jak najbliżej Grim Batol? Jeśli nie, to ja i Rhonin nie mamy żadnych szans!

Krasnolud miał zakłopotaną minę.

- Myślałem, że czarodziej podróżuje sam.

Spojrzała na niego znacząco. Miała tylko nadzieję, że Rhonin, który przyglądał się jej uważnie, nie zrozumie jej opacznie.

- A jakie będzie miał szansę przeżycia, gdy natknie się na mocne topory orków? Z jednym czy dwoma może sobie poradzić przy pomocy zaklęć, ale jeśli go otoczą, będzie potrzebował silnego ramienia z mieczem.

Falstad przyglądał się, jak porusza ostrzem, a z jego twarzy zniknęło zakłopotanie.

- Ano, a jest to dobre ramię! - Krasnolud zerknął na Rhonina, a później na swoich ludzi. Szarpał swoją długą brodę, a jego spojrzenie powróciło do Vereesy. - Dla niego nie zrobiłbym wiele, ale dla ciebie... i Sojuszu Lordaeron, ma się rozumieć... zrobię to z radością. Molok!

- Falstad! Nie możesz mówić poważnie... Dowódca podszedł do niechętnego Moloka i przyjaźnie otoczył go ramieniem.

- To dla dobra wojny, bracie! Pomyśl tylko o odwadze, jaką będziemy mogli się chwalić! Może nawet uda się nam po drodze zabić smoka albo dwa i dodać ich do naszych szlachetnych kronik, co?

Molok, tylko w niewielkim stopniu ułagodzony, w końcu pokiwał głową, mrużąc - A ty oczywiście będziesz niósł damę za sobą?

- Elfy są naszymi najstarszymi sojusznikami, a ja jestem dowódcą oddziału! Wymaga tego moja ranga, prawda, bracie?

Tym razem Molok tylko pokiwał głową. Jego naburmuszona twarz mówiła wszystko.

- Cudownie! - ryknął Falstad. Odwrócił się do Vereesy. - Raz jeszcze krasnoludy ze Szczytów Aerie przybywają ni ratunek! Trzeba to opić dzbankiem ale albo dwoma, co?

Pozostałe krasnoludy, nawet Molok, najwyraźniej ucieszył się z tej sugestii. Łowczyni widziała, że Rhonin wolałby teraz odejść, ale nie powiedział tego na głos. Vereesa znalazła mu transport do wybrzeży Khaz Modan, a może nawet do samego Grim Batol, wypadało więc, żeby okazał wdzięczność wszystkim zainteresowanym. Oczywiście Falstad i inni z chęcią pozbyliby się Rhonina, ale Vereesa w duchu dziękowała niebiosom, że będzie miała do rozmowy kogoś więcej niż tylko jeźdźców gryfów.

- Z chęcią się do was przyłączymy - odpowiedziała w końcu. - Prawda, Rhoninie?

- Oczywiście. - W jego głosie zabrzmiał cały entuzjazm kogoś, kto odkrył coś wyjątkowo śmierdzącego w bucie, który właśnie założył.

- Wspaniale! - Falstad nawet nie spojrzał na czarodzieja. Odezwał się do Vereesy -

Dzik Morski jest wciąż nietknięty, a jego właściciele bardzo doceniają interesy, które robili z nami w przeszłości! Dla nas powinni znaleźć kilka beczulek z alei Chodźcie!

Z radością sam zaprowadziłby elfkę, ale ta zgrabnie wysunęła się z jego objęć. Falstad, w tej chwili pewnie bardziej zainteresowany piwem niż elfami, wydawał się nie zwracać na to uwagi. Machając do swoich ludzi, poprowadził ich w stronę ulubionej tawerny.

Rhonin podszedł do niej, ale kiedy próbowała podążyć za krasnoludami, odciągnął ją na bok. Jego twarz była zachmurzona.

- Co ty sobie myślisz? - wyszeptał czerwonołłosy mag. - Tylko ja udaję się do Khaz Modan!

- Nigdy nie miałbyś możliwości się tam dostać, gdybym nie powiedziała, że idę z tobą. Widziałeś, jak wcześniej zareagowały krasnoludy.

- Nawet nie wiesz, w co się pakujesz, Vereeso! Gwałtownie zbliżyła swoją twarz na kilka cali do niego.

- Więc o co chodzi? O więcej niż tylko obserwację Grim Batol. Coś masz w planach, prawda?

Rhonin wydawał się gotów, by jej odpowiedzieć, jednak w tym momencie zawołała do nich kolejna postać. Spojrzeli w jej stronę i rozpoznali zbliżającego się Duncana Senturusa.

Nagle elfce przyszła do głowy pewna myśl. Nie pomyślała o paladynie, kiedy usiłowała przekonać Falstada, by zabrał ją i Rhonina za morze. Dość dobrze znając rycerzy, Vereesa miała paskudne uczucie, że on też będzie nalegał, by polecieć z nimi.

Ta myśl nie pojawiła się jeszcze w głowie czarodzieja, którego gniew wciąż koncentrował się na łowczyńi.

- Porozmawiamy o tym w bardziej sprzyjających warunkach, Vereeso, ale powiem ci od razu - kiedy dotrzemy do brzegów Khaz Modan, ja i tylko ja podążę dalej! Ty wrócisz z naszym przyjacielem Falstadem... a jeśli myślisz o pójściu dalej...

Jego oczy zapłonęły. Dosłownie. Nawet elfka o stalowych nerwach mogła się tylko cofnąć.

- ... sam odeślę cię z powrotem!

OSIEM

Otaczali Grim Batol. Nekros wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Od momentu katastrofalnej porażki Młota Zagłady i większej części Hordy, zaczął liczyć dni, jakie pozostały do chwili, kiedy triumfujący ludzie i ich sojusznicy pomaszerują na to, co pozostało z orczej domeny w Khaz Modan. Oczywiście Sojusz Lordaeron musiał walczyć zębami i pazurami o każdy cal ziemi, ale w końcu im się to udało. Nekros prawie mógł sobie wyobrazić armie zebrane na granicach.

Jednak przed atakiem ludzie mieli nadzieję jeszcze bardziej osłabić orki. Jeśli mógł zaufać słowom Krylla, a goblin tym razem nie miał powodów, by kłamać, to istniał spisek mający na celu uwolnienie lub zniszczenie królowej smoków. Goblin nie był w stanie powiedzieć, ilu ludzi wysłano z tą misją, ale Nekros wyobrażał sobie, że tak znacząca operacja, w połączeniu z informacjami o aktywności militarnej na północnym zachodzie, będzie wymagać co najmniej pułku wybranych rycerzy i łowców. Bez wątplenia będą z nimi czarodzieje, i to potężni.

Ork uniósł talizman. Nawet Dusza Demona nie pozwoli mu obronić kryjówki, a nie mógł się spodziewać pomocy od swojego wodza. Zuluhed i jego wojownicy przygotowywali się do odparcia oczekiwanego ataku na północy. Kilku pomniejszych akolitów pilnowało granic na południu i zachodzie, ale Nekros nie miał do nich więcej zaufania niż do zdrowych zmysłów Krylla. Nie, jak zwykle cała odpowiedzialność spoczywała na okaleczonym orku i to on musiał podejmować decyzje.

Pokuśtykał przez kamienne korytarze aż doszedł do kwatery jeźdźców smoków. Pozostało niewielu weteranów, jednak jeden z nich, któremu Nekros ufał, wciąż przewodził każdej bitwie.

Większość potężnych wojowników tłoczyła się wokół głównego stołu w pomieszczeniu, w miejscu gdzie omawiali bitwy, jedli, pili i grali w kości. Oceniając po klekocie i zebranych tłumie, komuś właśnie dobrze szło w grze. Jeźdźcom nie spodoba się, kiedy im przerwie, ale Nekros nie miał innego wyboru.

- Torgus! Gdzie jest Torgus?

Kilku wojowników spojrzało w jego stronę, a niezadowolone chrząknięcia ostrzegały, że pożałuje, jeśli wtargnął bez powodu. Ork z drewnianą nogą odsłonił zęby, a jego czoło zmarszczyło się. Mimo utraty kończyny został wybrany na przywódcę i nikt, nawet jeźdźcy smoków, nie będzie go traktował inaczej.

- I co? Lepiej niech któryś z was się odezwie albo nakarmię wami królową smoków!

- Tutaj, Nekrosie...

Wielka postać wynurzyła się spomiędzy zebranych. Kiedy ork podniósł się do końca, okazało się, że jest o głowę wyższy niż pozostali. Twarz brzydka nawet jak na standardy ich rasy zwróciła się w stronę Nekrosa. Jeden kieł został odłamany, a obie strony płaskiej, niedźwiedziej twarzy ozdabiały blizny. Bary o połowę szersze niż te należące do starszego wojownika łączyły się z rękami grubymi jak zdrowa noga Nekrosa.

- Jestem tutaj...

Torgus podszedł do swojego zwierzchnika, a inni jeźdźcy z szacunkiem ustępowali mu z drogi. Torgus poruszał się energicznie i z ogromną pewnością siebie. Miał zresztą do tego prawo, gdyż jego smok wywoływał większy chaos, posłał na śmierć więcej gryfów i zmusił do panicznej ucieczki większe ludzkie siły niż którykolwiek z pozostałych smoków. Odznaki i medaliony od Młota Zagłady i Czarnej Ręki, nie wspominając już odznaczeń od pomniejszych przywódców klanów, takich jak Zuluhed, zwiisały na piersi z uprząży jego topora.

- Czego chcesz, stary? Jeszcze jedna siódemka i wyczyściłbym wszystkich pozostałych! Niech to lepiej będzie ważne!

- Chodzi o to, do czego byłeś przygotowywany! - warknął Nekros, zdecydowany, że nawet ten jeździec go nie upokorzy. - Chyba że teraz walczysz już tylko w kości?

Niektórzy z pozostałych jeźdźców zaczęli szeptać między sobą, ale Torgus wyglądał na zaintrygowanego.

- Misja specjalna? Coś lepszego niż przypalenie paru bezwartościowych ludzkich chłopów?

- Coś związanego z żołnierzami i może czarodziejem albo dwoma! Czy to bardziej ci się podoba? Czerwone, zwierzęce oczy zwęziły się.

- Powiedz mi więcej, stary...

Rhonin miał zapewniony transport do Khaz Modan. Ta świadomość powinna go radować, ale koszty wydawały się czarodziejowi zbyt wysokie. Już i tak nie podobało mu się, że musiał stykać się z krasnoludami, ale stwierdzenie Vereesy, że musi udać się z nim (oczywiście niezbędny podstęp, żeby Falstad w ogóle się zgodził), wywróciło jego plany do góry nogami. Kwestią najwyższej wagi było to, żeby udał się do Grim Batol sam - żadnych bezużytecznych towarzyszy, żadnego ryzyka drugiej katastrofy.

Żadnych trupów.

A żeby jeszcze pogorszyć sytuację, właśnie odkrył, że lord Duncan Senturus jakoś

przekonał niemożliwego do przekonania Falstada, żeby zabrał również i jego.

- To szaleństwo! - stwierdził Rhonin, nie po raz pierwszy zresztą. - Nie potrzebuję nikogo innego!

Jednak nawet teraz, kiedy jeźdźcy gryfów przygotowywali się do podróży na drugą stronę morza, nikt go nie słuchał. Rhonin podejrzewał nawet, że jeśli będzie dalej protestował, może zostać jedyną osobą, która nie polecą, obojętnie jak nonsensowne by to nie było. Sposób, w jaki ostatnio patrzył na niego Falstad...

Duncan spotkał się ze swoimi ludźmi i przekazał Rolandowi dowodzenie i rozkazy. Brodaty rycerz wręczył swemu młodszemu zastępcy coś przypominającego medalion. Rhonin nie zwróciłby na to większej uwagi - rycerze Srebrnej Dłoni mieli przecież tysiące rytuałów na różne mało znaczące okazje - gdyby Vereesa, która stanęła obok niego, nie wyszeptała - Duncan przekazał Rolandowi pieczęć władzy. Jeśli coś stanie się starszemu paladynowi, Roland na stałe zajmie jego miejsce w hierarchii. Rycerze Srebrnej Dłoni nie ryzykują.

Odwrócił się, by ją o coś zapytać, jednak już odeszła. Od czasu, gdy jej zagroził, zachowywała się bardziej formalnie. Rhonin nie chciał znaleźć się w sytuacji, w której musiałby zmuszać łowczynię do powrotu, jednak nie chciał również, by z powodu jego misji coś się jej przydarzyło. Nie chciał nawet, żeby coś strasznego przytrafiło się Duncanowi Senturusowi, choć paladyn miał prawdopodobnie większą szansę na przeżycie w Khaz Modan niż sam Rhonin.

- Czas lecieć - wykrzyknął Falstad. - Słońce już weszło i nawet starcy wstali i zaczęli wypełniać swe codzienne obowiązki! Czy w końcu jesteśmy gotowi?

- Już się przygotowałem - odrzekł Duncan z powagą.

- Ja również - szybko odpowiedział zdenerwowany czarodziej.

Rhonin nie chciał, żeby ktokolwiek uznał, że jest przyczyną jakiegoś opóźnienia. Gdyby było tak, jak on tego chciał, mag i jeden z jeźdźców wylecieliby poprzedniego wieczora, lecz Falstad utrzymywał, że zwierzęta potrzebowały całonocnego odpoczynku po trudach dnia... a co Falstad powiedział, dla krasnoludów było prawem.

- W takim razie wsiadajmy! - Jowialny krasnolud uśmiechnął się do Vereesy i wyciągnął do niej rękę. - Moja elfia panienko?

Uśmiechając się, stanęła obok niego przy gryfie. Rhonin z trudem utrzymywał na twarzy wyraz obojętności. Wolałby raczej, żeby leciała z którymś z dwóch pozostałych krasnoludów niż z Falstadem, ale gdyby wyraził to na głos, wyszedłby na głupca. Poza tym co go obchodziło, z kim leci elfka.

- Pośpiesz się, czarodzieju! - ponaglił go Molok. - Wolałbym mieć tę podróż za sobą!

Duncan, odziany tym razem w lżejszą zbroję, wsiadł na gryfa za jednym z pozostałych jeźdźców. Ponieważ był wojownikiem jak i one, krasnoludy szanowały go, nawet jeśli nie lubiły. Wiedziały, że rycerze zakonni doskonale walczą i prawdopodobnie dlatego Senturusowi było łatwiej przekonać jeźdźców, że powinni go zabrać.

- Trzymaj się mocno! - nakazał Molok Rhoninowi. - Albo skończysz jako pokarm dla ryb!

Po tych słowach krasnolud popędził gryfa do przodu... i w powietrze. Czarodziej trzymał się najmocniej, jak potrafił, a nieznanne dotąd uczucie serca w gardle nie pozwalało mu wierzyć w bezpieczeństwo takiej podróży. Rhonin nigdy wcześniej nie jeździł na gryfie, a gdy wielkie skrzydła zwierzęcia uderzały miarowo do góry i do dołu, do góry i do dołu, szybko stwierdził, że nigdy więcej tego nie zrobi, o ile w ogóle przeżyje. Z każdym uderzeniem skrzydeł pół-ptaka, pół-lwa, żołądek czarodzieja podskakiwał wraz z nimi. Gdyby istniał jakiś inny sposób podróży, Rhonin z radością by go wybrał.

Musiał jednak przyznać, że stworzenia latały wyjątkowo szybko. Po kilku minutach przestali widzieć nie tylko Hasic, ale i wybrzeże. Z pewnością nawet smoki nie mogłyby ich dogonić, choć były tylko niewiele wolniejsze. Rhonin przypomniał sobie, jak trzy mniejsze stwory krążyły wokół głowy czerwonego lewiatana. Był to niebezpieczny wyczyn nawet dla gryfów, i niewiele innych zwierząt byłoby w stanie tego dokonać.

Pod nimi morze poruszało się gwałtownie, fale unosiły się niebezpiecznie wysoko, a potem opadały bardzo, bardzo nisko. Niesione wiatrem drobinki wody kasały twarz Rhonina, zmuszając czarodzieja do zaciągnięcia kaptura, żeby choć trochę się przed nimi ochronić. Molokowi najwyraźniej nie przeszkadzały rozszalałe żywioły; wręcz przeciwnie, zdawał się nimi cieszyć.

- Jak... jak dużo czasu minie, zanim dotrzemy do Khaz Modan?

Krasnolud wzruszył ramionami.

- Kilkanaście godzin, człowieku! Więcej ci nie powiem!

Rhonin zatrzymał dla siebie swoje mroczne myśli. Skulił się i postanowił ignorować niewygody podróży na tyle, na ile było to możliwe. Świadomość, że pod nim znajdowało się tak dużo wody, denerwowała go bardziej, niż się spodziewał. Między Hasic a Khaz Modan jedynie zniszczone wyspiarskie królestwo Tol Barad przerywało monotonię morza, a Falstad już zapowiedział, że nie będą tam lądować. Wyspa została zdobyta przez Hordę na początku wojny, a jej krwawe zwycięstwo przetrwały tylko chwasty i owady. Tol Barad wydawało się na odległość promieniować śmiercią, więc nawet czarodziej nie kłócił się z decyzją krasnoluda.

Byli coraz dalej od brzegu. Rhonin od czasu do czasu odważył się spojrzeć na swoich towarzyszy. Duncan oczywiście wydawał się obojętny na furie żywiołów, siedział wyprostowany, nie zwracając zupełnie uwagi na wodę rozpryskującą się na jego twarzy. Po Vereesie przynajmniej było widać, że nie podoba się jej ten wariacki sposób podróżowania. Podobnie jak mag, przez większą część czasu głowę miała opuszczoną, a długie srebrne włosy wcisnęła pod kaptur podróżnego płaszcza. Przyciskała się mocno do Falstada, który, na oko Rhonina, bardzo cieszył się z jej niewygody.

Żołądek Rhonina w końcu nieco się uspokoił. Mag spojrział na słońce i ocenił, że znajdowali się w powietrzu już od jakichś pięciu godzin. Przy prędkości, z jaką latały gryfy, musieli już przebyć połowę drogi. W końcu przerwał ciszę i zapytał Moloka, czy tak jest.

- Pół drogi? - Krasnolud roześmiał się. - Jeszcze dwie godziny i powinniśmy zobaczyć skały Khaz Modan! Pół drogi? Ha!

Dobre wieści, bardziej nawet niż nagły przyływ dobrego humoru towarzysza, sprawiły, że Rhonin się uśmiechnął. Już przeżył prawie trzy czwarte podróży. Jeszcze tylko trochę ponad dwie godziny i dotknie stopami stałego lądu. Wreszcie udało mu się posunąć do przodu i żadna katastrofa nie spowolniła jego podróży.

- Czy znasz tam jakieś miejsce do lądowania?

- Całe mnóstwo! Nie bój się! Wkrótce się ciebie pozbędziemy! Mam tylko nadzieję, że nie zacznie padać, zanim tam dotrzemy!

Rhonin spojrział w górę i przyjrzał się chmurom, które powstały w ciągu ostatniej pół godziny. Mogły być chmurami deszczowymi, ale podejrzewał, że jeśli rzeczywiście tak jest, i tak zdążą wylądować, zanim się rozpadą. Teraz musiał się tylko zastanowić, jak najlepiej dotrzeć do Grim Batol, kiedy inni powrócą do Lordaeron.

Rhonin dobrze wiedział, jak szalony wydawałby się innym jego plan, gdyby dowiedzieli się prawdy. Ponownie pomyślał o duchach, które go nawiedzały, upiorach przeszłości. To byli jego prawdziwi towarzysze w tej szalonej misji, furie, które popychały go do działania. Zobaczają, jak odniesie sukces albo zginie w trakcie.

Zginie w trakcie. Nie po raz pierwszy od śmierci towarzyszy zastanawiał się, czy nie byłoby to najlepsze rozwiązanie. Może wówczas Rhonin oczyściłby się w swoich oczach, jeśli nie w oczach duchów.

Najpierw jednak musi dotrzeć do Grim Batol.

- Popatrz tam, czarodzieju!

Rhonin podskoczył, gdyż w pewnej chwili przysnął. Spojrział przez ramię Moloka w stronę, w którą wskazywał krasnolud. Z początku czarodziej nie widział nic, gdyż oczy mu

łzawiły od unoszącej się w powietrzu słonej wody. Kiedy jednak jego wzrok wyostrzył się, ujrzał dwie ciemne plamki na horyzoncie.

- Czy to ziemia?

- Ano, czarodzieju! Pierwsze znaki Khaz Modan.

Tak blisko! Rhonin poczuł przypływ entuzjazmu i nowej energii, gdy uświadomił sobie, że udało mu się przespać ostatnią część podróży. Khaz Modan! Niezależnie od tego, jak niebezpieczna będzie dalsza podróż, przynajmniej udało mu się dotrzeć tak daleko. Przy prędkości, z jaką latały gryfy, nie minie wiele czasu i dotkną...

Jego uwagę przyciągnęły dwie nowe plamki, dwie plamki na niebie, które poruszały się i rosły, jak gdyby zbliżały się do nich.

- Co to? Co się do nas zbliża?

Molok pochylił się do przodu i zmrużył oczy.

- Na spękane lodowe klify Northeron! Smoki! Dwa! Smoki...

- Czerwone?

- Czy kolor nieba coś znaczy? Smok to smok, a one, na moją brodę, zbliżają się szybko!

Spojrzawszy w stronę pozostałych jeźdźców gryfów, Rhonin doszedł do wniosku, że Falstad i inni również zauważyli smoki. Krasnoludy natychmiast zaczęły zmieniać swój szyk. Rozciągnęły się, żeby przedstawiać sobą mniejsze, trudniejsze cele. Czarodziej zauważył, że Falstad skierował się do tyłu, prawdopodobnie dlatego, że leciała z nim Vereesa. Z drugiej strony gryf niosący Duncana Senturusa popędził do przodu, wyprzedzając resztę grupy.

Smoki także miały swoją strategię. Większy uniósł się wyżej, po czym oddalił się od mniejszego. Rhonin natychmiast domyślił się, że dwa lewiatany chciały zmusić gryfy do znalezienia się pomiędzy nimi, gdzie łatwiej byłoby im wyłapywać mniejsze stwory i ich jeźdźców.

Skulone postacie na grzbietach smoków okazały się być dwoma największymi i najbardziej zwierzęcymi orkami, jakie mag kiedykolwiek widział. Ten na grzbiecie większego behemota wyglądał na przywódcę. Machnął toporem w stronę drugiego orka, którego bestia natychmiast popędziła w przeciwnym kierunku.

- Dobrzy jeźdźcy! - wykrzyknął Molok z aż za dużą dozą entuzjazmu. - To będzie wspaniała bitwa!

I taka, w której Rhonin z łatwością może stracić życie, choć właśnie mu się wydawało, że wreszcie będzie miał szansę kontynuować swoją misję.

- Nie możemy z nimi walczyć! Muszę dotrzeć do brzegu! Usłyszał, jak Molok chrząka

z frustracją - Moje miejsce jest w bitwie!

- Moja misja jest ważniejsza!

Przez chwilę obawiał się, że krasnolud może go po prostu zrzucić z grzbietu gryfa. W końcu Molok z dużą niechęcią

pokiwał głową i zawołał - Zrobię, co będę mógł, czarodzieju! Jeśli pojawi się luka, spróbujemy dotrzeć do brzegu! Tam cię zostawię i będzie to koniec naszych kontaktów!

- Zgoda!

Nie odzywali się więcej, gdyż w tej chwili zetknęły się dwie przeciwstawne siły. Szybsze i zgrabniejsze gryfy latały wokół smoków, szybko doprowadzając do frustracji mniejszego z nich. Jednak te, które niosły Rhonina i pozostałych, były obciążone bardziej niż zwykle i nie mogły tak szybko manewrować. Potężna łapa z ostrymi jak brzytwa pazurami niemal schwyciła Falstada i Vereesę, a skrzydło prawie uderzyło Duncana i krasnoluda. Paladyn i jego towarzysz nadal lecieli stanowczo za blisko, jakby próbowali zaangażować smoka w jakąś dziwną walkę wręcz.

Molok z pewnym trudem wyciągnął swój młot burzy. Machał nim wokół głowy i wrzeszczał jak ktoś, kto właśnie podpalił sobie włosy. Rhonin miał nadzieję, że w gorącej bitwy krasnolud nie zapomni o swej obietnicy.

Z nieba opadł drugi smok, który nieszczęśliwie za swój cel obrał Falstada i Vereesę. Falstad popędzał gryfa, ale przy dodatkowym obciążeniu skrzydła stworza nie uderzały tak szybko. Wielki ork zachęcał swojego gadziego partnera morderczymi okrzykami i szaleńczym machaniem potężnym toporem.

Rhonin zazgrzytał zębami. Nie mógł tak po prostu pozwolić im zginąć, a szczególnie łowczyni.

- Molok, leć za tym wielkim! Musimy im pomóc! Choć krasnolud z radością by go usłuchał, przypomniał sobie wcześniejszy rozkaz.

- A co z twą cenną misją?

- Po prostu leć!

Na twarzy Moloka pojawił się szeroki uśmiech. Wrzasnął tak głośno, że Rhonina aż przeszedł dreszcz, po czym skierował gryfa w stronę smoka.

Siedzący za nim Rhonin przygotowywał zakłęcie. Mieli tylko kilka chwil, zanim szkarłatny lewiatan dosięgnie Vereesę...

Gryf Falstada skręcił gwałtownie, co zaskoczyło orka. Potężny behemot minął ich, gdyż nie był tak zwrotny jak mniejszy przeciwnik.

- Trzymaj się mocno, czarodzieju!

Gryf Moloka opadł niemal prosto w dół. Rhoninowi z trudem udało się powstrzymać obezwładniającą panikę, mimo to powtórzył w myślach ostatnią część zaklęcia. Jeśli uda mu się złapać oddech na tyle, żeby je wypowiedzieć...

Krasnolud wydał okrzyk wojenny, który przyciągnął uwagę orka. Groteskowa postać zmarszczyła czoło i obróciła się w stronę nowego przeciwnika.

Młot burzy na chwilę zetknął się z toporem.

Deszcz iskier sprawił, że czarodziej niemal stracił uchwyt. Gryf skrzeknął z zaskoczenia i bólu. Molok prawie wypadł z siodła.

Ich wierzchowiec zareagował najszybciej, unosząc się w niebo, niemal na wysokość gęstniejących chmur. Molok poprawił się w siodle.

- Na Aerie! Widziałeś to? Niewiele broni i niewielu wojowników może wytrzymać uderzenie młota burzy! To będzie wspaniały pojedynek!

- Pozwól mi najpierw coś wypróbować! Twarz krasnoluda nachmurzyła się.

- Magia? A gdzie w niej honor i odwaga?

- Jak możesz walczyć z orkiem, jeśli smok cię do niego nie dopuści? Raz mieliśmy szczęście!

- Zgoda! Dopóki nie ukradniesz mi bitwy!

Rhonin nic nie obiecywał, gdyż miał dokładnie na to nadzieję. Wpatrywał się w smoka, który szybko poleciał za nimi w górę, szepcząc słowa mocy. W ostatniej chwili czarodziej spojrział w górę na chmury.

Pojedyncza błyskawica uderzyła podążającego za nimi olbrzyma.

Trafiła prosto w smoka, jednak efekty nie dorównywały nadziejom Rhonina. Smok zaświecił się od koniuszka skrzydła do koniuszka skrzydła i zaskrzeczał wściekle, ale nie spadł z nieba. Nawet ork, który niewątpliwie bardziej ucierpiał, tylko przez chwilę skulił się w siodle.

Rozczarowany czarodziej pocieszał się tylko, że przynajmniej ogłuszył potwora. Doszedł również do wniosku, że ani on, ani Vereesa nie byli w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Smok z trudem utrzymywał się w powietrzu. Rhonin położył dłoń na ramieniu Moloka.

- Do brzegu! Szybko!

- Jesteś głupi, czarodzieju? A co z bitwą, o której mówiłeś...

- Teraz!

Molok niechętnie skierował gryfa w przeciwną stronę, prawdopodobnie dlatego, że chciał już się pozbyć uciążliwego ładunku, a nie dlatego, że mag miał nad nim jakąś władzę.

Zdenerwowany czarodziej rozglądał się wokół, szukając Vereesy. Nie widział nigdzie ani jej, ani Falstada. Rhonin zastanawiał się nad wydaniem kolejnego przeciwnego rozkazu, ale wiedział, że musiał w końcu dotrzeć do Khaz Modan. Z pewnością krasnoludy poradzą sobie z tą parą potworów...

Z pewnością.

Gryf Moloka już zaczął oddalać się od wroga. Rhonin ponownie zastanowił się nad odesłaniem ich z powrotem.

Przykrył ich potężny cień. Człowiek i krasnolud spojrzeli w górę z zaskoczeniem i konsternacją.

Drugi smok podkraść się do nich, kiedy byli zajęci.

Gryf próbował zrobić unik. Dzielnemu stworowi prawie się to udało, jednak pazury smoka zaczęły o jego prawe skrzydło. Lwiokształna istota rykiem wyraziła swe cierpienie, rozpaczliwie próbowała utrzymać się w powietrzu. Rhonin popatrzył w górę i zobaczył otwierającą się paszczę smoka. Potwór miał zamiar pożreć ich w całości.

Z tyłu do smoka podleciał drugi gryf, z Duncanem i jego krasnoludzkim towarzyszem na grzbiecie. Paladyn ustawił się w niewygodnej pozycji i najwyraźniej przekazywał krasnoludowi jakieś wskazówki. Rhonin nie miał pojęcia, co zamierzał zrobić rycerz, wiedział jedynie, że smok dotrze do nich, zanim czarodziej będzie w stanie rzucić odpowiednie zaklęcie.

Duncan Senturus skoczył.

- Bogowie i demony! - wykrzyknął Molok. Tym razem nawet dziki krasnolud był zaskoczony odwagą i szaleństwem innej istoty.

Dopiero po chwili Rhonin zrozumiał, czego pragnął dokonać paladyn. Ktoś inny po takim skoku popędziłby w dół ku swemu przeznaczeniu, jednak zręczny rycerz wylądował z niezwykłą dokładnością na szyi smoka. Chwycił ją mocno, zanim bestia i jeździec uświadomili sobie, co dokładnie się wydarzyło.

Ork uniósł topór i próbował uderzyć Senturusa w plecy, jednak nie trafił. Duncan poświęcił mu tylko jedno spojrzenie, po czym, zdawało się, zapomniał o swoim barbarzyńskim przeciwniku. Zamiast tego ruszył do przodu, z łatwością unikając niezgrabnych ataków smoka, który wściekle kłapał paszczą.

- On musi być szalony! - krzyknął Rhonin.

- Nie, czarodzieju, jest wojownikiem!

Rhonin nie rozumiał przytłumionego, pełnego szacunku głosu krasnoluda, dopóki nie zobaczył, jak Duncan, owinięty wokół szyi smoka, wyjmuje błyszczące ostrze. Za paladynem

ork powoli pełzył do przodu z morderczym błyskiem w oku.

- Musimy coś zrobić! Zbliźmy się!

- Za późno, człowieku! Czekają na niego epickie pieśni...

Smok nie próbował zrzucić Duncana, najwyraźniej bojąc się, że to samo może przytrafić się jeźdźcowi. Ork poruszał się pewniej niż rycerz i szybko znalazł się w zasięgu ciosu.

Duncan siedział na końcu szyi smoka. Uniósł swój długi miecz, najwyraźniej z zamiarem wbicia go w podstawę czaszki, gdzie stykała się z kręgosłupem.

Ork uderzył pierwszy.

Topór wbił się w plecy lorda Senturusa, przecinając cienką kolczugę, którą rycerz wybrał na podróż. Duncan nie krzyknął, lecz upadł do przodu, prawie gubiąc przy tym miecz. Z trudem udało mu się utrzymać. Paladyn wbił czubek miecza w wybrane miejsce, lecz szybko tracił siły.

Ork ponownie uniósł topór.

Rhonin rzucił pierwsze zaklęcie, jakie przyszło mu na myśl.

Błysk światła jaśniejszy niż słońce pojawił się przed oczami orka. Z okrzykiem zaskoczenia bestia straciła równowagę i upadła do tyłu, wypuszczając jednocześnie broń. Wojownik rozpaczliwie próbował znaleźć jakiś uchwyt, lecz nie udało mu się to. Z krzykiem spadł z szyi smoka.

Czarodziej natychmiast zwrócił zmartwione spojrzenie w stronę paladyna, który spoglądał na niego, jak wydawało się Rhoninowi, z mieszaniną wdzięczności i szacunku. Mimo iż czerwona plama na jego plecach robiła się coraz większa, to jednak Duncanowi udało się wyprostować. Uniósł rękojeść miecza najwyżej, jak potrafił.

Smok uświadomił sobie, że nie ma już powodu, by pozostawać bez ruchu i zaczął gwałtownie opadać.

Lord Duncan Senturus wbił ostrze głęboko w miękkie miejsce między szyją a czaszką. Zanurzyło się ono do połowy w ciele lewiatana.

Czerwony potwór zaczął się rzucać. Z rany wypłynęła jucha, tak gorąca, że poparzyła paladyna. Ten poślizgnął się i stracił równowagę.

- Do niego, do diabła! - nakazał Rhonin Molokowi. - Do niego!

Krasnolud usłuchał go, ale Rhonin wiedział, że nie dotrą do Duncana na czas. Po drugiej stronie widział innego gryfa, a na nim Falstada i Vereesę. Dowódca, mimo iż był tak bardzo obciążony, również próbował uratować paladyna.

Przez chwilę zdawało się, że im się to uda. Gryf Falstada zbliżył się do chwiejącego

się wojownika. Duncan spojrział w górę, w pierw na Rhonina, później na Falstada i Vereesę.

Potrząsnął głową... i upadł do przodu, zsuwając się ze skrzeczącego smoka.

- Nie!

Rhonin wyciągnął dłoń w stronę odległej postaci. Wiedział, że lord Senturus już nie żyje i że spada tylko jego trup, lecz widok ten przypomniawsł mu wszystkie wątpliwości i niepowodzenia związane z poprzednią misją. Jego obawy znalazły potwierdzenie; już utracił jednego z towarzyszy, nawet jeśli Duncan sam się wprosił.

- Uważaj!

Nagle ostrzeżenie Moloka wyrwało go z zamyślenia. Mag spojrzawsł w górę i zobaczył, że smok nadal się unosi mimo śmiertelnych drgawek, obracając się szaleńczo dookoła. Potężne skrzydła uderzały bez ładus i składu. Falstadowi z trudem udało się wydostać z zasięgu jednego, a Rhonin za późno uświadomił sobie, że razem z Molokiem nie unikną uderzenia drugiego.

- Podnoś się, przeklęta bestio! - ryczał Molok. - Podnoś...

Skrzydło uderzyło ich z całą mocą, wyrzucając maga w powietrze. Słyszał krzyki krasnoluda i skrzeki gryfa. Ogłuszony Rhonin ledwo uświadamiał sobie, że przez chwilę leci coraz wyżej w powietrze. Później jednak wygrała grawitacja i na wpół świadomy mag zaczął opadać... szybko.

Musiał rzucić zaklęcie. Jakiemkolwiek. Choć jednak próbował, nie mógł się skoncentrować na tyle, by przypomnieć sobie choć pierwsze słowa. Część jego umysłu wiedziała, że tym razem na pewno zginie.

Otoczyła go ciemność, jednak nie była ona naturalna. Rhonin zastanawiał się, czy przypadkiem nie traci przytomności. Jednak z ciemnością przyszedł również głęboki głos, który obudził w nim wspomnienia.

- Znów cię mam, maleńki! Nie bój się, nie bój się! Gadzia łapa, tak wielka, że Rhonin nawet jej nie wypełniał, otoczyła czarodzieja.

DZIEWIĘĆ

Duncan! - Za późno, moja elfia damo! - zawołał Falstad. - Twój mężczyzna już nie żyje, lecz pozostawił po sobie wspaniałą opowieść!

Vereesy nie obchodziły wspaniałe opowieści ani błędne założenie, że podziwiała lorda Senturusa bardziej niż w rzeczywistości. Liczyło się tylko, że zginął wspaniały człowiek, którego nie zdążyła nawet dobrze poznać. Oczywiście, podobnie jak Falstad, elfka od razu zrozumiała, że spadało tylko martwe ciało Duncana, jednak jego przerażająca śmierć poruszyła ją głęboko.

Vereesa znalazła pewne pocieszenie w fakcie, że Duncanowi udało się dokonać czegoś prawie niemożliwego. Śmiertelnie raniony smok szaleńczo machał skrzydłami. Próbował wydobyć ostrze z podstawy czaszki, jednak jego wysiłki nie przynosiły rezultatu, a on sam słabł coraz bardziej. Wkrótce przyłączy się do swojego zabójcy w głębinach morza.

Umierający smok nadal jednak pozostawał zagrożeniem. Prawie zaczepił skrzydłem ją i Falstada. Krasnolud skierował gryfa niżej, by uniknąć niekontrolowanych ruchów behemota. Vereesa trzymała się go mocno i nie była już w stanie myśleć o losie Duncana.

Drugi smok wciąż zagrażał gryfom. Falstad ponownie podleciał w górę na swoim wierzchowcu, aby uchronić ich przed uchwyceniem przez straszne szpony. Inny jeździec ledwo uniknął kłapiącej paszczy.

Nie mogli dłużej tam pozostać. Ork kierujący drugim smokiem najwyraźniej miał duże doświadczenie w powietrznej walce z gryfami. Prędzej czy później jego wierzchowiec pochwyti któregoś z krasnoludów. Vereesa nie chciała więcej śmierci.

- Falstad! Musimy uciekać!

- Dla ciebie bym to zrobił, elfia panienko, ale ta gadzina i jej pan mają najwyraźniej inne podejście do tej sprawy.

Faktycznie, smok sprawiał wrażenie skoncentrowanego na Vereesie i jej towarzyszu, prawdopodobnie na rozkaz orka. Być może zobaczył drugiego jeźdźca i uznał, że elfica jest kimś znacznym. Sama obecność dwóch behemotów wywołała wiele pytań w umyśle łowczyni - szczególnie, czy pojawiły się z powodu misji Rhonina. A jeśli tak, to on, a nie ona, powinien być celem ataku...

A gdzie był Rhonin? Gdy Falstad popędzał gryfa, a smok zbliżał się do nich, elfka rozejrzała się szybko dookoła. Ani śladu. Vereesa, zdenerwowana, spojrzała raz jeszcze. Nie tylko nie widziała maga, ale gdzieś zniknął też gryf, który go niósł.

- Falstad, nie mogę znaleźć Rhonina...

- Będziesz się tym później martwić! Teraz lepiej trzymaj się mocno!

Usłuchała go w ostatniej chwili. Nagle gryf zakręcił pod tak ostrym kątem, że gdyby elfka się zawahała, mogłaby zostać wyrzucona z siodła.

Szpony przebiły powietrze w miejscu, gdzie przed krótką chwilą znajdowała się razem z krasnoludem. Smok rykiem wyraził swoją frustrację i zawrócił.

- Przygotuj się do bitwy, moja elfia pani! Wygląda na to, że możemy nie mieć innego wyjścia!

Gdy krasnolud wyciągał swój młot burzy, elfka po raz kolejny przeklinała utratę łuku. Oczywiście miała miecz, lecz w przeciwieństwie do Duncana nie była gotowa na poświęcenie życia. Poza tym musiała się dowiedzieć, co stało się z Rhoninem. On pozostawał dla niej najważniejszy.

Ork już wyjął swój długi topór i teraz wymachiwał nim wokół głowy, wyrzaskując jakiś barbarzyński okrzyk wojenny. Falstad odpowiedział własnym gardłowym okrzykiem. Najwyraźniej aż palił się do walki, mimo wcześniejszej troski o Vereesę. Łowczyni nie miała nic do roboty, więc tylko trzymała się mocno i miała nadzieję, że krasnolud sobie poradzi.

Olbrzymia postać w kolorze nocy opadła pomiędzy walczących. Rzuciła się na szkarłatnego smoka, zaskakując jego i jego pana.

- Co na... - zdołał tylko wykrztusić Falstad.

Czarne skrzydła dwa razy szersze od tych należących do szkarłatnej bestii wypełniły pole widzenia Vereesy, a ich metalowy odbłask prawie ją oślepił. Potężny ryk, niby grzmot, przetoczył się po niebie, rozpraszając gryfy.

Ogromny smok kłapnął paszczą w stronę mniejszego, a jego ciemne, wąskie oczy spoglądały na wroga z pogardą. Czerwony lewiatan również ryknął, lecz najwyraźniej nie podobał mu się nowy przeciwnik.

- Może już być po nas, elfia panienko! To nikt inny, jak tylko sam mroczny!

Czarny goliat szeroko rozłożył skrzydła, a dźwięk wydostający się spomiędzy jego wielkich szczęk przypominał Vereesie ochrypy, złośliwy śmiech. Znow zauważyła metal - metalowe płyty - pokrywający większą część potężnego ciała przybysza. Naturalny smoczy pancerz trudno było przebić. Jakiego metalu użyłby taki stwór, żeby chronić swoje twarde łuski?

Odpowiedź przyszła szybko. Adamantium. Tylko ono było mocniejsze od niemal niezniszczalnych łusek, a tylko jeden potężny smok zdecydował się poddać takim torturom w imię mocy Jego.

- Skrzydła Śmierci... - wyszeptała. - Skrzydła Śmierci...

Pomiędzy elfami szeptano, że istniało pięć wielkich smoków, które reprezentowały pięć mocy magicznych i naturalnych. Niektórzy twierdzili, że czerwona Alexstrasza symbolizowała esencję życia. O innych niewiele było wiadomo, gdyż nawet przed nadejściem ludzi smoki żyły w ukryciu i oddaleniu. Elfy odczuwały ich wpływ, nawet od czasu do czasu miały z nimi kontakty, nigdy jednak starsze istoty nie wyjawiały im wszystkich sekretów.

Wśród smoków był jednak jeden, który dał się poznać wszystkim, który zawsze przypominał światu, że jego rodzaj panował przed wszystkimi innymi rasami. Choć naprawdę nosił inne imię, wiele stuleci wcześniej przyjął przydomek Skrzydła Śmierci, by lepiej pokazać swą pogardę i zamiary wobec otaczających go mniejszych istot. Nawet starsi ludu Vereesy nie udawali, że wiedzą, co kierowało hebanowym olbrzymem, który przez lata robił wszystko, co tylko mógł, żeby zniszczyć świat zbudowany przez elfy, krasnoludy i ludzi.

Elfy miały dla niego inne imię, wypowiedane tylko szeptem i tylko w starszym, niemal zapomnianym języku. Xaxas. Krótki tytuł o wielu znaczeniach, a wszystkich ponurych. Chaos. Furia. Ucieleśnienie rozszalałych żywiołów, jakimi są na przykład wybuchające wulkany czy niszczycielskie trzęsienia ziemi. Jeśli Alexstrasza reprezentowała moce życia, które spajały świat, to Skrzydła Śmierci symbolizował siły destrukcyjne, które wciąż próbowały go rozerwać na strzępy. Teraz jednak unosił się przed nimi, najwyraźniej próbując obronić ich przed jednym ze swego rodzaju. Oczywiście Skrzydła Śmierci z pewnością patrzył na to z innej strony. Jego przeciwnik miał szkarłatne łuski, w kolorze jego największego wroga. Skrzydła Śmierci nienawidził smoków we wszystkich innych kolorach i robił wszystko, żeby zginęły, zaś tych noszących barwy Alexstraszy hebanowy behemot nienawidził najbardziej.

- To niemożliwy widok, co? - mruknął Falstad, przynajmniej raz przyciszony. - A jednak sądziłem, że ohydna bestia zginęła!

Podobnie myślała łowczyni. Członkowie Kirin Tor połączyli moc najpotężniejszych ludzkich czarodziejów ze swoimi elfimi towarzyszami, by w końcu, tak w każdym razie twierdzili, położyć kres czarnemu zagrożeniu. Nawet metalowe płyty, które dosłownie wtopiły w jego ciało szalone gobliny, nie ochroniły go przed magicznymi ciosami. Spadał i spadał...

Lecz teraz ponownie triumfował.

Wojna z orkami nagle wydawała się czymś bardzo malutkim. Czym były resztki Hordy w porównaniu z tym pojedynczym, przerażającym olbrzymem?

Mniejszy smok, również samiec, gniewnie kłapnął paszczą w stronę Skrzydeł Śmierci.

Jego pysk zbliżył się na tyle, że czarny potwór mógłby spokojnie uderzyć go przednią lewą łapą, jednak z jakiś nieznanych powodów Skrzydła Śmierci trzymał ją zamkniętą, blisko ciała. Miast tego machnął ogonem w stronę przeciwnika, który zatoczył się do tyłu. Gdy czarny smok poruszał się, pod ruchomymi metalowymi płytami wzdłuż szyi i torsu pojawiały się żyły wypełnione płynnym ogniem. Wedle legendy dotknięcie ich groziło rzeczywistym poparzeniem. Niektórzy twierdzili, że powodowały to kwaśne wydzieliny smoka, jednak inni opowiadali, że był to prawdziwy ogień. Tak czy inaczej, dotknięcie oznaczało śmierć.

- Ten ork jest bardzo odważny, głupi albo stracił kontrolę nad swoją bestią! - Falstad potrząsnął głową. - Nawet ja uciekałbym, gdyby tylko było to możliwe!

Zbliżyły się inne gryfy. Odrywając spojrzenie od gotujących się do walki smoków, Vereesa przyjrzała się im, jednak nie zauważyła Moloka ani Rhonina. Z całej ich grupki pozostała tylko ona i cztery krasnoludy.

- Gdzie jest czarodziej? - zawołała do nich. - Gdzie?

- Molok nie żyje - powiedział jeden z nich do Falstada. - Jego wierzchovec dryfuje na powierzchni morza!

Mimo niedużego wzrostu, krasnoludy miały niewiarygodnie umięśnione, ciężkie ciała i nie pływały. Falstad i pozostali uznali odkrycie martwego gryfa za wystarczający dowód na śmierć wojownika.

Rhonin był jednak człowiekiem i dlatego miał większą szansę na unoszenie się przez jakiś czas na powierzchni wody. Vereesa uchwyciła się tej słabej nadziei.

- A czarodziej? Czy widzieliście czarodzieja?

- Myślę, że to oczywiste, elfia panienko - odrzekł Falstad, spoglądając na nią.

Zacisnęła usta, gdyż wiedziała, że krasnolud ma rację. Po wypadku w fortecy pozostała przynajmniej jakaś niepewność. Tutaj wszystko wydawało się ostateczne. Nawet magia Rhonina nie mogła go uratować, a uderzenie w wodę z takiej wysokości musiało być jak uderzenie w kamień...

Vereesa, która nie była w stanie powstrzymać się przed patrzeniem w dół, zauważyła na wpół zatopione ciało mniejszego smoka. Któryś z jego szaleńczych obrotów podczas konwulsji musiał przynieść śmierć Rhoninowi i Molokowi. Miała tylko nadzieję, że dla obu koniec nadszedł szybko.

- Co robimy, Falstadzie? - zapytał jeden z pozostałych krasnoludów.

Ten potarł brodę.

- Skrzydła Śmierci nie jest przyjacielem wojownika! Na pewno zaatakuje nas, kiedy skończy z mniejszą bestią! Walka z nim nie jest prawdziwą bitwą! I sto młotów burzy nie

wystarczyłoby, żeby wgnieść jego łuski! Lepiej wracajmy, żeby zawiadomić innych, co widzieliśmy!

Inne krasnoludy wyraźnie się z tym zgadzały, jednak Vereesa uświadomiła sobie, że nie jest w stanie tak łatwo pogodzić się z oczywistym.

- Falstad! Rhonin jest czarodziejem! Pewnie jest martwy, ale jeśli wciąż żyje, jeśli wciąż tam pływa, może potrzebować naszej pomocy.

- Za przeproszeniem, jesteś głupia, moja elfia damo! Nikt nie przeżyłby takiego upadku, nawet czarodziej!

- Proszę, tylko jeden przelot nad powierzchnią, a później możemy wracać!

Z pewnością jeśli nic nie odnajdą, jej obowiązki wobec maga i jego teraz już niemożliwej do spełnienia misji się zakończą. Oczywiście łowczyni wiedziała, że bardzo długo będzie miała poczucie winy, ale na to nic nie mogła poradzić.

Falstad nachmurzył się. Wojownicy swoimi spojrzzeniami dawali mu do zrozumienia, że byłby szaleńcem, gdyby dłużej niż to konieczne pozostał w okolicy Skrzydeł Śmierci.

- Dobrze! - warknął. - Ale tylko dla ciebie, tylko dla ciebie! - Pozostałym Falstad rozkazał - Wracajcie bez nas! Powinniśmy wkrótce was dogonić, ale jeśli z jakiegoś powodu nie powrócimy, upewnijcie się, że ktoś dowie się o powrocie mrocznego! Ruszajcie!

Gdy inne krasnoludy skierowały swoje gryfy na zachód, Falstad opadł w dół. W trakcie lotu w dół dwa dzikie ryki sprawiły, że on i elfka z niepokojem spojrzeli w górę.

Skrzydła Śmierci i czerwony smok ryczeli na siebie raz za razem, a każdy ryk był głośniejszy i bardziej szorstki niż poprzedni. Obie bestie wyciągnęły szpony, a ich ogony szaleńczo przecinały powietrze. Szkarłatne pasma na ciele Skrzydeł Śmierci sprawiały, że wyglądał przerażająco i prawie nadnaturalnie, jakby był jednym z legendarnych demonów.

- Przygotowania się zakończyły - wyjaśnił towarzysz Vereesy. - Mają zamiar rozpocząć walkę! Ciekawe, co sobie myśli ten ork?

Vereesy ork nie obchodził w najmniejszym stopniu. Ponownie skoncentrowała się na poszukiwaniach Rhonina. Gryf unosił się tylko kilkanaście stóp nad wodą, a ona uważnie rozglądała się za człowiekiem, bez rezultatu jednak. Przecież musiała znaleźć jakieś jego ślady! Zdesperowana łowczyni widziała nawet nieodległe truchło gryfa, który go niósł. Żywy czy martwy, czarodziej musi znajdować się niedaleko, chyba że udało mu się dzięki magii przenieść z dala od niebezpieczeństwa.

Falstad chrząknął, najwyraźniej uznał, że traci czas.

- Nic tu nie ma!

Dzikie ryki znów skierowały ich uwagę na niebo. Rozpoczęła się bitwa. Czerwony

smok próbował ominąć Skrzydła Śmierci, lecz czarna bestia była zbyt wielką przeszkodą. Już same skórzaste skrzydła pełniły rolę murów, przez które mniejszy smok nie mógł się przedostać. Próbował spalić jedno, ale Skrzydła Śmierci odsunął się w bok, zresztą płomień prawdopodobnie tylko by go lekko osmalił.

Próbując spalić przeciwnika, czerwony lewiatan odsłonił się. Hebanowy olbrzym mógłby z łatwością przebić najbliższe skrzydło szkarłatnego, jednak wciąż trzymał przednią lewą łapę przyciśniętą do ciała. Zamiast tego uderzył ogonem, ponownie odganiając przeciwnika.

Skrzydła Śmierci nie wyglądał na rannego, więc czemu się powstrzymywał?

- Koniec! Nie szukamy dalej! - krzyknął Falstad. - Przykro mi to mówić, ale twój czarodziej leży na dnie morza! Musimy odejść albo do niego dołączymy!

Elfka z początku zignorowała go. Przyglądała się czarnemu smokowi i próbowała znaleźć jakiś sens w jego dziwnej technice walki. Skrzydła Śmierci wykorzystywał ogon, skrzydła i inne kończyny, wszystko za wyjątkiem przedniej lewej łapy. Od czasu do czasu poruszał nią, pokazując, że jest zdrowa, zawsze jednak powracała do jego ciała.

- Dlaczego? - wyszeptwała. - Dlaczego tak robi? Falstad myślał, że odezwała się do niego.

- Ponieważ nie zyskujemy tutaj nic poza szansą śmierci i choć Falstad śmierci się nie boi, to chciałby ją przyjąć na własnych warunkach, a nie tego opancerzonego paskudztwa!

W tej chwili Skrzydła Śmierci pochwycił swojego przeciwnika. Potężne skrzydła otoczyły czerwonego smoka, a długi ogon owinał się wokół jego dolnych kończyn. Pozostałymi trzema łapami czarny lewiatan masakrował ciało wroga, w tym fragment niebezpiecznie bliski podstawy szyi.

- W górę, do diaska! - nakazał Falstad swemu słabnącemu gryfowi. - Musisz trochę poczekać, zanim odpoczniesz! Najpierw wydostań nas stąd!

Kiedy porośnięty futrem stwór z trudem unosił się w górę, Vereesa patrzyła, jak Skrzydła Śmierci wycina kolejne rany na piersi swojego przeciwnika. Z nieba spadł krwawy deszcz, gdy życiowe płyny bestii spływały do morza.

Z ogromnym wysiłkiem mniejszemu stworowi udało się uwolnić. Chwiejąc się, odepchnął się od Skrzydeł Śmierci i zawahał, jakby coś innego odwróciło jego uwagę.

Ku zdziwieniu Vereesy, czerwony smok nagle odwrócił się i odleciał, niezbyt równo, w stronę Khaz Modan.

Cała bitwa trwała może minutę, najwyżej dwie, lecz w tak krótkim czasie Skrzydła Śmierci niemal zamordował przeciwnika.

Co dziwne, czarny olbrzym nie rzucił się w pogoń. Miast tego spojrzął na trzymaną blisko ciała łapę, jakby sprawdzał stan czegoś, co tam miał.

Czegoś... albo kogoś?

Cóż, to Rhonin powiedział jej i Duncanowi o zaskakującym ratunku z walącej się wieży? „Nie wiem, co to było, ale uniosło mnie, jakbym był zabawką i wyniosło mnie ze zniszczenia”. Jaka inna istota mogłaby z taką łatwością podnieść dorosłego mężczyznę i zabrać go ze sobą, jakby był nie więcej niż zabawką? Tylko fakt, że o niczym takim wcześniej nie słyszano, powstrzymał łowczynię przed znalezieniem oczywistego rozwiązania. Smok zaniósł czarodzieja w bezpieczne miejsce!

Ale Skrzydła Śmierci?

Czarny smok nagle skierował się w stronę Khaz Modan, ale nie dokładnie w tym samym kierunku co jego czerwony odpowiednik. Vereesa zauważyła, że kiedy oddalał się od nich, nadal trzymał jedną łapę blisko ciała, jakby chronił swój cenny ładunek.

- Falstad! Musimy za nim lecieć!

Krasnolud popatrzył na nią, jakby kazała mu skoczyć prosto w paszczę behemota.

- Jestem najdzielniejszym z wojowników, elfia panienko, lecz twoja propozycja świadczy o szaleństwie!

- Skrzydła Śmierci ma Rhonina! Rhonin jest powodem, dla którego smok nie może używać jednej łapy!

- W takim razie czarodziej jest już martwy, bo czego mógłby od niego chcieć mroczny, jeśli nie zjeść go?

- Gdyby tak było, Skrzydła Śmierci już by go zjadł. Nie. Wyraźnie ma jakieś plany wobec Rhonina. Falstad skrzywił się.

- Prosisz o wiele! Gryf jest zmęczony i będzie musiał wkrótce wylądować!

- Proszę! Najdalej jak możesz! Nie mogę go tak zostawić! Złożyłam przysięgę!

- Żadna przysięga nie zabrałaby cię tak daleko - mruknął jeździec gryfów, niemniej jednak skierował się w stronę Khaz Modan. Gryf usłuchał go, choć niechętnie.

Vereesa nic nie mówiła, gdyż wiedziała, że Falstad miał rację. Mimo to, z przyczyn dla niej niejasnych, nie mogła nawet teraz pozostawić Rhonina na pastwę losu.

Zamiast zagłębiać się we własny umysł, łowczyni zastanawiała się nad oddalającym się czarnym smokiem. Musiał mieć Rhonina. To wydawało jej się zbyt oczywiste. Ale czego mógł chcieć od maga Skrzydła Śmierci, który nienawidził wszystkich innych istot, który próbował zniszczyć orki, elfy, krasnoludy i ludzi?

Przypomniała sobie opinię Duncana Senturusa na temat czarodziejów. Opinię tę

dzielili nie tylko inni rycerze Srebrnej Dłoni, ale również większość zwykłych ludzi. Przeklęta dusza, tak nazwał go Duncan. Ktoś, kto może się zwrócić w stronę zła równie chętnie, jak w stronę dobra. Ktoś, kto mógłby... zawrzeć pakt z najbardziej złowieszcą ze wszystkich istot?

Czy paladyn powiedział większą prawdę, niż sam się spodziewał? Czy Vereesa próbowała uratować człowieka, który w rzeczywistości sprzedał duszę Skrzydłom Śmierci?

- Czego on od ciebie chce, Rhoninie? - wyszeptała. - Czego od ciebie chce?

* * *

Krasusa wciąż bolały kości, a od czasu do czasu przeszywał go ból, jednak udało mu się wyleczyć na tyle, żeby móc ponownie zająć się problemami. Mag nie odważył się powiedzieć reszcie rady, co się wydarzyło, choć ta informacja byłaby dla nich ważna. Na razie wiedza o ludzkim przebraniu Skrzydeł Śmierci musi pozostać jego i tylko jego. Powodzenie innych planów Krasusa najprawdopodobniej zależało od tego.

Smok pragnął zostać królem Alterac! Na pierwszy rzut oka wydawało się to absurdalne, niemożliwe, lecz Krasus na tyle znał Skrzydła Śmierci, że wiedział, iż ten ma w planach coś bardziej skomplikowanego i przebiegłego. Lord Prestor mógł działać na rzecz pokoju wśród członków Sojuszu, lecz Skrzydła Śmierci pragnął jedynie krwi i chaosu, a to oznaczało, że pokój stworzony dzięki jego wstąpieniu na ten mało znaczący tron będzie tylko pierwszym krokiem w stronę jeszcze gorszej dysharmonii. Tak, pokój dzisiaj oznaczał wojnę jutro.

Jeśli Krasus nie mógł powiedzieć prawdy Kirin Tor, musiał porozmawiać z innymi. Odrzucali go raz po raz, ale teraz może wysłuchają. Może czarodziej popełniał błąd, prosząc ich przedstawicieli o przybycie. Może posłuchają go, jeśli sprowadzi grozę do ich sanktuariów.

Tak... wtedy może go wysłuchają.

Stojąc pośrodku swojego mrocznego sanktuarium, z kapturem naciągniętym tak głęboko, że nie było pod nim widać twarzy, Krasus wypowiedział słowa mające go zabrać do tego, którego pomocy najbardziej potrzebował. Słabo oświetlona komnata zamgliła się, zaczęła znikać...

... a czarodziej nagle znalazł się w jaskini pełnej lodu i śniegu.

Krasus rozejrzał się dookoła. Mimo dawniejszych wizyt w tym miejscu, był pod ogromnym wrażeniem tego, co widział. Wiedział, w czyjej dziedzinie się znajduje, i wiedział również, że ze wszystkich istot, których pomocy szukał, ta może poczuć się najbardziej

obrażona takim bezczelnym wtargnięciem. Nawet Skrzydła Śmierci szanował pana tej lodowatej jaskini. Niewielu odwiedzało sanktuarium w sercu zimnego, niegościnnego Northrend, a jeszcze mniej opuszczało je z życiem.

Sople zrobione, zdawało się, z czystego kryształu, zwieszały się z lodowego sklepienia. Niektóre z nich były dwa lub trzy razy wyższe od czarodzieja. Inne, bardziej przypominające kamień formacje wystawały z grubej warstwy śniegu, która pokrywała nie tylko dno jaskini, ale również jej ściany. Wnętrze wypełniało światło pochodzące z jakiegoś wewnętrznego korytarza. Lekki wietrzyk, który jakimś sposobem dostawał się do środka z zimnej i ponurej krainy nad tym magicznym miejscem, poruszał soplami. W jaskini tańczyły świetliste duchy i migotliwe tęcze.

Obok pięknego zimowego krajobrazu były jednak bardziej makabryczne widoki. Pod urokliwą pokrywą śniegu Krasus rozpoznawał zamrożone kształty, a od czasu do czasu nawet kończynę. Wiedział, że wiele z nich należało do dużych zwierząt, które zamieszkiwały ów region, lecz kilka, szczególnie jedna zaciśnięta dłoń, wskazywały, jaki los czekał tych, którzy odważyli się wejść nieproszeni.

Bardziej przerażające dowody na ostateczność losu każdego intruza można było znaleźć w cudownych lodowych formacjach, gdyż wewnątrz kilkunastu z nich znajdowały się zamrożone ciała dawniejszych niechcianych gości. Najwięcej było trupów lodowych trolli - potężnych, barbarzyńskich istot o bladej skórze, dwa razy szerszych w barach od swoich południowych kuzynów. Ich śmierć nie była spokojna. Każde ciało nosiło ślady obrażeń.

Dalej mag zauważył ciała dwóch dzikich bestii zwanych wendigo. One także zamarły na śmierć, lecz o ile ciała trolli ukazywały przerażenie wywołane straszną śmiercią, o tyle wendigo wyglądały raczej na zaskoczone, jakby nie mogły uwierzyć, że znalazły się w tak ciężkiej sytuacji.

Krasus wędrował przez lodową jaskinię, oglądając inne okazy makabrycznej kolekcji. Zauważył elfa i dwa orki dodane od czasu jego ostatniej wizyty w tym miejscu. Był to znak, że wojna dotarła nawet do tej samotnej krainy. Jeden z orków wyglądał, jakby zamarł, wcale nie zauważając, co się z nim dzieje.

Za orkami Krasus zauważył trupa, który zaskoczył nawet jego. Na pierwszy rzut oka wyglądał na ogromnego węża, co samo w sobie było dość niezwykłym zjawiskiem w takim mroźnym piekle. Na szczycie jednak zwinięte ciało zmieniało się gwałtownie, przechodząc w niemal ludzki tors -ludzki, choć pokryty łuskami. Dwie grube ręce wyciągały się, jakby chciały zaprosić czarodzieja do podzielenia okrutnego losu.

W stronę Krasusa zwracała się twarz niemal elfia, choć o spłaszczonym nosie,

wąskich ustach i zębach ostrych jak u smoka. Ciemne oczy bez źrenic patrzyły na niego z wściekłością. W półmroku i po zakryciu dolnej części ciała istota mogła uchodzić za elfa lub człowieka, jednak Krasus dobrze wiedział, kim była... kiedyś. Usta czarodzieja bez udziału jego woli zaczęły wypowiadać imię stwora, jakby przerażająca ofiara lodu jakimś sposobem zmusiła go do tego.

- Na... - zaczął mówić Krasus.

- Jesteś nikim, nikim, nikim, i jesteś bezczelny! - wtrącił się głos, zdający unosić się na wietrze.

Czarodziej bez twarzy odwrócił się i zobaczył, że fragment lodu na jednej ze ścian odsunął się i przekształcił w dziwną istotę. Niemal przypominała ona człowieka, jednak jej nogi były za chude i zgięte pod zbyt niewygodnym kątem, a całe ciało mogło należeć do owada. Głowa również tylko powierzchownie przypominała ludzką, bo choć miała oczy, nos i usta, to wyglądały one tak, jakby ktoś zaczął rzeźbić w śniegu, jednak zaznaczywszy rysy twarzy zrezygnował z tego bezowocnego zadania.

Dziwną postać otaczał połyskliwy płaszcz bez kaptura, którego kołnierz wieńczyły z tyłu wysokie kolce.

- Malygos... - wyszeptał Krasus. - Jak ci się wiedzie?

- Jessst mi wygodnie, wygodnie, wygodnie... kiedy jessstem sssam.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym miał jakikolwiek inny wybór.

- Zawsze masz inny wybór. Możesz odejść, odejść, odejść! Będę sssam!

Czarodziej jednak nie dał się zniechęcić władcy jaskini.

- Czy już zapomniałeś, dlaczego żyjesz tak spokojnie, samotnie w tym miejscu, Malygosie? Czy tak szybko zapomniałeś? W końcu minęło tylko kilka stuleci od...

Lodowa istota krążyła wokół jaskini, ciągle wpatrując się w przybysza.

- Nie zapominam niczego, niczego, niczego! - powiedział szorstko. - A najmniej zapominam dni ciemności...

Krasus obracał się powoli, żeby zawsze mieć przed sobą Malygosa. Nie widział powodu, dla którego jego rozmówca miałby go zaatakować, ale przynajmniej jeden z pozostałych zasugerował kiedyś, że Malygos, najstarszy z tych, którzy wciąż żyli, był bardziej niż odrobinę szalony.

Cienkie jak patyki nogi dobrze radziły sobie na śniegu i lodzie, ich pazury wbijały się głęboko w podłoże. Krasus przypomniał sobie kijki, których ludzie północy używali do odpychania się w czasie jazdy na nartach.

Malygos nie zawsze tak wyglądał i nawet teraz nie musiał przyjmować takiego

kształtu. Nosił to, co nosił, gdyż w głębi duszy wolał nawet tę postać od postaci, w jakiej się urodził.

- Więc pamiętasz to, co ten nazywający siebie Skrzydła Śmierci zrobił tobie i twoim.

Dziwna twarz skrzywiła się, a pazury zacisnęły. Z ust Malygosa wyszedł dźwięk przypominający syczenie.

- Pamiętam...

Jaskinia nagle zaczęła się wydawać o wiele bardziej zatłoczona. Krasus stał bez ruchu, gdyż wiedział, że jeśli podda się umęczonej wyobraźni Malygosa, może się zatracić.

- Pamiętam!

Sople zadrżały, wydając z początku dźwięk przypominający dzwonki, który wkrótce przekształcił się w rozsadzający bębni jęk. Malygos posuwał się w stronę Krasusa, jego ledwie zarysowane usta były szeroko otwarte. Pod bladą imitacją czoła pogłębiły się otwory.

Lód i śnieg coraz bardziej wypełniały jaskinię. Część śniegu wokół Krasusa zawirowała, uniosła się i przekształciła w na wpół przezroczystego olbrzyma, smoka zimy, smoka duchów.

- Pamiętam obietnicę - wysyczała makabryczna postać. - Pamiętam pakt, który zawarliśmy! Nigdy nie zadawać śmierci sobie nawzajem! Świat na zawsze strzeżony!

Czarodziej pokiwał głową, choć nawet Malygos nie mógł zajrzeć pod jego kaptur.

- Aż do zdrady.

Śnieżny smok rozciągnął teraz skrzydła. Nie był realny, bardziej przypominał ducha, a jego zachowanie było odpowiedzią na emocje władcy jaskini. Jego potężna paszcza otwierała się, i zamykała, jakby to upiorna lalka mówiła.

- Aż do zdrady, zdrady, zdrady... - Ze śnieżnego smoka wystrzeliła nagle chmura lodu, tak twardego, że wbił się w kamienne ściany. - Aż do Skrzydeł Śmierci!

Krasus trzymał jedną rękę poza polem widzenia Malygosa, gdyż wiedział, że w każdej chwili może być zmuszony do szybkiego rzucenia zaklęcia.

Monstrualna istota trzymała się jednak w ryzach. Potrząsnęła głową - śnieżny smok powtórzył ten gest - i dodała bardziej spokojnym głosem - Ale dzień smoka już minął i żaden, żaden, żaden z nas nie widział powodu, dla którego mielibyśmy się go obawiać! Był tylko jednym z aspektów świata, jego najbardziej prymitywnym i chaotycznym odbiciem! Ze wszystkich z nas, jego dzień nadszedł i odszedł z największą pewnością.

Krasus skoczył do tyłu, kiedy ziemia pod nim zadrżała. Z początku myślał, że to Malygos próbował go zaskoczyć, jednak atak nie nadszedł. Zamiast tego grunt po prostu się uniosł i powstał kolejny smok, tym razem z kamieni i ziemi.

- Dla przyszłości, powiedział - kontynuował Malygos. -Dla czasów, kiedy światem będą się opiekować tylko ludzie, elfy i krasnoludy, powiedział! Niech wszystkie frakcje, wszystkie stada, wszystkie wielkie smoki... wszystkie aspekty!... połączą się i odtworzą, na nowo ukształtują ohydny przedmiot, a powstanie klucz pozwalający na wieczną opiekę nad światem, nawet kiedy wszyscy z nas odejdą! - Spojrzał na dwa fantomy, które stworzył. - A ja, ja, ja... ja, Malygos, stałem przy nim i przekonałem pozostałych!

Dwa smoki owijały się wokół siebie, aż stały się jednością, wzajemnie połączone. Krasus oderwał od nich spojrzenie, przypominając sobie, że choć istota stojąca przed nim najwyraźniej nienawidziła Skrzydeł Śmierci bardziej niż czeokolwiek, to jednak nie oznaczało to wcale, że mu pomoże... czy nawet pozwoli opuścić mroźną jaskinię.

- I tak - wtrącił czarodziej bez twarzy - każdy smok, a szczególnie Aspekty, nasycił to częścią swojej siły i w pewien sposób związał się z tym...

- Na zawsze pozostawiając się na jego łasce! Krasus pokiwał głową.

- Na zawsze sprawiając, że będzie to jedyna rzecz mająca nad nimi władzę, choć oni wówczas tego nie wiedzieli. -Uniósł okrytą rękawiczką dłoń i stworzył własną iluzję, obraz przedmiotu, o którym rozmawiali. - Pamiętasz, jak oszukańczo wyglądał? Pamiętasz, jaki był prosty?

Gdy pojawiła się iluzja, Malygos westchnął i skulił się. Bliźniacze smoki runęły, śnieg i kamienie wypełniły całą jaskinię, nie dotykając jednak czarodzieja ani jego gospodarza. Łoskot odbijał się echem w pustych korytarzach, a bez wątpienia również w ogromnej, pustej dziczy nad nimi.

- Zabierz go, zabierz go, zabierz go! - zażądał Malygos, niemal skowycząc. Ręce z pazurami próbowały zasłonić niewyraźne oczy. - Nie pokazuj mi go!

Krasus jednak nie dał się powstrzymać.

- Popatrz na to, mój przyjacielu! Patrz na upadek najstarszej z ras! Patrz na to, co znane jest teraz jako Dusza Demona.

Prosty, błyszczący dysk obraca się nad rękawiczką maga. Złota moneta, tak skromna, że wielu posiadało ją i traciło, nawet nie uświadamiając sobie jej potencjału. Przed nimi pojawiła się tylko iluzja, lecz mimo to napełniła serce Malygosa takim strachem, że dopiero po dłuższej chwili zmusił się do spojrzenia na nią.

- Wykuty przy pomocy magii, która była esencją każdego smoka, wykuty, żeby zwalczyć pierwsze demony z Płonącego Legionu i uwięzić w nim ich magiczne siły. - Zakapturzony mag postąpił krok w stronę Malygosa. - I wykorzystany przez Skrzydła Śmierci do oszukania wszystkich smoków, kiedy tylko zakończyła się bitwa! Wykorzystany przez

niego przeciwko własnym sojusznikom...

- Przestań! Dusza Demona zaginęła, zaginęła, zaginęła, a mroczny nie żyje, zabity przez ludzkich i elfich czarodziejów!

- Naprawdę?

Przechodząc nad pozostałościami dwóch fantomów, Krasus rozwiął iluzję artefaktu i przywołał inny obraz. Człowiek, mężczyzna odziany w czerń. Pewny siebie młody szlachcic o oczach starszych niż wskazywałby na to jego wygląd.

Lord Prestor.

- Ten mężczyzna, ten śmiertelnik zostanie nowym królem Alterac, Alterac w sercu Sojuszu Lordaeron, Malygosie. Czy nie wydaje ci się znajomy? Szczególnie tobie?

Lodowa istota podeszła bliżej, wpatrując się w obracającą się postać fałszywego arystokraty. Malygos oglądał lorda Prestora dokładnie, ostrożnie... i z rosnącym przerażeniem.

- To nie jest człowiek!

- Powiedz to, Malygosie. Powiedz, kogo widzisz. Nieludzkie oczy wpatrzyły się w Krasusa.

- Przecież dobrze wiesz. To Skrzydła Śmierci! - Z jego ust wyszedł zwierzęcy syk. - Ssskrzydła Śmierci...

- To prawda, Skrzydła Śmierci - odrzekł Krasus niemal bez emocji. - Skrzydła Śmierci, którego dwa razy uznano za martwego. Skrzydła Śmierci, który trzymał Duszę Demona i na zawsze zabił nadzieję na powrót Ery Smoków. Skrzydła Śmierci, który teraz próbuje manipulować młodszymi rasami, żeby zrobiły to, czego pragnie jego zdradziecka dusza.

- Popchnie je do wojny przeciwko sobie...

- Tak, Malygosie. Popchnie je do wojny przeciwko sobie, aż pozostanie niewielu, a tych Skrzydła Śmierci sam zabije. Wiesz, jakiego świata pragnie. Świata, w którym będzie tylko on i jego uczniowie. Oczyszczona domena Skrzydeł Śmierci... w której nie będzie nawet miejsca na smoki spoza jego rodzaju...

- Niiiee...

Sylwetka Malygosa nagle powiększyła się we wszystkich kierunkach, a jego skóra zaczęła przypominać gadzią. Zmieniła się również jej barwa - z lodowatej bieli do ciemniejszego, mroźnego srebrzystego błękitu. Jego kończyny pogrubiały, a twarz wydłużyła się, stała się bardziej smocza. Malygos nie zakończył jednak transformacji, zatrzymał się w pewnym momencie. Przypominał teraz straszliwą parodię smoka i owada, stwór z

koszmarów.

- Byłem jego sojusznikiem i dlatego moje stado zostało zniszczone. Dusza Demona zabrała moje dzieci, moje partnerki. Tylko ja pozostałem! Żyłem ze świadomością, że ten, który zdradził wszystkich, został zniszczony, a przeklęty dysk na zawsze opuścił świat...

- Jak my wszyscy, Malygosie.

- Ale on żyje! On żyje!

Nagła wściekłość smoka sprawiła, że cała jaskinia zadrżała. Lodowe włócznie przebiły pokrytą śniegiem podłogę, wywołując dalsze drgania. Krasus z trudem utrzymywał równowagę.

- Tak, on żyje, Malygosie, żyje pomimo twojego poświęcenia.

Przerażający lewiatan przyglądał mu się uważnie.

- Straciłem wiele... za wiele! Ale ty, który mówisz na siebie Krasus, który kiedyś nosiłeś postać smoka, ty również wszystko straciłeś!

Przed oczami Krasusa pojawiły się obrazy ukochanej królowej. Wizje dni, kiedy czerwone stado Alexstraszy triumfowało, wypełniły go...

Był jej drugim małżonkiem, ale pierwszym w lojalności i miłości.

Czarodziej potrząsnął głową, odrzucając bolesne wspomnienia. Musiał powstrzymać pragnienie wzniesienia się w niebiosa. Dopóki wszystko się nie zmieni, będzie musiał pozostać człowiekiem, pozostać Krasusem... nie czerwonym smokiem o imieniu Korialstrasz.

- Tak, straciłem wiele - odpowiedział w końcu Krasus, odzyskawszy nad sobą kontrolę. - Mam jednak nadzieję odzyskać coś... coś dla nas wszystkich.

- Jak?

- Uwolnię Alexstraszę.

Malygos zaryczał szaleńczym śmiechem. Ryczał mocno i długo, dłużej niż gwarantowałoby to jego szaleństwo. Ryczał, wyśmiewając wszystko, co czarodziej pragnął osiągnąć.

- Będzie to dla ciebie dobre... pod warunkiem, że uda ci się osiągnąć ten niemożliwy cel! Ale co ze mną? Co możesz mi ofiarować, mały?

- Wiesz, jakim ona jest aspektem. Wiesz, co może dla ciebie zrobić.

Śmiech ustał. Malygos zawahał się, wyraźnie nie chciał uwierzyć, a jednak rozpaczliwie tego pragnął.

- Nie może... może?

- Wierzę, że może to być możliwe. Wierzę, iż istnieje tak duża szansa, że opłaca ci się zaryzykować. Poza tym, czy masz inną przyszłość?

Gospodarz czarodzieja zaczął gwałtownie się rozrastać, a smocze cechy wyraźnie zdobyły przewagę. W końcu przed Krasusem stanęła bestia pięć, dziesięć, dwadzieścia razy od niego większa. Zniknęły niemal wszystkie ślady makabrycznej istoty, którą Malygos był z początku. Przed Krasusem stał smok nie widziany od czasów jeszcze przed pojawieniem się ludzkości.

Wraz z powrotem do naturalnej formy zdawały się wracać wątpliwości Malygosa, gdyż zadał on jedno pytanie, którego Krasus jednocześnie się bał i oczekiwał.

- Orki. Jak to jest możliwe, że orki ją przetrzymują? Zawsze się nad tym zastanawiałem, zastanawiałem, zastanawiałem...

- Wiesz, jaki jest jedyny sposób, w który mogą ją utrzymać, przyjacielu.

Smok odrzucił do tyłu swą błyszczącą srebrną głowę i zasyczał - Dusza Demona? Te nieznaczące istoty ją mają? Dlatego zaświeciłeś przede mną jej obrazem?

- Tak, Malygosie, mają Duszę Demona i choć pewnie nie znają jej pełnej mocy, wiedzą wystarczająco dużo, żeby utrzymać Alexstraszę, ale to jeszcze nie jest najgorsze.

- A co może być gorsze?

Krasus wiedział, że przeciągnął starszego lewiatana na tyle w stronę zdrowia psychicznego, żeby pomógł mu w uwolnieniu królowej smoków, ale to, co miał teraz zamiar powiedzieć Malygosowi, mogło zniszczyć wszystko, co dotąd osiągnął. Mimo to, ponieważ działał nie tylko dla dobra swojej ukochanej królowej, smok udający jednego z czarodziejów z Kirin Tor musiał powiedzieć jednemu prawdopodobnemu sojusznikowi prawdę.

- Wierzę, że Skrzydła Śmierci wie, co robić... i nie zatrzyma się, aż przekłety dysk... i Alexstrasza... będą jego.

DZIESIĘĆ

Po raz drugi w ciągu kilku dni Rhonin obudził się między drzewami. Tym razem jednak nie ujrzał twa rzy Vereesy, co okazało się pewnym rozczarowaniem. Zamiast tego przywitało go ciemniejące niebo i całkowita cisza. Na drzewach nie śpiewały ptaki, a w poszyciu nie buszowały małe zwierzątka.

Nagle czarodzieja tknęło dziwne przeczucie. Powoli, ostrożnie unióśł głowę i rozejrzał się dookoła. Rhonin widział drzewa, krzaki i niewiele więcej. Z pewnością żadnego smoka, a już szczególnie tak potężnego i zdradzieckiego jak...

- O, widzę, że w końcu się obudziłeś.

Skrzydła Śmierci?

Rhonin popatrzył w lewo, w stronę, gdzie wcześniej już spoglądał. Z drżeniem przyglądał się, jak fragment otaczających go cieni odrywa się i przekształca w zakapturzoną postać przypominającą mu kogoś, kogo znał.

- Krasus? - wyszeptał, jednak po chwili zorientował się, że nie mógł być to jego opiekun bez twarzy. Istota poruszająca się przed nim z dumą nosiła cienie, była ich częścią.

Nie, za pierwszym razem miał rację. Skrzydła Śmierci. Kształt może i był ludzki, lecz jeśli smoki rzeczywiście potrafiły przyjmować takie postaci, ta mogła należeć tylko do czarnej bestii.

Spod kaptura wyłoniła się twarz mężczyzny o przystojnych, orlich rysach. Twarz szlachetna... przynajmniej powierzchownie.

- Dobrze się czujesz?

- Jestem w jednym kawałku, dziękuję. Koniuszki wąskich ust uniosły się lekko w grymasie, który mógł nawet przypominać uśmiech.

- Poznałeś mnie, prawda, człowieku?

- Jesteś... jesteś Skrzydła Śmierci, Niszczyciel.

Cienie wokół postaci poruszyły się. Twarz, która prawie przypominała ludzką, prawie elfią, stała się odrobinę wyraźniejsza. Koniuszki ust uniosły się trochę wyżej.

- To jeden z wielu moich tytułów, magu, tak dokładny i niedokładny jak wszystkie pozostałe. - Przechylił głowę na bok. - Widzę, że dobrze wybrałem. Nawet nie jesteś zdziwiony, że pojawiłem się w takiej postaci.

- Głos brzmi tak samo. Na zawsze go zapamiętałem.

- W takim razie jesteś bardziej przenikliwy niż wielu, mój śmiertelny przyjacielu.

Niektórzy nie rozpoznaliby mnie nawet wtedy, gdybym przekształcił się im przed nosem! - Postać zaśmiała się. - Gdybyś chciał dowodów, mógłbym to zrobić nawet teraz!

- Nie, dziękuję.

Ostatnie światła dnia gasły za głową złowieszczonego opiekuna. Rhonin zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny... i gdzie zaniósł go Skrzydła Śmierci. Przede wszystkim jednak zastanawiał się, jakim sposobem wciąż żyje.

- Czego chcesz ode mnie?

- Niczego od ciebie nie chcę, czarodzieju Rhoninie. Raczej chciałbym pomóc ci w wypełnieniu twojej misji.

- Mojej misji?

Nikt poza Krasusem i wewnętrzną radą Kirin Tor nie wiedział o jego prawdziwej misji, a Rhonin zaczął już się nawet zastanawiać, czy rzeczywiście znali ją wszyscy członkowie rady. Czarodzieje mieli swoje sekrety i własne tajne plany ukryte przed pozostałymi. Z pewnością jednak jego obecny towarzysz nie zostałby powiadomiony o takich sprawach.

- Ależ tak, Rhoninie, twojej misji. - Uśmiech Skrzydeł Śmierci nagle osiągnął szerokość nieosiągalną dla człowieka, a odkryte zęby były ostre i spiczaste. - Uwolnić wielką królową smoków, wspaniałą Alexstraszę!

Rhonin zareagował instynktownie. Nie miał pewności, w jaki sposób lewiatan odkrył naturę jego prawdziwej misji, ale był przekonany, że Skrzydła Śmierci wcale nie miał się o niej dowiedzieć. Skrzydła Śmierci pogardzał wszystkim istotami, włączając w to smoki spoza jego stada. Żadna z legend historii nie wspominała o wielkiej sympatii między tą ogromną bestią a szkarłatną królową.

Zaklęcie, które wykorzystał teraz zaniepokojony czarodziej, dobrze mu służyło w czasie wojny. Wycisnęło całe życie z atakującego orka, który na swoich potężnych łapach miał krew sześciu rycerzy i innego czarodzieja, a w złagodzonej postaci powstrzymało jednego z orczych warlocków, kiedy Rhonin rzucał ostateczne zaklęcie. Rhonin nie miał jednak doświadczenia ze smokami. Zwoje mówiły, że zaklęcie szczególnie dobrze wiązało starożytne behemoty...

Złote pierścienie utworzyły się wokół Skrzydeł Śmierci...

... a przypominająca cień postać spokojnie je przeszła.

- Czy to było konieczne? - Spod płaszcza Skrzydeł Śmierci wyłoniła się ręka.

Kamień leżący tuż obok Rhonina zaskwierczał głośno i roztopił się na oczach czarodzieja. Stopiony kamień popłynął po ziemi, wsiąkając w każdą szczelinę. Zniknął bez

śladu równie szybko, jak się stopił - wszystko w ciągu kilku sekund.

- To mogłem zrobić z tobą, czarodzieju, gdybym tego zapragnął. Już dwa razy uratowałem ci życie; czy muszę zrobić to po raz trzeci i ostatni?

Rhonin potrząsnął głową.

- Nareszcie zaczęłeś myśleć. - Skrzydła Śmierci zbliżył się, stając się jednocześnie bardziej materialny. Znów wskazał dłonią, tym razem na ziemię po drugiej stronie maga. - Pij. To powinno cię odświeżyć.

Rhonin spojrział w dół i odkrył leżący na trawie bukłak z winem. Mimo iż jeszcze kilka chwil wcześniej go tam nie było, bez wahania podniósł go i pociągnął łyk. Wymagało tego jego niesamowite pragnienie. Poza tym smok mógłby uznać jego odmowę jako kolejne rzucone wyzwanie. W tej chwili Rhonin mógł tylko współpracować... i mieć nadzieję.

Jego odziany w czerń towarzysz poruszył się ponownie. Na krótko stał się niewyraźny, niemal bezcielesny. Fakt, że Skrzydła Śmierci, albo co gorsza i inne smoki, mógł przyjąć postać człowieka, przerażał czarodzieja. Któż mógł przewidzieć, co taka istota mogła zrobić między ludźmi? W rzeczy samej skąd czarodziej mógł wiedzieć, czy Skrzydła Śmierci już nie rozprzestrzeniła ciemności w taki właśnie sposób?

A jeśli tak, to dlaczego teraz ujawniał swoją tajemnicę Rhoninowi. Czyżby miał zamiar uciszyć maga?

- Tak mało o nas wiesz.

Oczy Rhonina rozszerzyły się. Czyżby moce Skrzydeł Śmierci umożliwiały odczytywanie myśli innych?

Smok usadowił się na lewo od człowieka. Wydawało się, że siedział na jakimś fotelu lub potężnym kamieniu, którego Rhonin jednak nie widział, gdyż zasłaniała go szeroka szata mrocznej postaci. Pod nocnym niebem o barwie wdowiej czerni, nie mrugające, groźne oczy spotkały i pokonały spojrzenie Rhonina. Gdy czarodziej odwrócił wzrok, Skrzydła Śmierci powtórzył - Tak mało o nas wiesz.

- Nie ma... nie ma zbyt wielu informacji o smokach. Większość badaczy zostaje pożarta.

Choć samemu czarodziejowi żart ten nie wydawał się zbyt udany, Skrzydła Śmierci uznał go za zabawny. Roześmiał się i śmiał się długo, w taki sposób, że u każdego innego można by to uznać za oznakę szaleństwa.

- Zapomniałem, jak bardzo zabawny potrafi być wasz rodzaj, mój mały przyjacielu! Taki zabawny! - Zbyt szeroki, zbyt zębaty uśmiech powrócił na jego twarz w całej swej złowroziej krasie. - Tak, może być w tym ziarno prawdy.

Rhonina przestało zadowalać leżenie przed groźną postacią, więc usiadł prosto. Może podniósłby się do pozycji stojącej, lecz jedno spojrzenie Skrzydła Śmierci ostrzegło go, że w tej chwili nie byłoby to mądre posunięcie.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytał ponownie Rhonin. - Czym dla ciebie jestem?

- Jesteś środkiem do osiągnięcia celu, który przez długi czas znajdował się poza moim zasięgiem... poza zasięgiem tej oto zdesperowanej istoty...

Z początku Rhonin nie rozumiał, lecz po chwili zauważył frustrację na twarzy smoka.

- Ty... jesteś zdesperowany?

Skrzydła Śmierci znów powstał i rozłożył szeroko ramiona, jakby miał zamiar odlecieć.

- Co widzisz, człowieku?

- Mężczyznę w czerni. Smoka zwanego Skrzydła Śmierci w innej postaci.

- To oczywista odpowiedź, ale czy nie widzisz więcej, mój mały przyjacielu? Czy nie widzisz lojalnych legionów mojego rodzaju? Czy widzisz wiele czarnych smoków albo, w rzeczy samej, szkarłatnych, które kiedyś wypełniały niebo, na długo przed nadejściem ludzi a nawet elfów?

Rhonin potrząsnął tylko głową, gdyż nie był do końca pewien, dokąd prowadzi go Skrzydła Śmierci. Zdążył się tylko przekonać co do jednego - zdrowie psychiczne nie było stałą cechą tego stworzenia.

- Nie widzisz ich - rozpoczął smok, a jego skóra i postać stały się nieco bardziej gadzie. Oczy zwęziły się, a zęby wydłużyły i zaostrzyły. Nawet sama zakapturzona postać urosła, a spod jej szaty, zdawało się, próbowały się wydostać skrzydła. Skrzydła Śmierci stał się bardziej cieniem niż materią, magiczną istotą zatrzymaną w połowie transformacji.

- Nie widzisz ich - rozpoczął smok ponownie, przymykając na chwilę powieki. Skrzydła, oczy, zęby... wszystko powróciło do formy sprzed chwili. Skrzydła Śmierci odzyskał materialność i ludzką postać, choć to ostatnie tylko powierzchownie - ... ponieważ już nie istnieją.

Usiadł, po czym wyciągnął dłoń, wierzchem do dołu. Nad dłonią nagle pojawiły się obrazy. Niewielkie smocze postaci we wszystkich kolorach tęczy latały nad wspaniałym, zielonym światem. Powietrze wypełniała wszechogarniająca radość, która dotknęła nawet Rhonina.

- Świat był nasz i dobrze się nim opiekowaliśmy. Magia była nasza i dobrze jej strzeżliśmy. Życie było nasze i dobrze z niego korzystaliśmy.

Teraz na obrazie pojawiło się coś nowego. Po kilku chwilach podejrzliwy mag

rozpoznał w postaciach elfy, jednak nie przypominające Vereesy. Te elfy na swój sposób były piękne, lecz zimną, odległą urodą, która w ostatecznym rozrachunku działała odpychająco.

- Potem nadeszli inni, mniejsze istoty, krótkie życia. Szybkie i nierozważne, rzuciły się w coś, co my uznawaliśmy za zbyt wielkie ryzyko. - Głos Skrzydła Śmierci stał się niemal tak samo lodowaty, jak uroda ciemnych elfów. - I, w swym szaleństwie, sprowadziły do nas demony.

Rhonin, nie myśląc zupełnie, pochylił się do przodu. Każdy czarodziej studiował legendy o hordzie demonów, zwanej przez niektórych Płonącym Legionem, lecz nawet jeśli tak potworne istoty kiedykolwiek istniały, on sam nie znalazł na to żadnego dowodu. Większość z tych, którzy chwalili się kontaktami z nimi, nie była w pełni przy zdrowych zmysłach.

Gdy jednak czarodziej próbował przyjrzeć się choć jednemu demonowi, Skrzydła Śmierci gwałtownie zacisnęła dłoń, niszcząc obraz.

- Gdyby nie smoki, ten świat przestałby już istnieć. Nawet tysiąc hord orków nie może równać się z tym, czemu stawiliśmy czoła, przeciwko czemu ponieśliśmy ofiary! W tym czasie walczyliśmy razem! Nasza krew mieszała się na polach bitew, kiedy wypędzaliśmy demony z naszego świata... -

Mroczna postać na chwilę przymknęła oczy. - ...a tymczasem utraciliśmy kontrolę nad tym, co próbowaliśmy ocalić. Era naszego rodzaju minęła. Elfy, krasnoludy, a w końcu ludzie rościli sobie prawo do przyszłości. Nasze szeregi zmniejszały się, a my, co gorsze, zaczęliśmy walczyć pomiędzy sobą. Zabijać się nawzajem.

O tym Rhonin wiedział. Wszyscy wiedzieli o nienawiści między pięcioma istniejącymi kolorami smoków, a szczególnie między czarnymi a szkarłatnymi. Przyczyny tej nienawiści skrywały mroki przeszłości, lecz może teraz czarodziejowi udałoby się poznać prawdę.

- Ale dlaczego walczyliście, kiedy wspólnie poświęciliście tak wiele?

- Źle zrozumiane pomysły, problemy z komunikacją. Tak wiele czynników, że nie pojąłbyś ich wszystkich, nawet gdybym miał czas je wyjaśniać. - Skrzydła Śmierci westchnął. - I z tego powodu jest nas tak mało. - Ponownie spojrzął na niego przeszywająco. Te oczy wydawały się wwiercać w Rhonina. - Ale to przeszłość! Naprawię to, co zrobiłem, to co musiałem zrobić, człowieku. Pomogę ci uwolnić królową smoków, Alexstraszę.

Rhonin zagryzł usta i powstrzymał się od udzielenia pierwszej odpowiedzi, która przyszła mu na myśl. Mimo sympatycznego zachowania, mimo ludzkiej postaci, i tak siedział przed nim najbardziej przerażający ze smoków. Skrzydła Śmierci może i udawał przyjaźń

oraz sympatię, lecz jedno nietrafione słowo mogło sprowadzić na Rhonina przerażający koniec.

- Ale... - próbował ostrożnie dobierać słowa - ty i ona jesteście wrogami.

- Z tych samych mało znaczących powodów, które sprawiły, że nasz rodzaj tak długo walczył między sobą. Popełniono wiele błędów, człowieku, lecz ja je teraz naprawię. - Jego oczy pociągnęły czarodzieja do siebie, w głąb siebie. - Alexstrasza i ja nie powinniśmy być wrogami.

Rhonin nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Oczywiście, że nie.

- Niegdyś byliśmy wielkimi sojusznikami, przyjaciółmi nawet, i tak może być ponownie, zgodzisz się? Mag nie widział nic poza przenikającymi oczami.

- Owszem.

- A twoją misją jest jej uwolnienie. Dziwne uczucie przeniknęło Rhonina i nagle poczuł się niewygodnie pod spojrzeniem Skrzydeł Śmierci.

- Jak... jak się o tym dowiedziałeś?

- To nie ma znaczenia, prawda? - Jego oczy znów schwytały człowieka.

Niewygodza zniknęła. Wszystko zniknęło pod intensywnym spojrzeniem smoka.

- Tak, tak sędzę.

- Samotnie poniosłbyś klęskę. Nie ma co do tego wątpliwości. Nawet ja nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jakim sposobem udało ci się zająć tak daleko! Teraz jednak, z moją pomocą, możesz dokonać niemożliwego, przyjacielu. Uwolnisz królową smoków!

Mówiąc to, Skrzydła Śmierci wyciągnął dłoń, na której leżał nieduży srebrny medalion. Palce Rhonina poruszyły się jakby z własnej woli, zabrały go i przyciągnęły. Mag spojrzał na medalion, przyglądając się uważnie runom wygrawerowanym na jego brzegach i czarnemu kryształowi pośrodku. Znał znaczenie niektórych z run, inne widział po raz pierwszy w życiu, ale wyczuwał ich moc.

- Będziesz w stanie uwolnić Alexstraszę, moja wspaniała marionetko - zbyt szeroki uśmiech rozciągnął się jeszcze bardziej - gdyż przy pomocy tego będę cię prowadził przez całą drogę...

* * *

Jak można zgubić smoka?

Pytanie to podnosiło swoją brzydką głowę raz za razem, a Vereesa ani jej towarzyszy nie mieli na nie satysfakcjonującej odpowiedzi. Co gorsze, nad Khaz Modan zaczęła zapadać

noc, a gryf, już od dawna wyczerpany, stanowczo nie mógł lecieć dalej.

Widzieli Skrzydła Śmierci przez właściwie całą drogę, choć z dużej odległości. Nawet Falstad, który nie miał tak dobrego wzroku jak elfka, był w stanie zobaczyć potężną sylwetkę lecącą w głąb łądu. Skrzydła Śmierci zniknął jedynie wtedy, kiedy przelatywał przez przypadkową chmurę, a to trwało nie dłużej niż oddech albo dwa.

Aż do tego, co zdarzyło się przed godziną. Olbrzymia bestia wraz z ładunkiem zniknęła w kolejnej chmurze, tak samo jak wiele razy wcześniej. Falstad utrzymywał gryfa na kursie i wraz z Vereesą oczekiwał na pojawienie się smoka po drugiej stronie. Chmura była samotna, następna znajdowała się kilka mil na południe. Oboje widzieli ją niemal w całości. Łowczyni i krasnolud nie mogli nie zauważyć, kiedy Skrzydła Śmierci się z niej wyłoni. Żaden smok się nie pojawił.

Czekali i czekali, a kiedy już nie mogli dłużej czekać, Falstad skierował gryfa w środek chmury, ryzykując życiem, gdyby Skrzydła Śmierci ukrywał się w jej środku. Mrocznego jednak nigdzie nie było. Największy i najgroźniejszy ze wszystkich smoków zniknął całkowicie.

- To nie ma sensu, moja elfia damo - stwierdził w końcu jeździec gryfów. - Musimy lądować! Ani my, ani mój biedny wierzchowiec nie jesteśmy w stanie lecieć dalej!

Musiała się zgodzić, choć część jej osoby chciała kontynuować poszukiwania.

- W porządku!

Łowczyni przyglądała się krajobrazowi pod nimi. Wybrzeże i lasy dawno ustąpiły bardziej kamienistym, mniej gościnnym okolicom, z których, jak Vereesa wiedziała, w końcu wznosiły się szczyty Grim Batol. Wciąż znajdowali się na terenach zalesionych, ale pokrywa leśna wyglądała na ubogą. Będą musieli ukryć się między wzgórzami, żeby uniknąć wykrycia przez orki na smokach.

- Co powiesz na tamtą okolicę?

Falstad spojrział w kierunku, który wskazywała palcem.

- Tamte surowe wzgórza, które wyglądają zupełnie jak moja babcia, z brodą i wszystkim? Ano, dobry wybór! Wylądujemy tam!

Zmęczony gryf z radością usłuchał sygnału do zmniejszenia wysokości. Falstad skierował go w stronę największego zagęszczenia wzgórz, a dokładnie do czegoś, co wyglądało jak niewielka dolina pomiędzy kilkoma z nich. Vereesa trzymała się mocno, kiedy lądowali, wzrokiem już poszukując wszelkich możliwych zagrożeń. Tak głęboko w Khaz Modan orki na pewno wystawiały strażę.

- Chwała niech będzie Aerie! - zagrzmiął krasnolud, kiedy zsiadali. - Kocham wolność

otwartego nieba, ale tak długo nie da się wysiedzieć na niczym! - Pogłaskał lwia grzywę gryfa. - Ale ty jesteś dobrą bestią i zasługujesz na wodę i jedzenie!

- Niedaleko widziałam strumień - stwierdziła Vereesa, chcąc pomóc. - Mogą być w nim ryby.

- W takim razie znajdzie je, jeśli tylko zechce - Falstad zdjął z wierzchowca uzdę i resztę wyposażenia. - I znajdzie je sam. - Poklepał gryfa po zadzie, a bestia skoczyła w powietrze. Teraz, kiedy zdjęto z niej obciążenie, wydawała się o wiele bardziej energiczna.

- Czy to mądre?

- Moja droga elfia damo, jemu podobni niekoniecznie jedzą ryby! Lepiej niech sam zapoluje na coś odpowiedniego dla siebie. Wróci, kiedy się naje, a jeśli ktoś go zobaczy... nawet w Khaz Modan pozostało trochę dzikich gryfów. - Ponieważ nie wyglądała na uspokojoną, Falstad dodał - Nie odleciał na długo, wystarczy nam czasu tylko na przygotowanie posiłku dla siebie.

Mieli ze sobą trochę zapasów, które krasnolud natychmiast rozdzielił. Ponieważ niedaleko znajdował się strumień, oboje swobodnie popijali ze swoich bukłaków. Znajdowali się w głębi terytorium kontrolowanego przez orki, więc rozpalenie ogniska było niemożliwe, ale na szczęście noc nie zapowiadała się na zimną.

Rzeczywiście, wkrótce powrócił gryf z pełnym brzuchem. Zwierzę usiadło obok Falstada, który opuścił jedną rękę na głowę stworzenia, kończąc jednocześnie jedzenie.

- Nie widziałem nic z powietrza - stwierdził w końcu - ale nie możemy zakładać, że w pobliżu nie ma orków.

- Będziemy pełnić na zmianę straż?

- To najlepsze wyjście. Ja mam być pierwszy czy ty? Vereesa była zbyt zdenerwowana, by spać, więc zgłosiła się na ochotniczkę. Falstad nie sprzeciwiał się i mimo warunków, w jakich się znajdowali, natychmiast ułożył się i zasnął. Vereesa podziwiała za to krasnoluda, żałując, że przynajmniej pod tym jednym względem bardziej go nie przypomina.

Las wydawał jej się za cichy w porównaniu z lasami dzieciństwa, lecz łowczyni przypomniała sobie, że orki polowały w tej krainie od wielu lat. Oczywiście wciąż żyły w niej różne stworzenia - o czym świadczył między innymi pełen brzuch gryfa - lecz większość istot z Khaz Modan była o wiele ostrożniejsza od tych z Quel'Thalas. Orki i ich smoki żywiły się świeżym mięsem.

Kilka gwiazd ozdabiało nieboskłon, ale bez charakterystycznej dla jej rasy umiejętności widzenia w nocy Vereesa byłaby prawie ślepa. Zastanawiała się, jak Rhonin radził sobie w takich mrokach, zakładając, że w ogóle żył. Czy on również błąkał się po

jałowej ziemi między nimi a Grim Batol, czy też Skrzydła Śmierci zabrał go jeszcze dalej, może do jakiejś krainy nieznannej nawet łowczyni?

Nie pozwalała sobie wierzyć, że czarodziej zawarł jakikolwiek sojusz z mrocznym, ale jeśli tak nie było, to co zrobił z nim Skrzydła Śmierci? W rzeczy samej, może posłała siebie i Falstada w pogoni za cieniem, i to nie Rhonin był cennym ładunkiem pancernego lewiatana?

Tak wiele pytań i żadnych odpowiedzi. Sfrustrowana łowczyni odsunęła się od krasnoluda i jego wierzchowca, odważając się przyjrzeć ukrytym w mroku wzgórzom i drzewom. Nawet ona, mimo doskonałego widzenia w ciemnościach, rozpoznawała właściwie tylko czarne kształty. To sprawiało, że jej otoczenie wydawało jej się jeszcze bardziej przytłaczające i niebezpieczne, nawet jeśli w promieniu wielu mil nie było ani jednego orka.

Z mieczem wciąż ukrytym w pochwie, Vereesa podążyła dalej. Natrafiła na parę pogiętych drzew. Oba jeszcze żyły, ale z wielkim trudem. Dotykając po kolei drzew, elfka czuła ich zmęczenie, oczekiwanie na śmierć. Wyczuwała również część ich historii, sięgającej jeszcze czasów sprzed nadejścia Hordy. Kiedyś Khaz Modan był zdrową krainą, w której swoje domy miały krasnoludy ze wzgórz i inne istoty. Krasnoludy uciekły przed nieubłaganym naporem orków, przysięgając jednak, że kiedyś powrócą.

Drzewa oczywiście nie mogły uciec. Dla krasnoludów ze wzgórz wkrótce nadejdzie czas powrotu, czuła elfka, jednak wtedy może być już za późno dla tych drzew i wielu im podobnych. Khaz Modan będzie potrzebować wielu, wielu dekad na regenerację, jeśli w ogóle się to uda.

- Odwagi - szepnęła do pary. - Nowa wiosna nadejdzie, obiecuję to wam. - W języku drzew i wszystkich roślin wiosna oznaczała nie tylko porę roku, lecz nadzieję w ogóle, odnowienie życia.

Gdy elfka postąpiła o krok do tyłu, oba drzewa wydały się odrobinę prostsze i wyższe. Efekt jej słów sprawił, że Vereesa uśmiechnęła się. Wyższe rośliny miały swoje sposoby, nieznanne nawet elfom, które umożliwiały im komunikowanie się. Może jej pociecha zostanie przekazana i niektóre z nich jednak przeżyją. Mogła mieć tylko nadzieję.

Krótki kontakt z drzewami zmniejszył ciężar leżący na jej sercu i w umyśle. Kamieniste wzgórzka nie wydawały się już tak złowrogie. Elfka poruszała się teraz pewniej, przekonana, że wszystko obróci się na lepsze, nawet w wypadku Rhonina.

Koniec jej straży nadszedł szybciej, niż się spodziewała. Vereesa zastanawiała się, czy nie pozwolić Falstadowi spać dłużej -jego chrapanie wskazywało, że zapadł w głęboki sen - lecz wiedziała także, że będzie obciążeniem, jeśli brak odpoczynku osłabi jej ramię w czasie bitwy. Z pewnym ociąganiem elfka poszła w stronę towarzysza...

... i zatrzymała się, kiedy bliski, ledwo słyszalny odgłos trzaskającej suchej gałązki ostrzegł ją, że ktoś lub coś się zbliżało.

Vereesa nie odważyła się obudzić Falstada, gdyż straciłaby element zaskoczenia. Zamiast tego przeszła obok jeźdźca gryfów i jego wierzchowca, udając zainteresowanie mrocznym krajobrazem za nim. Usłyszała kolejne odgłosy poruszania się, z tego samego kierunku. Tylko jeden intruz? Może tak, może nie. Dźwięk mógł mieć na celu ściągnięcie ją w tamtą stronę, żeby nie odkryła innych wrogów oczekujących w ciszy.

Ponownie cichy odgłos poruszania się... i następujący po nim dziki skrzek. Potężna postać wyskoczyła zza jej pleców.

Vereesa już miała broń w rękę, jednak szybko zorientowała się, że tak zareagował gryf Falstada, nie żadna potworna istota z lasu. Podobnie jak ona, zwierzę usłyszało słabe odgłosy, ale w przeciwieństwie do elfki gryf nie musiał rozważać różnych opcji. Zareagował zgodnie z wyostrzonym instynktem swojego rodzaju.

- Co się dzieje? - zapytał Falstad, zrywając się na równe nogi z dużą, jak na krasnoluda, łatwością. W rękę miał młot burzy, gotowy do walki.

- Coś między tymi starymi drzewami! Twój gryf za nim ruszył!

- Lepiej żeby tego nie zjadł, zanim będziemy mieli okazję zobaczyć, co to jest!

W mroku elfka mogła zobaczyć ciemną sylwetkę gryfa, ale nie jego przeciwnika. Słyszała jednak krzyki inne niż te wydawane przez skrzydlatą bestię, krzyki, które nie brzmiały wcale jak wyzwanie.

- Nie! Nie! Odejdź! Odejdź! Zejdź ze mnie! Smacznym kąskiem nie jestem!

Oboje podążyli w stronę tych przeraźliwych okrzyków. Istota, którą gryf przygwoździł, wcale nie brzmiała groźnie. Głos przypominał elfce kogoś, ale zupełnie nie widziała, kogo.

- Cofnij się! - zawołał Falstad do swojego wierzchowca. - Cofnij się, mówię! Słuchaj się!

Skrzydlaty lew z początku wyraźnie nie miał ochoty podporządkować się rozkazom swego pana, jakby czuł, że to, co schwytał, należało do niego, i że nie można temu zaufać na tyle, żeby to wypuścić. Z ciemności za głową zwierzęcia słychać było pisk. Dużo pisków.

Czyżby jakieś dziecko błąkało się samotnie pośrodku Khaz Modan? Z pewnością nie. Orki kontrolowały to terytorium przez lata! Skąd wzięłoby się takie dziecko?

- Proszę, och, proszę, och, proszę! Uratujcie tego nieznaczącego nieszczęśnika przed tym potworem... Fúj! Jaki on ma śmierdzący oddech!

Elfka zastygła. Żadne dziecko tak nie mówiło.

- Cofnij się, do diaska! - Falstad uderzył wierzchowca po zadzie. Ten rozłożył skrzydła, zaskrzeczał gardłowo, a w końcu się wycofał, pozostawiając swoją ofiarę.

Niska, żylasta postać wyskoczyła i natychmiast ruszyła w przeciwnym kierunku. Łowczyni jednak poruszała się jeszcze szybciej, podbiegła i chwyciła intruza, jak się okazało, za jedno długie ucho.

- Au! Proszę, nie krzywdź! Proszę, nie krzywdź!

- I co my tu mamy? - mruknął jeździec gryfów, przyłączając się do niej. - Nigdy nie słyszałem czegoś, co by tak piszczało! Ucisz je albo będę musiał je przebić! Sprowadzi nam na kark każdego orka w zasięgu słuchu!

- Słyszałeś, co powiedział - powiedziała sfrustrowana elfka wyrwijającej się postaci. - Cicho!

Ich niechciany towarzysz uciszył się. Falstad sięgnął do sakiewki.

- Mam tu coś, co pozwoli nam rzucić nieco światła na tę sprawę, elfia panienko, choć sądzę, że i tak już wiem, jakiego padlinożercę schwytaliśmy!

Wyciągnął niewielki przedmiot, który, odłożywszy na bok młot burzy, potarł między mięsistymi dłońmi. Kiedy to robił, przedmiot zaczął słabo świecić. Po kilku dalszych chwilach, kiedy blask nasilił się, elfka uświadomiła sobie, że jest to jakiś kryształ.

- Prezent od nieżyjącego towarzysza - wyjaśnił Falstad. Zbliżył świecący kryształ do ich więźnia. - Zobaczmy, czy miałem rację... ano, tak myślałem!

Podobnie Vereesa. Ona i krasnolud schwytali jedno z najmniej godnych zaufania stworzeń, jakie żyły. Goblina.

- Szpiegowaleś, co? - zagrzemiał towarzysz łowczyni. - Może powinniśmy cię teraz przebić i mieć spokój!

- Nie! Nie! Proszę! Ten niegodny nie jest szpiegiem! Nie jestem przyjacielem orków! Tylko wypełniałem rozkazy!

- Więc co tu robisz?

- Chowam się! Chowam się! Widziałem smoka jak noc! Smoki lubią zjadać gobliny, wiesz! - Brzydka, zielonkawa istota powiedziała to ostatnie, jakby każdy powinien o tym wiedzieć.

Smok jak noc?

- Chodzi ci o czarnego smoka? - Vereesa przyciągnęła bliżej goblina. - Widziałeś go? Kiedy?

- Niedawno! Przed zmrokiem!

- Na niebie czy na ziemi?

- Na ziemi! On... Falstad spojrział na nią.

- Nie możesz wierzyć słowu goblina, moja elfia damo! One nawet nie znają znaczenia słowa prawda!

- Uwierzę mu, jeśli będzie w stanie odpowiedzieć na jedno pytanie. Goblinie, czy smok był sam, a jeśli nie, to kto z nim był?

- Nie chcę mówić o zjadających goblina smokach! - zaczął, ale jedno szturchnięcie ostrzem Vereesy wywołało powódź słów. - Nie sam! Nie sam! Miał ze sobą innego! Może do zjedzenia, ale najpierw do rozmowy! Nie słuchałem! Chciałem tylko uciec! Nie lubię smoków i nie lubię czarodziejów!

- Czarodziejów? - wyrzucili z siebie elfka i Falstad. Vereesa starała się nie robić sobie zbyt dużych nadziei. - Ten czarodziej dobrze wyglądał? Nie był ranny?

- Nie.

- Opisz go.

Goblin wrywał się, wierzgając swoimi chudymi rękami nogami. Łowczyni jednak nie dała się zwieść pajęczym z wyglądu kończynom. Goblina potrafiły być śmiertelnie niebezpieczne, posiadały siłę i spryt, które przeczyły ich niewielkim postaciom.

- Czerwona grzywa, arogancki! Wysoki i odziany w granat! Nie znam imienia! Nie słyszałem imienia!

Skromny opis, ale wystarczył. Jak wielu czerwono włosów, wysokich czarodziejów odzianych w granatowe szaty mogło tu być, szczególnie w towarzystwie Skrzydeł Śmierci?

- Wygląda na to, że to twój przyjaciel - odpowiedział Falstad, chrząkając. - Wygląda na to, że rzeczywiście miałaś rację.

- Musimy za nim pójść.

- W ciemnościach? Po pierwsze, moja elfia damo, wcale nie spałaś, a po drugie, choć ciemność zapewnia nam ochronę, sprawia też, że cholernie trudno jest zobaczyć cokolwiek innego, nawet smoka!

Mimo iż Vereesa bardzo chciała od razu kontynuować poszukiwania, wiedziała, że krasnolud ma rację. Nie mogła jednak czekać do rana. Straci cenny czas.

- Potrzebuję tylko paru godzin, Falstadzie. Daj mi tyle czasu i możemy ruszać.

- Wciąż będzie ciemno, a gdybyś zapomniała, Skrzydła Śmierci może i jest duży, ale czarny jak noc!

- Nie musimy wcale go szukać. - Uśmiechnęła się. - Wiemy przynajmniej, gdzie wylądował... to znaczy, jeden z nas wie.

Oboje spojrzeli na goblina, który wyraźnie pragnął znajdować się gdzie indziej.

- Skąd wiemy, że możemy mu zaufać? To nie plotka, że te zielone złodziejaszki są notorycznymi kłamcami!

Łowczyni skierowała ostry koniuszek miecza w stronę gardła goblina.

- Ponieważ ten tutaj będzie miał dwie możliwości. Albo pokaże nam, gdzie wylądowali Rhonin i Skrzydła Śmierci, albo potnę go na przynętę dla smoka.

Falstad zaśmiał się.

- Myślisz, że nawet Skrzydła Śmierci byłby w stanie strawić kogoś takiego jak on?

Ich nieduży więzień zadrżał, a jego niepokojące żółte oczy bez źrenic rozszerzyły się ze strachu. Mimo bliskości miecza goblin zaczął podskakiwać do góry i dołu w zupełnie zwariowany sposób.

- Chętnie wam pokażę! Naprawdę chętnie! Nie bójcie się smoków! Zaprowadzę was do waszego przyjaciela!

- Ciszej, ty! - Łowczyni zacisnęła uchwyt na piekielnej istocie. - Albo będę musiała ci obciąć język.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam... - wyszeptał ich nowy towarzysz. Goblin uciszył się. - Nie krzywdźcie żalosego...

- Ba! Ten tutaj jest marny nawet jak na goblina!

- Nieważne, jeśli pokaże nam drogę.

- Ten łotr dobrze cię wyprowadzi, pani! Bardzo dobrze!

Vereesa zastanowiła się.

- Będziemy musieli go teraz związać...

- Przywiążę go do mojego wierzchowca. On utrzyma paskudnego gryzonia pod kontrolą.

Usłyszawszy to, goblin zaczął wyglądać na jeszcze bardziej chorego, tak bardzo, że srebrnowłosa łowczyni zaczęła nawet trochę współczuć szmaragdowej istocie.

- W porządku, ale upewnij się, że twoje zwierzę nie zrobi mu żadnej krzywdy.

- Tak długo, jak długo będzie grzeczny. - Falstad popatrzył na więźnia.

- Ten marny będzie grzeczny, szczerze i uczciwie...

Cofając ostrze miecza z jego gardła, Vereesa spróbowała nieco ułagodzić goblina. Może jeśli potraktują go z odrobiną grzeczności, uda im się z nieszczęsnej istoty wydobyć coś więcej.

- Doprowadź nas tam, gdzie chcemy, a wypuścimy cię, zanim zagrozi ci zjedzenie przez smoka. Masz moje słowo. -Przerwała. - Masz jakieś imię, goblinie?

- Tak, pani, tak! - Zbyt duża głowa podskakiwała do góry i do dołu. - Nazywam się

Kryli, pani, Kryli!

- Dobrze, Kryllu, rób tak, jak chcę, a wszystko pójdzie dobrze, rozumiesz?

Goblin właściwie zaczął podskakiwać.

- O tak, tak, rozumiem, pani! Zapewniam cię, że ten żalosny zaprowadzi cię dokładnie tam, gdzie masz się udać! - Uśmiechnął się do niej szaleńczo. - Obiecuję...

JEDENAŚCIE

Nekros bawił się Duszą Demona, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem. Dowódca orków nie spał przez całą noc, wszystkie jego myśli wypełniał Torgus, który nie powrócił z patrolu. Czy poniósł klęskę? Czy on i smok zginęli? A jeśli tak, jakie siły wysłali ludzie, żeby uratować Alexstraszę? Armie jeźdźców gryfów z czarodziejami na dodatek? Przecież nawet Sojusz nie pozwoliłby sobie na posłanie takich sił, w końcu trwała wojna na północy i konflikty wewnętrzne...

Próbował skontaktować się z Zuluhedem, żeby powiedzieć mu o swoich wątpliwościach, ale szaman nie odpowiedział na jego magiczne wezwanie. Ork wiedział, co to oznaczało - sprawy gdzie indziej miały się tak źle, że Zuluhed nie miał czasu reagować na to, co wydawało mu się tylko wydumanymi obawami podwładnego. Szaman oczekiwał, że Nekros będzie działał tak jak każdy ork - odważnie i zdecydowanie... co oznaczało, że okaleczony dowódca znalazł się w punkcie wyjścia.

Dusza Demona dawała mu władzę nad potężnymi mocami, ale Nekros był świadom, że nie rozumiał nawet cząstki jej potencjału. Zrozumienie głębi własnej ignorancji powodowało, że ork nie był nawet pewien, czy odważy się spróbować wykorzystywać artefakt bardziej niż dotychczas. Zuluhed wciąż się nie domyślił, co przekazał swojemu podwładnemu. Z tych ułamków wiedzy, jakie Nekrosowi udało się zgromadzić, wynikało, że Dusza Demona zawiera w sobie tak ogromną moc, że mogłaby zmieść z powierzchni ziemi wszystkie siły Sojuszu zgromadzone na pomocy Khaz Modan.

Problem polegał na tym, że nieostrożnie wykorzystywany dysk mógłby również zniszczyć całe Grim Batol.

- Dajcie mi dobry topór i dwie zdrowe nogi, a wrzucę cię do najbliższego wulkanu - mruknął do złotego artefaktu.

W tej właśnie chwili wyglądający na znękanego wojownika wpadł do jego kwatery, ignorując wściekłe spojrzenie swojego dowódcy.

- Torgus wraca!

- Wreszcie dobre wieści! Dowódca odetchnął z ulgą. Jeśli Torgus wraca, to przynajmniej jedno niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Nekros prawie zeskoczył z ławy. Może Torgusowi udało się wziąć choć jednego jeńca. Zuluhed tego właśnie by oczekiwał. Odrobina tortur i skowyczący człowieczek bez wątpienia powiedziałby im wszystko, co chcieliby wiedzieć o nadchodzącej inwazji na północy.

- Nareszcie! Jak daleko?

- Kilka minut, nie więcej. - Drugi ork miał niepewną minę na brzydkiej twarzy, lecz Nekros zignorował to, szczęśliwy z powrotu potężnego jeźdźcy smoków. Przynajmniej Torgus go nie zawiódł.

Odłożył Duszę Demona i pobiegł jak najszybciej do potężnej jaskini, którą jeźdźcy smoków wykorzystywali do startów i lądowań. Wojownik, który przyniósł wieści, podązał zaraz za nim, dziwnie cichy. Tym razem jednak Nekrosowi odpowiadała cisza. Jedynym głosem, który pragnął usłyszeć, był ten należący do Torgusa, opowiadający o wielkim zwycięstwie nad przybyszami.

Kilkanaście innych orków, włączając w to większość jeszcze żyjących jeźdźców smoków, oczekiwała na Torgusa przed szerokim otworem jaskini. Nekros skrzywił się, patrząc na brak porządku, wiedział jednak, że wszyscy podobnie jak on oczekiwali na triumfalny powrót bohatera.

- Z drogi! Z drogi!

Przepchnąwszy się przez pozostałych, wpatrzył się w błądy blask przedświt. Z początku nie mógł zauważyć żadnego z lewiantów. Wartownik, który zawiadomił o ich przybyciu, musiał mieć ostrzejszy wzrok. Później Nekros zauważył w pewnej odległości ciemny kształt, który stopniowo powiększał się i zbliżał.

Tylko jeden? Ork o drewnianej nodze chrząknął. Kolejna strata, ale przeżyją ją, skoro groźba została zażegnana. Nekros nie był w stanie stwierdzić, który smok wraca, ale podobnie jak pozostali oczekiwał, że będzie to wierzchowiec Torgusa. Nikt nie był w stanie pokonać największego wojownika Grim Batol.

A jednak... a jednak... gdy smok zbliżył się na tyle, że można było rozpoznać jego kształt, Nekros zauważył, że bestia leciała dość niepewnie, jej skrzydła wyglądały na podarte, a ogon zwieszał się właściwie bezwładnie. Zmrużywszy oczy, zobaczył również jeźdźca, który siedział skulony w siodle i nie wyglądał na przytomnego.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach dowódcy.

- Rozejść się! - krzyknął. - Rozejść się! Będzie potrzebował mnóstwo miejsca, żeby wylądować!

Wypełniając swój własny rozkaz, Nekros uświadomił sobie, że wierzchowiec Torgusa będzie potrzebował całej dostępnej przestrzeni. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej niepewny wydawał się jego lot. Przez chwilę Nekros obawiał się nawet, że lewiant może się rozbić o ścianę góry, tak niepewnie manewrował. Dopiero w ostatniej chwili udało mu się dostać do środka, być może nakierował go jeździec.

Z wielkim hukiem smok wylądował pomiędzy nimi.

Orki krzyknęły ze zdziwienia i konsternacji, kiedy ranna bestia poleciała do przodu, gdyż nie była w stanie zahamować. Jeden z wojowników został wyrzucony w powietrze, gdy zaczepiło o niego skrzydło. Ogon machał w różne strony, uderzając o ściany. Ze sklepienia posypały się kamienie. Nekros oparł się o ścianę i zacisnął zęby. Wszędzie unosił się kurz.

Jaskinię wypełniła cisza. Kaleki dowódca i ci, którym udało się uciec przed smokiem, uświadomili sobie, że olbrzymia istota przed nimi przebyła całą tę drogę tylko po to, żeby umrzeć.

Ale nie jeździec. Z pyłu z trudnością uniosła się imponująca postać. Wojownik odpiął się z grzbietu smoka i zsunął po jego boku. Kiedy ork dotknął ziemi, prawie upadł na kolana. Wypluł krew i pył, po czym rozejrzał się dookoła, szukając... szukając...

Nekrosa.

- Jesteśmy zgubieni! - zaryczał najodważniejszy, najsilniejszy z jeźdźców smoków. - Jesteśmy zgubieni, Nekrosie!

Arogancję Torgusa przytłumiło coś innego. Dopiero po dłuższym czasie dowódca rozpoznał w tym rezygnację. Torgus, który kiedyś przysięgał, że zginie, walcząc, teraz wyglądał na pokonanego.

Nie, nie on! Starszy ork pokuśtykał do swojego wojownika najszybciej jak potrafił, jego twarz zachmurzyła się.

- Cisza! Nie będziesz tak mówił! Przynosisz wstyd klanom! Przynosisz wstyd sobie!

Torgus z trudem oparł się o szczątki swojego wierzchowca.

- Wstyd? Nie znam wstydu, starcze! Widziałem prawdę, a prawdą jest, że nie ma dla nas nadziei! Nie tutaj!

Ignorując fakt, że drugi ork jest od niego wyższy i cięższy, Nekros chwycił go za ramiona i potrząsnął nim.

- Mów! Co sprawiło, że wyrzuciłeś z siebie te zdradliwe słowa?

- Popatrz na mnie, Nekrosie! Popatrz na mojego smoka! Wiesz, co to zrobiło? Wiesz, z czym walczyliśmy?

- Z armadą gryfów? Legionem czarodziejów?

Krople krwi plamiły medale wciąż przyłączone do piersi Torgusa. Jeździec smoków próbował się roześmiać, ale złapał go atak kaszlu. Nekros czekał niecierpliwie.

- Była... byłaby to bardziej wyrównana walka, że tak powiem! Nie, widzieliśmy tylko kilka gryfów, pewnie przynęte! Tak musiało być! Za mało, żeby walczyć...

- Nieważne! Co ci to zrobiło?

- Co to zrobiło? - Torgus popatrzył za plecy swojego dowódcy w stronę innych wojowników. - Sama śmierć... śmierć w postaci czarnego smoka!

Orki były wyraźnie zaskoczone. Sam Nekros zeszywniał, słysząc te słowa.

- Skrzydła Śmierci?

- I to walczący dla ludzi! Spadł z chmur, kiedy próbowałem zaatakować jednego gryfa! Z trudem udało nam się uciec!

To nie mogła być prawda... a jednak tak musiało właśnie być. Torgus nie wymyśliłby tak nieprawdopodobnego kłamstwa. Jeśli powiedział, że zrobił to Skrzydła Śmierci (a rany na ciele smoka dodawały wiarygodności jego słowom), to rzeczywiście zrobił to Skrzydła Śmierci.

- Powiedz mi więcej! Nie opuszczaj żadnego szczegółu!

Mimo ciężkiego stanu, w jakim się znajdował, jeździec dokładnie tak postąpił, opowiadając, jak on i drugi ork wpadli na, wydawałoby się, mało znaczący oddział. Pewnie zwiadowców. Torgus widział kilku krasnoludów, elfa i przynajmniej jednego czarodzieja. Łatwy łup, za wyjątkiem niespodziewanej ofiary ludzkiego wojownika, który jakimś sposobem samodzielnie pozbawił życia drugiego smoka.

Nawet wtedy Torgus nie spodziewał się problemów. Czarodziej sprawiał trochę kłopotów, ale zniknął w połowie walki, prawdopodobnie spadł i zginął. Ork zbliżył się do krasnoludów, gotów dokończyć sprawę.

I wtedy właśnie zaatakował Skrzydła Śmierci. Szybko poradził sobie z wierzchowcem Torgusa, który z początku nie chciał słuchać rozkazów swojego jeźdźcy i pragnął walczyć. Torgus nie był tchórzem, wiedział jednak, że walka z opancerzonym behemotem była bezcelowa. Przez cały czas rozkazywał swojemu wierzchowcowi, by zawrócił, jednak czerwony smok zdecydował się na ucieczkę dopiero wtedy, gdy został poważnie ranny.

W miarę jak opowieść się rozwijała, Nekros zobaczył, jak wszystkie jego koszmary stają się rzeczywistością. Goblin Kryli miał rację, kiedy poinformował go, że Sojusz ma zamiar wyrwać królową smoków spod orczej władzy. Paskudna istotka nie wiedziała jednak albo też nie chciała mu powiedzieć, jak wielkie siły w tym celu zgromadzono. Jakimś sposobem ludziom udało się dokonać niemożliwego - zawrzeć sojusz z jedyną istotą, którą obie strony szanowały i której się bały.

- Skrzydła Śmierci... - szepnął.

Ale czemu mieliby marnować opancerzonego behemota na taką misję? Torgus musiał mieć rację, kiedy uznał zaatakowany przez niego oddział za zwiadowców lub przynętę. Z pewnością o wiele większa siła musiała podążać tuż za nimi.

I nagle Nekrosa olśniło. Już wiedział, co się szykowało. Odwrócił się do innych orków, z trudem utrzymując spokój w głosie.

- Rozpoczęła się inwazja, ale nie na północy! Ludzie i ich sojusznicy najpierw zabierają się za nas!

Wojownicy patrzyli po sobie z przerażeniem. Najwyraźniej uświadomili sobie, że stanęli przed niebezpieczeństwem większym, niż ktokolwiek w Hordzie mógłby sobie wyobrazić. Inną rzeczą było zginąć w chwale, a inną wiedzieć, że nie ma się żadnych szans.

Wnioski wydawały się Nekrosowi całkowicie rozsądne. Ludzie chcieli zaatakować niespodziewanie od zachodu, zdobyć południową część Khaz Modan, uwolnić lub zabić królową smoków, pozbawiając pozostałości Hordy na północy, w pobliżu Dun Algaz, bez głównego wsparcia - a później wyruszyć z Grim Batol. Resztki orczej rasy, schwymane między napastnikami z południa a tymi z okolic Dun Modr, zostaną zgniecione, a niedobitki odesłane do enklaw strzeżonych przez ludzi.

Zuluhed pozostawił mu władzę we wszystkich kwestiach dotyczących góry i uwięzionych smoków. Szaman nie zdecydował się odpowiedzieć na jego wezwanie, więc najwyraźniej uznał, że może Nekrosowi zaufać. Dobrze więc, Nekros zrobi to, co zrobić musi.

- Torgus! Daj się połatać i prześpij się! Później będę cię potrzebował!

- Nekros...

- To rozkaz!

Wściekłość w jego oczach sprawiła, że potężny wojownik wycofał się. Torgus pokiwał głową i odszedł z pomocą jednego z towarzyszy. Nekros odwrócił się do pozostałych.

- Zbierzcie wszystko co najważniejsze i umieśćcie na wozach! Włóżcie jaja do skrzyń wyłożonych słomą i trzymajcie je w ciepłe! - Przerwał, przeglądając w myślach listę czynności. - Przygotujcie się do zabicia wszystkich smoczyczych młodych, które są zbyt dzikie, by je wytresować!

To sprawiło, że Torgus zatrzymał się. On i inni jeźdźcy patrzyli na dowódcę z przerażeniem.

- Zabić młode?! Potrzebujemy...

- Potrzebujemy tego, co będzie można szybko przewieźć... na wszelki wypadek!

Wyższy ork przyglądał się mu.

- Na wypadek czego?

- Na wypadek, gdyby nie udało mi się zająć Skrzydłami Śmierci...

Teraz już wszyscy patrzyli na niego, jakby wyrosła mu druga głowa i zmienił się w ogra.

- Zająć się Skrzydłami Śmierci? - warknął jeden z pozostałych jeźdźców.

Nekros poszukał wzrokiem swojego głównego dozorca, który zwykle pomagał mu w zajmowaniu się królową smoków.

- Ty! Chodź ze mną! Musimy zastanowić się, jak przewieźć matkę!

Torgus w końcu uznał, że wie, co się dzieje.

- Porzucasz Grim Batol! Zabierasz wszystko na północ, na front!

- Tak...

- Będą nas gonić! Skrzydła Śmierci będzie nas gonić! Ork o drewnianej nodze parsknął.

- Masz swoje rozkazy... a może otaczają mnie teraz skamlący peoni, a nie potężni wojownicy?

Przytyk dobrze trafił. Torgus i pozostali wyprostowali się. Nekros może i nie miał nogi, ale wciąż był ich dowódcą. Mogli go tylko usłuchać, nawet jeśli uznawali jego plany za szaleństwo.

Nekros przepchnął się obok rannego wojownika, obok wszystkich na drodze, jego umysł wypełniała kotłowanina myśli. Tak, musi mieć królową smoków na otwartej przestrzeni, choćby w otworze jaskini. Tak będzie najlepiej.

Zrobi tak, jak wcześniej zrobili ludzie. Ustawi przynętę... choć na wypadek gdyby poniósł klęskę, przynajmniej jaja muszą dotrzeć do Zuluheda. Nawet gdyby tylko one przetrwały, pomoże to Hordzie, a jeśli Nekrosowi uda się zwyciężyć, choćby kosztem własnego życia, orki wciąż będą miały jakąś szansę. Potężna dłoń sięgnęła do sakiewki, gdzie spoczywała Dusza Demona. Nekros Miażdzący Czaszki zawsze zastanawiał się nad ograniczeniami tajemniczego talizmanu. Teraz będzie miał szansę się o nich przekonać.

Słaby blask świtu obudził Rhonina z czegoś, co wydawało mu się najgłębszym snem w całym życiu. Czarodziej podniósł się z trudem i rozejrzał dookoła, próbując zorientować się w sytuacji. Zalesione okolice, nie gospoda, o której śnił. Nie gospoda, w której siedział z Vereesą, rozmawiając o...

Obudziłeś się... dobrze...

Słowa te pojawiły się w jego umyśle bez żadnego ostrzeżenia, niemal wywołując wstrząs. Rhonin podskoczył na równe nogi i obrócił się dookoła, zanim zlokalizował źródło. Zacisnął dłoń na niewielkim medalionie, który poprzedniej nocy dał mu Skrzydła Śmierci. Dymny czarny kryształ w jego środku słabo świecił. Wpatrując się w niego, Rhonin

przypomniał sobie wydarzenia poprzedniego wieczora, włączając w to obietnicę, którą złożył mu czarny lewiatan. Będę cię prowadził przez całą drogę, powiedział wtedy smok.

- Gdzie jesteś? - zapytał w końcu mag.

Gdzie indziej, odrzekł Skrzydła Śmierci. Ale jednocześnie jestem z tobą...

Ta myśl sprawiła, że Rhonin zadrżał i zaczął się zastanawiać, dlaczego przyjął propozycję smoka. Prawdopodobnie dlatego, że nie miał innego wyboru.

- Co teraz będzie?

Słońce wstaje. Musisz ruszać.

Ostrożny mag rozejrzał się wokół i przyjrzał terenom na wschodzie. Las przechodził w kamienistą, niegościnną okolicę, która, jak wiedział z map, w końcu doprowadziłaby go do Grim Batol i góry, gdzie orki trzymały królową smoków. Rhonin ocenił, że Skrzydła Śmierci oszczędził mu kilku dni podróży, zanosząc tak daleko. Grim Batol musi być oddalone o dwa lub trzy dni drogi.

Ruszył w kierunku, który wydawał mu się oczywisty, jednak Skrzydła Śmierci natychmiast mu przerwał. Nie powinieneś iść tędy.

- Czemu nie? Ta droga prowadzi bezpośrednio do Grim Batol.

I w szpony orków, człowieku. Czy jesteś aż takim głupcem?

Rhonin poczuł się obrażony, lecz nie wypowiedział tego na głos. Miast tego zapytał -
Więc gdzie?

Popatrz...

W umyśle człowieka pojawił się obraz otoczenia. Rhonin ledwo miał czas przetrawić tę zadziwiającą wizję, kiedy zaczęła się poruszać, w pierw powoli, później z coraz większą prędkością. Wizja przesuwiała się wzdłuż szczególnej ścieżki, pędząc przez lasy. Gdy objęła kamieniste tereny, ścieżka zaczęła skręcać się i zwijać, a obrazy wciąż pędziły z prędkością wywołującą zawroty głowy. Mijały go urwiska i wąwozy, pędzące drzewa tworzyły mgiełkę. Rhonin musiał chwycić najbliższy pień, żeby nie dać się porwać obrazom w swoim umyśle.

Wzgórza stawały się coraz wyższe i groźniejsze, w końcu przeszły w pierwsze góry. Nawet wtedy jego wizja nie spowolniła, aż w końcu zatrzymała się na jednym szczególnym szczycie, który od razu przyciągnął uwagę Rhonina mimo jego wcześniejszych wątpliwości.

U podstawy góry pole widzenia Rhonina przesunęło się w stronę nieba tak gwałtownie, że czarodziej niemal stracił równowagę. Wizja wspinała się na szczyt, zawsze pokazując miejsca, gdzie znajdowały się półki lub uchwyty dla palców. Podążała wciąż w górę, aż w końcu dotarła do wąskiego wejścia do jaskini...

... i zakończyła się tak gwałtownie, jak się zaczęła. Wstrząśnięty Rhonin znów stał

pomiędzy drzewami.

To jest droga, jedyna droga, która pozwoli ci osiągnąć nasz cel...

- Ale jest dłuższa i prowadzi przez bardziej niebezpieczne okolice! - Wolał nawet nie myśleć o wspinaniu się po tym zboczu. Co dla smoka wydawało się prostą drogą, dla człowieka było zdradliwe, nawet jeśli akurat posiadał dar magii.

Otrzymasz pomoc. Nie powiedziałem, że przez całą drogą będziesz musiał iść...

- Ale...

Czas ruszać, nalegał głos.

Rhonin zaczął iść, a raczej zaczęły iść jego nogi.

Trwało to zaledwie chwilę, ale wystarczyło, żeby zachęcić czarodzieja do wędrówki. Kiedy odzyskał władzę nad nogami, natychmiast ruszył do przodu, gdyż nie chciał znosić kolejnej lekcji. Skrzydła Śmierci bez trudu pokazał mu, jak silna była więź pomiędzy nimi.

Smok nie odezwał się po raz drugi, lecz Rhonin wiedział, że Skrzydła Śmierci czai się gdzieś w głębi jego umysłu. Mimo całej swojej siły, czarny lewiatan nie miał jednak całkowitej władzy nad Rhoninem. Przynajmniej myśli czarodzieja wydawały się ukryte przed smoczym sojusznikiem. I dobrze, inaczej Skrzydła Śmierci nie byłby zbyt zadowolony z maga, gdyż Rhonin już zastanawiał się nad sposobem uwolnienia się spod wpływu smoka.

Dziwne. Poprzedniej nocy bardziej niż chętnie wierzył we wszystko, co mówił mu Skrzydła Śmierci, nawet w jego pragnienie uwolnienia Alexstraszy. Teraz jednak wracało mu poczucie rzeczywistości. Z pewnością ze wszystkich stworzeń Skrzydła Śmierci najmniej pragnął wolności swej największej rywalki. Czyż nie próbował zniszczyć jej rodzaju podczas wojny?

Przypomniał sobie, że pod koniec ich rozmowy smok odpowiedział i na to pytanie.

„Dzieci Alexstraszy zostały wychowane przez orki, człowieku. Zwróciły się przeciwko wszystkim innym istotom. Jej wolność nie zmieni tego, czym się stały. Wciąż będą służyć swoim panom. Zabijam je, gdyż nie mam innego wyboru - rozumiesz?” I wtedy Rhonin rozumiał. Wszystko, co smok powiedział poprzedniego wieczora, brzmiało bardzo prawdziwie, lecz w świetle dnia czarodziej zaczął kwestionować głębię tych prawd. Skrzydła Śmierci mógł wierzyć we wszystko, co powiedział, nie oznaczało to jednak, że jego postępowanie nie wynikało z innych, mroczniejszych powodów.

Rhonin rozważał zdjęcie medalionu i wyrzucenie go, jednak czyn taki na pewno przyciągnąłby uwagę niechcianego sojusznika, a Skrzydła Śmierci z łatwością by go odszukał. Smok już udowodnił, że potrafi być bardzo szybki. Do tego Rhonin wątpił, czy jeśli opancerzony behemot musiałby odwiedzić go po raz kolejny, zrobiłby to jako przyjaciel.

Póki co mógł jedynie wędrować po wyznaczonej trasie. Rhonin nagle uświadomił sobie, że nie ma zapasów, nawet buklaka na wodę, gdyż wszystko utonęło w morzu razem z nieszczęsnym Molokiem i jego gryfem. Skrzydła Śmierci nie uznał za stosowne wyposażyć go w cokolwiek, jedzenie i picie poprzedniego wieczora było najwyraźniej jedynym pożywieniem, jakie miał otrzymać.

Rhonin, wcale tym nie zmartwiony, ruszył dalej. Skrzydła Śmierci chciał, żeby dotarł do góry i w tym punkcie mag się z nim zgadzał. Kiedy już tam dotrze, zacznie się zastanawiać.

Wędrując po coraz bardziej zdradliwym terenie, czarodziej nie mógł przestać myśleć o Vereesie. Elfka wykazywała nieustępliwą wierność swym obowiązkom, jednak teraz z pewnością zawróciła... pod warunkiem, że przeżyła atak. Świadomość, że łowczyni mogła zginąć, sprawiła, że Rhoninowi ścisnęło się gardło. Potknął się. Nie, z pewnością przeżyła, a zdrowy rozsądek kazał jej powrócić do Lordaeron i swego ludu.

Na pewno...

Rhonin zatrzymał się, nagle poczuł, że musi rozejrzeć się dookoła. Miał ogromne podejrzenia, że Vereesa nie kierowała się zdrowym rozsądkiem, a raczej nalegała, by lecieć dalej. Może udało jej się przekonać niemożliwego do przekonania Falstada, żeby zabrał ją do Grim Batol. Nawet teraz, zakładając, że nic się jej nie stało, Vereesa mogła podążać jego śladem, wciąż się do niego zbliżając.

Czarodziej postąpił o krok na zachód...

Człowieku...

Rhonin zmełł w ustach przekleństwo, kiedy głos Skrzydeł Śmierci wypełnił jego umysł. Jakim sposobem smok tak szybko się dowiedział? Może rzeczywiście był w stanie czytać w myślach czarodzieja?

Człowieku, czas, żebyś się odświeżył i coś zjadł...

- Co... co masz na myśli?

Zatrzymałeś się. Szukałeś wody i jedzenia, prawda?

- Tak. - Nie miał powodu, by powiedzieć smokowi prawdę.

Zwróć się ponownie na wschód i idź przez kilka minut. Poprowadzę cię.

Straciwszy okazję, Rhonin usłuchał smoka. Potykając się na trudnej ścieżce dotarł w końcu do niedużego zagajnika.

Niesamowite, że nawet w najbardziej nieprzyjaznych częściach Khaz Modan rozwijało się życie. Rhonin podziękowałby swojemu niechcianemu sojusznikowi za sam cień. Pośrodku zagajnika znajdziesz to, czego pragniesz... Na pewno nie wszystko, czego pragnie,

choć czarodziej nie mógł tego powiedzieć Skrzydłom Śmierci. Mimo to podążył z większą chęcią. Jedzenie i woda coraz bardziej do niego przemawiały. Kilka chwil odpoczynku też mu dobrze zrobi.

Drzewa były niskie jak na ten gatunek, osiągały najwyżej dwanaście stóp, lecz zapewniały dobry cień. Rhonin wszedł do zagajnika i natychmiast rozejrzał się dookoła. W środku musiało być źródło i być może trochę owoców. Jakież inny posiłek mógł zaoferować Skrzydła Śmierci z takiej odległości?

Najwyraźniej całą ucztę. Na samym środku zalesionego terenu znajdował się zestaw potraw i napojów, jakiego Rhonin z pewnością się nie spodziewał. Pieczony królik, świeży chleb, pocięte owoce i - dotknął butelki z pewną dozą lęku - zimna woda.

Jedz, szepnął w jego głowie smok. Rhonin posłuchał go z chęcią, wgrzyzając się w posiłek. Królik został świeżo upieczony i doskonale doprawiony; chleb zachował przyjemną woń pieca. Zapominając o dobrych manierach, napił się prosto z butelki... i odkrył, że, choć flaszka powinna być po tym w połowie pusta, nadal pozostała pełna. Po tym odkryciu Rhonin napił się do syta, wiedząc, że Skrzydła Śmierci dobrze mu życzy, choćby tylko po to, żeby czarodziej dotarł do góry.

Mając swoją magię, mógłby wyczarować coś podobnego, ale poświęciłby na to moc, której mógł potrzebować w trudniejszych chwilach. Poza tym Rhonin wątpił, czy byłby w stanie stworzyć taki posiłek, przynajmniej nie wkładając w to wielkiego wysiłku.

Ponownie zabrzmiał głos smoka, wcześniej niż miał na to nadzieję.

Czujesz się najedzony?

- Tak... tak. Dziękuję.

Czas ruszać. Znasz drogę.

Rhonin rzeczywiście znał drogę. Mógł sobie wyobrazić całą trasę, którą pokazał mu smok. Skrzydła Śmierci najwyraźniej chciał się upewnić, że jego pionek nie powędruje w złą stronę.

Nie mając innego wyboru, czarodziej usłuchał. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby jeszcze raz spojrzeć za siebie, z nadzieją, że zobaczy choćby w dużej odległości znajome srebrne włosy. Jednocześnie nie chciał, żeby Vereesa czy nawet Falstad podążali za nim. Duncan i Molok już zginęli przez jego misję. Zbyt wiele śmierci ciążyło na Rhoninie.

Dzień mijał. Kiedy słońce znalazło się tuż nad horyzontem, Rhonin zaczął wątpić w drogę Skrzydeł Śmierci. Ani razu nie widział - nie mówiąc już o walce - orczego zwiadowcy, a Grim Batol z pewnością wciąż ich miało. Nie widział ani jednego smoka. Albo już nie patrolowały nieba, albo czarodziej odszedł tak daleko, że znalazł się poza ich zasięgiem.

Słońce opadło jeszcze niżej. Nawet kolejny posiłek, najwyraźniej wyczarowany przez Skrzydła Śmierci, nie uspokoił Rhonina. Kiedy ostatnie światła dnia zniknęły, mag zatrzymał się i spróbował przyjrzeć krajobrazowi przed sobą. Do tej pory jedyne góry, które widział, znajdowały się stanowczo za daleko. Minie co najmniej kilka dni, zanim do nich dotrze, nie mówiąc już o szczycie, gdzie orki trzymały smoki.

Cóż, Skrzydła Śmierci doprowadził go do tego miejsca. Skrzydła Śmierci może wyjaśnić, w jaki sposób według niego człowiek miałby dotrzeć do celu.

Rhonin, wciąż wpatrując się w odległe góry, zacisnął dłoń na medalionie i odezwał się..

- Muszę z tobą porozmawiać. Mów...

Nie do końca oczekiwał, że ta metoda zadziała. Dotychczas to smok kontaktował się z nim, a nie odwrotnie.

- Powiedziałeś, że ta droga doprowadzi mnie do góry, ale jeśli tak nawet jest, zajmie mi to więcej czasu, niż go mam. Nie wiem, jak według ciebie miałem pieszo dotrzeć na szczyt.

Jak już wcześniej mówiłem, nie będziesz podróżować w taki prymitywny sposób przez cały czas. Pokazałem ci wizję drogi, żebyś przez cały czas miał pewność, że się nie zgubiłeś.

- Więc jak mam do niej dotrzeć? Cierpliwości. Wkrótce z tobą będą.

- Oni?

Pozostań tam, gdzie jesteś. Tak będzie najlepiej.

- Ale... - Rhonin uświadomił sobie, że Skrzydła Śmierci już z nim nie rozmawia. Czarodziej po raz kolejny rozważył zerwanie medalionu z szyi i wyrzucenie go między kamienie, ale co by mu to dało? Rhonin i tak musiał się znaleźć na terytorium orków.

Kogo Skrzydła Śmierci miał na myśli?

Wtedy usłyszał dźwięk nie przypominający niczego, co w życiu słyszał. Wpierw pomyślał, że to smok, ale żeby wydawać takie odgłosy, bestia musiałaby cierpieć na ogromną niestrawność. Rhonin spojrzał na ciemniejące niebo, lecz z początku nic nie zobaczył.

Jego uwagę zwrócił krótki błysk światła, pochodzący gdzieś z góry.

Rhonin zaklął, myśląc, że Skrzydła Śmierci wystawił go na przynętę dla orków. Z pewnością światło było pochodnią lub kryształem w ręce jeźdźca smoków. Czarodziej wezwał zakłęcie. Nie odejdzie bez walki, nawet gdyby miała się okazać daremna.

Wówczas światło pojawiło się po raz kolejny, tym razem na dłużej. Rhonin na chwilę został oświetlony. Stanowił doskonały cel dla tego czegoś, co czało się na niebie.

- Mówiłem ci, że tu jest!

- Wiedziałem przez cały czas! Chciałem tylko sprawdzić, czy ty to wiesz!

- Kłamca! Wiedziałem, a ty nie! Wiedziałem, a ty nie! Na ustach młodego czarodzieja pojawił się grymas. Jaki smok mówiłby tak wysokim głosem?

- Uważaj na latarnię! - zaklął jeden z głosów.

Światło nagle przesunęło się z Rhonina i uniosło w górę. Promień przez chwilę oświetlił potężny, wrzecionowaty kształt, po czym przeniósł się do tyłu. Tam czarodziej zauważył dymiące i bekające urządzenie, które poruszało śmigłem na końcu owalu.

Balon! uświadomił sobie Rhonin. Sterowiec!

Już raz, w samym środku wojny, udało mu się zobaczyć jedno z tych niesamowitych urządzeń. Zadziwiające, wypełnione gazem worki były tak potężne, że mogły unieść otwarty kosz z dwoma lub trzema ludźmi. W trakcie wojny wykorzystywano je do obserwowania poruszeń wroga na lądzie i morzu. Rhonina najbardziej zadziwiało jednak nie samo istnienie balonów, lecz to, że poruszało je coś innego niż magia - olej i woda. Balon napędzała maszyna nie stworzona przez magię, i nie potrzebująca zaklęć do działania. Zadziwiające urządzenie obracało śmigłem bez wykorzystywania siły ludzkich rąk.

Światło z powrotem skierowało się na Rhonina i skoncentrowało się na nim. Kierujący latającym balonem mieli go teraz w polu widzenia i najwyraźniej nie zamierzali go zgubić. Dopiero wówczas zafascynowany mag uświadomił sobie, która właściwie rasa charakteryzowała się pomysłowością i odrobiną szaleństwa niezbędną do wymyślenia czegoś takiego.

Gobliny, a gobliny służyły Hordzie. Rzucił się w stronę największych kamieni, z nadzieją, że uda mu się zniknąć na tyle, żeby wynaleźć jakieś zaklęcie odpowiednie dla latających balonów, jednak wtedy znajomy głos zabrzmiał w jego głowie. Zostań!

- Nie mogę! Na górze są gobliny! Zauważyły mnie! Wezwą orki!

Nie ruszysz się!

Nogi Rhonina nagle odmówiły współpracy. Miast tego obróciły go w stronę dziwnego balonu i jego jeszcze dziwniejszych pilotów. Sterowiec opuścił się, aż znalazł się tuż nad głową bezradnego czarodzieja. Z boku kosza obserwacyjnego opadła sznurowa drabinka, prawie uderzając w Rhonina.

Przybył twój transport, poinformował go Skrzydła Śmierci.

DWANAŚCIE

Wstąpienie na tron lorda Prestora wydaje się niemal nieuchronne - poinformowała Krasusa ciemna postać wewnątrz szmaragdowej kuli. -Posiada niemal zadziwiający dar perswazji. Masz rację - musi być czarodziejem.

Siedzący w swoim sanktuarium Krasus przyglądał się kuli.

- Przekonanie władców będzie wymagało dowodów. Ich nieufność wobec Kirin Tor wzrasta każdego dnia, co również musi być dziełem przyszłego króla.

Rozmówczyni, starsza kobieta z wewnętrznej rady, kiwnęła głową.

- Już rozpoczęliśmy obserwację. Problem polega na tym, że ten Prestor jest nieuchwytny. Wydaje się, że jest w stanie odwiedzać i opuszczać swą siedzibę bez naszej wiedzy.

Krasus udał lekkie zdziwienie.

- Jak to możliwe?

- Nie wiemy. Co gorsza, jego dworek otaczają bardzo paskudne zaklęcia. Prawie straciliśmy Drendena przez jedną z takich niespodzianek.

Fakt, że Drenden, mówiący barytonem, brodaty mag, prawie padł ofiarą jednej z pułapek Skrzydeł Śmierci, na chwilę przeraził Krasusa. Mimo iż drugi mag zwykle zachowywał się hałaśliwie, smok szanował jego zdolności. Utrata Drendena w takiej chwili mogła być kosztowna.

- Musimy działać ostrożnie - ostrzegł ją. - Wkrótce znów się z tobą skontaktuję.

- Co planujesz, Krasusie?

- Przyjrzeć się przeszłości tego młodego szlachcica.

- Myślisz, że uda ci się coś znaleźć? Zakapturzony czarodziej pokiwał głową.

- Możemy tylko mieć nadzieję.

Odesłał jej obraz i zaczął się zastanawiać. Krasus żałował, że musiał sprowadzić swoich towarzyszy na zły trop, ale robił to dla ich dobra. Ich wtrącanie się w „ludzkie” sprawy Skrzydeł Śmierci może przynajmniej odwrócić uwagę czarnego. To da Krasusowi odrobinę więcej czasu. Modlił się tylko, żeby nikt nie zaryzykował tak, jak zrobił to Drenden. Kirin Tor będzie potrzebować całej swojej siły, jeśli inne królestwa zwrócą się przeciwko nim.

Jego własne odwiedziny u Malygosa nie przyniosły mu satysfakcji. Malygos obiecał jedynie, że zastanowi się nad jego prośbą. Krasus podejrzewał, że wielki smok wierzył, iż

będzie mógł się zająć Skrzydłami Śmierci w swoim własnym czasie. Srebrno-błękitny lewiatan najwyraźniej nie uświadamiał sobie, że żadnemu ze smoków nie pozostało już wiele czasu. Jeśli Skrzydła Śmierci nie zostanie powstrzymany teraz, może się to nigdy nie udać.

Co pozostawiało Krasusowi tylko jedną, nieprzyjemną możliwość.

- Muszę to zrobić... - Musiał odszukać innych wielkich, inne Aspekty. Jeśli przekona choć jedno z nich, wciąż może uzyskać obiecaną pomoc Malygosa.

Śniąca jednak była nieuchwytną istotą, co oznaczało, że Krasus mógł się skontaktować tylko z Panem Czasu - a jego słudzy więcej niż raz odrzucili prośby czarodzieja. Mimo to, czy miał jakiś inny wybór? Krasus wstał i podszedł do ławy, na której w buteleczkach i retortach znajdowało się wiele przedmiotów charakterystycznych dla jego powołania. Przyjrzał się kolejnym rzędom słoików, szybko mijając wzrokiem substancje chemiczne i magiczne przedmioty, które w jego towarzyszach z Kirin Tor wywoływałyby ogromną zazdrość i więcej niż odrobinę zdziwienia, jakim sposobem udało mu się zgromadzić wiele z nich. Gdyby tylko wiedzieli, jak długo praktykował sztukę...

Tutaj! Niewielki słoiczek zawierający pojedynczy wysuszony kwiat sprawił, że się zatrzymał.

Róża Wieków. Rosnąca tylko w jednym miejscu na całym świecie. Zerwana przez Krasusa dla jego małżonki, jego ukochanej. Uratowana przez Krasusa, kiedy orki zdobyły ich legowisko i, ku jego zdziwieniu, wzięli ją i innych w niewolę. Róża Wieków. Pięć płatków w zadziwiająco różnych odcieniach otaczało złocisty środek. Gdy Krasus uniósł przykrycie słoiczka, uniósł się słaby zapach, który przypominał mu młodość. Z pewnym wahaniem wyciągnął rękę i uniósł przyblakły kwiat...

... ze zdziwieniem zauważając, że powrócił on do legendarnej urody, kiedy tylko dotknęły go drżące palce czarodzieja.

Ognista czerwień. Szmaragdowa zieleń. Śnieżne srebro. Granat głębokiego morza. Nocna czerń. Każdy płatek promieniował pięknem, o którym artyści mogli tylko marzyć. Żaden przedmiot nie mógł przewyższyć jego wewnętrznego piękna, żaden kwiat nie dorównywał jego cudownej woni. Wstrzymując na chwilę oddech, zgniół kwiat. Pozwolił, żeby jego fragmenty spadły na jego drugą rękę. Przez całą dłoń aż po palce przeszedł go dreszcz, lecz smoczy mag zignorował to. Unosząc nad głowę resztki kwiatu, czarodziej wypowiedział słowa mocy, po czym rzucił to, co pozostało z baśniowej róży na ziemię.

Gdy zgniecione płatki dotknęły kamienia, zmieniły się w piasek, który zasypał całą posadzkę, wypełnił komnatę, przepłynął przez nią, przykrywając wszystko, wypełniając...

... i pozostawiając Krasusa pośrodku nieskończonej, wirującej pustyni.

Była to jednak pustynia, której nie widział żaden śmiertelnik - a nawet sam Krasus - gdyż na piasku, gdzie okiem sięgnąć, leżały rozrzucone fragmenty murów, spękane i zniszczone posągi, zardzewiała broń i - tu Krasus otworzył szeroko usta ze zdziwienia - na wpół zagrzebane kości jakiejś gigantycznej bestii, która za życia musiała być większa nawet od smoków. Widział też budynki, ale choć na pierwszy rzut oka można by uznać je i pozostałe relikty za część ogromnej cywilizacji, kolejne spojrzenie ujawniało, że w rzeczywistości nic do siebie nie pasowało. Chwiejąca się wieża, jaką mogliby wybudować ludzie z Lordaeron, wznosiła się nad kopulastą budowlą, z pewnością będącą dziełem krasnoludów. Trochę dalej oparta na hakach świątynia z zapadniętym dachem przypominała utracone królestwo Azeroth. Bliżej Krasusa znajdowała się surowa kwatery mieszkalna orczego wodza.

Statek mogący przewieźć tuzin ludzi leżał wsparty na wydmie, z rufą na wpół zagrzebaną w piasku. Kolejna, mniejsza wydma zasypana była uzbrojeniem z czasów pierwszego władcy Stromgarde. Przechylona rzeźba elfiego kapłana wydawała się wypowiadać modły żałobne nad statkiem i bronią.

Zadziwiająco, nieprawdopodobne zestawienie sprawiło, że nawet Krasus zatrzymał się. Widoki najbardziej ze wszystkiego przypominały makabryczną kolekcję antyków należącą do jakiegoś olbrzymiego bóstwa... co nie było tak dalekie od prawdy.

Żaden z artefaktów nie pochodził z tej krainy. Tak naprawdę żadna rasa czy cywilizacja nie została tutaj zrodzona. Wszystkie cuda, które Krasus widział, zostały skrupulatnie zebrane przez niezliczone stulecia z całego świata. Krasus z trudem mógł uwierzyć w to, co widział, gdyż sam wysiłek z tym związany przekraczał możliwości jego wyobraźni. Sprowadzić takie relikty, niektóre potężne, inne delikatne, do tego miejsca...

Mimo wszystko Krasus zaczął się niecierpliwić. Czekał. I czekał. I czekał coraz dłużej, bez najmniejszego nawet znaku, że ktoś zauważył jego obecność.

Jego cierpliwość, nadwerężona przez wydarzenia ostatnich dni, w końcu się wyczerpała.

Skoncentrował spojrzenie na kamiennych rysach potężnej rzeźby, pół-człowieka, pół-byka, której wyrzucona do przodu lewa ręka zdawała się wymagać, żeby intruz odszedł.

- Wiem, że tu jesteś, Nozdormu! Wiem! Chciałbym z tobą porozmawiać!

Gdy tylko smoczy mag zaczął mówić, zerwał się wiatr, unosząc piasek. Widoczność znacząco się pogorszyła. Uderzyła w niego piaskowa burza, jednak Krasus stał niewzruszenie. Wicher wył tak głośno, że mag musiał zakryć uszy. Burza wydawała się zdecydowana unieść go i odrzucić, ale czarodziej walczył z nią, zarówno siłą fizyczną, jak i

magią. Nie zostanie zawrócony, dopóki nie dostanie szansy, by się wypowiedzieć!

W końcu nawet burza piaskowa zrozumiała, że nie uda się go zniechęcić. Odsunęła się od niego i skoncentrowała na pobliskiej wydmie. Wysoko w niebo uniósł się słup piasku.

Słup przyjął kształt... smoka. Piaskowy stwór, równie wielki, jeśli nie większy, jak Malygos, poruszył się i rozciągnął skrzydła o barwie brązu. Piasek nadal uzupełniał postać behemota, jednak tym razem najwyraźniej pomieszany ze złotem, gdyż tworzący się przed Krasusem lewiatan coraz bardziej błyszczał w słońcu.

Wiatr zamarł, jednak ani jedno ziarnko piasku czy złota nie oderwało się od olbrzymiego smoka. Skrzydła uderzały mocno, szyja wyciągnęła się do przodu. Powieki uniosły się, ukazując dwa błyszczące klejnoty o barwie słońca.

- Korialstrasz... - piaskowy behemot właściwie wypuścił jego imię. - Odważyłeś się naruszyć mój odpoczynek? Odważyłeś się naruszyć mój spokój?

- Odważyłem się, ponieważ musiałem, o wielki panie czasu!

- Tytuły nie ułagodzą mojego gniewu... lepiej będzie, jeśli odejdziesz... - Klejnoty zapłonęły. - ...i to już!

- Nie! Nie, dopóki nie powiem ci o niebezpieczeństwie dla wszystkich smoków! Dla wszystkich istot!

Nozdormu parsknął. Krasusa otoczyła chmura piasku, lecz zaklęcia ochroniły go przed jej wpływem. Nikt nie wiedział, jaką magię mogło zawierać każde ziarenko piasku w domenie Nozdormu. Jedna garstka mogłaby sprawić, żeby historia smoka zwanego Korialstrasz nigdy się nie wydarzyła. Krasus mógłby po prostu przestać istnieć, zapomniany nawet przez ukochaną małżonkę.

- Ssmoki, tak mówisz? A czemu miałyby cię to interesować? Widzę tutaj tylko jednego ssmoka, a nie jessst nim z pewnością ludzki czarodziej Krassus... już nie! Odejdź! Powróć do mojej kolekcji! I tak ssstraciłem już dużo cennego czasu! - Jedno skrzydło otoczyło opiekuńczo rzeźbę człowieka-byka. - Tak wiele do zebrania, tak wiele do sskatalogowania...

Krasusa nagle przepełniła wściekłość, że tego smoka, największego z pięciu Aspektów, przez którego przepływał czas, zupełnie nie obchodzi to, co się dzieje teraz i co będzie się działo w przyszłości. Dla lewiatana znaczenie miała tylko bezcenna kolekcja z przeszłości. Wysyłał swe sługi, swych ludzi, by zbierali wszystko, co mogli znaleźć, tylko po to, żeby ich pan mógł otaczać się tym, co już przeminęło, a nie zwracać uwagi na to, co jest lub będzie.

I dzięki temu mógł na swój sposób, podobnie jak Malygos, ignorować odejście

swojego gatunku.

- Nozdormu! - wykrzyknął, ponownie ściągając na siebie uwagę błyszczącego piaskowego smoka. - Skrzydła Śmierci żyje!

Ku jego przerażeniu, na Nozdormu te straszliwe wieści nie wywarły większego wrażenia. Złoto-brązowy behemot parsknął po raz kolejny. Kolejna chmura piasku otoczyła mniejszą postać.

- Tak... i co z tego?

Zaskoczony Krasus wykrztusił tylko - Ty... wiesz?

- Na to pytanie nie warto odpowiadać. Teraz, jeśli nie ma innych powodów, dla których chciałbyś mi przeszkodzić, powinieneś odejść. - Smok cofnął głowę, klejnoty jego oczu płonęły.

- Czekaj! - Zapominając o jakiegokolwiek godności osobistej, czarodziej zamachał rękami. Odetchnął z ulgą, kiedy Nozdormu przerwał zaklęcie, dzięki któremu miał właśnie pozbyć się uciążliwego pyłka. - Jeśli wiesz, że mroczny żyje, to wiesz też, jakie ma zamiary! Jak możesz to ignorować?

- Ponieważ, jak wszystko inne, nawet Ssskrzydła Śmierci przemienie... w końcu sstanie sssię częścią... mojej kolekcji...

- Ale gdybyś się przyłączył...

- Wyssłuchałem cię. - Błyszczący piaskowy smok uniósł się wyżej, a gdy to robił, podniosła się również pustynia, dodając mu jeszcze wielkości. Niektóre małe przedmioty z dziwacznej kolekcji Nozdormu, porwane przez wiatr razem z piaskiem, stały się przez chwilę częścią samego smoka. - Teraz pozostaw mnie...

Wiatr uderzał teraz w Krasusa... i tylko Krasusa. Choć bardzo się starał, tym razem smoczy mag nie mógł ustać na nogach. Cofnął się do tyłu, przez cały czas popychany dzikimi porywami wiatru.

- Przybyłem tutaj ze względu na nas wszystkich! - udało się krzyknąć Krasusowi.

- Nie powinieneś być naruszać mojego ssspokoju. Nie powinieneś być w ogóle przychodzić... - Błyszczące klejnoty zapłonęły. - Tak byłoby najlepiej...

Kolumna piasku podniosła się z ziemi i otoczyła bezradnego czarodzieja. Krasus nic nie widział. Zrobiło mu się duszno, nie mógł oddychać. Próbował rzucić zaklęcie, żeby się uratować, ale przeciwko jednemu z Aspektów, przeciwko samemu panu czasu, nawet jego znacząca moc okazała się za słaba.

Pozbawiony powietrza Krasus w końcu się poddał. Tracąc przytomność, przechylił się do przodu...

... i ujrzał ze zdziwieniem, jak płatki Róży Wieków opadły na posadzkę jego sanktuarium bez żadnego efektu.

Zaklęcie powinno było zadziałać. Powinien zostać przeniesiony do krainy Nozdormu, pana wieków. Jeśli Malygos był ucieleśnieniem magii, to Nozdormu reprezentował czas i beczasowość. Jeden z potężniejszych Aspektów byłby ważnym sojusznikiem, szczególnie gdyby Malygos jednak zdecydował się szukać ucieczki w szaleństwie. Bez Nozdormu nadzieje Krasusa na sukces malały gwałtownie.

Mag klęknął, podniósł płatki i powtórzył zaklęcie. Nagrodą za wszystkie trudy był potworny ból głowy. Ale jak to możliwe? Wszystko przecież zrobił dobrze! Zaklęcie powinno było zadziałać... chyba że Nozdormu w jakiś sposób dowiedział się o tym, że czarodziej pragnął go odwiedzić i rzucił zaklęcie uniemożliwiające mu wejście do piaskowej dziedziny.

Zaklął. Nie mając możliwości odwiedzenia Nozdormu, stracił wszelką nadzieję, choćby i niewielką, na przekonanie potężnego smoka do przyłączenia się do niego. Pozostawała tylko Śniąca, najbardziej nieuchwytny z Aspektów, i jedyny, z którym nigdy, przenigdy nie rozmawiał przez całe swoje długie życie. Krasus nawet nie wiedział, jak się z nią skontaktować, gdyż często mawiano, że Ysera nie żyje w pełni w realnym świecie, że dla niej to sny są rzeczywistością.

Sny są rzeczywistością? Czarodziejowi przyszedł do głowy rozpaczliwy plan, który, gdyby został mu zaproponowany przez kogoś innego, kazałby Krasusowi zapomnieć o zwykłym zachowaniu i wybuchnąć śmiechem. Tak śmieszny! Tak żałosny!

Ale, podobnie jak w wypadku Nozdormu, czy miał jakiś inny wybór?

Powracając do kolekcji eliksirów, artefaktów i proszków, Krasus poszukał czarnej fiołki. Odnalazł ją szybko, mimo iż nie dotykał jej przez ponad sto lat. Ostami raz wykorzystał ją, żeby zabić coś uznawanego za niemożliwe do zabicia. Teraz jednak chciał wykorzystać tylko jedną z jej najbardziej zjadliwych cech i miał nadzieję, że nie pomyli się przy odmierzeniu dawki.

Trzy krople na czubku pojedynczego bełtu uśmierciły Mantę, behemota głębi. Trzy krople zabiły istotę dziesięć razy większą i silniejszą od smoka. Prawie wszyscy wierzyli, że Manta, podobnie jak Skrzydła Śmierci, była niezniszczalna. Teraz Krasus zamierzał sam przyjąć część trucizny. - Najgłębszy sen, najgłębsze sny... - szepnął do siebie, zdejmując fiołkę. - Tam powinna być, tam musi być.

Z innej półki zdjął kubek i butelkę czystej wody. Smoczy mag nalał do kubka trochę wody, po czym otworzył fiołkę. Z największą ostrożnością zbliżył otwartą buteleczkę do krawędzi naczynia.

Trzy krople, by zabić w ciągu kilku chwil Mantę. Ile kropli, by wysłać Krasusa w najniebezpieczniejszą z podróży?

Sen i śmierć były do siebie bardzo podobne, bardziej niż uświadamiała to sobie większość. Z pewnością znajdzie tam Yserę.

Najmniejsza kropla, jaką potrafił odmierzyć, spadła w ciszy do kubka. Krasus z powrotem zamknął buteleczkę i wziął naczynie.

- Ława - szepnął. - Ława będzie najlepsza.

Mebel od razu utworzył się za nim. Wyglądał wygodnie, pokrywało go wiele poduszek. Na takiej ławie chętnie zasnęłyby nawet król Lordaeron. Krasus też miał zamiar dobrze na niej spać... może nawet wiecznie.

Usiadł na niej i podniósł kubek do ust. Zanim jednak wypił to, co z łatwością mogło stać się ostatnim napojem w jego życiu, smoczy mag wznosił ostatni toast.

- Za ciebie, moja Alexstraszo, zawsze za ciebie.

* * *

- Ktoś tu był, zgadza się - mruknęła Vereesa, przyglądając się ziemi. - Jeden był człowiekiem... co do drugiego, nie mogę być pewna.

- Mogłabyś wytłumaczyć mi, gdzie widzisz różnicę? - zapytał Falstad, mrużąc oczy. Nie odróżniał jednego śladu od drugiego. Właściwie nie widział nawet połowy tego, co elfka.

- Popatrz tutaj. Ten odcisk buta. - Wskazała na łukowaty ślad w ziemi. - To ludzkie buty, ciasne i niewygodne.

- Wierzę ci na słowo. A ten drugi, którego nie możesz rozpoznać?

Łowczyni wyprostowała się.

- Cóż, zdecydowanie nic w okolicy nie świadczy o obecności smoka, ale tam są ślady, które nie pasują do niczego, z czym się zetknęłam.

Wiedziała, że po raz kolejny Falstad nie mógł zobaczyć tego, co jej od razu rzuciło się w oczy. Krasnolud jednak starał się, jak mógł, przyglądając się uważnie dziwnym żłobieniom w ziemi.

- Chodzi ci o te, moja elfia damo?

Ślady zdawały się płynąć w stronę miejsca, gdzie jakiś człowiek... na pewno Rhonin... stał przez jakiś czas. Nie były to jednak odciski stóp ani nawet łap. W jej oczach wyglądało to tak, jakby coś się unosiło, ciągnąc coś innego za sobą.

- To nie zbliża nas do celu bardziej niż pierwsze miejsce, do którego zaprowadziło nas to zielone paskudztwo! - Falstad uniósł Krylla za fałdę skóry na karku. Goblin miał obie ręce

związane na plecach, a wokół pasa linę, której drugi koniec przywiązano do szyi gryfa. Mimo to ani Vereesa, ani dziki krasnolud nie mieli pewności, że ich niechętny towarzysz nie spróbuje ucieczki. - I? Co teraz? Zaczynam mieć pewność, że wodzisz nas za nos! Wątpię, czy w ogóle widziałeś czarodzieja!

- Widziałem, o tak, widziałem! - Kryli uśmiechnął się szeroko, być może w nadziei, że ułagodzi swoich prześladowców, jednak pełen zębów grymas nie wywierał zbyt dobrego wrażenia na istotach spoza jego rasy. - Opisałem go, nie? Wiesz, że go widziałem, nie?

Vereesa zobaczyła, że gryf węszy za czymś ukrytym w poszyciu. Wykorzystując swój miecz, parę razy dźgnęła w to miejsce, po czym wyciągnęła przedmiot zainteresowania.

Na czubku jej miecza wisiał niewielki, pusty bukłak na wino. Elfka podniosła go, a wówczas jej nos wypełnił niebiański bukiet zapachów. Elfka na chwilę przymknęła oczy. Falstad błędnie zinterpretował wyraz jej twarzy.

- Aż tak źle? To musiało być krasnoludzkie ale!

- Wręcz przeciwnie, nie natknęłam się na tak cudowny zapach nawet przy stole mojego pana w Quel'Thalas! Wino, które wypełniało ten bukłak, przewyższało najlepsze z jego zapasów.

- Co dla mojego marnego umysłu oznacza... Opuszczając bukłak, Vereesa potrząsnęła głową.

- Nie wiem, ale jakoś nie mogę przestać myśleć, że oznacza to, iż Rhonin rzeczywiście był tutaj, choć przez krótki czas.

Jej towarzysz popatrzył na nią sceptycznie.

- Moja elfia pani, czy nie chodzi po prostu o to, że chcesz, żeby to była prawda?

- Czy możesz mi powiedzieć, kto inny mógł znajdować się w tej okolicy i popijać wino godne królów?

- Ano! Mroczny, po tym jak wysał szpik z kości tego twojego czarodzieja!

Jego słowa sprawiły, że zadrżała, ale nadal nie zmieniła swojego przekonania.

- Nie. Jeśli Skrzydła Śmierci zaniósł go tak daleko, na pewno miał inne powody niż tylko posiłek!

- To możliwe. - Wciąż trzymając za szyję goblina, Falstad spojrział na ciemniejące niebo. - Jeśli chcemy pokonać większą odległość przed nocą, powinniśmy już ruszać.

Vereesa dotknęła czubkiem swojego miecza gardła Krylla.

- Najpierw musimy się nim zająć.

- A czym mamy się zajmować? Możemy albo zabrać go ze sobą, albo oddać światu przysługę, zmniejszając ilość goblinów!

- Nie. Obiecałam, że go uwolnię. Czoło krasnoluda zmarszczyło się.

- Dla mnie to niemądre.

- Ale ja złożyłam tę obietnicę. - Spojrzała na niego ze świadomością, że jeśli Falstad zna elfy tak dobrze, jak powinien, to nie będzie próbował wywierać na nią nacisku.

Rzeczywiście, jeździec gryfów pokiwał głową, choć bardzo niechętnie.

- Ano, niech będzie tak, jak mówisz. Złożyłaś obietnicę, a ja nie będę cię przekonywać. - Nie całkiem pod nosem dodał - Mam tylko jedno życie...

Vereesa, zadowolona z rozwoju sytuacji, z dużą wprawą przecięła więzy wokół nadgarstków Krylla, po czym zdjęła pętlę z jego pasa. Goblin niemal zaczął skakać, tak bardzo był uszczęśliwiony z uwolnienia.

- Dzięki ci, moja dobra pani, dzięki ci!

Łowczyni ponownie zwróciła miecz w stronę gardła stwora.

- Zanim odejdziesz, mam do ciebie kilka ostatnich pytań. Czy znasz drogę do Grim Batol?

Falstad nie przyjął dobrze tego pytania. Ze zmarszczonymi brwiami zapytał - O czym myślisz?

Celowo zignorowała go.

- I?

Oczy Krylla rozszerzyły się w chwili, gdy zadała to pytanie. Twarz goblina przybrała barwę popiołu - a przynajmniej bledszy odcień zieleni.

- Nikt nie idzie do Grim Batol, dobra pani! Tam orki i smoki! Smoki jedzą gobliny!

- Odpowiedz na moje pytanie.

Przełknął ślinę i w końcu pokiwał za dużą głową.

- Tak, pani, znam drogę... myślisz, że czarodziej tam jest?

- Nie możesz mówić poważnie, Vereeso! - zagrzemiał Falstad, na tyle wyprowadzony z równowagi, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. - Jeśli Rhonin jest w Grim Batol, to jest dla nas stracony!

- Może tak, może nie. Falstadzie, sędzę, że on od początku chciał się znaleźć w tym miejscu, a nie tylko obserwować orki. Myślę, że miał jakiś inny powód, choć co mogło to mieć wspólnego ze Skrzydłami Śmierci, nie wiem.

- Może planuje w pojedynkę uwolnić królową smoków! - odrzekł jeździec gryfów i prychnął drwiąco. - W końcu jest magiem, a wszyscy wiedzą, że oni są szaleni!

Zupełnie absurdalny pomysł... lecz Vereesa przez chwilę się zastanowiła.

- Nie... to niemożliwe.

Tymczasem Kryli zdawał się myśleć bardzo mocno o czymś, co zupełnie go nie cieszyło. W końcu, z twarzą wykrzywioną w grymasie niesmaku, mruknął - Dobra pani chce iść do Grim Batol?

Łowczyni zastanowiła się nad tym. Wykraczało to poza jej przysięgę, lecz musiała podążyć do przodu.

- Tak, chcę.

- Posłuchaj, moja...

- Nie musisz iść ze mną, jeśli nie chcesz, Falstadzie. Jestem ci wdzięczna za dotychczasową pomoc, lecz dalej mogę podążać sama.

Krasnolud gwałtownie potrząsnął głową.

- I zostawić cię samą na środku terytorium orków tylko z tym niegodnym zaufania śmieciem? Nie, elfia panienko! Falstad nie pozostawi samej pięknej damy, nawet jeśli jest ona przy tym doskonałą wojowniczką! Ruszemy razem!

Tak naprawdę, to doceniała jego towarzystwo.

- Możesz zawrócić w każdej chwili. Pamiętaj o tym.

- Tylko, jeśli będziesz ze mną. Znow spójrzała na Krylla.

- I? Możesz opisać mi drogę?

- Nie mogę opisać, pani. - Twarz stwora coraz bardziej się krzywiła. - Najlepiej... najlepiej, jak ją pokażę. To ją zaskoczyło.

- Oddałam ci wolność, Kry Ilu...

- Za którą ten biedak jest dozgonnie wdzięczny, pani, lecz tylko jedna droga do Grim Batol jest pewna, a beze mnie - odważył się wyglądać na zadowolonego z siebie - ani elf, ani krasnolud jej nie znajdzie.

- Mamę mojego wierzchowca, ohydny gryzoniu! Możemy zwyczajnie polecieć...

- W kramie smoków? - Goblin zachichotał, a w śmiechu tym kryła się odrobina szaleństwa. - W takim razie najlepiej polecieć prosto w ich paszcze i skończyć z tym wszystkim... Żeby wejść do Grim Batol... o ile pani tego naprawdę pragnie... musicie pójść za mną.

Falstad nie chciał o tym słyszeć i natychmiast zaprotestował, lecz Vereesa nie widziała innej możliwości, jak tylko zrobić to, co proponował goblin. Kryli dotychczas dobrze ich prowadził, a choć oczywiście nie w pełni mu ufała, czuła, że rozpozna, gdyby próbował sprowadzić ich na manowce. Poza tym goblin najwyraźniej nie chciał mieć nic wspólnego z Grim Batol, bo inaczej czemu miałby się znaleźć tam, gdzie go schwytali? Każdy z jego rodzaju, który służył orkom, byłby razem z nimi w górskiej fortecy, a nie wędrowałby

samotnie po dzikich i niebezpiecznych terenach Khaz Modan.

A gdyby mógł zaprowadzić ją do Rhonina... Przekonawszy się, że dokonała dobrego wyboru, Vereesa spojrzała na krasnoluda.

- Pójdę z nim, Falstadzie. To najlepsza..., jedyna możliwość, jaką mam.

Opuściwszy szerokie ramiona, Falstad westchnął.

- To sprzeciwia się mojemu rozsądkowi, ale pójdę z tobą... choćby tylko po to, żeby mieć oko na tego tutaj i obciąć jego zdradziecką głowę, jeśli okaże się, że mam rację!

- Kryli, czy musimy iść całą drogę pieszo?

Pokraczna istota zastanawiała się przez chwilę, po czym odpowiedziała - Nie. Część możemy przelecieć na gryfie. - Uśmiechnął się, ukazując mnóstwo zębów. - Wiem nawet, gdzie bestia powinna wylądować!

Mimo wyraźnej niechęci, Falstad skierował się w stronę gryfa.

- Powiedz nam tylko, gdzie mamy lecieć. Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej będziesz mógł pójść w swoją stronę.

Goblin nie był zbyt wielkim dodatkowym ciężarem dla gryfa i potężna bestia wkrótce wyruszyła. Falstad oczywiście siedział z przodu, żeby lepiej kontrolować swojego wierzchowca. Kryli siedział za nim, a Vereesa z tyłu. Elfka schowała miecz do pochwy i teraz trzymała w ręku sztylet, na wypadek gdyby ich niechciany towarzysz próbował jakichś sztuczek.

Choć wskazówki goblina nie zawsze były jasne, Vereesa nie spostrzegła nic, co mogłoby świadczyć o jakimś oszustwie. Kryli trzymał ich blisko ziemi i prowadził wzdłuż ścieżek, które znajdowały się z dala od otwartych terenów. Odległe góry Grim Batol przybliżyły się powoli. Łowczyni zaczęła odczuwać podniecenie, gdy uświadomiła sobie, że zbliża się do celu, jednak podniecenie to tłumiała świadomość, że nie znaleźli śladu Rhonina ani czarnego smoka. Z pewnością tak blisko górskiej fortecy orki byłyby w stanie zauważyć tak ogromnego lewiatana.

I w tym właśnie momencie, jakby samo myślenie o smokach je przywoływało, Falstad wskazał nagle na wschód, gdzie w niebo wzlatywała potężna postać.

- Wielki! - wykrzyknął. - Wielki i czerwony jak świeża krew! Zwiadowca z Grim Batol! Kryli natychmiast zadziałał.

- Tam w dół! - goblin wskazał na wąwóz. - Wiele kryjówek, nawet dla gryfa!

Nie mając innego wyboru, krasnolud usłuchał go, kierując wierzchowca w stronę ziemi. Smok stawał się coraz większy, lecz Vereesa zauważyła, że bestia kieruje się bardziej na północ, być może na samą granicę Khaz Modan, gdzie ostatnie, zdesperowane siły Hordy

próbowały powstrzymać Sojusz. To sprawiło, że zaczęła się zastanawiać nad tamtejszą sytuacją. Czy ludzie wreszcie rozpoczęli atak? Czy Sojusz może się znajdować w połowie drogi do Grim Batol?

Nawet jeśli, to i tak byłoby dla niej za późno. Z drugiej strony, zbliżający się Sojusz mógł trochę pomóc, gdyby tutejsze orki skoncentrowały się na sprawach innych niż bezpośrednia obrona.

Gryf opadł w wąwóz, instynktownie kryjąc się w cieniu. Nie był tchórzem, ale dobrze wiedział, kiedy walka miała sens.

Vereesa i pozostali zeskoczyli, znajdując własne kryjówki. Kryli przytulił się do jednej z kamiennych ścian, na jego twarzy malowało się przerażenie. Łowczyni stwierdziła, że nawet mu współczuje.

Czekali przez kilkanaście minut, lecz smok nie przeleciał nad nimi. Po, jak się jej zdawało, zbyt długim czasie, niecierpliwa łowczyni postanowiła sama sprawdzić, czy bestia zmieniła kierunek. Uchwyciła się kamieni i wspięła po zboczu.

Elfka nie zobaczyła na ciemniejszym niebie nawet najmniejszej plamki. Vereesa podejrzewała, że już dawno temu mogli opuścić wąwóz, gdyby tylko któreś z nich odważyło się spojrzeć.

- Nie widać go? - szepnął Falstad, wdrapując się na miejsce obok niej. Jak na krasnoluda wspinał się całkiem nieźle.

- Niebo jest czyste. Zdecydowanie.

- Dobrze! W przeciwieństwie do naszych kuzynów ze wzgórz nie lubię dziur w ziemi!

- Zaczął schodzić. - W porządku, Kryli! Niebezpieczeństwo się skończyło! Możesz już się odkleić...

Przerwał gwałtownie, a Vereesa natychmiast odwróciła głowę.

- O co chodzi?

- Ten przeklęty pomiot żaby uciekł! - Zszedł do końca na dół. - Zniknął jak błędny ognik!

Vereesa ostrożnie zsunęła się w dół, dołączyła do Falstada i zaczęła przyglądać się najbliższej okolicy. Rzeczywiście, nie było śladu Krylla, choć powinni być w stanie zobaczyć jego sylwetkę, uciekającą w jedną lub drugą stronę. Nawet gryf wyglądał na zaskoczonego, jakby on też nie zauważył, że pająkowata istota uciekła.

- Jakim sposobem on mógł tak po prostu zniknąć?

- Sam chciałbym to wiedzieć, moja droga elfia damo! Niezła sztuczka!

- Czy twój gryf nie może go wytropić?

- Czemu nie możemy go po prostu wypuścić? Będzie nam lepiej bez niego!

- Ponieważ...

Ziemia pod jej stopami nagle zmiękła i rozeszła się. Buty elfki zapadły się głęboko w ciągu kilku chwil.

Myśląc, że weszła w błoto, próbowała się uwolnić. Miast tego jednak zaczęła się zapadać coraz głębiej, i to bardzo szybko. Czuła się tak, jakby ktoś ją ciągnął w dół.

- Co na Aerie...? - Falstad również zapadł się głęboko, lecz w jego wypadku oznaczało to, że nagle znalazł się po kolana w ziemi. Podobnie jak łowczyni próbował się uwolnić, lecz zupełnie mu to nie wychodziło.

Vereesa chwyciła najbliższy głaz, próbując się utrzymać. Na chwilę jej się udało i przestała się zapadać. Później jednak coś mocno chwyciło jej kostki i pociągnęło z taką siłą, że łowczyni musiała się puścić.

Nad nimi zabrzmiał przestraszony skrzek. W przeciwieństwie do Vereesy i krasnoluda, gryf podniósł się na tyle szybko, że nie został wciągnięty. Zwierzę unosiło się nad głową Falstada, próbując, jak się zdawało, uchwycić swojego pana. Niestety, kiedy bestia opuściła się niżej, nagle w powietrze uniosły się kolumny ziemi, które, jak uświadomiła sobie Vereesa, chciały pochwycić wierzchowca. Gryfowi z trudem udało się uciec, ale jednocześnie został zmuszony do latania tak wysoko, że nie mógł pomóc żadnemu z wojowników.

Wtedy Vereesa straciła wszelką nadzieję na ucieczkę.

Ziemia sięgała jej już do pasa. Sama myśl o pogrzebaniu żywcem przyprawiła elfkę niemal o utratę zmysłów, jednak w przeciwieństwie do Falstada miała jeszcze trochę czasu. Niski wzrost krasnoluda oznaczał, że miał on już problemy z utrzymaniem głowy nad ziemią. Bardzo się starał, ale nawet potężna siła jeźdźca gryfów nie mogła mu pomóc. Grzebał wściekle w miękkiej ziemi, odrzucając ją garściami, co jednak wcale mu nie pomagało.

Zrozpaczona elfka wyciągnęła dłoń.

- Falstad! Moja ręka! Sięgnij po nią!

Spróbował. Oboje próbowali. Niestety, odległość między nimi zrobiła się zbyt wielka. Z rosnącym przerażeniem patrzyła, jak jej szamoczący się towarzysz zostaje wciągnięty pod ziemię.

- Moja... - zdążył tylko powiedzieć, zanim zniknął jej z pola widzenia.

Elfka, zagrzebana już po pierś, zastygła na chwilę, patrząc na niewielki kopczyk ziemi, znaczący miejsce, gdzie zniknął. Ziemia nawet się nie poruszała. Żadnej wyciągniętej w desperackim odruchu ręki, żadnej szaleńczej szamotaniny pod spodem.

- Falstad... - szepnęła.

Zapadała się coraz głębiej. Podobnie jak wcześniej krasnolud, elfka odrzucała ziemię wokół siebie, wygrzebując palcami głębokie jamy, co jednak nie zmieniło jej sytuacji. Zapadła się po ramiona. Uniosła głowę do nieba. Gryfa nie widziała, jednak inna postać, bardzo znajoma, wysunęła się z niewielkiej szczeliny, na którą elfka wcześniej nie zwróciła uwagi.

Nawet w słabym blasku zachodzącego słońca widziała szeroki, pełen zębów uśmiech Krylla.

- Wybacz mi, moja pani, ale mroczny nalegał, żeby nikt mu nie przeszkadzał, a mnie pozostawił zadanie doprowadzenia was do śmierci. To czarna robota, nie dla kogoś o tak bystrym umyśle jak ja, ale mój pan ma w końcu bardzo wielkie zęby i ostre szpony! Z pewnością nie mogłem mu odmówić, prawda? - Jego grymas zrobił się jeszcze szerszy. - Mam nadzieję, że mnie rozumiesz... - Niech cię...

Pochłonęła ją ziemia. Błoto wypełniło usta elfki, a później, jak się jej zdawało, płuca. Straciła przytomność.

TRZYNAŚCIE

W chmurach unosił się gobliniński okręt powietrzny. Teraz, kiedy zbliżał się do celu, był zadziwiająco cichy.

Siedząc przy dziobie, Rhonin przyglądał się uważnie dwóm postaciom, które kierowały go ku jego przeznaczeniu. Gobliny miotały się po całym statku, zmieniając ustawienia różnych przyrządów i mrużąc coś do siebie. Nie potrafił pojąć, jak taka szalona rasa mogła stworzyć taki cud. W każdej chwili okręt powietrzny zdawał się być skazany na zagładę, jednak goblinom zawsze udawało się wszystko wyprostować.

Skrzydła Śmierci nie odezwał się do Rhonina od czasu, gdy kazał mu wejść na pokład. Wiedząc, że smok zmusiłby go do tego niezależnie od jego pragnień, czarodziej usłuchał, choć niechętnie. Wspiął się na pokład okrętu i próbował nie myśleć, co by się stało, gdyby pojazd nagle zaczął spadać.

Gobliny nazywały się Voyd i Nullyn; same zbudowały okręt. Były wielkimi wynalazcami i zaoferowały swoje usługi wspaniałym Skrzydłom Śmierci. Oczywiście to ostatnie powiedziały ze śladem sarkazmu w głosie. Sarkazmu i strachu.

- Gdzie mnie zabieracie? - zapytał. Pytanie to sprawiło, że dwaj piloci spojrzeli na niego, jakby stracił rozum.

- Do Grim Batol, oczywiście! - wyrzucił z siebie jeden z nich, posiadający na oko Rhonina dwa razy więcej zębów niż jakikolwiek goblin, którego czarodziej miał nieszczęście spotkać. - Do Grim Batol!

Czarodziej wiedział to oczywiście, lecz chciał poznać dokładne miejsce, gdzie mieli go wysadzić. Rhonin nie ufał tej dwójce i wcale nie zdziwiłby się, gdyby pozostawili go w środku orczego obozu. Niestety zanim Rhonin mógł ich zapytać, Voyd i jego towarzyszy musieli poradzić sobie z sytuacją kryzysową - w tym wypadku z chmurą pary unoszącą się z głównego zbiornika. Statek powietrzny goblinów wykorzystywał olej oraz wodę i jeśli jakiś element dotyczący jednego z nich nie psuł się w krytycznym momencie, to coś działo się z drugim.

Była to bezsenna noc, nawet dla Rhonina.

Chmury, przez które przelatowali, zgęstniały tak bardzo, iż magowi wydawało się, że wędruje przez gęstą mgłę. Gdyby nie wiedział, na jakiej wysokości podróżują, Rhonin mógłby sobie z łatwością wyobrazić, że płynie nie po niebie, lecz po otwartym morzu. Tak naprawdę oba sposoby podróżowania miały ze sobą dużo wspólnego, włączając w to

niebezpieczeństwo rozbicia się o skały. Więcej niż raz Rhonin patrzył, jak po jednej lub drugiej stronie stateczku materializują się góry. Kilka było niebezpiecznie blisko. Podczas gdy on przygotowywał się na najgorsze, gobliny zajmowały się swoim majsterkowaniem - a czasem nawet drzemały - zupełnie nie zwracając uwagi na możliwość katastrofy.

Nadszedł dzień, lecz gruba warstwa chmur sprawiała, że było prawie tak ciemno jak o zmroku. Voyd wydawał się używać jakiegoś kompasu magnetycznego, przy którego pomocy sterował, jednak kiedy Rhonin przyjrzał się mu uważnie, zauważył, że miał on tendencję do gwałtownych zmian wskazań. W końcu czarodziej doszedł do wniosku, że gobliny nie znały zbyt dobrze kierunku i liczyły na hit szczęścia.

Na początku Rhonin w przybliżeniu ocenił długość podróży, a teraz, choć czuł, że powinni już dotrzeć do fortecy, z jakiegoś powodu towarzysze zapewniali go, że musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim dotrą na miejsce. Powoli dochodził do wniosku, że latają w kółko, czego powodem mógł być zepsuty kompas lub jakieś ukryte intencje goblinów.

Choć Rhonin próbował się koncentrować na swojej misji, w jego myślach coraz częściej pojawiała się Vereesa. Jeśli żyła, podążała za nim; znał ją wystarczająco dobrze. Świadomość ta z jednej strony przerażała go, a z drugiej cieszyła. Ale czy elfka mogła dowiedzieć się o statku powietrznym? Równie dobrze może wędrować po całym Khaz Modan lub, co gorsza, odgadnąć prawdę i ruszyć prosto do Grim Batol. Jego ręka zacisnęła się na relingu.

- Nie... - szepnął do siebie. - Nie... nie zrobiłaby tego... nie może...

Już nawiedzał go duch Duncana, podobnie jak dusze tych, którzy zginęli podczas jego poprzedniej misji. Nawet Molok stał razem z innymi martwymi, dziki krasnolud wpatrywał się w niego z potępieniem. Rhonin z łatwością potrafił sobie wyobrazić, jak dołącza do nich Vereesa, czy nawet Falstad, a ich martwe oczy domagają się odpowiedzi napytanie, dlaczego czarodziej żyje, podczas gdy oni są martwi. To pytanie często zadawał sobie sam Rhonin.

- Człowieku?

Spojrzał w górę i zobaczył Nullyna, bardziej przysadzistego z dwójki, stojącego na odległość ramienia od niego.

- Co?

- Przygotuj się do zejścia na ziemię. - Goblin uśmiechnął się do niego dziko i radośnie.

- Jesteśmy na miejscu? - Czarodziej oderwał się od swoich mrocznych myśli i wpatrzył się w mgłę. Nie widział nic oprócz bieli, nawet poniżej. - Nic nie widzę.

Stojący za Nullynem Voyd, również uśmiechając się radośnie, wziął drabinkę sznurową i przerzucił jej koniec przez burtę. Uderzenie liny o kadłub było jedynym

dźwiękiem, jaki usłyszał czarodziej. Najwyraźniej drabinka nie dotknęła nigdzie ziemi.

- To tutaj. To właściwe miejsce, uczciwie i szczerze, panie czarodzieju! - Voyd wskazał na reling. - Sam popatrz!

Rhonin tak zrobił... ostrożnie. Wcale by się nie zdziwił, gdyby oba gobliny połączyły swe siły i wyrzuciły go przez burtę, mimo rozkazów Skrzydeł Śmierci.

- Nic nie widzę.

Nullyn popatrzył na niego przepaszająco.

- To przez te chmury, panie czarodzieju! Zaslaniają wszystko przed twoimi ludzkimi oczami! My, gobliny, mamy o wiele ostrzejszy wzrok. Pod nami jest bardzo miękka, bardzo bezpieczna półka! Zejdź po drabinie, a my cię łagodnie opuścimy, zobaczysz!

Mag zawahał się. Niczego bardziej nie pragnął, niż oddalić się od sterowca i jego załogi, ale po prostu uwierzyć goblinom na słowo, nie widząc pod sobą żadnej ziemi...

Bez żadnego ostrzeżenia lewa ręka Rhonina nagle wyciągnęła się i chwyciła z zaskoczenia Nullyna. Palce maga otoczyły gardło goblina, zaciskając się mocno, mimo iż mag próbował je powstrzymać. Głos nie całkiem jego, choć bardzo do niego podobny, zasyczał - Wydałem rozkaz, żebyście nie próbowali żadnych sztuczek, nie oszukiwali, robaku.

- Ł-łaski, w-wielki i w-wspaniały p-panie! - wykrztusił Nullyn. - To tylko zabawa! To tylko z... - Więcej nic nie powiedział, gdyż palce Rhonina zacisnęły się jeszcze bardziej.

Opuszczając spojrzenie najniżej jak mógł, bezradny czarodziej zobaczył, że czarny kamień w medalionie świeci słabo. Po raz kolejny Skrzydła Śmierci użył go, żeby przejąć kontrolę nad ludzkim „sojusznikiem”.

- Zabawa? - wyszeptały wargi Rhonina. - Lubisz zabawy? Mam dla ciebie jedną, robaku...

Ramię człowieka bez trudu zmieniło położenie, ciągnąc szarpiącego się Nullyna w stronę burty.

Voyd zapiszczał i uciekł w stronę silnika. Rhonin próbował zrzucić kontrolę Skrzydeł Śmierci, pewien, że czarny lewiatan ma zamiar wyrzucić Nullyna za burtę. Czarodziej oczywiście nie czuł zbyt wielkiej sympatii do goblina, ale nie chciał mieć krwi stworzenia na swoich rękach - nawet jeśli obecnie używał ich smok.

- Skrzydła Śmierci! - warknął, z opóźnieniem uświadamiając sobie, że w tej chwili odzyskał kontrolę nad wargami. - Skrzydła Śmierci! Nie rób tego!

Bardziej by ci się podobało, gdybyś wszedł prosto w ich pułapkę? - zabrzmiał głos w jego głowie. Upadek wcale nie byłby przyjemny dla kogoś, kto nie umie latać...

- Nie jestem takim głupcem! Wcale nie miałem zamiaru zejść po drabinie, wierząc na słowo goblinowi! W ogóle byś mnie nie uratował, gdybyś uważał mnie za takiego tuman!

Prawda...

- I nie jestem pozbawiony własnej mocy. - Rhonin uniósł drugą rękę, której Skrzydła Śmierci nie uznał za konieczne wykorzystać. Wszeptał kilka słów, a wówczas nad jego palcem wskazującym pojawił się płomień, który czarodziej skierował w stronę już przerażonego Nullyna. - Goblinom można dać lekcję także na inne sposoby.

Nullyn ledwo był w stanie oddychać i zupełnie nie mógł uciec. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy próbował potrząsnąć głową.

- B-będę dobry! Ch-chciałem tylko z-zażartować! Nie chciałem s-skrzywdzić!

- Więc opuście mnie w odpowiednim miejscu, prawda? W takim, które odpowiadać będzie mnie i Skrzydłom Śmierci?

Nullyn tylko zapiszczał.

- Ten płomień mogę powiększyć. - Magiczny ognik stał się dwa razy większy. - Wystarczająco, żeby podpalić kadłub od dołu, może doprowadzić do zapłonu olej...

- Ż-żadnych sztuczek! Ż-żadnych sztuczek! Obiecuję!

- Widzisz? - zapytał czarodziej o szkarłatnych włosach swojego niewidocznego towarzysza. - Nie trzeba wyrzucać go za burtę. Poza tym może jeszcze kiedyś będziesz chciał go wykorzystać.

W odpowiedzi opętana ręka czarodzieja nagle wypuściła Nullyna, który wylądował z hukiem na pokładzie. Goblin leżał tam przez kilka chwil, rozpaczliwie próbując odzyskać oddech.

Twój wybór... czarodzieju.

Człowiek odetchnął, po czym popatrzył na Voyda, który wciąż kulił się przy silniku, i zawołał - I co? Ruszaj w stronę góry!

Voyd usłuchał go natychmiast, szaleńczo przestawiając dźwignie i zawory. Nullyn na tyle wrócił do siebie, żeby przyłączyć się do towarzysza. Zmaltretowany goblin nawet nie spojrzał do tyłu.

Wygaszając magiczny płomień, Rhonin ponownie spojrzał na zewnątrz. W końcu udało mu się coś zobaczyć, miał nadzieję, że były to turnie Grim Batol. Biorąc pod uwagę wcześniejsze słowa Skrzydeł Śmierci i obrazy, Rhonin założył, że smok pragnie, by wylądował na samym szczycie, najlepiej w pobliżu otworu prowadzącego do środka. Gobliny z pewnością o tym wiedziały. Gdyby zrobiły teraz coś innego, oznaczałoby to, że jeszcze nie nauczyły się, jakim szaleństwem było sprzeciwianie się odległemu panu lub czarodziejowi.

J Rhonin miał nadzieję, że tak się nie stanie. Wątpił, żeby smok pozwolił goblinom ujść karze po raz drugi.

Zaczęli się zbliżać do jednego ze szczytów, który Rhoninowi coś przypominał, choć czarodziej nigdy wcześniej nie był w Grim Batol. Mag pochylił się do przodu, aby przyjrzeć mu się uważniej. Z pewnością musiała być to góra z wizji, którą zesłał na niego Skrzydła Śmierci. Szukał jakichś znaczących szczegółów - rozpoznawalnej grupy głazów lub znajomej szczeliny.

Tutaj! Ten sam wąski otwór co w jego wizji. Stojący mężczyzna z trudem by się w nim zmieścił, pod warunkiem, że wcześniej pokonałby kilkaset stóp nagiej skały. Wystarczy. Rhonin z trudem mógł się doczekać, gdyż z chęcią oddaliłby się od złośliwych goblinów i ich dziwacznej latającej maszyny.

Drabinka sznurowa wciąż zwieszała się luźno, gotowa do użycia. Ostrożny mag czekał, kiedy Voyd i jego towarzyszy powoli zbliżali statek do celu. Niezależnie od tego, co Rhonin wcześniej myślał o sterowcu, teraz musiał przyznać, że gobliny kontrolowały go z podziwu godną dokładnością.

Drabina uderzyła cicho o skałę na lewo od otworu.

- Czy możecie utrzymać statek w tym miejscu? - zawołał do Nullyna.

Wciąż przestraszony pilot odpowiedział tylko kiwnięciem głowy, jednak to wystarczyło Rhoninowi. Żadnych sztuczek. Nawet jeśli nie bali się jego, z pewnością obawiali się długich łap Skrzydeł Śmierci.

Biorąc głęboki oddech, Rhonin przeszedł przez burtę. Drabina huśtała się gwałtownie, tak że więcej niż raz uderzył o skały. Ignorując ból, czarodziej pospiesznie schodził na dół.

Wąska półka przed wejściem do jaskini znajdowała się nieco pod nim, a choć gobliny ustawiły sterowiec najlepiej, jak potrafiły, silne wiatry wciąż niebezpiecznie kręciły Rhoninem. Trzy razy próbował postawić nogę na półce i trzy razy kończył ze stopą wiszącą kilkaset stóp ponad ziemią.

Musi zaryzykować i skoczyć. W takich warunkach rzucanie zaklęcia może być niebezpieczne. Rhonin będzie musiał polegać tylko na sile fizycznej, czego zwykle by nie zrobił.

Statek powietrzny poruszył się bez ostrzeżenia, a Rhonin mocno uderzył o ścianę, tracąc oddech. Z trudem się utrzymał. Jeśli wkrótce nie opuści drabiny, kolejne zderzenie może go ogłuszyć, przez co wypuści sznur z rąk - ze skutkiem śmiertelnym.

Obolały czarodziej odetchnął głęboko i przyjrzał się odległości między sobą a półką. Drabina huśtała się do przodu i do tyłu, co groziło kolejnym zderzeniem ze skałą.

Rhonin poczekał, aż kolejne wychylenie zbliży go do półki i rzucił się w stronę jaskini.

Z jękiem bólu opadł na wąski skalny występ. Stopy od razu się poślizgnęły, z trudem znalazły oparcie. Czarodziej na czworakach przesunął się do przodu.

Kiedy Rhonin w końcu poczuł się bezpieczny, opadł na ziemię, dysząc ciężko. Minęło kilka chwil, zanim odzyskał oddech, wówczas przewrócił się na plecy.

W górze Voyd i Nullyn najwyraźniej uświadomili sobie, że w końcu pozbyli się niechcianego pasażera. Goblińska machina latająca zaczęła się oddalać, z jej boku wciąż zwieszała się drabinka.

Ręka Rhonina nagle podniosła się do góry z palcem wskazującym skierowanym w stronę uciekającego statku. Otworzył usta do krzyku, gdyż wiedział, co ma się zdarzyć.

- Nieceee!

Te same słowa, które wypowiedział wcześniej, żeby stworzyć płomyk, tym razem wybuchły z jego ust. Teraz jednak nie wypowiadał ich sam czarodziej.

W niebo wystrzelił strumień czystego ognia większy niż przerażony czarodziej kiedykolwiek przywołał - dokładnie w stronę statku powietrznego i niczego nie podejrzewających goblinów.

Płomienie otoczyły sterowiec. Rhonin usłyszał krzyki. Statek eksplodował, kiedy zapaliły się zapasy oleju. Kiedy kilka pozostałych fragmentów spadło na ziemię, ramię Rhonina opadło.

Z trudem wciągając powietrze, Rhonin wyrzucił z siebie -Nie powinieneś być tego robić!

Wicher sprawi, że nikt nie usłyszy wybuchu, odpowiedział zimny głos. A pozostałości spadną do rzadko odwiedzanej, głębokiej doliny. Poza tym orki są przyzwyczajone do goblinów niszczących swoje dzieła w trakcie eksperymentów. Nie musisz się bać, że ktoś cię odkryje... przyjacielu.

Rhonina nie obchodziło jego bezpieczeństwo, lecz życie dwóch goblinów. Śmierć w walce to jedno; kara, jaką wymierzył Skrzydła Śmierci swym zbuntowanym sługom to coś zupełnie innego.

Będzie dla ciebie lepiej, jeśli wejdiesz do jaskini, kontynuował Skrzydła Śmierci. Żywioty na zewnątrz nie są dla ciebie odpowiednie.

Rhonin nie poczuł się uspokojony wyrażoną przez lewiatana troską, ale usłuchał go. Nie miał ochoty zostać zmiecionym z półki przez wciąż wzmagający się wiatr. Z dobrymi czy złymi zamiarami, smok doprowadził go prawie do celu. Rhonin wreszcie odważył się

przyznać w duchu, że tak naprawdę nie miał nadziei dotrzeć tak daleko. W głębi serca czarodziej przez całą drogę wierzył, że zginie -jak miał nadzieję, już po naprawieniu swoich błędów. Teraz może miał jakąś szansę.

W tej chwili powitał Rhonina potworny hałas, który mag od razu rozpoznał. Smok, oczywiście, młody i sprawny. Smoki i orki. Oczekiwały w głębi góry, czekały na samotnego maga.

Co przypomniało mu, że jeszcze może umrzeć, jak sobie wcześniej wyobrażał...

* * *

Człowiek był silny. Silniejszy niż sądziłem.

Skrzydła Śmierci, ponownie pod postacią lorda Prestora, zaczął zastanawiać się nad pionkiem, którego wybrał. Przejęcie czarodzieja, którego Kirin Tor wysłało na tę absurdalnie niemożliwą wyprawę wydawało mu się najprostsze. Zmieni ich szaleństwo w zwycięstwo... swoje zwycięstwo. Ten Rhonin zrobi to dla niego, ale nie w sposób, którego człowiek oczekiwał.

Czarodziej okazał mu więcej nieposłuszeństwa, niż wydawałoby się możliwe. Miał wyjątkowo silną wolę. Dobrze, że ma zginąć. Tak silna wola rodzi silnych czarodziejów, w rodzaju Medivha. Czarny lewiatan szanował tylko jednego człowieka, a był nim właśnie Medivh. Szalony jak goblin i równie nieprzewidywalny, posiadał niewiarygodną moc. Nawet Skrzydła Śmierci wolałyby mu się nie przeciwstawiać.

Medivh jednak nie żył, przynajmniej hebanowy lewiatan wierzył, że tak jest, mimo pojawiających się ostatnio plotek, iż jest inaczej. Żaden inny czarodziej nie posiadał umiejętności zbliżonych do szaleńca i nigdy nie osiągnie, jeśli Skrzydła Śmierci osiągnie swój cel.

Nawet jeśli Rhonin nie będzie mu ślepo wierzył, jak robili to monarchowie Sojuszu, to jednak usłucha go, wiedząc, że smok obserwuje każdy jego ruch. Dwa głupie gobliny były doskonałą lekcją. Być może chciały tylko przestraszyć swojego pasażera, lecz Skrzydła Śmierci nie miał czasu na takie głupoty. Ostrzegł Krylla, żeby wybrał dwójkę, która wypełni swą misję bez żadnych uchybień. Kiedy szef goblinów zakończy swoje zadanie, Skrzydła Śmierci będzie musiał rozmawiać z nim o jego wyborze. Smok wcale nie był zadowolony.

- Lepiej, żebyś dobrze się sprawił, ropuszko - wysyczał. - Lub też twoi bracia na statku powietrznym będą mogli się uważać za szczęściarzy w porównaniu z losem, jaki ci zgotuję...

Przestał myśleć o goblinie. Lord Prestor miał ważne spotkanie z królem Terenasem

dotyczące księżniczki Calii.

Skrzydła Śmierci podziwiał się w dużym lustrze stojącym w korytarzu jego dworku. Odziany był w strój wspanialszy niż wszystko, w co ubierała się arystokracja krainy. O tak, w każdym calu przyszły król. Gdyby ludzie nosili w sobie choć strzępek godności i mocy, jaką on posiadał, smok mógłby zastanowić się nad pozostawieniem ich przy życiu. Jednak postać, która spoglądała na Skrzydła Śmierci z lustra, przedstawiała sobą doskonałość, której ludzie nie mieli nadziei osiągnąć. Odda im przysługę, kończąc ich żalosne żywoty. - Wkrótce - szepnął do siebie. - Wkrótce. Powóz zabrał go prosto do pałacu, gdzie strażnicy zaszalutowali mu i natychmiast pozwolili wejść. Służący powitał Skrzydła Śmierci w głównym holu i przeprosił, że król nie mógł osobiście go przywitać. Doskonale odgrywając rolę młodego szlachcica, który pragnął tylko porozumienia między wszystkimi, smok nie pokazał po sobie irytacji. Dlatego tylko z uśmiechem poprosił człowieka, by ten zaprowadził go do miejsca, gdzie Terenas pragnął, żeby zaczekał. Spodziewał się, że król nie będzie gotowy, zwłaszcza jeśli wciąż musi wyjaśniać swojej młodej córce, dlaczego wybrał dla niej taką przyszłość.

Teraz, kiedy cała opozycja została zmieciona, a tron znajdował się w zasięgu jego ręki, Skrzydła Śmierci wpadł na pomysł, który wydawał mu się doskonałym uzupełnieniem jego planów. Jak lepiej umocnić swoje panowanie, jeśli nie poślubiając córkę jednego z najpotężniejszych władców Sojuszu? Oczywiście nie wszyscy monarchowie mieli córki niezamężne i nie będące jeszcze dziećmi. Tak naprawdę było ich tylko dwóch: Terenas i Daelin Proudmoore. Jaina Proudmoore była jednak jeszcze za młoda, i z tego, co dowiedział się smok, prawdopodobnie zbyt trudna do opanowania, gdyż inaczej mógłby na nią poczekać. Nie, córka Terenasa będzie odpowiednia.

I tak będzie musiał poczekać dwa lata na poślubienie Calii, lecz mało to znaczyło dla odwiecznego smoka. Do tego czasu nie tylko inni z jego gatunku będą pod jego wpływem lub martwi, ale też Skrzydła Śmierci osiągnie pozycję polityczną, dzięki której na poważnie będzie się mógł zająć mszczeniem podstaw Sojuszu. Czego zwierzęce orki nie dokonały z zewnątrz, on dokona od wewnątrz.

Sługa otworzył drzwi.

- Jeśli poczekasz w środku, panie, z pewnością Jego Wysokość wkrótce się zjawi.

- Dziękuję. - Zamyślony Skrzydła Śmierci nie zauważył, że oczekiwało go dwóch nowych towarzyszy, dopóki sługa nie zamknął za sobą drzwi.

Odziane w płaszcze z kapturami postaci lekko pochyliły zacienione głowy w jego stronę.

- Witaj, lordzie Prestorze - zagrział brodaty mężczyzna.

Skrzydła Śmierci powstrzymał grymas, który już tworzył się na jego wargach. Oczekiwał konfrontacji z Kirin Tor, ale nie w pałacu Terenasa. Wrogość wobec czarodziejów z Dalaranu, jaką smok magicznie wzbudził wśród władców, powinna ich powstrzymać przed wizytą.

- Witajcie, panie, pani.

Drugi mag, kobieta, jak na standardy ich rasy bardzo stara, odrzekł - Mieliliśmy nadzieję poznać cię wcześniej, panie. Wieści o tobie rozprzestrzeniły się w wszystkich królestwach Sojuszu, szczególnie w Dalaran.

Magia, którą władali ci czarodzieje, ukrywała prawie w całości ich rysy, a choć Skrzydła Śmierci jednym ruchem mógłby zerwać ich zasłony, nie zdecydował się na to. Już znał tę parę, choć nie po imieniu. Aura brodacza wydawała się znajoma, jakby smok i czarodziej ostatnio się zetknęli. Fałszywy szlachcic podejrzewał, że to ten właśnie mag był odpowiedzialny za przynajmniej jedną z dwóch prób przebicia się przez ochronne zaklęcia strzegące jego dworku. Biorąc pod uwagę moc tych zaklęć, Skrzydła Śmierci nieco się zdziwił, że mężczyzna jeszcze żyje i do tego stoi teraz przed nim.

- Kirin Tor jest również dobrze wszystkim znane - odrzekł.

- I z każdym dniem staje się znane coraz lepiej, choć nie w taki sposób, w jaki byśmy pragnęli, muszę przyznać.

Aluzja odnosiła się do jego dzieła. Skrzydła Śmierci nie uznał tego za zagrożenie. Na razie uważali go za czarodzieja-renegata - potężnego, lecz nie aż tak groźnego, jakim jest naprawdę.

- Oczekiwałem, że spotkam się tutaj z królem Terenasem sam na sam - rzekł, zwracając tok rozmowy w stronę dla siebie korzystną. - Czy Dalaran ma jakąś sprawę do Lordaeron?

- Dalaran stara się być poinformowany o wszystkich wydarzeniach ważnych dla wszystkich królestw Sojuszu - odrzekła kobieta. - Ostatnio było to nieco utrudnione, gdyż nie zostaliśmy poinformowani o ważnych spotkaniach między jego członkami.

Skrzydła Śmierci spokojnie podszedł do bocznego stolika, gdzie Terenas zawsze trzymał kilka butelek swojego najlepszego wina dla oczekujących gości. Wino z Lordaeron wydawało mu się jedynym wartościowym towarem eksportowym królestwa. Nalał odrobinę do stojącego obok, ozdobionego klejnotami pucharu.

- Tak, rozmawiałem z Jego Wysokością, namawiając go do zaproszenia was do rozmów w sprawie Alterac, lecz wydawał się zdecydowany, by was do nich nie włączyć.

- I tak znamy wynik - powiedział rozdrażnionym głosem brodacza. - Chyba

powinniśmy ci pogratulować, lordzie Prestorze.

Ani razu nie podali swoich imion, a on nie podał swojego. Tak, rzeczywiście mieli na niego oko - na tyle, na ile Skrzydła Śmierci pozwolił.

- Było to dla mnie zaskoczenie, muszę przyznać. Miałem jedynie nadzieję na utrzymanie Sojuszu w całości po godnym pożalowania postępku lorda Perenolde'a.

- Tak, to była tragiczna sprawa. Nigdy nie spodziewałbym się tego po nim. Znałem go, kiedy był młodszy. Był zawsze raczej nieśmiały, lecz nie wydawał się typem zdrajcy.

Nagle odezwała się starsza kobieta.

- Twoja dawna ojczyzna znajduje się gdzieś w pobliżu Alterac, nieprawdaż, lordzie Prestorze?

Po raz pierwszy Skrzydła Śmierci poczuł się nieco rozdrażniony. Ta gra już go nie bawiła. Czy ona o tym wie?

Zanim mógł odpowiedzieć, otworzyły się wspaniale zdobione drzwi po przeciwnej stronie komnaty. Do pomieszczenia wkroczył król Terenas, najwyraźniej w niezbyt pogodnym nastroju. Jasnowłosy chłopiec o urodzie cherubina, dziecko jeszcze, podążał tuż za nim, najwyraźniej próbując zwrócić uwagę ojca. Kiedy Terenas spojrzał na dwójkę czarodziejów grymas na jego twarzy jeszcze się pogłębił. Odwrócił się do dziecka.

- Wracaj do swojej siostry, Arthasie, i spróbuj ją uspokoić. Postaram się przyjść do ciebie jak najszybciej, obiecuję.

Arthas pokiwał głową, z ciekawością spojrzał na gości ojca i popędził w stronę wyjścia.

Terenas zamknął drzwi za synem, po czym natychmiast zwrócił się do magów.

- Sądziłem, że nakazałem majordomusowi, żeby poinformował was, że nie mam dla was dzisiaj czasu! Jeśli Dalaran chce złożyć jakieś protesty lub żądania w sprawie sposobu w jaki zajmuję się sprawami Sojuszu, może przesłać pismo przez naszego ambasadora. A teraz życzę dobrego dnia!

Para nie poruszyła się. Skrzydła Śmierci powstrzymał triumfalny uśmiech. Jego władza nad królem pozostała silna, nawet kiedy smok musiał się zajmować innymi sprawami, m przykład Rhoninem.

Myśląc o swoim najnowszym pionku, Skrzydła Śmierć: miał nadzieję, że czarodzieje wezmą sobie do serca wyrażony przez Terenasa nakaz odejścia i pójdą. Im szybciej znikną tym szybciej będzie mógł wrócić i sprawdzić postępy ich młodszego towarzysza.

- Zaraz wyjdziemy, Wasza Wysokość - zagrzemiał mężczyzna. - Zostaliśmy jednak upoważnieni, aby przekazać ci, że rada ma nadzieję, iż wkrótce usłuchasz w tej sprawie głosu

rozsądku. Dalaran zawsze był lojalnym sojusznikiem.

- Kiedy mu to odpowiadało.

Obaj magowie zignorowali ostre słowa monarchy. Zwracając się do Skrzydeł Śmierci, kobieta powiedziała - Lordzie Prestorze, zaszczytem było cię wreszcie poznać. Mam nadzieję, że nie będzie to nasze ostatnie spotkanie.

- Zobaczymy.

Nie wyciągnęła dłoni, a on jej do tego nie zachęcał. No tak. Ostrzegli go, że nadal będą go obserwować. Najwyraźniej Kirin Tor wierzyło, że to zmusi go do większej ostrożności, nawet zasieje niepewność w jego sercu, jednak czarny smok uznał ich groźby za śmieszne. Niech marnują czas, ślęcząc nad czarodziejskimi kulami lub próbują przekonać władców Sojuszu do usłuchania głosu rozsądku. Wszystkie ich wysiłki doprowadzą tylko do powiększenia wrogości innych ludzi - co doskonale odpowiadało Skrzydłom Śmierci.

Skłoniwszy się, dwójka magów wyszła z komnaty. Z szacunku dla króla nie zniknęli tak po prostu, choć wiedział, że mogli to zrobić. Nie, najpierw dotrą do swojej ambasady, z dala od niegodnych zaufania oczu. Nawet teraz Kirin Tor zwracało uwagę na pozory.

Na dłuższą metę i tak nie miało to znaczenia.

Kiedy czarodzieje w końcu wyszli, król Terenas zaczął mówić - Przyjmij me pokorne przeprosiny za tę scenę, Prestorze! Jakąż oni mają czelność! Wpychają się do mojego pałacu, jakby to Dalaran a nie Lordaeron rządziło tutaj! Tym razem zaszli za daleko...

Zastygł w połowie zdania, kiedy Skrzydła Śmierci uniósł rękę w jego stronę. Fałszywy szlachcic spojrział na obie pary drzwi, upewniając się, że nikt nagle nie wpadnie i nie znajdzie zaczarowanego króla, po czym podszedł do okna wyglądającego na tereny pałacowe i miasto. Skrzydła Śmierci czekał cierpliwie, wpatrując się w bramę, przez którą przechodzili wszyscy goście pałacu Terenasa.

Dwójka czarodziejów znalazła się w jego polu widzenia. Pochylili głowy do siebie, prowadząc bardzo ważną, choć bez wątpienia prywatną rozmowę.

Smok dotknął palcem wskazującym bardzo drogiej szklanej tafli okiennej i narysował na niej dwa okręgi, które natychmiast zaczęły świecić na czerwono. Wyszeptał jedno słowo.

Szкло wewnątrz jednego okręgu wygięło się, przybierając kształt parodii ludzkich ust.

- ... zupełnie nic! Jest pusty, Modero! Zupełnie nic nie mogłem wyczuć!

W drugim okręgu utworzyły się drugie, nieco delikatniejsze usta.

- Może wciąż jeszcze nie powróciłeś do siebie, Drendenie. Ten wstrząs, który przeżyłeś...

- Już mi przeszło. Więcej trzeba, żeby mnie zabić. Poza tym wiem, że ty też go

sondowałaś. Czy coś wyczułaś? Kobięce usta skrzywiły się.

- Nic, a to znaczy, że jest bardzo, ale to bardzo potężny, być może równie potężny jak Medivh.

- Musi używać jakiegoś niezwykłego talizmanu! Nikt nie jest tak potężny, nawet Krasus! Ton Modery zmienił się.

- Czy naprawdę wiesz, jak potężny jest Krasus? On jest starszy niż my wszyscy. To z pewnością coś znaczy.

- To znaczy, że jest ostrożny... i najlepszy z nas wszystkich, nawet jeśli nie jest mistrzem rady.

- Taki był jego wybór, więcej niż raz. Skrzydła Śmierci pochylił się do przodu, teraz bardziej zainteresowany.

- Tak w ogóle, to co on teraz robi? Czemu wszystko utrzymuje w tajemnicy?

- Mówi, że chce się dowiedzieć o przeszłości Prestora, ale ja sądzę, że chodzi o coś więcej. Z Krasusem zawsze chodzi o coś więcej.

- Cóż, mam tylko nadzieję, że czegoś wkrótce się dowiem, ponieważ sytuacja jest... o co chodzi?

- Czuję mrowienie na karku. Zastanawiam się, czy...

W pałacu smok szybko machnął ręką nad dwoma szklanymi ustami. Tafla natychmiast się wyprostowała, nie pozostawiając śladu. Skrzydła Śmierci cofnął się.

Kobieta w końcu wyczuła jego zakłęcie, ale nie będzie w stanie odnaleźć źródła. Choć jak na ludzi byli bardzo utalentowani, Skrzydła Śmierci nie obawiał się ich, lecz nie chciał w tym momencie rozpoczynać konfrontacji z tą dwójką. W grze pojawił się nowy element, który po raz pierwszy sprawił, że smok odrobinę się zamyślił.

Odwrócił się ponownie do Terenasa. Król wciąż stał tam, gdzie Skrzydła Śmierci go pozostawił, z otwartymi ustami i wyciągniętą ręką.

- ...a ja tego nie będę tolerował. Mam zamiar natychmiast zerwać z nimi wszelkie kontakty dyplomatyczne! Kto rządzi w Lordaeron? Na pewno nie Kirin Tor, niezależnie od tego, co oni o tym myślą!

- Tak, to prawdopodobnie mądre posunięcie, Wasza Wysokość, lecz powinniśmy je przeciągnąć. Niech złożą swój protest, a później zaczniemy zamykać przed nimi bramy. Jestem pewien, że inne królestwa postąpią podobnie.

Na twarzy Terenasa pojawił się zmęczony uśmiech.

- Jesteś bardzo cierpliwym młodym człowiekiem, Prestorze! Ja wygłaszam swoje deklaracje, a ty po prostu stoisz tutaj i wszystko akceptujesz. Powinniśmy raczej rozmawiać o

przyszłym małżeństwie. Oczywiście mamy jeszcze dwa lata, zanim dojdzie do skutku, lecz zaręczyny wymagają planowania. - Wzruszył ramionami. - Tak to już jest wśród władców.

Skrzydła Śmierci ukłonił mu się lekko.

- Rozumiem cię doskonale, Wasza Wysokość.

Władca Lordaeron zaczął opowiadać mu o różnych sprawach, jakimi jego przyszły zięć będzie się musiał zająć przez następne miesiące. Oprócz zajmowania się sprawami Alterac, młody Prestor będzie musiał być obecny przy każdej oficjalnej okazji, aby wzmocnić swe więzy z Calią w oczach ludu i innych monarchów. Świat musi zobaczyć, że ten związek będzie początkiem wspaniałej przyszłości dla Sojuszu.

- A kiedy już odbierzemy Khaz Modan i Grim Batol tym piekielnym orkom, możemy zaplanować ceremonię zwrócenia tych ziem krasnoludom ze wzgórz. Ceremonię, którą ty poprowadzisz, mój drogi chłopcze, jako że to ty odpowiadasz za utrzymanie jedności Sojuszu tak długo, by doprowadzić do zwycięstwa...

Skrzydła Śmierci coraz mniej zwracał uwagę na to, co gadał Terenas. Znał większość z tego, co miał do powiedzenia król - w końcu sam umieścił to wcześniej w umyśle starego człowieka. Lord Prestor, bohater, wyobrażony lub prawdziwy, odbierze nagrody i powoli, metodycznie zacznie niszczyć niższe rasy.

Obecnie jednak smoka bardziej interesowała rozmowa dwójki czarodziejów, a szczególnie wspomniany przez nich inny członek Kirin Tor, Krasus. Skrzydła Śmierci uznał go za interesującego. Wiedział, że już wcześniej ktoś próbował obejść zaklęcia otaczające jego dworek, a jedna z tych prób uruchomiła Nieskończony Głód, jedną z najstarszych i najbardziej niebezpiecznych pułapek wymyślonych przez czarodziejów. Smok wiedział również, że Głód nie spełnił swej funkcji.

Krasus... Czy tak brzmiało imię czarodzieja, który uniknął zaklęcia równie starożytnego jak sam Skrzydła Śmierci?

Może będę się musiał dowiedzieć więcej o tobie, pomyślał smok, jednocześnie kiwając głową w odpowiedzi na gadaninę Terenasa. Tak, może będę się musiał dowiedzieć więcej.

CZTERNAŚCIE

Krasus spał snem głębszym niż kiedykolwiek, nawet wówczas, gdy był tylko pisklęciem. Znajdował się w stanie pomiędzy zwykłą drzemką a tym odwiecznym snem, z którego nie obudzi się nawet największy zdobywca. Spał, wiedząc, że każda przemijająca godzina przybliżała go coraz bardziej do tego słodkiego zapomnienia.

A kiedy spał, smoczy mag śnił.

Pierwsze wizje były mrocznymi, prostymi obrazami z podświadomości śpiącego. Wkrótce jednak zastąpiły je wyraźniejsze i mocniejsze widma. Uskrzydłone postaci, smoki i nie tylko, fruwały wokół niego w panice. Potężny mężczyzna w czerni wyśmiewał się z niego z dużej odległości. Dziecko biegło wijącą się ścieżką po skąpanym w słońcu wzgórzu... dziecko, które zmieniło się w pokreconą, złą istotę - nieumarłego.

Czarodziej przekręcał się niespokojnie, gdyż znaczenie tych wizji męczyło go nawet w głębi jego snu. Opadł jeszcze głębiej i dotarł do krainy czystej ciemności, która jednocześnie dusiła go i uspokajała.

W tej krainie odezwał się do zrozpaczonego smoczego maga głos, spokojny, lecz rozkazujący.

Wszystko byś dla niej poświęcił, nieprawdaż, Korialstraszu?

W sanktuarium Krasusa jego usta poruszyły się, kiedy wypowiadał odpowiedź. Oddałbym samego siebie, gdybym dzięki temu mógł ją uwolnić.

Biedny, lojalny Korialstraszu... W ciemności utworzył się kształt, który drżał z każdym oddechem śpiącej postaci. W marzeniach dryfujący Krasus próbował sięgnąć do tego kształtu, jednak ten zniknął, kiedy prawie już go dotykał.

W jego snach to była Alexstrasza.

Coraz szybciej ześlizgujesz się w stronę ostatecznego spoczynku, odważny. Czy chcesz mnie o coś poprosić, zanim to się stanie?

Jego usta ponownie się poruszyły. Tylko o to, żebyś jej pomogła...

Nic dla siebie? Może o swoje gasnące życie? Ci, którzy mają odwagę wypić śmierć, powinni być nagrodzeni pełnym pucharem jej najlepszego gatunku...

Ciemność zdawała się go wciągać. Krasus poczuł, że trudno mu oddychać, trudno myśleć. Jakże silna wydała mu się pokusa, by po prostu się obrócić i przyjąć miękki koc zapomnienia. Zmusił się jednak, by jej odpowiedzieć.

Ona. Proszę tylko o nią.

Nagle poczuł, że coś ciągnie go do góry, w miejsce pełne barw i światła, miejsce, gdzie znów mógł oddychać i myśleć.

Otoczyły go obrazy, jednak nie z jego snów, lecz tych należących do innych. Widział życzenia i pragnienia ludzi, krasnoludów, elfów, a nawet orków i goblinów. Cierpiał ich koszmary i rozkoszował się ich przyjemnymi doznaniem. Obrazów było wiele, lecz kiedy mijały go po kolei, odkrył, że nie może ich sobie przypomnieć, tak jak z trudem przypominał sobie swoje własne sny.

Pośrodku tego płynnego krajobrazu pojawiła się kolejna wizja. Kiedy jednak wszystko dookoła poruszało się jak mgła, ona jedna prawie zachowała kształt. Urosła tak, że przytłoczyła niewielką postać czarodzieja.

Zgrabna smocza postać, w połowie materialna, w połowie tylko wyobrażona, przeciągnęła skrzydła, jakby się właśnie obudziła. Ślady przyblakłej zieleni, jak w lesie tuż przed zapadnięciem zmroku, rozciągały się na piersi lewiatana. Krasus spojrzał w górę, gotowy, by napotkać spojrzenie smoczycy - i zobaczył, że jej oczy są zamknięte, jakby spała. Mimo to nie wątpił, że pani snów widzi go aż za dobrze.

Nie będę wymagać od ciebie aż takiego poświęcenia, Korialstraszu, od ciebie, który zawsze byłeś niezwykle interesującym śniącym. Kąciki warg smoczycy uniosły się nieco w górę. Niezwykle intrygującym śniącym.

Krasus próbował znaleźć stabilne podparcie dla stóp - jakiegokolwiek podparcie dla stóp - lecz ziemia pod nim pozostawała niestabilna, właściwie płynna. Był zmuszony do unoszenia się, co mu nie odpowiadało.

Dziękuj ę ci, Ysero...

Zawsze grzeczny, zawsze dyplomatyczny, nawet wobec moich małżonków, którzy w moim imieniu więcej niż raz odrzucali twoje pragnienia.

Nie rozumieli w pełni sytuacji, odrzekł.

Chodzi ci o to, że ja jej nie rozumiałam. Ysera uniosła się w tył, jej szyja i skrzydła zadrżały, jakby ktoś nagle zaburzył odbicie w sadzawce. Jej powieki wciąż pozostawały zamknięte, lecz wielka głowa wyraźnie skierowała się w stronę tego, który wtargnął do jej królestwa. Uwolnienie twej ukochanej Alexstraszy nie jest takie proste i nawet ja nie jestem w stanie powiedzieć, czy w ostatecznym rozrachunku będzie się opłacać. Czyż nie lepiej pozwolić, by wszystko szło swoim kursem, tak jak j a to robię? Jeśli Dawczyni Życia ma zostać uwolniona, czyż nie zdarzy się to samo?

Jej apatia... apatia wszystkich trzech Aspektów, które odwiedził... sprawiała, że w umyśle maga zapłonął ogień gniewu. A czy Skrzydła Śmierci ma się stać kulminacją biegu

świata? Tak się z pewnością stanie, jeśli wy wszyscy będziecie tylko siedzieć i śnić!

Skrzydła zwinęły się. Nie wspominaj go!

Krasus naciskał. Dlaczego, pani snów? Czy wywołuje w tobie koszmary senne?

Choć powieki pozostały zaciśnięte, oczy Ysery na pewno ukazywały głębokie emocje. Jest tym, którego snów nie odwiedzę... nigdy więcej. Prawdopodobnie we śnie jest jeszcze gorszy niż na jawie.

Zmęczony czarodziej nawet nie udawał, że rozumie ostatnie zdanie. Dla niego ważne było tylko to, że żadna z wielkich sił nie mogła zebrać się na tyle, by przeciwstawić się Skrzydłom Śmierci. Owszem, z winy Duszy Demona nie byli tacy jak wcześniej, ale wciąż posiadali ogromną moc. Tak jakby wszyscy uważali, iż Era Smoka już przeminęła i nawet gdyby mogli zmienić przyszłość, nie byłoby to warte wyjścia z letargu, w który zapadli z własnej woli.

Wiem, że wciąż wędrujesz między młodszymi rasami, Ysero. Wiem, że wciąż wpływasz na sny ludzi, elfów i...

Do rzeczy, Korialstraszu! Nawet w mej domenie są ograniczenia!

W takim razie tak do końca nie porzuciłaś świata, prawda? W przeciwieństwie do Malygosa i Nozdormu nie ukrywasz się w szaleństwie ani wśród relikwii przeszłości! Czyż sny nie należą również do przyszłości?

Tak samo jak do przeszłości, powinieneś o tym pamiętać!

Obok niego przepłynął obraz ludzkiej kobiety trzymającej w ramionach nowo narodzone dziecko. Na moment pojawił się mały chłopiec toczący wielką bitwę z dziecinnymi potworami własnej wyobraźni. Krasus przez chwilę przyglądał się tworzącym się wokół niego i ponownie rozplywającym się snom. Mrocznych było tyle samo co jasnych, ale tak zawsze było. Wszystko w równowadze.

W głębi duszy wierzył jednak, że ciągłe uwięzienie jego królowej i determinacja Skrzydeł Śmierci, by odebrać ten świat młodszym rasom, zakłóciły tę równowagę. Nie będzie więcej marzeń ani nadziei, jeśli obie te sytuacje nie zostaną naprawione.

Z twoją pomocą czy bez niej, Ysero, pójdę dalej. Muszę!

Oczywiście, możesz to zrobić... Postać smoka snu zadrżała.

Krasus odwrócił się od niej, ignorując tworzące się przed nim nieuchwytnie obrazy. W takim razie albo odeślij mnie z powrotem do mojego sanktuarium, albo zrzuć mnie w otchłań! Może najlepiej będzie, jeśli nie pożyję na tyle długo, by zobaczyć przyszłości tego świata... i tego, co stanie się z moją królową!

Oczekiwał, że Ysera odeśle go prosto w zapomnienie, aby nie mógł wciąż zamęczać

jej i innych Aspektów tematem Alexstraszy. Miast tego smoczy mag poczuł lekki, niemal nieśmiały dotyk na ramieniu.

Odwróciwszy się, Krasus zobaczył smukłą, bladą kobietę, piękną, lecz nierzeczywistą. Odziana była w lejącą się suknię z bladozielonego jedwabiu, dolną część jej twarzy częściowo zakrywał welon. W pewnym sensie przypominała mu jego królową, choć nie do końca.

Oczy kobiety były zamknięte.

Biedny, walczący Korialstrasz. Usta kobiety nie poruszyły się, jednak Krasus wiedział, że to był jej głos. Głos Ysery. Jej twarz przybrała wyraz zamyślenia. Ty rzeczywiście zrobiłbyś dla niej wszystko.

Nie wiedział, dlaczego zdecydowała się wypowiedzieć to, o czym oboje doskonale wiedzieli. Krasus ponownie odwrócił się od pani snów, szukając jakiejś ścieżki, która mogłaby go wyprowadzić z tej nierealnej krainy.

Nie odchodź jeszcze, Korialstrasz.

A dlaczego nie? - zapytał, odwracając się...

Ysera patrzyła na niego, jej oczy były szeroko otwarte. Krasus zamarł, nie był w stanie oderwać od nich spojrzenia. Te oczy należały do każdego, kogo kiedykolwiek znał, nawet kochał. Te oczy znały go, wiedziały o nim wszystko. Były niebieskie, zielone, czerwone, czarne, złote... w każdym kolorze, w jakim mogły być oczy.

Nawet były jego.

Zastanowię się nad tym, co powiedziałaś.

Z trudem mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ty...

Uniosła dłoń, uciszając go. Zastanowię się nad tym, co powiedziałaś. Ni mniej, ni więcej, jak na razie.

A... a jeśli odkryjesz, że się ze mną zgadzasz?

Wówczas spróbuję przekonać Malygosa i Nozdormu do twojej misji, ale za nich nie mogę nic obiecywać, nawet wtedy.

Było to więcej, niż Krasus miał nadzieję uzyskać. Może nic z tego nie wyjdzie, ale przynajmniej będzie miał nadzieję w trakcie walki.

Dziękuję ci.

Jeszcze nic dla ciebie nie zrobiłam... tylko ożywiałam twe sny. Uśmiech, który pojawił się na wargach Ysery, był zabarwiony żalem.

Zaczął jej ponownie dziękować, gdyż chciał, by zrozumiała, że nawet ta odrobina dała mu siłę potrzebną do dalszego działania, lecz Ysera nagle zaczęła od niego odpływać. Krasus

wyciągnął do niej rękę, jednak odległość okazała się zbyt duża, a kiedy spróbował postąpić krok do przodu, ona zaczęła się oddalać jeszcze szybciej.

Wtedy uświadomił sobie, że to nie Śniąca się porusza, tylko on.

Śpij dobrze, biedny Korialstraszu, zabrzmiał jej głos. Smukła, blada postać zadrżała i rozplynęła się. Śpij dobrze, gdyż w czasie bitwy, którą chcesz wydać, będziesz potrzebował wszystkich swoich sił, a jeszcze więcej...

Próbował się odezwać, lecz nawet jego senny głos nie zabrzmiał. Ciemność otoczyła smoczego maga, miękka ciemność snu.

I nie lekceważ tych, których uważasz tytko za pionków...

* * *

Górska forteca orków była nie tylko większą niż Rhonin podejrzewał, ale też bardziej skomplikowana. Tunele, które, jak sądził, miały go doprowadzić do celu, nagle skręcały w zupełnie inną stronę, często nawet pięły się w górę, zamiast schodzić w dół. Niektóre kończyły się zupełnie bez powodu. Jeden taki korytarz zmusił go do cofania się po własnych śladach przez ponad godzinę, przez co nie tylko zmarnował cenny czas, ale też uszczuplił swoje, i tak niezbyt duże, zapasy siły.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że Skrzydła Śmierci nie odezwał się do niego ani razu przez cały ten czas. Choć Rhonin ani odrobinę nie ufał czarnemu lewiatanowi, przynajmniej wiedział, że Skrzydła Śmierci zaprowadziłby go do uwięzionego behemota. Co mogło aż tak odciągnąć uwagę mrocznego?

Zmęczony mag usiadł w końcu w nieoświetlonym korytarzu, żeby odpocząć. Miał ze sobą niewielki bukłak подарowany mu przez nieszczęsne gobliny, i z niego to pociągnął łyk. Później Rhonin oparł się o ścianę z nadzieją, że kilka chwil odpoczynku rozjaśni jego umysł i pozwoli mu dalej wędrować korytarzami.

Czy naprawdę wyobrażał sobie, że potrafi uwolnić królową smoków? Wątpliwości nasilały się, kiedy próbował odnaleźć drogę we wnętrzu góry. Czy przybył tutaj tylko po to, żeby popełnić malownicze samobójstwo? Jego śmierć nie przywróci życia tym, którzy zginęli, a tak naprawdę oni sami podejmowali decyzje.

Czy kiedyś sam wymyślił tę szaloną misję? Cofając się myślami w przeszłość, Rhonin przypomniał sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy wypląnął ten temat. Po katastrofie ostatniej misji zabroniono mu udziału w działaniach Kirin Tor. Młody czarodziej spędzał dni pograżony w myślach, nikogo nie widząc i mało jedząc. Zgodnie z warunkami jego próby nikomu nie pozwolono go również odwiedzać. Dlatego też bardzo go zaskoczyło, kiedy

zmaterializował się przed nim Krasus, proponując wsparcie w jego próbach powrotu w szeregi czarodziejów.

Rhonin zawsze sądził, że nikogo nie potrzebuje, lecz Krasus przekonał go, że jest inaczej. Mistrz omówił ciężką sytuację swego młodego towarzysza w szczegółach, aż w końcu Rhonin otwarcie poprosił go o pomoc. Jakoś tak pojawił się temat smoków, a z niego wypłynęła historia Alexstraszy, czerwonej smoczycy więzionej przez orki i zmuszanej do rodzenia okrutnych bestii na chwałę Hordy. Mimo iż główna część Hordy została zmiażdżona, tak długo, jak długo pozostawała więźniem, orki z Khaz Modan mogły siać terror na terenach Sojuszu, zabijając niezliczonych niewinnych.

W tym właśnie punkcie w umyśle Rhonina pojawił się pomysł uwolnienia smoka, pomysł tak fantastyczny, że Rhonin uznał, iż sam musiał go wymyślić. Wówczas miało to dla niego sens. Oczyszczyć się lub zginąć, próbując zrealizować plan, o którym jego bracia będą pamiętać przez wieczność.

Krasus był pod wrażeniem. Rhonin przypomniał sobie teraz, że starszy mag spędził z nim wiele czasu, opracowując szczegóły i zachęcając czerwonowłosego czarodzieja. Rhonin przyznał się sobie, że prawdopodobnie porzuciłby ten pomysł, gdyby nie zachęty patrona. Właściwie czasem wydawało się, że jest to bardziej misja Krasusa niż jego własna. Z drugiej strony, co doradca bez twarzy mógłby osiągnąć, wysyłając swojego protegowanego na taką wyprawę? Gdyby Rhoninowi się powiodło, część zasług mogłaby pójść na konto tego, który w niego wierzył, ale gdyby mu się nie udało... co miałyby z tego Krasus?

Rhonin potrząsnął głową. Jeśli nadal będzie sobie zadawał takie pytania, wkrótce uwierzy, że to jego patron stoi za tą misją, że w jakiś sposób wykorzystał swoje wpływy, żeby młodszy czarodziej rzeczywiście zapragnął udać się do tej niegościnnej krainy.

Absurdalne...

Nagły hałas sprawił, że Rhonin niemal zerwał się na równe nogi. Mag uświadomił sobie, że w trakcie tych rozmyślań zapadł w sen. Czarodziej przycisnął się do ściany, żeby zobaczyć, kto przechodzi przez ciemny korytarz. Orki z pewnością wiedziały, że tunel kończy się ślepo.

Hałas, w którym Rhonin rozpoznał rozmowę, szybko ucichł. Czarodziej zrozumiał, że padł ofiarą skomplikowanej akustyki systemu jaskiń. Orki, które słyszał, prawdopodobnie znajdowały się kilka poziomów od niego.

A może mógłby podążyć za tymi dźwiękami? Z wrastającą nadzieją Rhonin poszedł ostrożnie w kierunku, z którego według niego dochodziła rozmowa. Nawet jeśli tak naprawdę nie pochodziła z tego miejsca, może echa zaprowadzą go w końcu tam, gdzie miał nadzieję

dotrzeć.

Rhonin nie potrafił powiedzieć, jak długo spał, lecz kiedy tak szedł, słyszał coraz więcej dźwięków, jakby Grim Batol właśnie się obudziło. Orki zdawały się być wyjątkowo aktywne, co stanowiło dla Rhonina pewien problem. Teraz słyszał zbyt wiele hałasów ze zbyt wielu różnych kierunków, a nie miał ochoty wpaść przypadkowo do sali ćwiczeń wojowników, czy nawet do mesy. Pragnął tylko znaleźć komnatę, gdzie więziono królową smoków.

Później jednak wszystkie te dźwięki zagłuszył smoczy ryk, który bardzo szybko ucichł. Rhonin już słyszał takie ryki, ale nie zwracał na nie uwagi. Teraz wyzywał samego siebie od głupców - czy wszystkie smoki nie będą trzymane mniej więcej w tym samym miejscu? W najgorszym wypadku podążanie za rykami zaprowadzi go w pobliże jakiejś bestii, a tam może uda mu się odnaleźć drogę do komnaty królowej.

Przez jakiś czas znajdował drogę przez tunele bez kłopotów, gdyż większość orków zdawała się być daleko, zajęta pracą nad jakimś wielkim projektem. Czarodziej przez chwilę zastanawiał się, czy Grim Batol szykuje się do bitwy. W tej chwili Sojusz musi naciskać na siły orków w północnym Khaz Modan. Grim Batol będzie musiało poprzeć swoich braci, żeby zachować nadzieję na odepchnięcie ludzi i ich sojuszników.

Jeśli tak, to ta aktywność będzie z korzyścią dla Rhonina. Nie tylko sprawa ta będzie zaprzętać umysły orków, ale też zmniejszy się ich liczba. Z pewnością każdy jeździec z wytresowanym smokiem znajdzie się wkrótce na niebie, w drodze na północ.

Zachęcony tym Rhonin ruszył szybciej i pewniej, przez co kilka chwil później prawie wpadł w ramiona pary potężnych orczych wojowników.

Całe szczęście oni byli jeszcze bardziej zaskoczeni jego widokiem niż on ich. Rhonin natychmiast uniósł dłoń, wypowiadając zaklęcie, które miał nadzieję zachować na bardziej niebezpieczną sytuację.

Najbliższy z orków, z brzydką twarzą wykrzywioną wściekłością, właśnie sięgał po przewieszony przez plecy topór. Zaklęcie Rhonina uderzyło go prosto w pierś, rzucając potężnym wojownikiem o najbliższą ścianę.

Gdy ork uderzył w nią, zatopił się w kamieniu. Przez chwilę pozostał widoczny zarys jego ciała, z ustami nadal otwartymi w furii, jednak wkrótce nawet to zniknęło. Nie pozostał żaden ślad po gwałtownym końcu istoty.

- Ludzki śmieć! - zaryczał drugi ork z toporem w dłoni.

Zamachnął się w stronę Rhonina. Ze ściany poleciały odłamki kamienia, gdy czarodziejowi udało się uskoczyć. Ork rzucił się do przodu, jego duża, brudnozielona postać

wypełniała wąski korytarz. Tuż przed oczami Rhonina zawisł naszyjnik z wysuszonych, skurczonych palców: ludzkich, elfich i innych. Do tej kolekcji wróg bez wątpienia miał zamiar dodać i jego. Ork zamachnął się jeszcze raz. Tym razem był niebezpiecznie blisko przecięcia maga wzdłuż na dwie części.

Rhonin popatrzył na naszyjnik, w jego umyśle pojawił się okrutny pomysł. Wskazał nań palcem i wykonał odpowiedni gest.

Zakłęcie sprawiło, że ork na chwilę przerwał, ale nie widząc efektu, zaśmiał się złośliwie z żalosego, małego człowieczka.

- Chodź! Skończę z tobą szybko, czarodzieju!

Kiedy jednak uniósł topór, drapanie sprawiło, że ork spojrział w dół, na pierś.

Palce z naszyjnika, ponad dwa tuziny, dotarły do jego gardła. Ork upuścił topór i próbował je odciągnąć, lecz wbiły się za mocno. Zaczął kaszleć, gdy palce uformowały swego rodzaju makabryczną rękę, odcinającą mu dopływ powietrza.

Rhonin cofnął się, gdy ork zaczął się dziko rzucać, próbując oderwać mściwe członki. Czarodziej planował, że zakłęcie będzie tylko przerywnikiem, zanim nie wpadnie na pomysł czegoś bardziej ostatecznego, lecz odcięte palce wyraźnie wzięły sobie do serca tę okazję. Zemsta? Nawet jako mag, Rhonin nie potrafił uwierzyć, że duchy wojowników zabitych przez tego orka w jakiś sposób zachęcały palce do wysiłku. Wszystko musiało wynikać z siły zaklęcia.

Tak właśnie musiało być...

Niezależnie od tego, czy działały na nie mściwe duchy, czy tylko magia, zaczarowane palce z wyraźną gorliwością wykonywały swą straszliwą pracę. Paznokcie wbiły się w miękkie gardło, a wówczas krew pokryła większość torsu orka. Potężny wojownik upadł na kolana, a w oczach miał taką rozpacz, że Rhonin w końcu musiał odwrócić wzrok.

Kilka chwil później usłyszał, jak ork krztusi się, a potem wielka masa uderzyła o posadzkę tunelu.

Potężny berserker leżał zakrwawiony, palce nadal wbijały się w jego szyję. Rhonin odważył się dotknąć jednego z nich, ale nie wyczuł w nim ruchu ani życia. Palce wykonały swoje zadanie, a teraz powróciły do poprzedniego stanu, tak jak tego chciało zakłęcie.

A jednak...

Otrząsając się z takich myśli, Rhonin pospiesznie przeszedł obok trupa. Nie miał gdzie ukryć ciała ani czasu, by o tym pomyśleć. Wkrótce ktoś odkryje prawdę, lecz czarodziej nie mógł nic na to poradzić. Rhonin musiał zająć się królową smoków. Jeśli uda mu się ją uwolnić, może przynajmniej zanieśe go w bezpieczne miejsce. Tak naprawdę była to jego

jedyna szansa na ujście z życiem.

Udało mu się przebyć kilka kolejnych tuneli bez przeszkód, wówczas jednak uświadomił sobie, że kieruje się w stronę jasno oświetlonego korytarza, z którego dochodziły mocne głosy. Poruszając się ze zwiększoną ostrożnością, Rhonin powoli zbliżył się do przecięcia tuneli i wyrzwał za róg.

To, co wcześniej uznał za korytarz, było w rzeczywistości jasno oświetlonym, ogromnym otworem jaskini. Pracowały w niej ciężko dziesiątki orków, załadowując wozy i przygotowując zwierzęta pociągowe, jakby wszyscy szykowali się do jakiejś długiej podróży, z której nie mieli zamiaru szybko powrócić.

Czyżby miał rację co do bitwy na północy? Jeśli tak, to dlaczego wygląda na to, że wszystkie orki mają zamiar odejść? Czemu nie po prostu smoki i ich jeźdźcy? Dotarcie do Dun Algaz zajmie tym wozom zbyt wiele czasu.

W jego polu widzenia pojawiły się dwa orki niosące jakiś wielki ciężar. Najwyraźniej miały dużą ochotę upuścić to, co niosły, lecz z jakiegoś powodu nie odważyły się na to. Rhonin doszedł do wniosku, że traktowały ciężar ze szczególną troską, zupełnie jakby był ze złota.

Widząc, że nikt nie patrzy w jego stronę, czarodziej postąpił krok do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się temu, co tak ceniły orki. Było okrągłe... nie, owalne i z zewnątrz nieco chropawe, jakby pokryte łuskami. Właściwie przypominało mu...

Jajo.

A dokładniej smocze jajo.

Szybko przeniósł spojrzenie na pozostałe wozy. Oczywiście, teraz uświadomił sobie, że na części z nich znajdowały się jaja w różnych fazach rozwoju, od gładkich i niemal okrągłych po bardziej nawet pokryte łuskami niż pierwsze, bliskie wyklucia.

Skoro smoki były niezbędne orkom do wypełnienia ich planów, czemu ryzykowali podróż z tak cennym ładunkiem?

Człowieku.

Głos w głowie niemal sprawił, że Rhonin wykrzyknął. Przytulił się do ściany i szybko powrócił w głąb tunelu. Kiedy w końcu upewnił się, że żaden z orków nie mógłby go zobaczyć, Rhonin podniósł medalion z szyi i spojrzał na czarny kryształ w jego środku.

Oczywiście, teraz świecił słabo.

Człowieku... Rhoninie... gdzie jesteś?

Czyżby Skrzydła Śmierci nie wiedział?

- Jestem w samym środku orczej fortecy - szepnął. - Szukałem komnaty królowej

smoków.

Znalazłeś jednak coś innego. Widziałem przeblysk. Co to było?

Z jakiegoś powodu Rhonin nie chciał powiedzieć prawdy Skrzydłom Śmierci.

- To tylko orki ćwiczyły walkę. Prawie na nie wszedłem, zanim się zorientowałem.

Po jego odpowiedzi nastąpiła długa cisza, tak długa, że Rhonin prawie pomyślał, iż Skrzydła Śmierci zerwał połączenie. Wtedy jednak, bardzo spokojnym tonem, smok stwierdził - Chcę to zobaczyć.

-To nic...

Zanim Rhonin mógł powiedzieć następne słowo, jego ciało nagle zbuntowało się przeciwko niemu, odwracając się z powrotem w stronę jaskini i wielu, bardzo wielu orków. Oburzony czarodziej próbował zaprotestować, ale tym razem nie słuchały się go nawet jego wargi.

Skrzydła Śmierci doprowadził go do miejsca, gdzie wcześniej stał, po czym zmusił prawą rękę czarodzieja do uniesienia w górę medalionu. Rhonin domyślił się, że Skrzydła Śmierci obserwował wszystko przez smolisty kryształ.

Ćwiczą walkę... Rozumiem... A tak ćwiczą odwrot?

Nie mógł odpowiedzieć na złośliwe słowa lewiatana, miał zresztą wrażenie, że Skrzydła Śmierci wcale tego nie oczekuje. Smok zmusił go do pozostania niemal na otwartej przestrzeni, gdy przez medalion wszystkiemu się przyglądał.

Tak, rozumiem... Możesz już wrócić do tunelu.

Odzyskawszy władzę nad ciałem, Rhonin usunął się z widoku. Całe szczęście orki były tak zajęte swoimi zadaniami, że żaden nie spojrzał w jego stronę. Oparł się o ścianę, dysząc ciężko. Uświadomił sobie, że bał się odkrycia bardziej, niż mu się wydawało. Najwyraźniej nie był wcale typem samobójczym, jak sobie wcześniej wyobrażał.

Idziesz złą drogą. Musisz wrócić do wcześniejszego skrzyżowania.

Skrzydła Śmierci nie skomentował jego próby podstępu, co Rhonina martwiło bardziej, niż gdyby smok to zrobił. Skrzydła Śmierci z pewnością również zastanawiał się, dlaczego orki przenoszą jaja, chyba że już coś o tym wiedział. Ale jak to możliwe? Z pewnością nikt stąd nie przekazałby mu tej informacji. Orki bały się i nienawidziły czarnego smoka przynajmniej tak bardzo - jeśli nie bardziej - jak Sojuszu Lordaeron.

Mimo tych rozważań od razu podążył za wskazówkami Skrzydeł Śmierci, cofając się korytarzem, aż dotarł do przecięcia. Rhonin zignorował go wcześniej, uznając, że skoro drugi tunel jest tak wąski i słabo oświetlony, to nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Orki z pewnością oświetliłyby lepiej ważny tunel.

- Tędy? - wyszeptał.

- Tak.

Rhonina nadal zastanawiało, jakim sposobem smok wiedział tak dużo o systemie jaskiń. Skrzydła Śmierci z pewnością nie wędrował sam przez te tunele, nawet w przebraniu człowieka. Czy mógł to robić pod postacią orka? Być może, ale to też nie wydawało mu się właściwą odpowiedzią. Drugi tunel po lewej. Wejdiesz w ten następny. Wskazówki Skrzydeł Śmierci wydawały się bezbłędne. Rhonin czekał na jedną pomyłkę, jeden błąd, który świadczyłby, że smok przynajmniej częściowo zgadywał. Żadnych pomyłek. Skrzydła Śmierci znał orczą twierdzą równie dobrze, jeśli nie lepiej, niż brutalni wojownicy.

W końcu, jak zdawało się Rhoninowi po wielu godzinach wędrówki, głos nagle nakazał - Zatrzymaj się.

Rhonin przystanął, choć nie widział żadnego powodu, dla którego Skrzydła Śmierci miałyby mu to nakazać. Czekaj.

Kilka chwil później do czarodzieja dotarły głosy z tunelu przed nim.

- ...gdzie byłeś! Miałem do ciebie pytania, wiele pytań!

- Bardzo przepraszam, mój wspaniały dowódco, bardzo przepraszam! Nie mogłem nic na to poradzić! Naprawdę...

Głosy ucichły, choć Rhonin starał się usłyszeć więcej. Wiedział, że pierwszy głos należał do orka, najwyraźniej dowodzącego fortecą, lecz drugi mówca należał do zupełnie innej rasy. Był goblinem.

Skrzydła Śmierci wykorzystywał gobliny. Czy w taki właśnie sposób tyle się dowiedział o tym ogromnym legowisku? Czy jeden z tutejszych goblinów służył również mrocznemu?

Z chęcią podążyłby za nimi i usłyszał więcej, ale smok nagle nakazał mu ruszyć. Rhonin wiedział, że gdyby go nie usłuchał, Skrzydła Śmierci mogłyby bez trudu zmusić go do marszu. Kiedy Rhonin utrzymywał kontrolę nad własnymi kończynami, mógł się przynajmniej ludzić, że ma jeszcze wybór.

Przeciąwszy korytarz, którym przechodził orczy dowódca z goblinem, Rhonin zaczął schodzić w dół tunelem, który zdawał się prowadzić do samego serca góry. Teraz z pewnością musiał być blisko królowej smoków. Właściwie mógł przysiąc, że słyszy oddech olbrzyma, a ponieważ w Grim Batol prawdziwych olbrzymów nie było, smok był jedyną możliwością.

Dwa korytarze przed tobą. Skręć w prawo. Idź nim, dopóki nie zobaczysz otworu po lewej.

Skrzydła Śmierci nie powiedział nic więcej. Rhonin po raz kolejny postąpił zgodnie z jego wskazówkami, przyspieszając kroku. Nerwy miał napięte jak postronki. Jak długo jeszcze będzie się musiał błąkać we wnętrzu tej góry?

Skreślił w prawo i zaczął wędrować kolejnym korytarzem. Oceniając po uproszczonych wskazówkach smoka, Rhonin oczekiwał, że po krótkim czasie dotrze do wspomnianego otworu, jednak minęło już, jak mu się zdawało, pół godziny, a on nie widział nic, nawet przecięcia. Dwa razy pytał Skrzydła Śmierci, czy wkrótce znajdzie się na miejscu, ale przewodnik milczał.

Kiedy czarodziej poczuł, że jest gotów się poddać, zobaczył światło. Słabe, oczywiście, ale zdecydowanie światło... i to po lewej stronie korytarza.

Poczuwszy przyływ nadziei, Rhonin pospieszył do niego tak szybko, jak tylko potrafił, nie robiąc jednocześnie zbyt dużego hałasu. Nie mógł przecież wiedzieć, czy królowej smoków nie strzegł przypadkiem tuzin orków. Przygotował zaklęcia, ale miał nadzieję, że oszczędzi je na inne, bardziej niebezpieczne chwile.

Stój!

Głos Skrzydeł Śmierci rozbrzmiał echem w jego głowie, powodując, że Rhonin prawie zderzył się z najbliższą ścianą. Miast tego przycisnął się do niej, pewien, że odkrył go jakiś strażnik.

Nic. Za wyjątkiem jego samego, przejście pozostawało puste.

- Dlaczego mnie zawołałeś? - szepnął do medalionu. Przed tobą leży twoje przeznaczenie, lecz przejścia może pilnować coś więcej niż żywi.

- Magia? - Już o tym pomyślał, lecz smok nie dał mu szansy, by sam mógł to sprawdzić.

I magiczni strażnicy. Możemy szybko odkryć prawdę. Trzymaj przed sobą medalion, kiedy będziesz szedł w stronę wejścia.

- A co ze strażnikami z krwi i kości? Wciąż muszę się o nich martwić.

W głosie mrocznego słyszał rosnącą irytację. Wszystkiego się dowiesz, człowieku...

Pewien, że Skrzydła Śmierci chce, by przynajmniej dotarł do Alexstraszy, Rhonin wyciągnął przed siebie medalion i powoli ruszył do przodu.

Wykrywam tylko słabe zaklęcia, to znaczy słabe w porównaniu z moją mocą, poinformował go smok, kiedy się zbliżał. Zajmę się nimi.

Czarny kryształ nagle zapłonął, przez co zaskoczony mag prawie go wypuścił.

Zaklęcia ochronne zostały wymazane. Przerwa. W środku nie ma strażników. Nie potrzebują ich, nawet bez zaklęć. Alexstrasza jest całkiem spętana i przykuta do ściany. Orki

były bardzo skuteczne. Jest zupełnie bezpieczna.

- Czy mam wejść?

Byłbym rozczarowany, gdybyś tego nie zrobił.

Rhonin uznał sformułowanie Skrzydeł Śmierci za dość dziwne, ale nie zastanawiał się długo nad tym, gdyż bardziej interesowała go możliwość zobaczenia królowej smoków. Żałował, że nie ma przy nim Vereesy, po czym zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie miałyby to sprawić mu przyjemność. Może...

Myśli o srebrnowłosej elfce wyparowały mu z głowy, kiedy wszedł w otwór i po raz pierwszy ujrzał olbrzymiego czerwonego smoka. Alexstraszę.

I odkrył, że ona patrzy na niego, a w jej gadzich oczach widać coś podobnego do obawy, lecz nie o siebie.

- Nie! - ryknęła najgłośniejszym głosem, jak pozwalała jej na to obroza na gardle. - Cofnij się!!

W tym samym momencie Skrzydła Śmierci stwierdził triumfalnym głosem - Doskonale!

Błysk światła otoczył czarodzieja. Każdy jego nerw zadrżał, kiedy zaczęła go rozrywać potworna siła. Medalion wysunął się z jego nagle bezwładnych palców.

Gdy upadał, słyszał jeszcze, jak Skrzydła Śmierci powtarza jedno słowo, a później się śmieje.

Doskonale...

PIĘTNAŚCIE

Vereesa odchrząknęła, kiedy odkryła, że znów może oddychać. Koszmar pogrzebania żywcem powoli wyblakł, a ona wciągała powietrze wielkimi haustami. W końcu powrócił do niej pełen spokój. Elfka otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że zamieniła jeden koszmar na inny. Trzy postaci kuliły się przy niewielkim ognisku na środku czegoś, co wyglądało na małą jaskinię. Płomienie sprawiały, że groteskowe istoty wydawały się jeszcze bardziej przerażające, gdyż dzięki nim widziała zebra rysujące się pod skórą i pokryte plamami oraz łuskami zwieszające się luźno ciało. Co gorsza, wyraźnie widziała też długie, wychudzone twarze o nosach przypominających dzioby i wydłużonych brodach, a szczególnie wąskie, podstępne oczy i bardzo, bardzo ostre zęby.

Trójka odziana była właściwie tylko w obszarpane kilty. Obok każdej postaci stał toporek do rzucania, którą to bronią, jak wiedziała Vereesa, posługiwały się z podziwu godną zręcznością.

Mimo iż próbowała zachowywać się cicho, jakiś jej drobny ruch musiał dotrzeć do tych spiczastych uszu, które tak przypominały Vereesie gobliny, gdyż jeden z prześladowców spojrzał w jej stronę.

- Kolacja się obudziła - syknął. Opaska zakrywała pozostałości jego lewego oka.

- Dla mnie wygląda bardziej na deser - orzekł drugi. Był łysy, podczas gdy pozostali nosili długie, zaniedbane grzebienie z włosów.

- Zdecydowanie deser - wyszczerzył się trzeci. Miał na sobie podarty szal, który wcześniej z pewnością należał do kogoś z jej ludu. Był chudszy niż pozostali i mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu. Pewnie przywódca.

Przywódca trójki wygłodniałych trolli.

- Ostatnio szło nam kiepsko - ciągnął troll z szalem - ale teraz czas na ucztę.

Coś na prawo od Vereesy wydało z siebie dźwięk, który byłby całkiem ostrym przekleństwem, gdyby w jego artykulacji nie przeszkadzał knebel. Vereesa obróciła głowę najdalej, jak pozwalały jej mocno ściśnięte więzy i zobaczyła, że Falstad również żyje, choć nie miała pojęcia, jak długo jeszcze. Według pogłosek, które krążyły jeszcze przed wojnami z trollami, te obrzydliwe stwory uważały wszystkich poza sobą za dobre źródło pożywienia. Nawet orki, które uznawały ich za sojuszników, ponoć zawsze uważnie pilnowały tych zwinnych i sprytnych bestii.

Całe szczęście dzięki wojnom z trollami i walce z Hordą, znacząco zmniejszyła się

ilość przedstawicieli tej ohydnej rasy. Vereesa nigdy wcześniej nie widziała trolla, znała je tylko z rysunków i legend. I, szczerze mówiąc, wolałaby, żeby tak pozostało.

- Cierpliwości, cierpliwości - zamruczał odziany w szal z fałszywą sympatią. - Ty będziesz pierwszy, krasnoludzie! Ty będziesz pierwszy!

- Nie możemy zrobić tego teraz, Gree? - prosił jednooki troll. - Czemu nie możemy zrobić tego teraz?

- Bo tak powiedziałem, Shnel! - Gree nagle uderzył pięścią w szczękę Shnela, a ten potoczył się po ziemi.

Trzeci troll zerwał się na równe nogi, zachęcając obu towarzyszy do dalszej wymiany ciosów. Gree spojrzał na niego wściekle, dosłownie wbijając łysego trolla w ziemię. Shnel doczołgał się do swojego miejsca przy ogniu. Wyglądał na pokonanego.

- Ja jestem przywódcą! - Gree uderzył się kościstą, szponiastą łapą w pierś. - Prawda, Shnel?

- Tak, Gree! Tak!

- Tak, Vorsh?

Bezwłosy potwór kilka razy energicznie pokiwał głową.

- Tak, tak, Gree! Przywódcą jesteś! Przywódcą jesteś!

Podobnie jak w wypadku elfów, krasnoludów, a szczególnie ludzi, istniały różne typy trolli. Garstka z nich mówiła z wyszukaną elegancją elfów - nawet wtedy, gdy odgryzały swemu rozmówcy głowę. Inne były o wiele dziksze, szczególnie te, które zamieszkiwały w kurhanach i innych podziemnych krainach. Vereesa wątpiła jednak, czy mogła istnieć forma trolla niższa niż trzy istoty, które pochwyciły ją i Falstada... i które wyraźnie miały wobec nich złe zamiary.

Trójka powróciła do prowadzonej przyciszonym głosem rozmowy przy ognisku. Vereesa ponownie zwróciła się w stronę krasnoluda, który odwzajemnił jej spojrzenie. Odpowiedzią na jej uniesioną brew było potrząśnięcie głową. Nie, mimo swej niezwyklej siły, nie mógł wyswobodzić się z więzów. Ona z kolei potrząsnęła głową. Trolle może i były dzikie, ale doskonale znały się na wiązaniu węzłów.

Vereesa, próbując się nie poddawać, przyjrzała się swojemu otoczeniu - choć nie było tam zbyt wiele do zobaczenia. Znajdowali się pośrodku dużego, prymitywnie wyрубanego tunelu, prawdopodobnie własnej roboty trolli. Vereesa przypomniała sobie długie, szponiaste palce, doskonałe do przekopywania się przez skałę i ziemię. Trolle były doskonale przystosowane do środowiska.

Mimo iż od razu znała wynik, elfka starała się w jakiś sposób rozluźnić więzy.

Obracała się najostrożniej jak potrafiła, otarła nadgarstki prawie do żywego mięsa, ale bez rezultatu.

Straszny śmiech ostrzegł ją, że trolle zobaczyły przynajmniej jej ostatnie próby.

- Deser jest bardzo żywotny - skomentował Gree. - Będzie niezła zabawa!

- Gdzie są pozostali? - gderał Shnel. - Już powinni tu być!

Przywódca pokiwał głową, dodając - Hulg wie, co się stanie, jeśli nie będzie posłuszny! Może... - Troll nagle chwycił swój toporek do rzucania. - Krasnoludy!

Toporek, obracając się, poleciał przez tunel. Zaledwie o cale minął głowę Vereesy.

Po krótkiej chwili usłyszeli gardłowe okrzyki.

Ze ścian tunelu wyskoczyły niskie, przysadziste postaci, wywrzaskujące bojowe okrzyki i wymachujące krótkimi toporami i mieczami.

Gree wyjął inny, nieco dłuższy topór, wyraźnie przeznaczony do walki wręcz. Shnel i Vorsh wyrzucili swoje toporki. Elfka zobaczyła, że jeden z atakujących pada trafiony przez

Shnela, lecz Vorsh spuścił. Oba trolle podążyły za przykładem przywódcy i przygotowały mocniejsze, cięższe topory, gdy otoczyli ich napastnicy.

Vereesa naliczyła ponad pół tuzina krasnoludów, odzianych w zniszczone futra i rdzewiejące napierśniki. Hełmy wojowników były zaokrąglone, dopasowane, bez rogów czy innych niepotrzebnych ozdóbek. Podobnie jak Falstad nosili brody, ale krótsze i lepiej utrzymane.

Krasnoludy posługiwały się toporami i mieczami z precyzją świadczącą o dużej praktyce. Trolle były spychane coraz bliżej siebie. Shnel upadł pierwszy, gdyż z braku oka nie zobaczył wojownika, który podszedł z jego ślepej strony. Vorsh ostrzegł go warknięciem, jednak było już za późno. Shnel zamachnął się dziko na nowego przeciwnika i nie trafił. Krasnolud wbił swój miecz w brzuch chudego trolla. Gree walczył najbardziej szaleńczo. Zadał jeden cios, od którego krasnolud poleciał do tyłu, po czym prawie pozbawił drugiego głowy. Niestety, jego topór pękł po zderzeniu z dłuższym i lepszym należącym do jego kolejnego przeciwnika. W akcie rozpaczy chwycił broń krasnoluda za górną część rękojeści i próbował ją wyrwać z uchwytu niższego wojownika.

Dobrze wyostrzony topór kolejnego krasnoluda przebił plecy przywódcy trolli.

Elfka prawie zaczęła współczuć ostatniemu z tych, którzy ją uwięzili. Oczy Vorsha były rozszerzone, a on sam miał świadomość zbliżającej się śmierci i wydawał się gotów skomleć. Mimo to dziko wymachiwał swoim toporem w stronę najbliższego krasnoluda i zupełnym przypadkiem prawie udało mu się trafić. Nie mógł jednak nic zrobić, by powstrzymać ciągły napływ wrogów z toporami i mieczami w rękach. Ich pierścień ciągle

zaciskał się.

Śmierć Vorsha przypominała rzeź.

Vereesa odwróciła wzrok. Nie spojrzała do przodu do chwili, kiedy spokojny głos skomentował - Nie dziwota, że trolle walczyły tak szaleńczo! Gimmel! Widzisz no to?

- Ano, Rom! Lepszy widok niż to, co znalazłem tam! Mocne ręce podciągnęły ją do pozycji siedzącej.

- Zobaczmy, czy uda nam się zdjąć z ciebie te liny, nie uszkodzając za bardzo tak ładnego ciała!

Spojrzała w twarz rumianego krasnoluda niemal o sześć cali niższego od Falstada i dużo bardziej przysadzistego. Pierwsze wrażenie okazało się mylące, gdyż sposób w jaki zdjął jej więzy, uświadomił łowczyni, że nie powinna uważać jego ani jego towarzyszy za niezgrabnych. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak pozbyli się trolli.

Z bliska odzież krasnoludów wydawała się jeszcze bardziej obszarpana. Nie było w tym nic dziwnego, jeśli, jak podejrzewała Vereesa, utrzymywali się dzięki temu, co udało im się ukraść orkom. Unosząca się woń sugerowała, że kąpiele także od dawna były luksusem.

- I gotowe!

Jej więzy opadły na ziemię. Vereesa natychmiast wyciągnęła knebel, którym krasnolud się nie zajął. Długa wiązanka przekleństw dochodząca z lewej strony świadczyła o tym, że Falstad również został uwolniony.

- Zawrzyj jadaczkę albo wcisnę ci ten knebel na stałe! - warknął Gimmel.

- Trzeba by wielu krasnoludów ze wzgórz, żeby pokonać jednego z Aerie!

Odgłosy niezgody świadczyły, że ich wybawcy mogą szybko stać się oprawcami, jeśli jeździec gryfów się nie uciszy. Unosząc się z trudem na nogi, i w ostatniej chwili uświadamiając sobie, że tunel był dla niej odrobinę za niski, zaniepokojona łowczyni rzuciła - Falstad! Bądź grzeczny dla naszych towarzyszy! W końcu uchronili nas przed strasznym losem!

- Racja - odrzekł Rom. - Te przekłete trolle jedzą każde mięso, żywe czy martwe!

- Wspominali jakiś towarzyszy - przypomniała sobie nagle. - Może lepiej opuścimy to miejsce, zanim nadejdą...

Rom uniósł dłoń. Jego pomarszczona twarz przypominała Vereesie mordę starego, twardego psa.

- Nie musisz się tym martwić. Tak właśnie znaleźliśmy tę trójkę. - Zastanawiał się przez chwilę. - Ale i tak możesz mieć rację. To nie jedyna banda trolli w tych okolicach. Orki używają ich jako psów myśliwskich. Poza orkami, wszystko, co przechodzi przez te

zniszczone tereny, jest zwierzyną łowną, a trolle czasami nawet chwytają jednego ze swoich sojuszników z góry, kiedy myślą, że ujdzie im to na sucho.

Wizje losu, jaki ich oczekiwał, wypełniły umysł Vereesy.

- To obrzydliwe! Dziękuję wam z całego serca za przybycie na czas!

- Gdybym wiedział, że to ciebie będziemy ratować, jeszcze bardziej popędzałbym tę żalosną gromadę!

Gimmel dołączył do dowódcy. Jego spojrzenie niepokojąco często zbaczało na Vereesę.

- Joj nie żyje. Wciąż wystaje do połowy z dziury. Z Narnem jest kiepsko, trzeba go będzie polatać. Reszta rannych może swobodnie podróżować!

- Ruszajmy więc! To dotyczy również ciebie, motylku! - To ostatnie odnosiło się do Falstada, który aż najeżył się, słysząc coś, co musiało być wielką obrazą dla krasnoludów z Aerie.

Vereesie udało się go uspokoić, kładąc mu dłoń na ramieniu, jednak kiedy wyruszyli, jej przyjaciel wciąż patrzył groźnie. Elfka zauważyła, że krasnoludy ze wzgórz obrały ze wszystkiego, co mogło być użyteczne nie tylko trolle, ale też swojego martwego towarzysza. Nie próbowały zabrać ze sobą trupa. Kiedy Rom zobaczył jej spojrzenie, wzruszył ramionami z łagodnym zawstydzeniem.

- W czasie wojny trzeba zapomnieć o niektórych zasadach, elfia panienko. Joj zrozumiałby to. Upewnimy się, że jego rzeczy zostaną podzielone między krewnych, którzy dostaną też więcej łupów, choć niestety nie ma ich zbyt dużo.

- Nie miałam pojęcia, że ktoś z was pozostał jeszcze w Khaz Modan. Powiadano, że wszystkie krasnoludy odeszły, kiedy zrozumiały, że nie są w stanie przeciwstawić się Hordzie.

Psia twarz Roma spochmurniała.

- Ano, ci, którzy mogli, odeszli, ale nie wszyscy mogli! Horda przybyła jak przysłowiowa zaraza, odcinając wielu z nas drogę ucieczki. Musieliśmy zejść głębiej w podziemia niż kiedykolwiek! Wielu wtedy zginęło i wielu zginęło od tego czasu.

Spojrzała na jego obszarpaną bandę.

- Ilu was jest?

- Mój klan? Siedmiu i czterdziestu, choć kiedyś były nas setki! Spotkaliśmy się z trzema innymi klanami, dwoma większymi od nas. Niech będzie nas trochę ponad trzystu, a to i tak niewielki ułamek tego, czym kiedyś byliśmy na tych terenach!

- Trzystu i więcej to i tak spora liczba! - zagrział Falstad. - Z taką liczbą poszedłbym

odzyskać Grim Batol!

- Może gdybyśmy fruwali w powietrzu jak pijane muchy, moglibyśmy tak zamieszać im w głowie, żeby nam się udało, ale na ziemi lub pod nią jesteśmy na straconej pozycji! Wystarczy jeden smok, żeby spalić las i upiec ziemię pod nim!

Wydawało się, że zaraz wybuchną dawne konflikty między Aerie i krasnoludami ze wzgórz. Vereesa szybko spróbowała zasypać przepaść między nimi.

- Wystarczy! To orki i ich sprzymierzeńcy są naszymi wrogami, mam rację? Jeśli będziecie walczyć ze sobą, czyż nie przyniesie to im korzyści?

Falstad w odpowiedzi wymruczał przeprosiny, podobnie Rom. Vereesie to jednak nie wystarczyło.

- Za mało. Obróćcie się i popatrzcie na siebie, po czym przysięgnijcie, że będziecie walczyć tylko dla dobra nas wszystkich! Przysięgnijcie, że zawsze będziecie pamiętać, że to orki zamordowały waszych braci, i to orki zabiły to, co kochaliście.

Nie znała przeszłości żadnego z krasnoludów, lecz powszechnie wiadomo, że każdy, kto walczył w tej wojnie, stracił kogoś lub coś ważnego. Rom bez wątplenia stracił wielu bliskich, a Falstad, który należał do odważnej lecz lekkomyślnej grupy powietrznych wojowników, z pewnością również przeżył wiele.

Na plus jeźdźcy gryfów należało zapisać, że to on wyciągnął pierwszy rękę.

- Ano, zgadza się. Podaj rękę.

- Skoro ty to robisz, to ja też.

Krasnoludy zaczęły szeptać między sobą, kiedy obaj ścisnęli ręce. Prawdopodobnie taki kompromis nie byłby możliwy w innej, mniej niebezpiecznej sytuacji.

Ruszyli. Tym razem to Rom zadawał pytania.

- Teraz, kiedy niebezpieczeństwo ze strony trolli minęło, elfia panienko, może powiesz nam, co sprowadza cię i tamtego do naszej zranionej krainy? Czy jest tak, jak mamy nadzieję i wojna zwróciła się przeciwko orkom, a Khaz Modan wkrótce będzie wolne?

- Wojna zwróciła się przeciwko Hordzie, to prawda. - To wywołało westchnienia i okrzyki radości wśród krasnoludów. - Większość Hordy została zniszczona kilka miesięcy temu, a Młot Zagłady zniknął.

Rom zatrzymał się.

- To dlaczego orki wciąż władają Grim Batol?

- Musisz się o to pytać? - wtrącił się Falstad. - Po pierwsze, orki wciąż utrzymały się na pomocy, wokół Dun Algaz. Mówi się, że zaczynają się okopywać, a na pewno nie poddadzą się bez walki.

- A drugi powód, kuzynie?

- Nie zauważyłeś, że mają smoki? - zapytał Falstad z niewinną miną.

Gimmel prychnął. Rom spojrzał wściekle na swego zastępcę, po czym z rezygnacją pokiwał głową.

- Ano, smoki. Jedyny wróg z którym nie możemy walczyć, gdyż jesteśmy przywiązani do ziemi. Raz złapaliśmy jednego młodego na ziemi i szybko się z nim załatwiliśmy... niestety, tracąc przy okazji dwóch wojowników... ale zwykle one zostają tam na górze, a my musimy się kryć tu na dole.

- Walczyliście przecież z trollami - sprzeciwiła się Vereesa. - A z pewnością również z orkami.

- Od czasu do czasu z jakimś patrolem, zgadza się. I zabijaliśmy trolle... ale to nic nie znaczy, jeśli nasz dom wciąż pozostaje pod władzą orków. - Spojrzał jej w oczy. - Pytam jeszcze raz. Powiedzcie mi, kim jesteście i co tutaj robicie! Jeśli Khaz Modan należy wciąż do orków, musicie być samobójcami, żeby przybywać do Grim Batol!

- Nazywam się Vereesa Córka Wiatru, jestem łowczynią, a to jest Falstad z Aerie. Przybyliśmy tutaj, ponieważ szukam człowieka, czarodzieja, wysokiego, młodego. Ma włosy o barwie ognia, a kiedy ostatni raz go widziałam, zmierzał w tę stronę. - Zdecydowała się na razie nie wspominać o obecności czarnego smoka i była wdzięczna Falstadowi, że nie dodał tej informacji.

- Czarodzieje może i są szaleńcami, szczególnie ludzie, ale co on robił w okolicach Grim Batol? - Rom patrzył na nich z coraz większą podejrzliwością. Historia Vereesy najwyraźniej wydawała się zbyt naciągana, jak na jego gust.

- Nie wiem - przyznała - ale sądzę, że ma to coś wspólnego ze smokami.

Usłyszawszy to, krasnolud zaśmiał się głośno.

- Smoki? Co on miał zamiar zrobić? Uwolnić czerwoną królową z więzienia? Będzie tak wdzięczna, że połknie go od razu z radości!

Wszystkie krasnoludy ze wzgórz uznały to za strasznie zabawne, ale nie elfka. Falstad, co dobrze o nim świadczyło, nie dołączył do ogólnej wesołości, ale on oczywiście wiedział o Skrzydłach Śmierci. Prawdopodobnie zakładał, że Rhonin już dawno został połknięty.

- Złożyłam przysięgę i dlatego pójdę dalej. Muszę dotrzeć do Grim Batol i sprawdzić, czy nie uda mi się go znaleźć.

Wesołość zmieniła się w mieszaninę zaskoczenia i niedowierzania. Gimmel potrząsnął głową, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Pani Vereeso, szanuję twoje powołanie, ale z pewnością widzisz, jak szaleńcza jest to

misja!

Uważnie przyjrzała się twardej grupce. Nawet w półmroku na twarzach krasnoludów dostrzegła wypisane zmęczenie i fatalizm. Walczyli i śnili o uwolnieniu ojczyzny, ale najpewniej myśleli, że nie zdarzy się to za ich życia. Podziwiali odwagę, jak wszystkie krasnoludy, ale nawet dla nich wyprawa elfki graniczyła z szaleństwem.

- Ty i twoi ludzie uratowali nas, Romie, i za to dziękuję wam wszystkim. Jeśli jednak mogę prosić cię o jedną przysługę, to będzie to pokazanie najbliższego tunelu prowadzącego do fortecy wewnątrz góry. Stamtąd ruszę sama.

- Nie będziesz podróżować sama, moja elfia damo - wtrącił się Falstad. - Zaszedłem zbyt daleko, żeby się teraz cofać. Poza tym chcę znaleźć pewnego goblina i zrobić sobie buty z jego skóry!

- Oboje jesteście szaleni! - Rom wiedział, że nie przekona żadnego z nich. Wzruszając ramionami dodał - Jeśli chcecie poznać drogę do Grim Batol, nie przekażę tego zadania komuś innemu. Sam was tam zabiorę!

- Nie możesz iść sam, Romie! - wtrącił się Gimmel. - Nie teraz, kiedy w okolicy sątrolle i orki! Ktoś musi pilnować twoich pleców!

Nagle cała reszta zdecydowała, że oni też muszą pójść, żeby pilnować pleców przywódców. Rom i Gimmel próbowali ich przekonać, ale ponieważ jeden krasnolud był bardziej uparty od drugiego, przywódca wpadł w końcu na lepszy pomysł.

- Ranni muszą powrócić do domu, a ich też ktoś musi eskortować... nie, Narnie, nie kłóć się, ledwo stoisz! Najlepiej zagrać w kości. Połowa z lepszymi wynikami idzie z nami! Kto ma kości?

Vereesa nie była zbyt szczęśliwa, że musi czekać, aż krasnoludy zagrają o to, kto będzie z nimi wędrował, lecz nie miała innego wyboru. Ona i Falstad patrzyli, jak różne krasnoludy, poza Narnem i innymi rannymi, rzucają przeciwko sobie kośćmi. Większość krasnoludów ze wzgórz używała własnych zestawów, gdyż na pytanie Roma uniósł się dosłownie las rąk. To sprawiło, że Falstad roześmiał się.

- Aerie i krasnoludy ze wzgórz może się i różnią, ale wśród obu rodzajów niewielu nie nosi przy sobie kości! - Poklepał sakiewkę przy pasie. - Widać, jakimi barbarzyńcami sątrolle; zostawiły mi moje! Powiadają, że nawet orki lubią rzucać kośćmi, więc są odrobinę lepsi od naszych byłych oprawców, co?

Po czasie, który Vereesie wydawał się stanowczo za długi, Rom i Gimmel powrócili z siedmioma innymi krasnoludami. Każdy z nich miał na twarzy wyraz zdecydowania. Patrząc na nich, Vereesa mogłaby przysiąc, że wszyscy są braćmi... choć właściwie przynajmniej

dwóch mogło być siostrami. Nawet krasnoludzkie kobiety nosiły brody, co wśród ich rasy było oznaką urody.

- Oto twoi ochotnicy, pani Vereeso! Wszyscy silni i gotowi do walki! Doprowadzimy cię do jednego z otworów jaskini u podnóża góry, potem już będziecie zdani sami na siebie.

- Dziękuję wam... ale czy to znaczy, że naprawdę znacie drogę, która pozwala wam dostać się w głąb samej góry?

- Ano, ale nie jest ona prosta... a orki nie patrolują jej same.

- A co to ma znaczyć? - wybuchnął Falstad. Rom uśmiechnął się równie niewinnie, jak Falstad wcześniej.

- Nie słyszałeś, że mają smoki?

* * *

Sanktuarium Krasusa wybudowano nad starym gajem, starszym nawet niż smoki. Zbudował je elf, później odebrał ludzki mag, a następnie, po wielu latach opuszczenia, zajął sam i Krasus. Smok wyczuł kryjące się pod nim siły, z których z rzadka zdarzało mu się korzystać. Ale nawet smoczy mag był zaskoczony, kiedy pewnego dnia odnalazł ukryte przejście w najbardziej odległej części cytadeli. Przejście, które prowadziło do połyskującej sadzawki z pojedynczym, złocistym klejnotem na dnie.

Za każdym razem, kiedy wchodził do komnaty, odczuwał grozę, tak rzadką dla jego rodzaju. Magia wypełniająca miejsce sprawiała, że czuł się jak ludzki nowicjusz, któremu właśnie pokazano pierwszą inkantację. Krasus wiedział, że dotknął tylko ułamka mocy sadzawki, ale już to sprawiło, że obawiał się dalszych prób. Ci, którzy zbyt pożąдали magicznej mocy, w końcu zostawali przez nią pochłonięci. Dosłownie.

Oczywiście Skrzydłom Śmierci jakoś udało się uniknąć tego losu.

Mimo iż znajdowała się tak głęboko pod ziemią, woda nie była pozbawiona życia... lub czegoś podobnego. Choć na całym świecie nie było czystszy płynu, Krasus nigdy nie potrafił się skoncentrować na niedużych, smukłych sylwetkach w niej pływających, szczególnie w okolicy klejnotu. Czasami przysięgał, że były to po prostu połyskliwe, srebrzyste rybki, jednak od czasu do czasu smoczy mag mógłby przysiąc, że widział ramiona, nagi tors, a w rzadkich wypadkach nawet nogi.

Tego dnia zignorował mieszkańców sadzawki. Spotkanie ze Śniącą dało mu nadzieję na pomoc, lecz Krasus wiedział, że nie może na tym opierać swoich planów. Coraz szybciej zbliżał się czas ostatecznej decyzji.

Dlatego właśnie przyszedł tutaj, gdyż jedną z właściwości sadzawki było odmładzanie

tych, którzy z niej pili, przynajmniej na pewien czas. Użycie trucizny, żeby dostać się do ukrytej dziedziny Ysery, sprawiło, że Krasus czuł się pozbawiony siły, a jeśli sprawy miałyby wymagać szybkiego działania, chciał być pewien, że będzie w stanie odpowiednio zareagować.

Pochyliwszy się, czarodziej zanurzył dłoń i nabrał odrobinę wody. Kiedy po raz pierwszy odważył się napić wody, chciał użyć kubka, ale odkrył, że sadzawka odrzuca wszystko, co sztuczne. Krasus pochylił się, żeby wszystkie krople, które mógł uronić, powróciły tam, skąd pochodziły. Jego szacunek dla mocy sadzawki rósł przez lata.

Gdy tak jednak pił, jego uwagę przyciągnęło falowanie powierzchni. Krasus spojrział w dół na, jak się spodziewał, doskonałe odbicie jego ludzkiej postaci, lecz ujrzał coś zupełnie innego.

Patrzyła na niego młodzięcza twarz Rhonina - tak pomyślał z początku czarodziej. Potem uświadomił sobie, że oczy jego pionka są zamknięte, a głowa lekko przechylona na bok, jakby mag był martwy.

Przy twarzy Rhonina pojawiła się gruba, zielona ręka orka.

Krasus zareagował instynktownie, zanurzając dłoń w wodzie, by odciągnąć ohydną rękę. W efekcie zaburzył obraz. Kiedy powierzchnia ponownie się uspokoiła, zobaczył tylko swoje odbicie.

- Na Wielką Matkę... - Sadzawka nigdy wcześniej nie pokazała tej mocy. Dlaczego?

Dopiero wówczas Krasus przypomniał sobie pożegnalne słowa Ysery. I nie lekcewał tych, których uważasz tylko za pionków...

Co chciała mu przez to powiedzieć i dlaczego ujrzał teraz twarz Rhonina? Sądząc po tym, co zobaczył starszy czarodziej, jego młody towarzysz został schwytany albo zabity przez orki. Jeśli tak, to było już za późno, żeby Rhonin mógł mieć jeszcze jakąś wartość dla Krasusa. Ale skoro dotarł do górskiej fortecy, to wypełnił prawdziwą misję, z jaką posłał go jego patron.

W połączeniu z innymi fragmentami informacji, które Krasus pozwolił odkryć orkom z Grim Batol przez kilka ostatnich miesięcy, smoczy mag miał nadzieję, że przestraszył tamtejszych dowódców, każąc im myśleć, iż druga inwazja, tym razem bardziej subtelna, nadejdzie od zachodu. Choć w górskiej fortecy pozostała całkiem spora armia, o jej prawdziwej sile stanowiły smoki w niej hodowane i szkolone - a tych z każdym tygodniem było coraz mniej. Co gorsza, te, które pozostały, coraz częściej były posyłane na północ, by wspomóc główne siły Hordy, pozostawiając Grim Batol prawie bez obrony. Stając naprzeciwko armii porównywalnej z tą, która walczyła obecnie w okolicach Dun Algaz, orki

z górskiej fortecy, nawet mające przewagę pozycji, musiałyby w końcu ulec i stracić nadzieję na wyhodowanie nowych smoków.

A bez kolejnych smoków prześladujących siły Sojuszu na północy, pozostałości Hordy załamią się w końcu pod nieustającym naporem.

Taka armia mogła zostać zebrana i wysłana na zachód, gdyby nie ogólny brak współpracy między przywódcami Sojuszu. Większość uważała, że Khaz Modan i tak upadnie, po co więc ryzykować? Krasus nie mógł uwierzyć, że nie chcą zdecydować się na atak z dwóch stron, żeby w końcu uwolnić świat od orczego zagrożenia. Był to kolejny dowód na krótkowzroczne myślenie młodszych ras. Z początku chciał przekonać Kirin Tor, żeby nakłoniło sąsiadów do przyjęcia takiego planu działania. Kiedy jednak ich wpływ na króla Terenasa zaczął się zmniejszać, towarzysze z rady zabrali się do ratowania swojej zagrożonej pozycji w Sojuszu.

Wobec tego Krasus zdecydował się na rozpaczliwy blef, licząc na podstępne myślenie i paranoję charakteryzujące orczych dowódców. Niech uwierzą, że inwazja już ruszyła. Niech mają nawet fizyczny dowód obok plotek, które rozsiewali jego agenci. Wtedy z pewnością zrobią coś niemożliwego.

Z pewnością opuszczą górską fortecę i przeniosą hodowlę smoków na północ, uważnie pilnując Alexstraszy.

Plan ten był z początku tylko szaleńczym pomysłem, lecz ku zdziwieniu Krasusa przyniósł zadziwiające efekty. Ork dowodzący Grim Batol, niejaki Nekros Miażdzący Czaszki, ostatnio zaczynał coraz bardziej podejrzewać, że dni górskiej fortecy są policzone i zostało ich bardzo mało. Szalone pogłoski rozsiewane przez czarodzieja zaczęły żyć własnym życiem i rozrosły się poza jego wszelkie oczekiwania.

A teraz... a teraz orki miały dowód w osobie Rhonina. Młody czarodziej odegrał swoją rolę. Pokazał Nekrosowi, że łatwo można przeniknąć do jego, wydawałoby się, bezpiecznej fortecy. Orczy dowódca z pewnością rozkaże opuścić Grim Batol.

Tak, Rhonin dobrze odegrał swoją rolę... a Krasus wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy, iż wykorzystał człowieka w taki sposób.

Co pomyśli o nim jego ukochana królowa, kiedy dowie się prawdy? Ze wszystkich smoków to Alexstrasza najbardziej troszczyła się o młodsze rasy. Były dziećmi przyszłości, tak kiedyś powiedziała.

- Musiałem to zrobić - zasyczał.

A jednak... wizja z sadzawki nie tylko przypomniła mu o losie pionka, ale też wzbudziła ciekawość czarodzieja. Musiał wiedzieć więcej.

Pochyliwszy się nad sadzawką, Krasus przymknął oczy i skoncentrował się. Od dłuższego czasu nie kontaktował się z jednym z najbardziej użytecznych agentów. Jeśli wciąż żyje, na pewno wie, co dzieje się wewnątrz góry. Smoczy mag wyobraził sobie tego, z którym chciał rozmawiać, po czym z całą swoją mocą sięgnął myślami, żeby otworzyć połączenie między nimi.

- Usłysz mnie teraz... usłysz mój głos... musimy koniecznie porozmawiać... w końcu nadchodzi nasz dzień, cierpliwy przyjacielu, dzień wolności i wybawienia... usłysz mnie... Rom...

SZESNAŚCIE

Podnieście go - zabrzmiał zwierzęcy głos. Mocne ręce schwyły oszołomionego Rhonina za ramiona i uniosły go na nogi. Na jego twarz nagle połała się woda, przywracając mu przytomność.

- Jego ręka. Ta. - Jeden z trzymających Rhonina unióśł jego lewe ramię. Ktoś złapał jego dłoń, uchwycił mały palec...

Rhonin krzyknął, kiedy pękła kość. Gwałtownie otworzył oczy. Odkrył, że spogląda w twarz starego orka, którą wyraźnie poznały lata wojowania. Ork nie wyglądał na zadowolonego z cierpienia człowieka, raczej na zniecierpliwionego, jakby wołał być gdzie indziej, zajmując się ważniejszymi sprawami.

- Człowieku - zabrzmiało to jak przekleństwo. - Masz jedną szansę, aby przeżyć. Gdzie jest reszta twojej drużyny?

- Nie... - Rhonin zakaszał. Ból złamanego palca wciąż przeszywał całe jego ciało. - Jestem sam.

- Uważasz mnie za głupca? - chrząknął przywódca. - Uważasz Nekrosa za głupca? Ile jeszcze palców ci pozostało, co? - Pociągnął za ten obok złamanego. - Wiele kości w ciele. Wiele kości do połamania!

Rhonin myślał najszybciej, jak mu na to pozwalał ból. Już poinformował orka, że przybył sam, lecz to go najwyraźniej nie zaspokoilo. Co chciał usłyszeć Nekros? Że góra została zaatakowana przez armię? Czy to by go zadowoliło?

Oczywiście, może to utrzymać Rhonina przy życiu, dopóki nie wymyśli jakiegoś sposobu ucieczki.

Wciąż nie wiedział, co się stało, prócz tego, że mimo całej swojej ostrożności w jakiś sposób został oszukany przez Skrzydła Śmierci. Najwyraźniej smok chciał, żeby maga odnaleziono. Ale dlaczego? Miało to mniej więcej tyle sensu, jak pragnienie Nekrosa, żeby usłyszeć o obcych żołnierzach wałęsających się po jego fortecy!

Rhonin uznał, że o niejasnych planach Skrzydeł Śmierci pomyśli później. Teraz najważniejsze było własne życie.

- Nie! Nie... proszę... inni... nie jestem pewien, gdzie są... rozdzieliliśmy się...

- Rozdzieliliście się? Nie wierzę! Przybyłeś po nią, prawda? Przybyłeś po królową smoków! To twoja misja, czarodzieju! Wiem o tym! - Nekros pochylił się nad nim, a jego oddech sprawił, że Rhonin niemal ponownie stracił przytomność. - Moi szpiedzy słyszeli!

Słyszałeś, prawda, Kryllu?

- O tak, o tak, panie Nekrosie! Słyszałem wszystko!

Rhonin spróbował spojrzeć za orka, ale Nekros nie pozwolił mu zobaczyć tego, który mówił. Sam głos jednak mówił wiele o tożsamości szpiega, zwłaszcza że ten Kryli musiał być goblinem, którego wcześniej słyszał.

- Mówię do ciebie, człowieku. Przybyłeś po smoka, prawda?

- Roz...

Nekros spoliczkował go, pozostawiając stróżkę krwi spływającą z kącika ust Rhonina.

- Zaraz pójdzie następny palec! Przybyliście uwolnić smoka, zanim wasze armie dotrą do Grim Batol! Uznaliście, że chaos będzie wam służył, prawda?

Tym razem Rhonin już wiedział.

- Tak... tak myśleliśmy.

- Powiedziałeś „my”! To już drugi raz! - Triumfujący orczy przywódca przechylił się do tyłu.

Ranny mag po raz pierwszy zobaczył okaleczoną nogę Nekrosa. Nic dziwnego, że ten potężny ork dowodził hodowlą smoków, zamiast prowadzić dziki oddział na wojnę.

- Widzisz, wielki Nekrosie? Grim Batol nie jest już bezpieczne, mój wspaniały dowódco - zabrzmiał wysoki głos goblina. - Kto wie, ilu jeszcze wrogów czai się w niezliczonych tunelach? Kto wie jak długo jeszcze, zanim wojska Sojuszu wyruszą na ciebie, a prowadzić ich będzie mroczny? Szkoda, że prawie wszystkie pozostałe smoki już znalazły się pod Dun Algaz! Nie możesz bronić góry z takimi małymi siłami! Lepiej, jeśli wrogowie nie znajdą nas tutaj, niż gdybyśmy zmarnowali tyle cennego...

- Powiedz mi coś, czego nie wiem, śmieciu! - Ork grubym palcem wskazał na pierś Rhonina. - On i j ego towarzysze przybyli za późno! Nie dostaniecie smoczycy ani jej młodych, człowieku! Nekros już to wszystko przewidział!

- Nie...

Kolejny policzek. Jedyłą korzyścią z piekącego bólu obitej twarzy było to, że dzięki niemu czarodziej zapomniał o cierpieniu związanym ze złamanym palcem.

- Możesz mieć Grim Batol, człowieku, choć nie jest dużo warte! Niech cała góra spadnie wam na głowy!

- Nekrosie... musisz... musisz skończyć z tym szaleństwem!

Rhonin poderwał głowę. Znał ten głos, choć słyszał go tylko raz wcześniej.

Jego strażnicy również nań zareagowali, obracając się na tyle, że mógł zobaczyć potężną, pokrytą łuskami postać, okrutnie skrepowaną. Alexstrasza, wielka królowa smoków,

ledwo mogła się poruszyć. Jej kończyny, ogon, skrzydła i gardło były skrupowane. Owszem, mogła otworzyć potężną paszczę, ale tylko po to, żeby coś zjeść i z trudem powiedzieć.

Uwięzienie jej nie służyło. Rhonin widział wcześniej smoki, szczególnie czerwone, i łuski każdego z nich połyskiwały w specyficzny, metaliczny sposób. Te należące do Alexstraszy były matowe, wyblakłe, a w wielu miejscach się obłuzowały. Kiedy przyjrzał się jej gadziej twarzy, spostrzegł, że też nie wygląda dobrze. Oczy wyglądały na wyblakłe, nie mówiąc już o ogromnym zmęczeniu.

Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak straszliwe było jej uwięzienie. Zmuszona do rodzenia dzieci, które jej oprawcy wyszkolą do zadawania śmierci. Prawdopodobnie nigdy nie widziała jaj, które od niej zabierano. Może nawet żałowała wszystkich istot unicestwionych przez jej potomstwo...

- Nie miałaś pozwolenia, by się odezwać, gadzie - warknął Nekros. Sięgnął do sakiewki przy boku i zacisnął na czymś dłoń.

Rhonin poczuł dreszcze, kiedy obudziła się magiczna moc o zadziwiającej wielkości. Nie wiedział, co zrobił ork, ale królowa smoków krzyknęła z tak ogromnego bólu, że odczuli to wszyscy poza samym Nekrosem.

Mimo cierpienia Alexstrasza mówiła dalej.

- Tra... tracisz energię i... i czas, Nekrosie! Walczysz... o sprawę... straconą!

Z jękiem zamknęła oczy. Jej oddech, przez chwilę bardzo szybki, stał się płytki, po czym powrócił do normalności, o ile można było o tym powiedzieć w jej wypadku.

- Tylko Zuluhed mi rozkazuje, gadzie - szepnął jednonogi ork. - A on jest daleko. - Jego dłoń wysunęła się z sakiewki, j W tej samej chwili wyczuwana przez Rhonina moc zniknęła gwałtownie.

Rhonin słyszał wiele plotek na temat tego, w jaki sposób Hordzie udawało się kontrolować tak wspaniałą istotę, żadna jednak nie odpowiadała temu, co widział. Najwyraźniej w sakiewce znajdował się jakiś artefakt o ogromnej potędze. Czy Nekros naprawdę rozumiał moc, którą się posługiwał? Z czymś takim na każde żądanie mógłby sam władać Hordą!

- Musimy schwytać pozostałych. - Stary wojownik zwrócił się do strażnika stojącego przy wejściu. - Gdzie znaleźliście trupa strażnika?

- Piąty poziom, trzeci tunel. Nekros zmarszczył czoło.

- Nad nami? - Przyglądał się Rhoninowi, jakby ten był pięknym kawałkiem wołowiny. - Robota czarodzieja! Zaczniście szukać od piątego poziomu w górę, nie omińcie żadnego tunelu! Jakimś sposobem zeszli z góry! - Na jego brzydkiej twarzy pojawił się grymas. -

Może wcale nie chodzi o magię! Torgus widział gryfy! Właśnie! Reszta przybyła, kiedy Skrzydła Śmierci przegonił Torgusa!

- Skrzydła Śmierci... Skrzydła Śmierci nie służy nikomu... poza sobą samym - powiedziała nagle Alexstrasza, otwierając szeroko oczy. W jej głosie słychać było strach, czego Rhonin nie mógł jej mieć za złe. Któż nie bał się czarnego demona?

- Ale teraz współpracuje z ludźmi - nalegał jej oprawca. - Torgus go widział! - Ork wsunął dłoń do sakiewki. - Może na niego też będziemy przygotowani!

Rhonin nie mógł powstrzymać się od patrzenia na sakiewkę i jej zawartość. Oceniając po niewyraźnym kształcie, mógł to być medalion lub dysk. Jaką mógł mieć moc, że Nekros chciał go użyć nawet przeciwko opancerzonemu behemotowi?

- Chcecie smoków... - Nekros ponownie spojrzał na czarodzieja. - I smoki dostaniecie... ale ty i mroczny nie będziecie długo szczęśliwi, człowieku! - Machnął w stronę wyjścia. - Zabrać go!

- Zabić go? - zapytał jeden ze strażników z, jak się wydawało, nadzieją w głosie.

- Jeszcze nie! Później będę miał do niego więcej pytań... może! Wiesz, gdzie go umieścić! Przyjdę później, żeby upewnić się, że nie pomoże mu nawet jego magia!

Dwa potężne orki trzymające Rhonina pociągnęły go do przodu z takim entuzjazmem, że mag bał się, iż wyrwą mu ramiona ze stawów. Choć wzrok miał nieco zamglony, zauważył Nekrosa odwracającego się do innego orka.

Nekros zniknął z pola widzenia Rhonina... i pojawił się w nim ktoś inny.

Goblin, którego Nekros nazywał Kryllem, mrugnął do Rhonina, jakby obaj dzielili jakąś tajemnicę. Kiedy czarodziej otworzył usta, złośliwa istota potrząsnęła zbyt wielką głową i uśmiechnęła się. W rękę goblin ścisnął coś mocno, coś, co przyciągnęło uwagę człowieka.

Kryli odsunął na chwilę jedną dłoń, by Rhonin zobaczył, co niesie.

Medalion Skrzydeł Śmierci.

Podczas gdy strażnicy wyciągali go z komnaty dowódcy, zmęczony mag uświadomił sobie, jakim sposobem Skrzydła Śmierci zebrał tak dużo informacji o Grim Batol. Wiedział również, że Nekros, niezależnie od tego, co planował, podobnie jak Rhonin, postąpi dokładnie tak, jak tego chciał czarny smok.

* * *

Vereesa, która czuła się wśród lasów i wzgórz jak w domu, musiała przyznać, że w podziemiach nie była w stanie odróżnić jednego tunelu od drugiego. Jej wrodzone poczucie kierunku zawodziło, lub też fakt, że ciągle musiała pochylać głowę, za bardzo ją rozpraszał.

Choć trolle od czasu do czasu używały tych korytarzy, zostały one wykute przez krasnoludy w czasach, kiedy okolice Grim Batol były częścią większej górniczej wspólnoty. To znaczyło, że Rom, Gimmel a nawet Falstad nie mieli w nich żadnych kłopotów, lecz wysoka elfka przez większość czasu musiała chodzić zgięta wzdłuż. Bolały ją plecy i nogi, lecz zaciskała zęby, gdyż nie chciała pokazać po sobie słabości wśród tych twardych wojowników. Przecież to Vereesa należała, żeby w ogóle tam pójść. W końcu jednak musiała zapytać - Czy jesteśmy blisko?

- Wkrótce, już wkrótce - odrzekł Rom. Niestety, mówił to już od jakiegoś czasu.

- To wejście - zastanawiał się Falstad. - Gdzie ono w końcu jest?

- Tunel wychodzi w miejscu, które kiedyś było punktem przeładunkowym złota, które wydobywaliśmy. Może nawet zobaczysz stare tory, o ile orki nie przetopiły ich na broń.

- I w ten sposób możemy się dostać do środka?

- Ano, możecie podążać starą drogą, nawet jeśli tory zniknęły. Są tam strażnicy, więc nie będzie to łatwe. Vereesa zastanowiła się.

- Wspominałeś też o smokach. Jak wysoko?

- Nie smoki na niebie, pani Vereeso, lecz na ziemi. Tam właśnie robi się trudno, że tak powiem.

- Na ziemi? - parsknął Falstad.

- Tak, te ze zniszczonymi skrzydłami lub zbyt narowiste, żeby pozwolić im latać. Po tej stronie góry są dwa.

- Na ziemi... - szepnął krasnolud z Aerie. - To zupełnie inna bitwa...

Rom nagle zatrzymał się, wskazując w górę.

- Tutaj jest, pani Vereeso! Otwórz!

Łowczyni zmrużyła oczy, ale nawet ze swoim wyjątkowym widzeniem w ciemności nie zauważyła rzekomego otworu. Falstad najwyraźniej zauważył.

- Strasznie mały. Będzie ciasno.

- Ano, za ciasny dla orków, więc myślą, że za ciasny dla nas, ale jest w tym haczyk.

Vereesa nadal nic nie widziała, musiała więc zadowolić się podążaniem za krasnoludami. Dopiero gdy prawie dotarli do, jak się zdawało, końca tunelu, zaczęła zauważać odrobinę światła przesączającą się z góry. Zbliżywszy się, elfka ujrzała szparę szeroką na tyle, że z trudem mogłaby przecisnąć przez nią swój miecz, nie mówiąc już o ciele. Spojrzała z góry na przywódcę krasnoludów.

- Haczyk, powiadasz?

- Ano! Haczyk polega na tym, że musisz przesunąć te kamienie, umieszczone tutaj

przez nas, żeby otworzyć większy otwór, ale z zewnątrz nie można ich uchwycić. Stamtąd wygląda to na jedną skałę, a żeby to usunąć, potrzebowaliby orków wiele razy silniejszych niż normalne.

- Ale wiedzą, że jesteście w podziemiach, prawda? Rom spoważniał.

- Ano, ale skoro mają smoki, nie muszą się nas obawiać. Droga do środka jest niebezpieczna. To musi być dla was oczywiste. Męczy nas, że jesteśmy tak blisko, a jednak nie możemy pozbyć się tych przeklętych najeźdźców...

Z jakiegoś niezrozumiałego nawet dla niej samej powodu Vereesa czuła, że krasnoludzki przywódca nie powiedział jej wszystkiego. To, co mówił, mogło być do pewnego stopnia prawdziwe, lecz jego lud nie wykorzystywał tego przejścia z jakiegoś innego powodu. Czy w przeszłości wydarzyło się coś, co sprawiło, że trzymają się od niego z daleka, czy też rzeczywiście było tam tak niebezpiecznie?

Jeśli to ostatnie, czy elfka rzeczywiście chciała ryzykować?

Już się zdecydowała. Jeśli nie dla Rhonina, to po to, żeby w jakiś sposób pomóc w zakończeniu tej wojny. Vereesa wciąż jednak miała nadzieję, że jakimś sposobem odnajdzie czarodzieja żywego.

- Powinniśmy ruszać. Czy te kamienie należy usuwać według jakiegoś określonego wzoru? Rom zamrugał.

- Pani, musimy poczekać do zmroku! Wcześniej zostaniecie zauważeni, to równie pewne jak to, że stoję przed wami!

- Nie możemy czekać tak długo! - Vereesa nie miała pojęcia, ile godzin minęło od chwili, kiedy zostali pochwyteni przez trolle, ale z pewnością najwyżej kilka.

- Jeszcze tylko godzina, nie więcej, pani Vereeso. Z pewnością wasze życie jest więcej warte.

Tak krótkie czekanie? Łowczyni spojrzała na Falstada.

- Bardzo długo byłaś nieprzytomna - odpowiedział na jej nie wypowiedziane pytanie. - Przez jakiś czas myślałem, że nie żyjesz.

Elfka próbowała się uspokoić.

- Dobrze. Możemy poczekać.

- Świetnie! - Przywódca krasnoludów ze wzgórz klasnął w ręce. - Będziemy mieli czas, żeby zjeść i odpocząć!

Z początku Vereesa czuła się zbyt spięta, żeby cokolwiek przełknąć, przyjęła jednak skromny posiłek, który Gimmel przyniósł jej kilka chwil później. To, że ci biedacy dzielili z nimi swe skromne zapasy, świadczyło o głębi ich współczucia i braterstwa. Gdyby tylko

krasnoludy zapragnęły, mogłyby z łatwością zabić ją i Falstada po tym, jak zajęli się trollami. Nikt poza ich grupą niczego by się nie dowiedział.

Gimmel zatroszczył się, żeby każdy otrzymał odpowiednią część zapasów. Rom, zabrawszy swoją porcję, powoli odszedł w bok, stwierdzając, że musi sprawdzić, czy w jednym z bocznych tuneli nie ma śladów obecności trolli.

Falstad jadł z apetytem, najwyraźniej odpowiadał mu smak suszonego mięsa i owoców. Vereesa jadła z mniejszym entuzjazmem, gdyż krasnoludzkie jedzenie wśród ludzi i elfów nie służyło z doskonałego smaku. Rozumiała, że mięso musiało być wędzone, żeby łatwiej je było przechowywać, a nawet dziwiła się, że ktoś odnalazł lub uprawiał owoce w tej ponurej krainie, ale jej wrażliwe kubki smakowe protestowały. Jedzenie było jednak sycące, a łowczyni wiedziała, że będzie potrzebowała energii.

Skończywszy swój posiłek, Vereesa wstała i rozejrzała się wokół. Falstad i inne krasnoludy odpoczywali, ale niecierpliwa elfka musiała się przejść. Skrzywiła się, myśląc, że w tej chwili jej nauczyciel nazwałby ją bardzo ludzką. Większość elfów szybko wyrastała z tendencji do niecierpliwości, lecz niektórzy zachowywali tę cechę do końca życia. Ci zwykle żyli poza swą ojczyzną lub podejmowali się zadań, które zmuszały ich do podróży w imieniu ich ludu. Może, jeśli to przeżyje, wybierze którąś z tych ścieżek, może nawet odwiedzi Dalaran.

Na szczęście dla Vereesy te tunele były nieco wyższe niż te, przez które wcześniej przechodzili. Przez większość czasu elfka przechodziła przez skaliste korytarze tylko lekko pochylona, a czasem nawet wyprostowana.

Przytłumiony głos dochodzący z pewnej odległości sprawił, że się zatrzymała. Łowczyni dotarła dalej, niż zamierzała, tak daleko, że równie dobrze mogła znaleźć się na środku terytorium trolli. Bardzo ostrożnie, nie wydając żadnego dźwięku, Vereesa wyciągnęła ostrze i powoli ruszyła do przodu.

Głos nie brzmiał tak, jakby należał do trolla. Im bardziej się zbliżała, tym bardziej wydawało jej się, że zna mówcę... ale skąd?

- ...nie mogłem nic na to poradzić, o wielki! Nie sądziłem, że chciałeś o nich wiedzieć!
- Przerwa. - Ano, elfia łowczyni pięknej twarzy i ciała, to ona. - Kolejna przerwa. - Drugi? Dziki z Aerie. Mówi, że jego wierzchowiec uciekł, kiedy schwytały ich trolle.

Choć Vereesa bardzo wysilała słuch, nie mogła usłyszeć drugiej części rozmowy, ale przynajmniej wiedziała już, kto mówił. Krasnolud ze wzgórz, dobrze jej znany.

Rom. Więc stwierdzenie, że pójdzie przeszukać tunele, nie do końca było prawdą. Ale z kim rozmawiał i dlaczego elfka nie mogła go usłyszeć? Czy krasnolud oszalał? Rozmawiał

ze sobą?

Rom już nic nie mówił, tylko przyznawał, że rozumie to, co powiedział jego niesłyszalny rozmówca. Rzykując, że zostanie odkryta, Vereesa zbliżyła się do korytarza, z którego dochodził głos krasnoluda. Pochyliła się na tyle, żeby patrzeć na niego jednym okiem.

Krasnolud siedział na kamieniu i patrzył w dół na swoje stulone dłonie, z których emanował szkarłatny blask. Vereesa zmrużyła oczy, próbując zobaczyć to, co trzymał.

Z pewnym trudem zauważyła niewielki medalion z, jak się zdawało, klejnotem pośrodku. Vereesa nie musiała być czarodziejem, żeby rozpoznać przedmiot obdarzony mocą, stworzony przez magię. Wielcy władcy elfów używali podobnych urządzeń, żeby rozmawiać między sobą lub ze swoimi sługami.

Ale jaki czarodziej rozmawiał teraz z Rhoninem? Krasnoludy nie były znane ze swojej sympatii do magii ani, jeśli już o to chodzi, z sympatii do tych, którzy jej używali.

Jeśli Rom był związany z czarodziejem, któremu krasnolud najwyraźniej służył, to czemu on i jego drużyna wciąż błakali się po tunelach, z nadzieją, że któregoś dnia będą mogli chodzić pod niebem? Ten wielki mag z pewnością mógł to dla nich zrobić.

- Co? - rzucił nagle Rom. - Gdzie?

Z zaskakującą szybkością popatrzył w górę, prosto na nią.

Vereesa wycofała się, jednak wiedziała, że zareagowała za późno. Przywódca krasnoludów zauważył ją, mimo ciemności.

- Wyjdź tam, gdzie będę mógł cię zobaczyć! - zawołał. Kiedy zawahała się, Rom dodał - Wiem, że to ty, pani Vereeso.

Nie widząc powodu, dla którego miałyby się ukrywać, łowczyni wyszła na otwartą przestrzeń. Nie próbowała schować miecza do pochwy, gdyż nie była pewna, czy Rom nie jest zdrajcą swego ludu, nie mówiąc już o niej.

Odkryła, że patrzy na nią z rozczarowaniem.

- Myślałem, że odszedłem wystarczająco daleko, żeby nie usłyszały mnie te elfie uszy! Czemu musiałaś tu przyjść?

- Miałam niewinne zamiary, Romie, chciałam się tylko przespacerować. Twoje zamiary jednak są dość wątpliwe...

- To nie twoja sprawa.

Klejnot w medalionie zapłonął na chwilę, co zaskoczyło ich oboje. Rom lekko przechylił głowę, jakby ponownie słuchał poleceń. Jeśli tak było, to najwyraźniej nie podobało mu się to, co usłyszał.

- Uważasz to za rozsądne... dobrze, jak mówisz... Vereesa zacisnęła dłoń na mieczu.

- Z kim rozmawiasz?

Ku jej zdziwieniu, Rom wyciągnął do niej rękę z medalionem.

- Sam ci to powie. - Kiedy nie chciała przyjąć medalionu, dodał - Jest przyjacielem, nie wrogiem.

Wciąż trzymając miecz, elfka ostrożnie wzięła medalion wolną ręką. Oczekiwała wstrząsu lub przenikającego gorąca, lecz medalion wydawał się chłodny, nieszkodliwy.

Witaj, Vereeso Córko Wiatru.

Słowa te rozbrzmiewały echem w jej głowie. Vereesa niemal upuściła medalion, nie z powodu głosu, raczej dlatego, że mówca znał jej imię. Spojrzała na Roma, który wydawał się zachęcać ją do odpowiedzi.

Kim jesteś? - zapytała Vereesa, przesyłając swoje myśli w stronę niewidocznego rozmówcy.

Nic się nie stało. Ponownie spojrzała na krasnoluda.

- Czy coś ci powiedział?

- W mojej głowie. Odpowiedziałam tak samo, ale on nic nie odpowiedział.

- Musisz mówić do talizmanu. Usłyszysz twój głos jako myśl. W taki sam sposób mówi do ciebie. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak to działa.

Powracając spojrzeniem do medalionu, Vereesa spróbowała ponownie.

- Kim jesteś?

- Znasz mnie dzięki wiadomościom, które posyłałem do twoich przełożonych. Jestem Krasus z Kirin Tor.

Krasus? Tak brzmiało imię czarodzieja, który rozmawiał z elfami, o tym żeby to Vereesa eskortowała Rhonina do portu. Wiedziała o nim niewiele ponad to, że jej mistrzowie z szacunkiem odpowiedzieli na jego prośbę. Vereesa nie знаła wielu ludzi, którzy wywierali taki wpływ na elfich panów.

- Znam twe imię. Jesteś także patronem Rhonina. Przerwa. Przerwa spowodowana skrepowaniem, jak oceniła Vereesa.

Jestem odpowiedzialny za jego podróż.

- Wiesz, że może być więźniem orków? Wiem. Nie było to zamierzone.

Niezamierzone? Vereesa czuła, jak wypełnia ją zupełnie niezrozumiała wściekłość. Niezamierzone? Jego misją była tylko obserwacja. Nic więcej.

Elfka już dawno przestała w to wierzyć.

- Obserwacja, ale czego? Lochów Grim Batol? A może miał się spotkać z

krasnuludami ze wzgórz z jakiegoś powodu, którego nie podałeś?

Kolejna przerwa. Potem - Sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, młoda damo, i z każdą chwilą coraz bardziej się komplikuje. Na przykład twoja obecność nie była częścią planu. Powinnaś była zawrócić w porcie.

- Złożyłam przysięgę. Czułam, że rozciąga się poza brzegi Lordaeron.

Stojący obok niej Rom wyglądał na zagubionego. Pozbawiony sposobu, by rozmawiać z czarodziejem, mógł tylko zgadywać, co mówił Krasus i do czego mogły się odnosić odpowiedzi Vereesy.

Rhonin ma dużo... szczęścia, odrzekł w końcu Krasus.

- Jeśli wciąż żyje - niemal warknęła.

Ponownie czarodziej zawahał się, zanim odpowiedział. Dlaczego się tak zachowywał? Z pewnością nie obchodziło go to, co stało się z Rhoninem. Vereesa wystarczająco dużo wiedziała o czarodziejach, ludzkich i elfich, by mieć świadomość, że wykorzystywali się wzajemnie, jeśli tylko mieli okazję. Zaskakiwało ją tylko to, że Rhonin, który wydawał się jej bardzo bystry, dał się na to nabrać.

Tak... jeśli wciąż żyje... Znów wahanie... musimy zobaczyć, co da się zrobić, żeby go uwolnić.

Jego odpowiedź zupełnie ją zaskoczyła. Nie spodziewała się tego po nim.

Vereeso Córko Wiatru, wysłuchaj mnie. Popełniłem kilka błędów w ocenie... z ważnych powodów... a los Rhonina jest jednym z nich. Masz zamiar go odnaleźć, nieprawdaż?

- Tak.

Nawet w górskiej fortecy orków? Gdzie są też smoki?

- Tak.

Rhonin ma ogromne szczęście, że jesteś jego towarzyszką, a ja mam nadzieję, że też będę miał to szczęście. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc ci w tej straszliwej wyprawie, lecz całe fizyczne niebezpieczeństwo będzie oczywiście twoje.

- Oczywiście - odrzekła sucho elfka.

Oddaj, proszę, talizman Ramowi. Chciałbym z nim przez chwilę porozmawiać.

Vereesa z dużą chęcią pozbyła się narzędzia czarodzieja, oddając medalion krasnuludowi. Rom wziął go i spojrział w klejnot. Od czasu do czasu kiwał głową, choć to, co mówił Krasus, najwyraźniej mu się nie podobało. W końcu spojrział na Vereesę.

- Skoro uważasz, że to konieczne...

Zrozumiała, że te słowa były przeznaczone dla czarodzieja. Chwilę później blask

klejnotu przygaś. Rom, najwyraźniej nieszczęśliwy, podał talizman elfce.

- O co chodzi?

- Chce, żebyś nosiła go w trakcie podróży. Masz! Sam ci to powie!

Vereesa ponownie złapała przedmiot. Głos Krasusa znów zabrzmiał w jej głowie.

Rom powiedział ci, że chcę, żebyś to nosiła?

- Tak, aleja nie chcę...

Czy chcesz odnaleźć Rhonina? Czy chcesz go uratować?

- Tak, ale...

Jestem twoją jedyną nadzieją.

Łowczyni pokłóciłyby się z nim, ale tak naprawdę wiedziała, że potrzebuje jego pomocy. Sama z Falstadem nie miała zbyt wielkich szans.

- Zgoda. Co robimy?

Założ talizman na szyję i powróć z Romem do pozostałych. Poprowadzę ciebie i twojego towarzysza krasnoluda przez górę do miejsca, gdzie najprawdopodobniej znajdziesz Rhonina.

Nie zaproponował jej wszystkiego, czego potrzebowała, ale tyle, że się zgodziła. Vereesa przełożyła łańcuch przez głowę i umieściła medalion na piersi.

Będziesz słyszała mnie, kiedy tego zapragnę, Vereeso Córko Wiatru.

Rom przeszedł obok niej, już kierując się z powrotem.

- Chodź! Tracimy czas, elfia panienko.

Kiedy podążyła za nim, Krasus nadal do niej mówił. Nie zdradź nikomu, jaką moc ma ten medalion. Nie odzywaj się nawet do mnie w obecności innych, o ile ci na to nie pozwolę. Tylko Rom i Gimmel znają teraz moją rolę.

- A jaka ona jest? - nie mogła się powstrzymać przed zamruczeniem.

Próbuję zachować przyszłość dla nas wszystkich.

Elfka zastanawiała się nad tym, ale nic nie powiedziała. Wciąż nie ufała czarodziejowi, ale nie miała innego wyboru.

Być może Krasus to wiedział, gdyż dodał - Wysłuchaj mnie teraz, Vereeso Córko Wiatru. Mogę kazać ci zrobić rzeczy, które według ciebie nie będą w interesie ciebie lub tych, na których ci zależy. Zaufaj mi, że tak będzie. Przed tobą znajdują się niebezpieczeństwa, których nie rozumiesz i którym sama nie możesz stawić czoła.

A ty rozumiesz je wszystkie? - pomyślała Vereesa, wiedząc, że Krasus nie usłyszy jej pytania.

Zostało jeszcze trochę czasu przed zachodem słońca. Muszę się zająć ważną sprawą.

Nie opuszczaj tunelu, zanim ci na to nie pozwolę. Na razie żegnaj, Vereeso Córko Wiatru.

Zanim mogła się sprzeciwić, jego głos ucichł. Łowczyni zakłęła pod nosem. Przyjęła wątpliwą pomoc czarodzieja, teraz musi słuchać jego poleceń. Vereesie nie podobało się, że musiała złożyć swoje życie, nie mówiąc już o życiu Falstada, w rękach czarodzieja, który wydawał rozkazy z bezpiecznej, odległej wieży.

Co gorsza, elfka właśnie złożyła swoje życie w rękach tego samego czarodzieja, który posłał Rhonina na tę szaloną wyprawę... i najwyraźniej pozostawił go samemu sobie.

SIEDEMNAŚCIE

W trakcie wędrówki do miejsca uwięzienia Rhonin ponownie stracił przytomność. Pomogli mu w tym znacząco strażnicy, którzy wykorzystywali każdą okazję, by go uderzać lub wykręcać mu boleśnie ramiona. Tuż przed zapadnięciem w nieświadomość ból małego palca wydawał mu się niewielki w porównaniu z tym, co mu robili.

Teraz jednak czarodziej się obudził... i napotkał koszmar - ognistą czaszkę spoglądającą na niego ciemnymi oczodołami i uśmiechającą się złośliwie.

Zaskoczony czarodziej odruchowo próbował się cofnąć jak najdalej od potwornej twarzy, ale wywołało to tylko jeszcze większy ból. Rhonin odkrył, że na nadgarstkach i kostkach zaciśnięte ma kajdany. Choćby próbował z całych sił, nie mógł uciec przed demonicznym koszmarem unoszącym się tuż nad nim.

Potwór jednak nie poruszył się. Rhonin stopniowo przemógł swój strach i uważniej przyjrzał się nieruchomej istocie. O wiele wyższa i potężniejsza od niego, miała na sobie, jak mu się zdawało, zbroję z płonącej kości. Złośliwy uśmiech w rzeczywistości wynikał z tego, że demon nie miał ciała na twarzy. Otaczał go ogień, ale mag nie czuł gorąca. Podejrzewał jednak, że gdyby jedna z tych płonących szkieletowych dłoni dotknęła go, byłoby to bardzo, ale to bardzo bolesne.

Nie mając lepszego pomysłu, Rhonin spróbował odezwać się do istoty.

- Czym... kim jesteś?

Brak odpowiedzi. Makabryczna istota pozostała bez ruchu, tylko migotały płomienie.

- Czy mnie słyszysz?

Znowu nic.

Rhonin był mniej przerażony, a bardziej zainteresowany, dlatego też pochylił się do przodu, najdalej jak mu na to pozwalały łańcuchy. Wciąż podejrzliwy, poruszył jedną nogą do przodu i do tyłu. Wciąż nie uzyskał odpowiedzi, głowa nawet nie przechyliła się w stronę poruszającej się kończyny.

Choć istota wyglądała przerażająco, wydawała się być bardziej rzeźbą niż żywą istotą. Wygląd miała demoniczny, ale nie mogła być demonem. Rhonin czytał o golemach, lecz żadnego nie widział, a już szczególnie takiego, który ciągle płonął. Nie wiedział jednak, co innego mogłoby to być.

Czarodziej zmarszczył brwi, zastanawiając się nad możliwościami golema. Właściwie mógł się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób - a w końcu chciał się stąd wyrwać.

Próbując zignorować ból, Rhonin zaczął bardzo delikatnie poruszać pozostałymi palcami w geście zaklęcia, dzięki któremu mógłby się pozbyć potwornego strażnika.

Z zadziwiającą szybkością płonący golem wyciągnął rękę i uchwycił ranną dłoń czarodzieja. Jego uchwyt zupełnie ją otoczył.

Przenikający ogień pochłoniął człowieka, był to jednak ogień wewnętrzny, płonący w jego duszy. Rhonin krzyczał i krzyczał tak długo, aż nie był w stanie krzyczeć dalej.

Ledwo przytomny, z głową przechyloną na bok, modlił się, żeby wewnętrzny ogień skończył się albo pochłoniął go w całości.

Golem odsunął swoją rękę.

Wewnętrzny płomień przygasł. Rhonin z trudem łapał oddech. Udało mu się unieść głowę, żeby spojrzeć na przerażającego strażnika. Groteskowa namiastka twarzy golema patrzyła na niego, zupełnie obojętna na cierpienie, które stwór właśnie zadał swojej ofierze.

- Niech... niech cię piekło pochłonie... Zza pleców golema doszedł czarodzieja znajomy chichot, który sprawił, że włosy stanęły mu dęba.

- Niegrzeczny, niegrzeczny! - zabrzmiał wysoki głos. - Nie baw się z ogniem, bo się poparzysz! Nie baw się z ogniem, bo się poparzysz!

Rhonin przechylił głowę na bok, z początku ostrożnie, kiedy jednak potworny towarzysz nie zareagował, bardziej. Przy wejściu stał żyłasty goblin, którego Nekros nazywał Kryllem, ten sam, który pracował też dla Skrzydeł Śmierci.

Nawet teraz Kryli nosił medalion z czarnym kryształem. Czarodziej dziwił się arogancji goblina. Nekros z pewnością będzie się dziwił, dlaczego jego poddany wciąż trzyma talizman Rhonina. Kryli zauważył jego spojrzenie.

- Pan Nekros nie zauważył, że go miałeś, człowieku... a my, gobliny, zawsze zbieramy błyskotki! Na pewno nie chodziło tylko o to.

- Jest też zbyt zajęty, by to zauważyć, prawda?

- Sprytnie, człowieku, sprytnie! A nawet gdybyś mu to powiedział, i tak by ci nie uwierzył! Biedny, biedny pan Nekros ma za dużo na głowie! Przewożenie smoków i jaj to ciężka praca, wiesz!

Golem nie zareagował na obecność Krylla, co wcale nie zaskoczyło Rhonina. Dopóki goblin nie próbował uwolnić więźnia, pozostawi Krylla w spokoju.

- A więc służysz Skrzydłom Śmierci... Istota skrzywiła się na chwilę.

- Jego polecenia wykonywałem... tak. Bardzo, bardzo długo...

- Dlaczego tutaj przyszedłeś? Wypełniłem polecenia twojego pana, prawda? Odegrałem dobrze jego błazna, prawda?

Z jakiegoś powodu to poprawiło nastrój Kryllowi. Uśmiechając się szerzej niż zwykle, odrzekł - Nie mogło być większego błazna, człowieka, gdyż zagrałeś go nie tylko dla mrocznego pana. Zagrałeś go także dla mnie.

Rhonin nie mógł w to uwierzyć.

- Jak to zrobiłem? W jaki sposób ci służyłem?

- W taki, w jaki służyłeś mojemu panu, który myśli, że goblin jest tak niską istotą, że będzie służył każdemu panu bez własnego powodu! - W tonie goblina pojawiła się nuta goryczy. - Ale za długo służyłem, za długo.

Rhonin zmarszczył czoło. Czy szalona istotka mogła mieć na myśli to, co czarodziej sądził, że miała na myśli?

- Chcesz zdradzić nawet smoka? Jak? Groteskowy goblin niemal podskoczył z radości.

- Biedny, biedny pan Nekros jest w takim stanie! Smoki trzeba przenieść, jaja trzeba przenieść, pokierować śmierdzącymi orkami! Mało czasu na zastanowienie, czy przypadkiem tego właśnie nie pragną inni! Mógłby się zastanowić, ale teraz, kiedy Sojusz z pewnością atakuje od zachodu, nie ma czasu! Musi działać! Musi być orkiem, wiesz!

- To nie ma sensu...

- Głupiec! - Śmiech. - Przyniosłeś mi to! - Uniósł medalion, po czym udał, że się krzywi. - Zniszczony w czasie upadku - tak myśli lord Skrzydła Śmierci!

Więzień patrzył, jak Kryli wyjmuje kamień ze środka medalionu. Kilka chwil roboty i klejnot wyśladował w dłoni zylastego goblina. Uniósł go tak, żeby Rhonin mógł go zobaczyć.

- A z nim... koniec ze Skrzydłami Śmierci... Rhonin z trudem mógł mu uwierzyć.

- Koniec ze Skrzydłami Śmierci? Masz nadzieję, że ten kamień spowoduje jego upadek?

- Albo zmusi go do służenia Kryllowi! O tak, może będzie mi służył. - W głosie Krylla brzmiała czysta nienawiść. - Już nie będę się płaszczyl przed gadem! Już nie będę służącym! Planowałem to od dawna, czekałem i czekałem, i patrzyłem, kiedy będzie najbardziej wrażliwy, tak!

Uwięziony czarodziej, wbrew sobie zafascynowany, wyrzucił z siebie - Ale jak?

Kryli cofnął się do wyjścia.

- Nekros zapewni sposób, choć jeszcze o tym nie wie... a to? - Podrzucił kamień w powietrze i ponownie go pochwycił. - To część mrocznego pana, człowieku! Łuska zmieniona w kamień przez jego magię! Tak musi być, żeby medalion zadziałał! Wiesz, co to znaczy, mieć część smoka?

Myśli Rhonina pędziły. Co kiedyś słyszał?

- „Nosić część największych smoków, znaczy mieć kontrolę nad ich mocą. Ale nikt tego jeszcze nie zrobił. Sam potrzebujesz potężnej magii, żeby to zadziałało!” Gdzie...

Golem zareagował na jego nagłe podniecenie. Szczęka otworzyła się, a szkieletowa dłoń zaczęła sięgać w stronę Rhonina. Czarodziej natychmiast zastygł, nawet nie oddychał.

Ognista postać zatrzymała się, ale nie wycofała. Rhonin nadal powstrzymywał oddech, modląc się, żeby potwór się wycofał.

Kryli śmiał się z jego udręki.

- Ale ty jesteś teraz zajęty, człowieku! Tak mi przykro, że się narzucałem! Chciałem powiedzieć komuś o mojej chwale, komuś, kto wkrótce będzie martwy. - Goblin odszedł w podskokach. - Muszę lecieć! Nekros będzie potrzebował mojej pomocy, tak, będzie!

Rhonin nie mógł dłużej wstrzymać oddechu. Wypuścił powietrze z nadzieją, że przerwa była wystarczająco długa.

Błąd.

Golem dotknął go, i wszystkie myśli o zdradzieckim, małym Kryllu zniknęły z jego umysłu, kiedy ponownie zaczął go spalać wewnętrzny ogień.

* * *

Ciemność nadeszła zbyt wolno, a jednocześnie w jakiś sposób zbyt szybko dla Vereesy. Jak rozkazał Krasus, nie powiedziała nikomu o przeznaczeniu medalionu, a na prośbę Roma nawet schowała go jak najgłębiej pod ubraniem. Jej płaszcz podróżny, już dość podniszczony, zakrył go w większości, choć każdy, kto bliżej by się jej przyjrzał, zauważyłby przynajmniej łańcuch.

Wkrótce po powrocie do drużyny Rom wziął na bok Gimmela i rozmówił się z nim. Elfka zauważyła, że obaj przez chwilę spoglądali na nią. Rom najwyraźniej chciał, żeby jego zastępca dowiedział się o decyzji Krasusa. Oceniając po niezadowolonej minie drugiego krasnoluda, Gimmelowi nie podobało się to bardziej niż wodzowi.

W chwili kiedy przenikające przez otwór światło zniknęło, krasnoludy zaczęły metodycznie usuwać kamienie. Vereesa nie widziała żadnego powodu, dla którego jeden czy drugi kamień miał być usunięty przed innym, lecz ludzie Roma byli niewzruszeni. Elfka w końcu poddała się, próbując nie myśleć o całym zmarnowanym czasie.

Kiedy ostatni z kamieni został usunięty, w głowie Vereesy zabrzmiał głos czarodzieja, z początku dziwnie zmęczony.

Droga na zewnątrz... czy jest już otwarta, Vereeso Córko Wiatru?

Musiała odwrócić się i udać, że kaszle, by powiedzieć -Właśnie skończyli.

W takim razie możecie ruszać. Gdy wyjdiesz na zewnątrz, wyjmij talizman z miejsca, gdzie go ukryłaś. To pozwoli mi wszystko obserwować. Nie odezwę się, dopóki ty i krasnolud z Aerie nie wyjdziecie z tuneli.

Gdy się odwróciła, podszedł do niej Falstad.

- Jesteś gotowa, moja elfia pani? Krasnoludy ze wzgórz chyba chcą się nas jak najszybciej pozbyć.

W rzeczy samej, nawet w słabym świetle widzieli, że Rom niecierpliwymi gestami zachęca ich do wyjścia. Vereesa i Falstad przeszli szybko obok niego i wydostali się przez poszerzoną dziurę. Stopa Vereesy raz się obsunęła, ale łowczyni udało się utrzymać. Wzywał ją wiatr nad głową. Nie lubiła podziemi i miała nadzieję, że nie powróci do nich szybko.

Falstad, który pierwszy dotarł na górę, wyciągnął mocną rękę, by jej pomóc. Bez trudu uniósł ją wysoko, po czym postawił obok siebie.

Gdy tylko oboje wyszli, krasnoludy zaczęły zamykać otwór. Dziura zmniejszała się gwałtownie, podczas gdy Vereesa rozglądała się dookoła.

- I co teraz robimy? - zapytał ją Falstad. - Wspinamy się na to?

Wskazał na podstawę góry. Nawet w ciemnościach nocy widzieli, że pierwsze kilkaset stóp w górę było gładką skałą. Elfka wpatrywała się uważnie, lecz nie była w stanie zauważyć żadnego otworu, co ją zdziwiło. Słuchając wyjaśnień Roma, uwierzyła, że zobaczą go od razu po wyjściu.

Odwróciła się, żeby go zawołać, ale spostrzegła, że po szczelinie, przez którą przeszli, nie pozostał już właściwie ślad. Vereesa uklękła i przyłożyła ucho do niewielkiej szpary. Nic nie słyszała.

- Zapomnij o nich, moja elfia damo. Powrócili do kryjówek. - W głosie Falstada słyszała odrobinę pogardy dla kuzynów ze wzgórz.

Kiwając głową, elfka w końcu przypomniała sobie polecenia Krasusa. Odsuwając na bok płaszcz, wyjęła medalion z ukrycia i umieściła go na piersi. Vereesa założyła, że czarodziej będzie w stanie widzieć w ciemności, gdyż inaczej nie byłby w stanie im pomóc.

- Co to?

- Pomoc... mam nadzieję. - Krasus ostrzegwał ją, żeby nie mówiła nikomu, ale chyba nie oczekiwał, że będzie oszukiwać Falstada. Krasnolud mógłby uznać, że zwariowała, gdyby zaczęła mówić do siebie.

Wszystko jest całkiem widoczne, ogłosił czarodziej, na co elfka drgnęła. Dziękuję.

- Co się stało? Dlaczego podskoczyłaś?

- Falstadzie, wiesz, że Kirin Tor wysłało Rhonina z misją?

- Ano, i to nie tą głupią, o której nam mówił. Dlaczego pytasz?

- Ten medalion pochodzi od czarodzieja, który go wybrał, który wysłał go z prawdziwą misją, a jej częścią było, jak sądzę, wejście do wnętrza góry.

- Z jakiego powodu? - Wcale nie wydawał się zdziwiony.

- Dotychczas mi tego nie wyjaśniono. Jeśli chodzi o medalion, pozwala on jednemu z tych czarodziejów, Krasusowi, rozmawiać ze mną.

- Ale ja nic nie słyszę!

- Tak to niestety działa.

- Typowe czary - stwierdził krasnolud takim samym tonem, jakim mówił o wadach swoich kuzynów ze wzgórz.

Lepiej ruszajcie, zasugerował Krasus. Czas, jak mawiają, jest najważniejszą rzeczą.

- Czy coś ci się właśnie stało? Znow podskoczyłaś.

- Jak już mówiłam, nie możesz go słyszeć, ale ja mogę. Chce, żebyśmy ruszali. Mówi, że może nas prowadzić.

- Może widzieć?

- Przez kryształ.

Krasnolud podszedł do medalionu i wskazał palcem na kryształ.

- Przysięgam na Aerie, że jeśli nas oszukasz, mój duch będzie cię nawiedzał, czarodzieju! Przysięgam!

Powiedz krasnoludowi, że mamy podobne cele.

Vereesa powtórzyła to Falstadowi, który przyjął jej słowa niechętnie. Elfka także miała wątpliwości, których jednak nie ujawniała. Krasus powiedział, że ich cele są podobne. Nie znaczy to, że takie same.

Mimo tych myśli wypełniła pierwsze polecenia Krasusa co do słowa, zakładając, że przynajmniej dostaną się dzięki niemu do środka. Jego wskazówki z początku wydawały się dziwne, gdyż zmuszały dwójkę do obchodzenia góry, co było bardzo czasochłonne. Wkrótce jednak czarodziej doprowadził ich do łatwiejszej ścieżki, którą po chwili dotarli do niewielkiej jaskini. Vereesa założyła, że musi to być wejście. Gdyby tak nie było, na pewno ich wątpliwy przewodnik by im to powiedział.

To stara krasnoludzka kopalnia, stwierdził Krasus. Orki myślą, że chodnik prowadzi donikąd.

Vereesa przyglądała mu się uważnie.

- Czemu Rom i jego ludzie nie wykorzystali go, skoro wiedzieli, że prowadzi do

środka?

Ponieważ cierpliwie czekali.

Chciała zapytać, na co czekali, lecz nagle Falstad chwycił ją za ramię.

- Słuchaj! - szepnął jeździec gryfów. - Coś się zbliża!

W ostatniej chwili ukryli się za stertą głazów. Przeróżający kształt zbliżył się zdecydowanym krokiem do jaskini, sycząc przy tym. Vereesa zauważyła rozglądającą się smoczą głowę. Czerwone oczy słabo świeciły w ciemnościach.

- Jest jeszcze ważniejszy powód, dla którego nie używali wcześniej tego tunelu - szepnął Falstad. - Wiedziałem, że było to zbyt piękne, żeby było prawdziwe!

Głowa smoka wyprostowała się. Bestia zwróciła się w ich stronę.

Musicie być cicho. Smoki mają bardzo ostry słuch.

Elfka nie miała zamiaru przekazywać tej informacji, gdyż oboje dobrze o tym wiedzieli. Schwyciwszy mocno miecz patrzyła, jak behemot robi dwa kroki w stronę miejsca, gdzie się ukrywali. Nie był tak ogromny jak Skrzydła Śmierci, ale bez trudu mógł wysłać ją i Falstada na tamten świat.

Smok nagle rozłożył skrzydła. Dzięki swej umiejętności widzenia w ciemności elfica zauważyła, że były one zniekształcone. Nic dziwnego, że ten smok służył orkom jako pies podwórzowy.

A gdzie był jego opiekun? Orki nigdy nie pozostawiały smoka samego, nawet jeśli nie mógł on latać.

Wyszczekana komenda szybko odpowiedziała na to pytanie. Daleko za bestią pojawiła się płonąca pochodnia, a stopniowo ukazał się cały potężny ork. W drugim ręku niósł miecz prawie tak długi jak Vereesa. Strażnik ryknął coś do smoka, który wściekle zasyczał. Ork powtórzył rozkaz.

Powoli bestia zaczęła się odwracać od miejsca, gdzie się kryli. Vereesa wstrzymała oddech z nadzieją, że wojownik i jego ogar odejdą.

W tej samej chwili klejnot w medalionie nagle zapłonął tak jasno, że oświetlił cały teren wokół głazów.

- Zakryj go! - szepnął Falstad.

Łowczyni próbowała, ale było już za późno. Smok się obrócił, a do tego zareagował też ork. Trzymając przed sobą pochodnię i ostrze, powędrował w stronę ich kryjówek. Za nim podążał szkarłatny lewiatan, gotów do ataku na jego rozkaz.

Zdejmij medalion z szyi, rozkazał Krasus. Przygotuj się, by rzucić go w stronę smoka.

- Ale...

Zrób to.

Vereesa szybko zdjęła medalion i przygotowała się do rzutu. Falstad spojrział na swoją towarzyszkę, ale nic nie powiedział.

Ork zbliżył się. Sam był sporym wyzwaniem, ale ze smokiem u boku nie pozostawiał łowczyń i krasnoludowi zbyt wiele nadziei na przeżycie.

Każ krasnoludowi wyjść, pokazać się.

- Chce, żebyś wyszedł, Falstadzie - szepnęła, niepewna, dlaczego w ogóle przekazuje krasnoludowi coś tak głupiego.

- Wolałby, żebym wszedł prosto do paszczy smoka, czy też położył się przed bestią i pozwolił jej spokojnie mnie pogryźć?

Nie mamy czasu.

Ponownie powtórzyła słowa czarodzieja. Falstad zamrugał, odetchnął głęboko i pokiwał głową. Przygotowawszy młot burzy, przeszedł za Vereesą i opuścił bezpieczne schronienie za głazami.

Smok ryknął. Ork chrząknął, pysk rozszerzył mu się w uśmiechu.

- Krasnolud! - warknął. - Dobrze! Już się tu nudziłem! Będziesz niezłą rozrywką, zanim nakarmię tobą tego tutaj Zarasza! Ostatnio był trochę głodny!

- To ty będziesz dobrą rozrywką, świńska mordo! Robiło mi się trochę zimno! Zmiażdżenie twojej grubej czaszki ogrzeje mi kości!

Ork i jego bestia postąpili do przodu.

Rzuć talizman w stronę smoka. Upewnij się, że wyląduje w okolicy jego paszczy.

Rozkaz wydawał jej się tak absurdalny, że z początku Vereesa wątpiła, czy usłyszała go poprawnie. Potem pomyślała, że może Krasus będzie w stanie rzucić przez medalion zaklęcie, które przynajmniej unieruchomi dziką bestię.

Rzucaj, zanim twój przyjaciel straci życie.

Falstad! Łowczyńi wyskoczyła zza głazów, zaskakując obu strażników. Spojrzała w stronę orka, po czym wycelowała dokładnie i rzuciła medalion w stronę paszczy smoka.

Smok wystrzelił do przodu i równie gładko schwycił zębami talizman.

Vereesa zaklęła. Krasus z pewnością tego nie oczekiwał.

Wówczas jednak zdarzyła się dziwna rzecz, która sprawiła, że cała trójka wojowników zatrzymała się na chwilę. Lewiatan nie połknął medalionu ani nie odrzucił go na bok, lecz stanął bez ruchu, przechyliwszy głowę. Jego pysk wypełniła czerwona aura, która jednak nie wydawała się szkodzić smokowi.

Ku zdziwieniu wszystkich, behemot usiadł.

Niezbyt z tego zadowolony ork wykrzyknął rozkaz. Smok jednak zdawał się go nie słyszeć, wyglądał tak, jakby wsłuchiwał się w jakiś odległy głos.

- Twój pies znalazł sobie zabawkę, orku! - wyśmiewał się Falstad. - Wygląda na to, że przynajmniej raz będziesz musiał sam walczyć!

W odpowiedzi wojownik pchnął pochodnią, niemal podpalając brodę krasnoluda. Przeklinając głośno, Falstad zabrał się za robotę swoim młotem burzy, prawie miażdżąc wyciągniętą rękę orka. To z kolei pozwoliło strażnikowi na pchnięcie mieczem.

Vereesa nie mogła się zdecydować. Chciała pomóc Falstadowi, jednak bała się, że w każdej chwili smok może nagle wyjść z transu i wspomóc swojego opiekuna. Gdyby to się zdarzyło, ktoś musiał być gotów, by stawić czoła bestii.

Krasnolud i jego przeciwnik wymieniali ciosy, miecz i pochodnia równo odpowiadały młotowi burzy. Ork próbował zmusić Falstada do wycofania się, niewątpliwie mając nadzieję, że jego przeciwnik wywróci się na nierównym gruncie.

Elfka rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na smoka. Wciąż miał przechyloną głowę. Oczy były otwarte, ale wydawały się wpatrywać w coś bardzo odległego.

Zbierając się w sobie, Vereesa odwróciła się od lewiatana i ruszyła na pomoc Falstadowi. Jeśli smok ich zaatakuje, niech tak będzie. Nie chciała ryzykować, że jej towarzysz zginie.

Ork wyczuł, że się zbliża, gdyż kiedy pchnęła mieczem w jego stronę, zamachnął się pochodnią. Vereesa odetchnęła ciężko, gdy płomień o cale minęły jej twarz. i Jej przybycie zmusiło strażnika do walki na dwa fronty i dlatego próba spalania jej sprawiła, że się odsonił. Falstad nie potrzebował zachęty, żeby to wykorzystać. Młot opadł.

Gardłowy krzyk orka niemal zagłuszył odgłos pękającej kości. Miecz wypadł z drżącej ręki wojownika. Młot zmiażdżył ramię w łokciu, przez co stało się bezużyteczne.

Napędzany bólem i wściekłością, okaleczony strażnik wepchnął pochodnię w pierś krasnoluda. Krasnolud cofnął się o krok do przodu, próbując ugasić płomyki na brodzie i torsie. Jego przeciwnik próbował zaatakować, ale przeszkodziła mu elfka.

- Mały elfik! - prychnął. - Ciebie też spalę!

Zasięg jego długiego ramienia wraz z pochodnią znacznie przewyższał jej. Vereesa dwa razy robiła uniki, kiedy ją atakował. Musiała to zakończyć szybko, zanim uda mu się wykorzystać chwilę, gdy ona się zdekcentruje.

Gdy po raz kolejny zamachnął się na nią, zaatakowała nie jego, lecz pochodnię. Oznaczało to, że musiała pozwolić płomieniom zbliżyć się do niej na niebezpiecznie małą odległość. Zwierzęcą twarz orka wypełniło oczekiwanie.

Czubek jej miecza wbił się w drewno, wrywając pochodnię z palców zaskoczonego strażnika. Vereesa nie spodziewała się tak wielkiego sukcesu. Natychmiast rzuciła się do przodu, wraz z mieczem popychając pochodnię.

Płomienie buchnęły orkowi prosto w twarz. Wojownik ryknął z bólu, odpychając pochodnię, ale zniszczenia już się dokonały. Oczy, nos i prawie cała górna część twarzy strażnika zostały poparzone. Nic nie widział.

Elfka czuła się winna, jednak musiała go uciszyć. Dlatego przebiła ślepego orka mieczem, przerywając jego okrzyki bólu.

- Na Aerie! - stwierdził Falstad. - Myślałem, że już się nie ugaszę!

Elfce, która wciąż próbowała złapać oddech, udało się wykrztusić - Czy... wszystko... w porządku?

- Smutno mi, że straciłem zapuszczaną przez tyle lat brodę, ale przeżyję to! Co się stało temu przerośniętemu psu?

Smok opadł na cztery łapy, jakby przygotowywał się do snu. Wciąż miał w pysku medalion, lecz kiedy mu się przyglądali, upuścił go łagodnie na ziemię, po czym spojrzał na nich, jakby oczekiwał, że któreś z nich go podniesie.

- Czy on chce, żebyśmy zrobili to, co myślę, że chce, żebyśmy zrobili, moja elfia damo?

- Obawiam się, że tak, i wiem nawet, kto mu to zasugerował. - Ruszyła w stronę pełnego oczekiwania behemota.

- Nie masz zamiaru go podnieść, prawda?

- Nie mam innego wyboru.

Gdy łowczyni zbliżyła się, smok popatrzył na nią z góry. Mówiono, że smoki dobrze widzą w ciemności i mają jeszcze lepszy węch. Będąc tak blisko, Vereesa z pewnością nie mogła uciec.

Używając skraju swojego płaszcza, ostrożnie podniosła talizman. Trzymany tak długo przez smoka w pysku, dosłownie ociekał śliną. Z pewnym obrzydzeniem wytarła go najlepiej, jak potrafiła o ziemię.

Klejnot nagle zapłonął.

Droga wolna, zabrzmiał monotony głos Krasusa. Lepiej pospieszcie się, zanim przyjdą inni.

- Co zrobiłeś temu potworowi? - szepnęła.

Porozmawiałem z nim. Już rozumie. Pospieszcie się.

Smok zrozumiał? Vereesa chciała zapytać o więcej, ale wiedziała, że nie otrzyma

zadowalającej odpowiedzi. W jakiś sposób jednak udało mu się dokonać niemożliwego i za to musiała mu być wdzięczna. Założyła łańcuch na szyję. Do Falstada powiedziała po prostu - Mamy ruszać.

Wciąż potrząsając głową na widok smoka, krasnolud podążył za nią.

Krasus dotrzymał słowa. Pokazywał im drogę przez porzuconą kopalnię, a w końcu poprowadził ich w dół tunelem, o którym Vereesa nie powiedziała by nigdy, że może prowadzić do górskiej fortecy. Zmusił parę do przeciskania się przez wąski boczny korytarz, aż w końcu dotarli na górny poziom obszernej podziemnej jaskini.

Jaskini wypełnionej zabieranymi orkami.

Z półki, gdzie się kulili, widzieli straszliwych wojowników pakujących materiał i wypełniających wozy. Z boku jeździec trenował młodego smoka, a drugi jeździec najwyraźniej przygotowywał się do szybkiego wyjazdu.

- Wygląda na to, że przygotowują się do ucieczki!

Jej również tak się wydawało. Przechyliła się, żeby przyjrzeć się uważniej.

Zadziałało...

Krasus odezwał się, jednak z tonu jego głosu Vereesa wywnioskowała, że te słowa były przeznaczone tylko dla niego samego. Prawdopodobnie nawet nie wiedział, że powiedział coś na głos. Czy w jakiś sposób zaplanował, żeby orki opuściły Grim Batol? Mimo iż zadziwił ją sposób, w jaki czarodziej potraktował smoka, elfka wątpiła, żeby miał takie wpływy.

Smok przygotowywany do wylotu nagle ruszył w stronę głównego wyjścia z jaskini. Jego jeździec skończył się przypinać i przygotował się do lotu. Inaczej niż w wypadku walki, ten smok był załadowany zapasami.

Pochyliła się do tyłu, zastanawiając się. Choć w wielu aspektach opuszczenie Grim Batol przez orki oznaczało duże korzyści dla Sojuszu, pozostawiało też zbyt wiele pytań i trochę kłopotów. Jaki użytek miałyby orki z Rhonina, skoro zamierzały odejść? Z pewnością nie zabierałyby wrogiego czarodzieja.

Czy rzeczywiście mieli zamiar przenieść wszystkie smoki?

Czekała, aż Krasus podyktuje jej kolejne kroki, jednak czarodziej pozostawał dziwnie milczący. Vereesa rozejrzała się wokół, próbując zorientować się, która droga najszybciej doprowadzi ich do miejsca, gdzie przetrzymywano Rhonina... zakładając, że czarodziej jeszcze nie został zabity. Falstad położył jej dłoń na ramieniu.

- Tam w dole! Widzisz go?

Podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła goblina. Biegł wzdłuż innej półki, do

otworu daleko na lewo od nich.

- To Kryli. Nikt inny! Elfka też była tego pewna.

- Mam wrażenie, że dobrze się tu orientuje!

- Ano! Dlatego doprowadził nas do sojuszników orków, trolli!

Ale dlaczego goblin nie doprowadził do ich schwytania przez orki? Dlaczego zamiast tego oddał ich krwiożerczym trollom? Z pewnością orki z chęcią przesłuchałyby ich dwoje.

Koniec zastanawiania się. Miała pomysł.

- Krasus! Czy możesz pokazać nam, gdzie wybiera się ten goblin?

Żaden głos nie zabrzmiał w jej głowie.

- Krasus?

- Co się stało?

- Czarodziej nie odpowiada.

- Więc jesteśmy sami? - prychnął Falstad.

- Na razie tak. - Wyprostowała się. - Tamta półka. Myślę, że zaprowadzi nas tam, gdzie chcemy. Orki prawdopodobnie chciały, żeby te tunele były spójne.

- Więc idziemy bez czarodzieja. Dobrze. Bardziej mi się to podoba.

Vereesa ponuro pokiwała głową.

- Tak, idziemy bez czarodzieja, ale nie bez naszego małego przyjaciela Krylla.

OSIEMNAŚCIE

Zbyt wolni. Byli stanowczo zbyt wolni. Nekros wściekle wrzasnął na peona, zmuszając bezwartościowego orka z niższej kasty do szybszej pracy. Ten skulił się, po czym odbiegł ze swoim ładunkiem.

Orki z niższej kasty nadawały się tylko do pracy fizycznej, a teraz Nekros odkrył, że nawet w tym nie były zbyt dobre. W takiej sytuacji musiał zmusić wojowników do pracy razem z peonami, żeby wszystko było gotowe przed świtem. Nekros zastanawiał się, czy nie opuścić twierdzy w środku nocy, ale nie było to już możliwe, a nie chciał czekać jeszcze jednego dnia. Każdy dzień bez wątpienia przybliżał inwazję, choć jego zwiadowcy, najwyraźniej ślepi na prawdę, twierdzili, że nie widzieli żadnych śladów sił uderzeniowych, a tym bardziej armii. Nieważne, że już zauważono wojowników Sojuszu na gryfach, czarodziej dostał się do wnętrza góry, a najpotężniejszy ze smoków służył teraz wrogowi. To, że zwiadowcy niczego nie widzieli, nie znaczyło jeszcze, że ludzie i ich sojusznicy nie zbliżali się do Grim Batol.

Próbując zmusić robotników do zrozumienia, że sprawa jest bardzo ważna, kaleki ork z początku nie zobaczył zbliżającego się głównego opiekuna smoków. Nekros obrócił się dopiero wtedy, gdy usłyszał niepewne chrząknięcie.

- Mów, Brogasie! Czemu kulisz się jak jeden z tych śmieci?

Nieco przysadzisty młodszy ork skrzywił się. Jego kły zakręcały na końcach w dół, co nadawało jego twarzy jeszcze bardziej surowy wygląd.

- Samiec, Nekrosie. Myślę, że on wkrótce umrze! Kolejne złe wieści i to właściwie najgorsze z możliwych.

- Obejrzyjmy to.

Podążyli jak najszybciej, Brogas ostrożnie przyjął tempo, które nie podkreślało kalectwa jego przełożonego. Nekros jednak miał ważniejsze sprawy na głowie. Aby kontynuować program hodowlany, potrzebował samca i samicy. Bez jednego albo drugiego nie miał nic... a to nie spodobałoby się Zuluhedowi.

W końcu dotarli do jaskini, w której znajdował się najstarszy i jedyny wciąż żyjący małżonek Alexstraszy. Tyranastrasz bez wątpienia wywoływał ogromne wrażenie w porównaniu z innymi smokami. Nekros słyszał, że kiedyś stary szkarłatny samiec dorównywał wielkością i mocą Skrzydłom Śmierci, choć może była to tylko legenda. Niezależnie od tego małżonek wciąż wypełniał sobą całą potężną jaskinię. Był tak ogromny,

że orczy przywódca z początku nie mógł uwierzyć w jego chorobę.

W chwili jednak, kiedy usłyszał nierówny oddech smoka, znał prawdę. Tyran, jak go nazywali, w ciągu ostatniego roku przeżył kilka ataków. Ork sądził kiedyś, że smoki były nieśmiertelne i ginęły tylko zabite w walce. Później odkrył, że miały inne ograniczenia, jak na przykład podatność na choroby. Coś wewnątrz tego szacownego behemota powodowało powolną lecz śmiertelną chorobę Tyrana.

- Od jak dawna bestia jest w takim stanie? Brogas przełknął ślinę.

- Od ostatniej nocy, z przerwami, ale kilka godzin temu wyglądał lepiej!

Nekros rzucił się na swojego podwładnego.

- Głupiec! Powinieneś zawiadomić mnie wcześniej!

Prawie uderzył drugiego orka, po czym doszedł do wniosku, że nawet gdyby wiedział wcześniej i tak by to nic nie zmieniło. Od jakiegoś czasu podejrzewał, że straci tego smoka, ale nie chciał się do tego przyznać.

- Co zrobimy, Nekrosie? Zuluhed będzie wściekły! Zatknie nasze czaszki na palach!

Nekros skrzywił się. On także to sobie wyobraził i, oczywiście, zupełnie mu się to nie spodobało.

- Nie mamy wyboru! Przygotuj go do przewiezienia! Pojedzie, żywy czy martwy! Niech Zuluhed robi, co chce!

- Ale Nekrosie...

Teraz ork rzeczywiście uderzył swojego podwładnego.

- Głupcze! Słuchaj rozkazów!

Pokonany, Brogas pokiwał głową i odbiegł, z pewnością aby pobić niższych rangą dozorców, którzy wypełniali rozkazy Nekrosa. Tak, Tyran pojedzie z pozostałymi, niezależnie od tego czy będzie jeszcze oddychał. W najgorszym wypadku posłuży do odwrócenia uwagi.

Postąpiwszy krok do przodu, Nekros uważnie przyjrzał się wielkiemu samcowi. Poplamione łuski, nierówny oddech, brak ruchu... nie, małżonkowi Alexstraszy nie pozostało dużo życia...

- Nekrosie! - zagrzmiął nagle głos królowej smoków. - Nekrosie, czuję, że jesteś blisko...

Potężny ork podążył do komnaty samicy, wykorzystując to jako pretekst, żeby nie myśleć o tym, co śmierć Tyrana może oznaczać dla niego. Ze zwykłą ostrożnością położył dłoń na ukrytej w sakiewce przy boku Duszy Demona.

Alexstrasza przez zmrużone powieki obserwowała, jak wchodzi. Ona także ostatnio

wyglądała na chorą, lecz Nekros nie chciał wierzyć, że ją również może stracić. Prawdopodobnie już wiedziała, że jej ostatni małżonek może wkrótce umrzeć. Nekros żałował, że żaden z dwóch pozostałych nie przeżył. Obaj byli o wiele młodszy i pełni życia.

- Co teraz, królowo?

- Nekrosie, dlaczego wciąż tkwisz w tym szaleństwie? Chrząknął.

- Czy tylko tego ode mnie chciałaś, samico? Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż odpowiadanie na twoje głupie pytania!

Smoczyca parsknęła.

- Wszystkie twe wysiłki doprowadzą cię do śmierci. Masz możliwość uratować siebie i swoich podwładnych, ale jej nie wykorzystasz!

- Nie jesteśmy nikczemnymi, tchórzliwymi szumowinami, jak Orgrim Młot Zagłady! Klan Smoczej Paszczy będzie walczył do krwawego końca, nawet jeśli będzie to nasz koniec!

- Próbując uciec na północ? Tak walczyście? Nekros Miażdzący Czaszki wyjął Duszę Demona.

- Niektórych rzeczy nawet ty nie wiesz, starożytna! Czasem ucieczka prowadzi do walki! Alexstrasza westchnęła.

- Nie można do ciebie przemówić, co, Nekrosie?

- W końcu się nauczyłaś.

- Więc powiedz mi jedno. Co robiłeś w jaskini Tyrana? Co mu dolega? - Oczy smoczycy i ton jej głosu wypełniała troska o małżonka.

- Nic, czym musiałabyś się martwić, o królowo. Lepiej myśl o sobie. Wkrótce będziemy cię przewozić. Zachowuj się, a oszczędzisz sobie dużo bólu.

Powiedziawszy to, schował Duszę Demona i opuścił ją. Królowa smoków raz go zawołała, bez wątpienia chcąc ponownie błagać o informacje na temat stanu zdrowia małżonka, lecz Nekros nie miał już czasu, by martwić się o smoki, przynajmniej nie o czerwone.

Choć cała kolumna najprawdopodobniej opuści Grim Batol, zanim przybędą najeźdźcy z Sojuszu, dowódca był absolutnie pewien, że jedna istota pojawi się na czas, by wywołać chaos. Skrzydła Śmierci przybędzie. Czarny lewiatan będzie tam rano, przynajmniej z jednego powodu.

Alexstrasza... Czarny smok przybędzie po swą rywalkę.

- Niech wszyscy przybędą! - parsknął do siebie ork. -Wszyscy! Niech tylko mroczny będzie pierwszy... - poklepał sakiewkę, w której trzymał Duszę Demona - ...a wtedy zrobi resztę.

* * *

Rhoninowi wróciła świadomość, aczkolwiek nie do końca. Choć czarodziej czuł się bardzo osłabiony, natychmiast znieruchomiał, przypominając sobie to, co zdarzyło się ostatnim razem. Nie chciał, żeby golem posłał go w mrok - szczególnie, że obawiał się, iż mógłby z niego nie powrócić.

Kiedy powróciła mu siła, uwięziony czarodziej ostrożnie otworzył oczy.

Nigdzie nie widział płonącego golenia.

Zaskoczony, Rhonin uniósł głowę i szeroko otworzył oczy. Gdy tylko to zrobił, powietrze przed nim nagle zapłonęło i pojawiły się tysiące niewielkich ognistych kuł. Płomienne krople szybko się połączyły, tworząc niewyraźny ludzki kształt, który szybko się wyostriżył.

Potężny golem ukazał się w całej swej groteskowej chwale.

Oczekując najgorszego, Rhonin opuścił głowę, jednocześnie zamykając oczy. Czekał na przerażający dotyk magicznej istoty, czekał, czekał. W końcu, kiedy ciekawość przeważyła nad strachem, otworzył jedno oko tylko odrobinę.

Golem ponownie zniknął.

A więc Rhonin pozostawał pod jego uważnym spojrzeniem nawet wtedy, gdy nie mógł go widzieć. Nekros najwyraźniej bawił się nim, choć być może to Kryli zaaranżował ostatni podstęp. Nadzieje czarodzieja się rozwiały.

Może tak będzie lepiej. W końcu, czy kiedyś nie myślał, że jego śmierć może posłużyć tym, którzy z jego powodu zginęli? Czy w końcu nie zaspokoi to jego poczucia winy?

Rhonin wisiał tak w łańcuchach, ponieważ nie był w stanie zrobić nic innego. Nie zwracał uwagi na przemijanie czasu ani na odgłosy orków kończących przygotowania do wyjazdu. Kiedy tego zapragnie, Nekros przyjdzie po niego i albo zabierze go ze sobą, albo, co bardziej prawdopodobne, przesłucha po raz ostatni i zabije.

A Rhonin nie jest w stanie nic zrobić.

W pewnej chwili zamknął oczy, opanowało go zmęczenie i zapadł w łagodną drzemkę. Rhonin śnił o wielu rzeczach - smokach, gbulach, krasnoludach... i Vereesie. Sny o elfce uspokoiły jego wzburzone myśli. Znał ją bardzo krótko, lecz jej twarz coraz częściej pojawiała się w jego myślach. W innym miejscu i czasie może poznałby ją lepiej.

Elfka znalazła się w samym centrum snów Rhonina, słyszał nawet jej głos. Wołała go po imieniu, najpierw z oczekiwaniem, a kiedy nie odpowiedział, z naleganiem...

- Rhonin! - Jej głos stał się odległy, był tylko szeptem, ale jednocześnie wydawał się być bardziej rzeczywisty.

- Rhonin!

Tym razem jej wołanie rzeczywiście obudziło go ze snów, z drzemki. Rhonin z początku walczył z tym, gdyż wcale nie chciał powrócić do rzeczywistości celi i nieuniknionej śmierci.

- Nie odpowiada - szepnął inny głos, wcale nie tak łagodny i melodyjny jak Vereesy. Czarodziej rozpoznał go, a to jeszcze bardziej zbliżyło go do rzeczywistości.

- Może w taki sposób mogą go więzić tylko przy pomocy kajdan, nawet nie za kratami? - odrzekła elfka. - Wygląda na to, że powiedziałeś nam prawdę...

- Nie skłamałbym wam, łagodna pani! Nie skłamałbym wam!

I ten właśnie piskliwy głos uczynił to, czego dwóm pozostałym się nie udało. Rhonin odrzucił ostatnie resztki snu, i z trudem powstrzymał się od głośnego krzyku.

- W takim razie zróbmy to - mruknął krasnolud Falstad. Następujące po tym odgłosy kroków świadczyły, że krasnolud i pozostali zbliżali się do niego.

Otworzył oczy.

Vereesa i Falstad rzeczywiście weszli do pomieszczenia, piękna twarz elfki była zatroskana. Łowczyni trzymała w ręku wyciągnięty miecz, a na szyi miała coś, co bardzo przypominało medalion, który otrzymał od Skrzydeł Śmierci. Ten jednak miał pośrodku szkarłatny klejnot, podczas gdy tamten był czarny jak dusza złego lewiatana.

Stojący obok niej krasnolud schował młot burzy. Jako broń nosił długi sztylet, którego czubek dotykał gardła skrzywionego Krylla.

Widok tej dwójki, szczególnie Vereesy, nappełnił serce Rhonina nadzieją...

Za niewielką drużyną ratunkową w zupełnej ciszy uformował się ognisty golem.

- Uważajcie! - krzyknął przestraszony czarodziej głosem schrypniętym od zbyt wielu poprzednich krzyków.

Vereesa i Falstad rzucili się na boki, kiedy potężna szkieletowa postać sięgnęła po nich. Wyrzucony przez krasnoluda Kryli poleciał w stronę tej samej ściany, do której przykuty był Rhonin. Goblin zaklął, kiedy odbił się od twardej skały.

Falstad wstał pierwszy, rzucił sztyletem w golenia - który całkowicie zignorował ostrze, które odbiło się od kostnej zbroi - i wyjął młot burzy. Zamachnął się na nieludzkiego strażnika, a w tym czasie Vereesa zerwała się na równe nogi, żeby przyłączyć się do ataku.

Rhonin był wciąż osłabiony i mógł tylko patrzeć. Łowczyni i krasnolud zaszli demonicznego przeciwnika z obu stron, próbując zmusić golema do popełnienia fatalnej w

skutkach pomyłki.

Rhonin jednak wątpił, by udało im się zabić istotę zwykłym sposobem.

Pierwszy zamach Falstada zmusił potwora do cofnięcia się o krok, ale przy drugim golem chwycił górną część rękojeści młota. Jeździec gryfów zaangażował się w koszmarną próbę sił, kiedy golem próbował go do siebie przyciągnąć.

- Ręce! - wykrztusił mag. - Uważajcie na ręce!

Płonące palce bez ciała sięgnęły po Falstada, gdy znalazł się w ich zasięgu. Zdesperowany krasnolud wypuścił swój cenny młot i odturlał się z bezpośredniego zasięgu wroga.

Vereesa rzuciła się do przodu i zadała pchnięcie. Jej elfie ostrze niewiele zdziałało przeciwko przerażającej zbroi, która z łatwością je odbiła. Golem odwrócił się do niej i rzucił w nią młotem burzy.

Łowczyni zręcznie uskoczyła w bok, ale zaraz odkryła, że jest jedyną osobą, która ma jakąkolwiek obronę przed nieludzkim strażnikiem. Vereesa pchnęła jeszcze dwa razy, za drugim razem niemal tracąc broń. Golem, najwyraźniej niewrażliwy na bronie sieczne, za każdym razem próbował uchwycić miecz za ostrze.

Jego przyjaciele przegrywali, a Rhonin nie zrobił nic, by im pomóc.

Robiło się coraz gorzej. Odzyskawszy równowagę, Falstad próbował podnieść młot.

Usta nieludzkiego wojownika otworzyły się nienaturalnie szeroko...

Przeraźliwa chmura czarnego ognia niemal otoczyła Falstada. W ostatniej chwili udało mu się odturlać, ale jego ubranie zostało osmalone.

Co oznaczało, że Vereesa samotnie pozostała na drodze golema.

Rhonina niemal rozrywała frustracja. Ona zginie, jeśli on nic nie zrobi. Wszyscy zginą, jeśli nic nie zrobi.

Musiał się uwolnić. Zbierając wszystkie swoje siły, zmaltretowany mag przywołał zakłęcie. Kiedy golem był zajęty, Rhonin miał szansę skoncentrować się na swoich wysiłkach. Potrzebował tylko chwili...

Sukces! Trzymające go kajdany rozerwały się i uderzyły o ścianę. Oddychając ciężko, Rhonin przeciągnął się raz i skoncentrował na golemie.

Jakiś ciężar uderzył Rhonina w plecy. Intensywny nacisk na gardło odciął mu dopływ powietrza.

- Niegrzeczny, niegrzeczny czarodziej! Nie wiesz, że masz umrzeć?

Kryli otoczył ramieniem gardło Rhonina, co zupełnie go zaskoczyło. Wiedział, że gobliny były silniejsze, niż wskazywałyby na to ich wygląd, lecz siła Krylla granicyła z

niemożliwością.

- Tak jest, człowieku... poddaj się... upadnij na kolana...

Rhonin właściwie chciał to zrobić. Brak powietrza sprawił, że kręciło mu się w głowie, a w połączeniu z tym, co już przeżył, prawie go zabił. Ale jeśli upadnie, to samo stanie się z Vereesą i Falstadem...

Skoncentrował się i sięgnął ręką do tyłu, w stronę opanowanego żądzą krwi goblina.

Krzycząc wysokim głosem, Kryli puścił go i opadł na ziemię. Rhonin oparł się o ścianę, próbując odzyskać oddech. Miał tylko nadzieję, że Kryli nie wykorzysta tej chwili słabości.

Nie musiał się martwić. Goblin, poparzony na ramieniu, podskakując oddalał się od Rhonina. Głośno przeklinał.

- Paskudny, paskudny czarodziej! Przeklęta twoja magia! Pozostawię cię mojemu przyjacielowi, żebyś poczuł jego łagodny dotyk!

Kryli w podskokach podszedł do wyjścia, śmiejąc się paskudnie z losu intruzów.

Golem przerwał walkę z Vereesą i krasnoludem, jego śmiertelne spojrzenie zwróciło się w stronę uciekającego Krylla. Otworzył szczęki...

Ze szkieletowej paszczy wystrzeliła chmura czarnego ognia, całkowicie pochłaniając niczego nie podejrzewającego goblina.

Na całe szczęście, krótkim krzykiem, Kryli zginął w kuli ognia. Magiczny płomień pochłonął go tak szybko, że na ziemię opadł jedynie popiół... popiół i zniszczony medalion, który goblin nosił w sakiewce.

- Zabił łotrzyka! - zdziwił się Falstad.

- A my na pewno będziemy następni! - przypomniała elfka. - Choć nie czuję gorąca, od tych płomieni połowa mojego ostrza zmieniła się w żużel. Długo nie będę mogła go unikać!

- Ano, gdybym dostał młot, mógłbym coś zrobić, ale... uważaj!

Golem znów wystrzelił płomieniem, ale tym razem w stronę sufitu. Płonąca wściekle kolumna ognia nie tylko rozgrzała kamień. Po dotknięciu sklepienia płomień zniszczył je, a spore kawałki skały zaczęły spadać na całą trójkę.

Jeden uderzył Vereesę w ramię z taką siłą, że łowczyni upadła na ziemię. Spadające kamienie odepchnęły od niej

Falstada i uniemożliwiły Rhoninowi nawet ruszenie w jej stronę.

Płonący golem skoncentrował się na leżącej elfce. Paszcza znów się otworzyła...

- Niece!

Wykorzystując czystą wolę, Rhonin skontrował, tworząc tarczę potężniejszą niż kiedykolwiek w życiu.

Mroczne płomienie uderzyły w niewidzialną barierę z pełną mocą i odbiły się w stronę golema.

Rhonin nie oczekiwał, że broń stworzenia będzie w stanie mu zaszkodzić, ale płomienie nie tylko otoczyły swojego twórcę, lecz zaczęły żarłocznie go pożerać. Z bezcielesnego gardła golema wydarł się ryk.

Potworna istota zadrzała i wybuchła, uwalniając w niewielkiej komnacie magiczną moc porównywalną z huraganem.

To, co pozostało ze sklepienia, nie było w stanie wytrzymać takich mocy i opadło na całą trójkę.

* * *

Głęboką nocą smok Skrzydła Śmierci leciał na wschód przez morze. Szybszy niż wiatr, zdążał w stronę Khaz Modan, a dokładniej Grim Batol. Smok uśmiechał się do siebie. Na ten widok każda istota uciekłaby, śmiertelnie przerażona. Wszystko szło tak, jak sobie wymyślił. Plany wobec ludzi również szły gładko. Zaledwie kilka godzin wcześniej otrzymał oficjalne pismo od Terenasa, zgodnie z którym zaledwie w tydzień po koronacji lorda Prestora, zostanie ogłoszone, że nowy władca Alterac poślubi córkę króla Lordaeron w dniu, kiedy ta osiągnie odpowiedni wiek. Tylko kilka lat, zaledwie mgnienie oka dla smoka, i znajdzie się w miejscu, z którego będzie mógł rozpocząć anihilację całego rodzaju ludzkiego.

Potem elfy i krasnoludy, starsze i nie mające ludzkiego wigoru, zginą jak liście na jesieni.

Kiedy nadejdzie przyszłość, będzie ją smakował. Teraz jednak Skrzydła Śmierci musiał zająć się bardziej palącym i zarazem bardziej satysfakcjonującym zadaniem. Orki przygotowywały się do opuszczenia górskiej fortecy. O świcie będą wyprowadzać na zewnątrz wozy, ruszając w stronę ostatniego punktu oporu Hordy w Dun Algaz.

A z nimi pojedą smoki.

Orki oczekiwały inwazji Sojuszu z zachodu. A przynajmniej oczekiwały jeźdźców gryfów, czarodziejów... i jednego czarnego olbrzyma. Skrzydła Śmierci nie miał zamiaru rozczarować w tym punkcie Nekrosa Miażdżącego Czaszki. Od Krylla dowiedział się, że jedenonogi ork ma jakiś pomysł. Smok nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy, co zaplanowała istotka. Podejrzewał, że wie, ale z ciekawością sprawdzi, czy ork dla odmiany nie wpadł na jakiś oryginalny pomysł.

Na horyzoncie pojawił się blady zarys brzegów Khaz Modan. Doskonale widzący w ciemności smok skręcił lekko, kierując się bardziej na północ. Tylko parę godzin pozostało do świtu. Będzie miał mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do wybranej skały. Tam smok będzie mógł czekać i obserwować, żeby wybrać jak najlepszy moment.

I zmienić bieg przyszłości.

* * *

Inny smok też leciał, smok, który nie latał od wielu lat. Uczucie nieskrępowanego lotu zachwycało go, a jednocześnie przypominało mu, jak bardzo wyszedł z wprawy. To, co powinno być naturalne, jak część jego istoty, wydawało się niezwykle.

Smok Korialstrasz za długo był czarodziejem Krasusem.

Gdyby już był dzień, świadkowie jego lotu zobaczyliby wielkiego, jeśli nie olbrzymiego smoka, większego niż zwykle, lecz z pewnością nie będącego jednym z Aspektów. Korialstrasz, czerwony jak krew i smukły, w młodości uważany był za całkiem przystojnego osobnika swojego gatunku. Z pewnością wpadł w oko swojej królowej. Szkarłatny olbrzym, szybki, zabójczy, bystry, był jednym z największych jej obrońców. Bronił honoru stada i stał się jej najbardziej zaufanym sługą, jeśli chodziło o kontakty z młodszymi rasami.

Nawet przed pojmaniem Alexstraszy spędził większość z późniejszych lat życia w postaci czarodzieja Krasusa. Powracał do swej prawdziwej postaci tylko wtedy, gdy w tajemnicy ją odwiedzał. Jako jeden z młodszych małżonków Korialstrasz nie miał takiego autorytetu jak Tyranastrasz, lecz wiedział, że zajmuje szczególnie miejsce w sercu swej królowej. Dlatego właśnie sam zgłosił się, by zostać jej głównym agentem wśród najbardziej obiecującej i różnorodnej z młodszych ras - ludzkości - pomagając doprowadzić ją do dojrzałości.

Alexstrasza bez wątpienia uważała, że nie żyje. Po jej pojmaniu i podporządkowaniu reszty stada uznał swój podstęp za jedyny sposób kontynuowania walki. Powrócić w pełni do postaci Krasusa i pomagać ludziom w walce z orkami. Był nieszczęśliwy, że musiał stać się świadkiem śmierci swojej krwi, lecz młode smoki hodowane przez Hordę nie wiedziały o dawnej chwale swojego rodu. Rzadko żyły na tyle długo, żeby wyrosnąć z żądy krwi i zacząć poznawać mądrość, która była prawdziwym skarbem smoczego rodu. Pomagając elfce i krasnoludowi dostać się do wnętrza góry, miał szczęście porozmawiać z jednym z młodzików, uspokajając smoka i tłumacząc mu, co musi zostać zrobione. To, że smok wysłuchał go, było pocieszające. Przynajmniej dla jednego pozostawała jeszcze nadzieja.

Tak wiele trzeba było jeszcze zrobić i po raz kolejny Korialstrasz musiał odwrócić się od ludzi i pozostawić ich samym sobie. W chwili kiedy przez medalion zobaczył wozy, usłyszał rozkaz jednego z orczych oficerów, uświadomił sobie, że wszystko, o co walczył, właśnie zaczęło się spełniać. Orki połknęły przynętę i opuszczały Grim Batol. Wyprowadzą jego ukochaną Alexstraszę na zewnątrz, gdzie w końcu będzie mógł ją uratować.

Nawet wtedy nie będzie to łatwe. Potrzebny będzie podstęp, wycucie czasu i, oczywiście, dużo szczęścia.

To, że Skrzydła Śmierci żyje i z pewnością planuje doprowadzić do upadku Sojuszu Lordaeron, stało się nowym, ogromnym problemem. Przez pewien czas groziło upadkiem wszystkiego, co zaplanował sobie Korialstrasz. Z tego jednak, co odkrył jako Krasus, wnioskował, że Skrzydła Śmierci był zbyt zajęty polityką Sojuszu, żeby przejmować się odległymi orkami i tym, co pozostało z niegdyś dumnego stada. Nie, Skrzydła Śmierci prowadził własną grę, a poszczególne królestwa były tylko pionkami. Pozostawiony sam sobie z pewnością wywołałby wojnę i zniszczenie. Całe szczęście taka gra trwała latami i dlatego Korialstrasz niezbyt się martwił ludźmi z Lordaeron i innych krain. Mogą poczekać do chwili, kiedy uwolni swoją ukochaną.

Choć jednak lecący smok mógł zignorować rosnące groźby dotyczące krain, które wziął pod swoje skrzydła, inna sprawa wciąż go gryzła i nie mógł o niej zapomnieć. Rhonin i dwójka, która poszła go szukać, zaufali czarodziejowi Krasusowi, nie wiedząc, że dla smoka Korialstrasza uratowanie ukochanej królowej znaczyło więcej niż samo życie. Życie trójki śmiertelników nie wydawało się ważne w porównaniu z tym, tak w każdym razie myślał do niedawna.

Smok czuł się winny. Winny nie tylko z powodu wykorzystania Rhonina, ale również pozostawienia samym sobie elfki i krasnoluda po tym, jak złożył im obietnicę, że będzie ich prowadził.

Rhonin prawdopodobnie został zabity już jakiś czas temu, ale może nie jest zbyt późno, żeby uratować pozostałą dwójkę. Szkarłatny lewiatan wiedział, że nie będzie mógł skoncentrować się na swoim zadaniu, dopóki nie upewni się, że zrobił dla nich wszystko, co w jego mocy.

Na samym skraju południowo-zachodniego Khaz Modan, tylko kilka godzin od Ironforge, Korialstrasz wybrał samotny szczyt pośrodku łańcucha górskiego i tam wylądował. Kilka chwil zajęło mu zorientowanie się w okolicy, po czym zamknął oczy i skoncentrował się na medalionie, który Rom na jego rozkaz oddał łowczym Vereesie.

Choć ona prawdopodobnie uważała, że pośrodku medalionu znajdował się tylko

klejnot, tak naprawdę była to część smoka. Magicznie ukształtowany, na początku był jedną z jego łusek. Przekształcona łuska posiadała wielką moc, która zaskoczyłaby wszystkich magów, gdyby wiedzieli, jak posługiwać się smoczą magią. Na całe szczęście dla Korialstrasza, niewielu ją znało, gdyż inaczej nie zaryzykowałby stworzenia medalionu. Rom i elfka wyraźnie uznawali klejnot za użyteczny w celach komunikacji, a smok nie miał zamiaru mówić im prawdy.

Na szczycie wiał wicher, a wielkiego behemota smagał śnieg. Korialstrasz stulił skrzydła blisko głowy, żeby lepiej ją osłonić, kiedy się koncentrował. Wyobraził sobie elfkę taką, jaką ją widział przez talizman. Miłego wyglądu, nawet jak na swój gatunek, i najwyraźniej martwiąca się o Rhonina. Do tego dobra wojowniczką. Tak, może wciąż jeszcze żyła, ona i krasnolud z Aerie.

- Vereeso Córko Wiatru! - zawołał cicho. - Vereeso Córko Wiatru! - Korialstrasz zamknął oczy, próbując skoncentrować swój wewnętrzny wzrok. Co dziwne, nie widział nic. Medalion powinien pozwolić mu na zobaczenie tego, co znajdowało się przed elfką. Czy go schowała?

- Vereeso Córko Wiatru, powiedz coś, cokolwiek, żeby pokazać, że mnie słyszysz! Wciąż nic.

- Elfko! - Po raz pierwszy smok prawie stracił opanowanie. - Elfko!

Wciąż żadnej odpowiedzi, żadnego widoku. Korialstrasz skoncentrował się w całości na medalionie, próbując usłyszeć jakiś dźwięk, nawet krzyki orka.

Nic.

Za późno... jego nagły atak wyrzutów sumienia nadszedł zbyt późno, by pomóc ratownikom Rhonina, a teraz i oni zginęli z powodu braku zastanowienia ze strony smoka.

Jako Krasus grał na poczuciu winy Rhonina. Dzięki temu Rhonin stał się łatwiejszy do kształtowania. Teraz jednak zaczynał rozumieć, jak czuł się człowiek. Alexstrasza zawsze mówiła o młodszych rasach z troską i opiekuńczością, jakby one też były jej dziećmi. Tą opiekuńczością zaraziła też swojego małżonka i Krasus pracował ciężko, żeby ludzie doszli do dojrzałości. Jednak pojmanie jego królowej przez orki zachwiało jego zasadami i sprawiło, że Korialstrasz zapomniał o jej nauce... aż do teraz.

Dla tej trójki nadeszło to jednak zbyt późno.

- Dla ciebie nie jest zbyt późno, moja królowo! - zagrzemiał smok. Jeśli przeżyje, całe swoje życie poświęci, żeby naprawić zaniechanie wobec Rhonina i pozostałych. Na razie jednak liczyło się tylko uratowanie partnerki. Ona zrozumie... miał nadzieję.

Szeroko rozwijając skrzydła, majestatyczny czerwony smok uniósł się w powietrze,

kierując się na północ.

Do Grim Batol.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Nekros Miażdzący Czaszki odwrócił się od rumowiska. Był ponury, lecz jednocześnie zdecydowany, że nie pozwoli się odwieść od swoich zamiarów.

- I tyle zostało po czarodzieju - mruknął.

Starał się nie myśleć o tym, jakie zaklęcie mógł rzucić człowiek, że zniszczyło nawet, zdawałoby się, niezwycięzonego golenia. Najwyraźniej niezwykle potężne, gdyż nie tylko kosztowało życie czarodzieja, ale też zawaliło całą sekcję korytarzy.

- Wykopać ciała? - zapytał jeden z wojowników.

- Nie. Strata czasu. - Nekros ścisnął sakiewkę z Duszą Demona, myśląc o zwieńczeniu swych rozpaczliwych planów. - Opuszczamy Grim Batol. Teraz.

Inne orki podążały za nim, większość z nich nie była zadowolona z nagłej decyzji opuszczenia fortecy. Z drugiej strony, nie mieli zbyt wielkiej ochoty pozostawać w niej, zwłaszcza że zaklęcie czarodzieja mogło osłabić pozostałe tunele.

* * *

Niesamowite ciśnienie napierało na głowę Rhonina. Było tak ogromne, że bał się, iż w każdej chwili jego czaszka może wybuchnąć. Z niejakim trudem otworzył oczy, z nadzieją, że odkryje, co na niego napiera i szybko to usunie.

Spojrzał zamglonym wzrokiem w górę i zatkało go.

Kamienna lawina, dosłownie tona kamieni albo i więcej, unosiła się o jakąś stopę nad jego głowę. Słaby blask, jedyny ślad ochronnej tarczy, którą utworzył wcześniej, uświadomił mu, że tylko dzięki niej nie został zgnieciony na papkę.

Ucisk w głowie, jak sobie uświadomił, pochodził z części jego umysłu, która usiłowała utrzymać zaklęcie i dzięki temu uratowała mu życie. Wzrastający ból uświadamiał jednak magowi, że z każdą chwilą zaklęcie słabnie.

Przekręcił się, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Miał nadzieję, że to choć trochę zmniejszy nacisk... i poczuł, jak coś uciska od spodu jego głowę. Rhonin uznał, że to jakiś kamień i postanowił go wyjąć. Kiedy jednak go dotknął, poczuł obecność magii.

Ciekawość odwróciła jego uwagę od przerażającego widoku w górze. Rhonin przyciągnął przedmiot bliżej, by mu się przyjrzeć. Czarny klejnot. Z pewnością ten sam, który znajdował się wcześniej w środku medalionu Skrzydeł Śmierci.

Rhonin skrzywił się. Ostatni raz widział medalion po śmierci Krylla. Wtedy nie

zwracał uwagi na kamień, gdyż jego umysł bardziej zajęty był zagrożeniem dla Vereesy i...

Vereesa! Twarz elfki pojawiła się w jego myślach. Ona i krasnolud byli dalej, chronieni przez początkowe zaklęcie, ale...

Obrócił się, próbując coś zobaczyć. Kiedy jednak się poruszył, ucisk w głowie powiększył się, a kamienie nad nim opadły o kilka cennych cali.

W tym samym czasie usłyszał wypowiedziane niskim głosem przekleństwo.

- Falstad? - wykrztusił Rhonin.

- Ano... - zabrzmiała z pewnej odległości odpowiedź. - Wiedziałem, że żyjesz, czarodzieju, skoro nie zostaliśmy spłaszczeni, ale zaczynałem się bać, że nigdy się nie obudzisz! Najwyższy czas!

- Czy... czy Vereesa żyje?

- Trudno powiedzieć. Światło twojego zaklęcia pozwala mi trochę widzieć, ale ona jest za daleko, żebym mógł sprawdzić. Nie słyszałem jej od chwili, kiedy się ocknąłem.

Rhonin zacisnął zęby. Ona musi żyć.

- Falstad! Jak wysoko nad tobą są kamienie? Jego towarzysz zaśmiał się sardonicznie.

- Prawie drapią mnie po nosie, człowieku, inaczej już bym się do niej prześlizgnął i sprawdził. Nigdy nie myślałem, że będę świadkiem swojego pogrzebu.

Mag zignorował ostatnie zdanie, rozważając to, co krasnolud powiedział o bliskości lawiny. Najwyraźniej im dalej zaklęcie rozciągało się od Rhonina, tym mniej chroniło. Vereesa i Falstad zostali ochronieni przed zmiążdżeniem, ale łowczym mogła na przykład zostać uderzona w głowę kamieniem, może nawet zginąć.

Rhonin mógł mieć tylko nadzieję, że było inaczej.

- Człowieku... jeśli nie proszę o zbyt wiele... czy możesz cokolwiek dla nas zrobić?

Czy może ich uratować? Czy pozostało mu tyle siły i mocy? Schował czarny klejnot do kieszeni, teraz zbyt zajęty o niebo ważniejszą sprawą.

- Daj mi parę chwil...

- A co innego mogę zrobić, hę?

Nacisk w głowie czarodzieja ciągle niebezpiecznie się zwiększał. Rhonin wątpił, czy tarcza wytrzyma dużo dłużej, a jednak musiał ją utrzymywać, próbując rzucić drugie, jeszcze bardziej skomplikowane zaklęcie.

Nie tylko musiał wydostać ich trójkę z tej niebezpiecznej sytuacji, ale jeszcze przenieść ich w jakieś spokojne miejsce. I wszystko to w chwili, kiedy jego umęczone ciało domagało się natychmiastowego odpoczynku.

Jak szło to zaklęcie? Myślenie go bolało, ale Rhonin w końcu przywołał słowa. Próba

jego rzucenia sprawi, że przestanie koncentrować się na tarczy. Jeśli potrwa to zbyt długo...

Jaki mam wybór?

- Falstadzie, teraz spróbuję.

- Niezmiernie mnie to cieszy, człowieku! Kamienie już chyba napierają mi na pierś!

Rhonin również zauważył przesunięcie. Bez wątpienia musiał się pospieszyć.

Wyszeptał słowa, przywołał moc...

Kamienie nad nim przesunęły się złowieszczo.

Wykorzystując zdrową rękę, Rhonin nakreślił znak.

Tarcza załamała się. Tony kamienia opadły na trójkę...

... i nagle odkrył, że leży na plecach i wpatruje się w zachmurzone niebo.

- Na młot Dagatha! - gdzieś z boku zaryczał Falstad. - Czy musiało to być tak blisko?

Mimo bólu Rhonin podniósł się do pozycji siedzącej. Zimny wiatr właściwie pomógł mu powrócić do pełnej przytomności. Spojrzał w stronę krasnoluda.

Falstad również usiadł. W oczach jeźdźcy gryfów był wyraz szaleństwa, który po raz pierwszy nie miał nic wspólnego z bitwą. Jego twarz całkowicie zbladła, czego Rhonin nigdy by się nie spodziewał po dzielnym wojowniku.

- Nigdy, nigdy, nigdy więcej nie wejdę do jakiegokolwiek tunelu! Od dziś jest dla mnie tylko niebo! Na młot Dagatha!

Czarodziej może i odpowiedziałby mu na to, lecz jego uwagę przyciągnął jęk. Powstał niepewnie i podążył w stronę rozciągniętej na ziemi Vereesy. Z początku Rhonin zastanawiał się, czy przypadkiem nie wyobraził sobie tego jęku, gdyż elfka wydawała się całkiem bez życia, lecz wtedy Vereesa jęknęła znowu.

- Ona... ona żyje, Falstadzie!

- Ano, oceniasz po jej jękach, założę się! Oczywiście, że żyje! Teraz szybko! Jak się czuje?

- Czekaj... - Rhonin ostrożnie przekręcił elfkę. Przyglądał się jej twarzy, głowie i ciału. W kilku miejscach miała siniaki, a na ramieniu plamy krwi, ale poza tym wydawała się być w równie dobrym stanie jak towarzysze.

Kiedy ostrożnie podniósł jej głowę, żeby przyjrzeć się siniakowi na jej czubku, oczy Vereesy otworzyły się.

- R-Rhon...

- Tak, to ja. Spokojnie. Myślę, że zostałam uderzona w głowę.

- Pamiętam... pamiętam, że... - Łowczyni na chwilę przymknęła oczy... nagle usiadła, ze strachu szeroko otworzyła oczy i usta. - Sklepienie! Sklepienie! Spada na nas!

- Nie! - Przytulił ją do siebie. - Nie, Vereeso! Jesteśmy bezpieczni! Jesteśmy bezpieczni...

- Ale sklepienie jaskini... - Elfka uspokoiła się. -Nie, już nie jesteśmy w jaskini... ale gdzie jesteśmy, Rhoninie? Jak się tu dostaliśmy? Jak w ogóle przeżyliśmy?

- Pamiętasz tarczę, która uratowała nas przed golemem? Potwór sam się zniszczył, ale tarcza wytrzymała, nawet kiedy spadło na nas sklepienie. Zmniejszyła się jej sfera działania, ale wytrzymała na tyle, żeby ochronić nas przed zmiążdżeniem.

- Falstad! Czy on...

Krasnolud podszedł z drugiej strony.

- Uratował nas wszystkich, elfia panienko. Uratował, ale porzucił na końcu świata!

Rhonin zamrugał. Koniec świata? Rozejrzał się. Pokryty śniegiem grzbiet, zimne wiatry, z każdą chwilą coraz zimniejsze, i niesamowita pokrywa chmur wokół nich. Czarodziej doskonale wiedział, gdzie się znajdowali, nawet w otaczającej ich ciemności.

- Nie, Falstadzie. Myślę, że posłałem nas na sam szczyt góry. Sądzę, że wszystko, włączając w to orki, znajduje się daleko pod nami.

- Szczyt góry? - powtórzyła Vereesa.

- Ano, to by miało sens.

- A oceniając po tym, że widzę was dwoje coraz lepiej, obawiam się, że nadchodzi świt. - Rhonin ponownie spochmurniał. - Co oznacza, że jeśli Nekros Miażdzący Czaszki mówił prawdę, zaraz będą opuszczać fortecę, razem z jajami i całą resztą.

Vereesa i krasnolud popatrzyli na niego.

- Czemu mieliby robić coś tak głupiego? - zapytał Falstad. - Opuścić tak bezpieczne miejsce?

- Z powodu niechybnej inwazji z zachodu, czarodziejów i krasnoludów na sprytnych, szybkich gryfach. Setek, może tysięcy krasnoludów i czarodziejów, a nawet elfów. Przed taką siłą, a szczególnie magią, Nekros i jego ludzie nie obronią góry. - Czarodziej potrząsnął głową. Sytuacja mogłaby być inna, gdyby dowódca poznał prawdziwą moc artefaktu, który nosił, lecz najwyraźniej Nekros nie wiedział lub też jego lojalność wobec panów z Dun Algaz przeważała. Ork zdecydował się udać na północ i tak też zrobi. Falstad nie mógł w to uwierzyć.

- Inwazja? Skąd ork mógł wpaść na tak szalony pomysł?

- Przez nas. Z powodu naszej obecności tutaj. Szczególnie mojej. Skrzydła Śmierci chciał, żebym służył jako dowód na zbliżający się atak. Ten Nekros jest szalony! Już chyba sądził, że taki atak nadchodzi, a kiedy pojawiłem się wśród nich, tylko się upewnił. - Rhonin

popatrzył na swój złamany palec, w którym na szczęście utracił czucie. Zajmie się nim, kiedy będzie miał czas, lecz teraz były ważniejsze sprawy niż pojedynczy palec.

- Ale czemu czarna bestia chciała, żeby orki opuściły fortecę? - zapytała łowczyni. - Co zyska?

- Chyba wiem... - Rhonin podszedł do krawędzi i spojrzał w dół. Zaparł się nogami, żeby wiatr nie zrzucił go z urwiska. Nie widział nic, ale wyobrażał sobie, że słyszy jakiś hałas... może odgłos maszerującej kolumny wojska? - Myślę, że miał uratować czerwoną królową smoków, jak próbował mnie przekonać, chce ją zabić! Było to zbyt ryzykowne, kiedy znajdowała się w środku, ale na otwartej przestrzeni może spaść z nieba i pozbawić ją życia jednym ciosem!

- Jesteś pewien? - spytała się go elfka, podchodząc do niego.

- Tak musi być. - Spojrzał w górę. Nawet gruba pokrywa chmur nie mogła ukryć tego, że nadchodził poranek. - Nekros chce wyruszyć o świcie...

- Głupi jest? - wymruczał Falstad. - Miałoby więcej sensu, gdyby ten przeklęty ork chciał uciec pod osłoną nocy!

Rhonin potrząsnął głową.

- Skrzydła Śmierci widzi dobrze w ciemności, może nawet lepiej niż każde z nas. W trakcie przesłuchania Nekros wspomniał, że jest przygotowany na wszystko, nawet na Skrzydła Śmierci. Właściwie wydawał się oczekiwać pojawienia czarnego.

- Ale to już zupełnie nie ma sensu! - odrzekła łowczyni. - Jak pojedynczy ork mógłby go pokonać?

- A jak mógł kontrolować królową smoków i jak przywołał taką istotę jak golem? - Te pytania martwiły go bardziej, niż chciał się przyznać. Najwyraźniej posiadany przez orka przedmiot miał dużą moc, ale czy aż tak wielką?

Falstad nagle kazał im się uciszyć, po czym wskazał na północny zachód, daleko od góry. Potężny, ciemny kształt przebił na chwilę wysokie chmury, po czym zniknął ponownie, coraz bardziej opadając.

- To Skrzydła Śmierci - wyszeptał jeździec gryfów. Rhonin pokiwał głową. Skończył się czas rozważań. Jeśli przybył Skrzydła Śmierci, mogło to znaczyć tylko jedno.

- Cokolwiek ma się stać, już się zaczęło.

* * *

Długa karawana orków wyruszyła, gdy pierwszy blask świtu dotknął Grim Batol. Przed i za wozami szli orczy wojownicy ze świeżo naostrzonymi toporami, mieczami lub

pikami. Eskorta jechała również na wozach kierowanych przez peonów, szczególnie na tych, na których znajdowały się smocze jaja. Każdy ork był gotowy na spotkanie wroga, choćby i za chwilę, gdyż wieści o rzekomej inwazji dotarły nawet do najniższych z niskich.

Nekros Miażdzący Czaszki, usadowiony na jednym z niewielu koni odpowiadających orkom, z niecierpliwością obserwował odjazd. Jeźdźców smoków razem z wierzchowcami już posłał do Dun Algaz, aby zapewnić Hordzie choć kilka smoków, na wypadek gdyby jego zamierzenia się nie powiodły. Szkoda, że nie odważył się użyć ich do transportu jaj, lecz jedna z poprzednich prób pokazała mu, jakim to było szaleństwem.

Wybudowanie wozu, na którym można by przewieźć smoka, było niemożliwe, więc to Nekros musiał kontrolować dwie starsze bestie. Alexstrasza i, co dziwne, Tyran wędrowali na końcu kolumny, świadomi władzy, jaką miała nad nimi Dusza Demona. Dla chorego małżonka musiała być to trudna sytuacja. Nekros wątpił, czy samiec przeżyje tę wędrowkę, jednak ork wiedział, że nie ma innego wyboru.

Dwa wielkie lewiatany wciąż wywoływały ogromne wrażenie. Samica większe niż samiec, gdyż była zdrowsza. Nekros raz przechwycił jej pełne nienawiści spojrzenie. Orka nie obchodziło to zupełnie. Wysłucha go we wszystkim tak długo, jak długo będzie miał w ręku jedyny artefakt dający władzę nad każdym smokiem.

Myśląc o smokach, spozrywał w niebo. Chmury dawały każdemu behemotowi wiele miejsca na ukrycie się, ale w końcu coś musiało się wydarzyć. Nawet jeśli siły Sojuszu były zbyt daleko, Skrzydła Śmierci z pewnością przybędzie. Nekros liczył na to. Ludzie nauczą się, jakim szaleństwem było złożenie zwycięstwa w ręce mrocznego. Co dawało władzę nad jednym smokiem, z pewnością dawało władzę i nad innym. Mając Duszę Demona, orczy dowódca przejmie kontrolę nad najdzikszą z bestii. On, Nekros, będzie panem Skrzydeł Śmierci, jeśli tylko przeklęty gad w końcu się pojawi.

- Gdzie jesteś, przeklęty stworze? - szepnął. - Gdzie?

Ostatni rząd wojowników opuścił otwór jaskini. Nekros patrzył, jak maszerują. Dzicy, dumni, przypominali dni, kiedy Horda nie znała porażki ani wroga, którego nie mogła zabić. Mając władzę nad Skrzydłami Śmierci, przywróci chwałę swojemu ludowi. Horda znów powstanie, nawet ci, którzy już się poddali. Orki przejdą przez kraje Sojuszu, zabijając ludzi i ich sprzymierzeńców.

A może Horda będzie miała innego wodza? Po raz pierwszy Nekros odważył się wyobrazić sobie siebie w tej roli oraz Zuluheda kłaniającego się przed nim. Tak, ten, który przyniesie swojemu ludowi takie zwycięstwo, na pewno zostanie władcą.

Wódz Nekros Miażdzący Czaszki...

Popędził swojego wierzchowca i przyłączył się do kolumny. Wyglądałoby podejrzanie, gdyby z nią nie jechał. Poza tym jego pozycja nie miała znaczenia. Dusza Demona dawała mu władzę na odległość. Żaden smok nie mógł jej zrzucić, chyba żeby ork tego zapragnął... a stary ork z pewnością nie miał zamiaru tego robić.

Gdzie jest ta przeklęta czarna bestia?

Jakby w odpowiedzi rozległ się rozsadzający uszy ryk. Nie pochodził jednak z nieba, jak z początku myślał Nekros, lecz z samej ziemi otaczającej orki. Wywołał konsternację wśród wojowników, którzy obracali się, próbując znaleźć wroga.

Oddech później otoczyły ich krasnoludy.

Były wszędzie. Nekros nigdy nie myślał, że aż tyle ich mogło pozostać w całym Khaz Modan. Wskoczyły z ziemi, machając toporami i mieczami, atakując kolumnę z każdej strony. Orki jednak, choć z początku zaskoczone, zaraz powróciły do siebie. Wykrzykując własne okrzyki bojowe, odwróciły się, by stawić czoła atakującym. Strażnicy pozostali przy wozach, ale oni też się gotowali. Nawet peoni, zwykle żalosni, wyciągali pałki. Nie wymagało zbyt wielu ćwiczeń, żeby ork potrafił coś zmiażdżyć przy pomocy kawałka drewna.

Nekros kopnął krasnoluda, który próbował go ściągnąć z konia. Jeden z zastępców dowódcy szybko wkroczył do akcji i już rozpoczęła się walka między nimi. Nekros skierował konia między wozy, gdyż potrzebował chwili na przemyślenie całej sytuacji. Miast spodziewanej inwazji, zostali zaatakowani przez bandę padlinożerców. Wyglądali oni na tych obszarpańców, którzy zawsze kręcili się w tunelach wokół góry, o czym Nekros dobrze wiedział.

A gdzie jest Skrzydła Śmierci? Plany wiązał ze smokiem. Musi być smok!

Grzmiący ryk aż zatrzęsł walczącymi. Na wpeł widoczna potężna postać przebiła się przez chmury i rzuciła w stronę orków.

- W końcu! W końcu jesteś, ty czarny... - Nekros Miażdzący Czaszki zamarł, zaskoczony. Ścisnął Duszę Demona, ale przez chwilę nawet nie myślał o wykorzystaniu jej zgodnie z planami.

Smok opadający w jego kierunku miał łuski o barwie ognia, nie ciemności.

* * *

- Musimy się tam dostać - mruknął Rhonin. - Muszę wiedzieć, co się tam dzieje!

- Nie możesz zrobić tego, co w jaskini? - zapytał Falstad.

- Gdybym tak postąpił, nie pozostałoby mi mocy, żeby cokolwiek zdziałać, kiedy już

wylądujemy. Poza tym nie wiem, gdzie miałbym nas posadzić. Chciałbyś skończyć tuż przed orkiem machającym toporem?

Vereesa spojrzała w dół.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli zejść w dół.

- Nie możemy zostać tutaj na wieczność! - Krasnolud przez chwilę chodził niecierpliwie to w jedną, to w drugą stronę. Nagle zrobił minę, jakby wdepnął w coś obrzydliwego. - Na skrzydła Hestry! Co za głupiec! Może jeszcze tu jest!

Rhonin popatrzył na krasnoluda, jakby ten stracił rozum.

- O czym mówisz? Kto?

Falstad nie odpowiedział, lecz sięgnął do sakiewki.

- Te przekłete trolle zabrały mi go wcześniej, ale Gimmel mi oddał... o! Tu jest!

Wyciągnął coś, co wyglądało na maleńki gwizdek. Rhonin i Vereesa patrzyli, jak krasnolud przyłożył gwizdek do ust i dmuchał z całych sił.

- Nic nie słyszę - zauważył czarodziej.

- Zdziwiłbym się, gdybyś usłyszał. Poczekaj. Jest dobrze wytresowany. Mój najlepszy wierzchowiec. Pomyśl, zostaliśmy pojmani przez trolle całkiem niedaleko. Na pewno zostaliby przez jakiś czas... - Falstad już nie wyglądał na tak pewnego. - Rozdzielono nas całkiem niedawno...

- Próbujesz przywołać swojego gryfa? - zapytała łowczyni z wyraźnym sceptycyzmem w głosie.

- Lepiej niż gdybyśmy próbowali wyhodować sobie skrzydła, co?

Czekali. Dla Rhonina zdawało się to wiecznością. Czuł, jak powracają mu siły, nawet mimo zimna, ale wciąż bał się przenieść trójkę w miejsce, które mogło oznaczać natychmiastową śmierć.

Wyglądało jednak na to, że będzie musiał spróbować. Czarodziej wyprostował się.

- Zrobię, co będę mógł. Przypominam sobie miejsce niezbyt daleko od góry. Skrzydła Śmierci chyba pokazywał mi je w umyśle. Może będę w stanie nas tam przenieść.

Vereesa wzięła go za ramię.

- Jesteś pewien? Jeszcze nie wyglądasz na wypoczętego. - W jej oczach była troska. - Wiem, ile cię to musiało kosztować, tam, w jaskini, Rhoninie. To zaklęcie, które rzuciłeś i utrzymałeś nawet dla mnie i Falstada, nie było proste...

Bardzo doceniał jej słowa, ale nie miał innego wyboru.

- Jeśli nie...

W chmurach nagle zmaterializowała się wielka skrzydlata postać. Rhonin i elfka

zareagowali natychmiast, pewni, że to Skrzydła Śmierci.

Tylko Falstad, który przyglądał się uważnie, nie zachowywał się, jakby właśnie nadchodziła ich śmierć. Śmiał się i machał rękami w stronę nadlatującej istoty.

- Wiedziałem, że usłyszysz! Widzicie! Wiedziałem, że usłyszysz!

Gryf zaskrzeczał z, jak mógł przysiąc Rhonin, radością. Potężna bestia szybko leciała w ich stronę, a dokładniej w stronę swojego jeźdźca. Zwierzę niemalże wskoczyło na Falstada, tylko szybko uderzające skrzydła powstrzymały gryfa przed zmiążdżeniem krasnoluda całą swoją masą.

- Ha! Dobry chłopiec! Dobry chłopiec! Na ziemię! Gryf wylądował obok Falstada, machając ogonem w sposób bardziej przypominający psa niż pół-lwa.

- I? - zapytał niski wojownik swoich towarzyszy. - Czy nie czas ruszać?

Wsiadli najszybciej, jak mogli. Rhonin, wciąż najstarszy z całej trójki, usadowił się między krasnoludem a Vereesą. Wątpił, czy gryf będzie w stanie unieść ich wszystkich, lecz bestia doskonale sobie radziła. Falstad przyznał od razu, że w razie dłuższej podróży mieliby kłopoty, ale na krótkiej trasie gryfowi nie sprawi to trudności.

Kilka chwil później przebili się przez chmury... i zobaczyli coś, czego zupełnie się nie spodziewali.

Rhonin sądził, że to krasnoludy ze wzgórz wykorzystują fakt, że orki wędrowały z niewygodną i mało zwrotną karawaną wozów. Nie pomyślał jednak, że nad polem bitwy może się unosić smok inny niż Skrzydła Śmierci.

- Czerwony! - wykrzyknęła łowczyni. - Do tego stary samiec! Nie wychowany w górze!

On także to zauważył. Orki trzymały królową zbyt krótko, żeby taki behemot mógł dorosnąć. Poza tym Horda miała zwyczaj zabijać smoki, zanim zrobiły się za duże i zbyt niezależne. Orczy jeźdźcy potrafili kontrolować tylko młode.

A więc skąd przybył szkarłatny lewiatan i co tu robi?

- Gdzie chcesz, żebyśmy wylądowali? - krzyknął Falstad, przypominając mu o pilniejszej sprawie.

Rhonin szybko rozejrzał się po okolicy. Bitwa rozgrywała się głównie wokół kolumny wozów. Zauważył Nekrosa

Miażdżącego Czaszki na koniu, w ręku ork trzymał coś, co błyszczało jasno, mimo iż słońce przykrywały chmury. Czarodziej zapomniał o pytaniu Falstada, kiedy zauważył przedmiot. Nekros najwyraźniej kierował go w stronę nowego smoka.

- No i? - krasnolud domagał się odpowiedzi. Odrywając spojrzenie od orka, Rhonin

skoncentrował się na otoczeniu.

- Tam! - wskazał na półkę skalną w niewielkiej odległości od końca kolumny. - Tam będzie najlepiej, tak sędzę!

- Wszystko jedno, tam czy gdzie indziej!

Kierowany przez jeźdźca gryf szybko przeniósł ich we wskazane miejsce. Rhonin natychmiast ześlizgnął się z jego grzbietu i pospieszył do brzegu półki, chcąc przyjrzeć się całej sytuacji.

To, co widział, zupełnie nie miało sensu.

Smok, który wcześniej wydawał się być gotowy do zaatakowania Nekrosa, teraz z trudem unosił się w powietrzu, rycząc głośno, jakby toczył właśnie potworną walkę z niewidocznym wrogiem. Czarodziej ponownie przyjrzał się orczemu dowódcy i zauważył, że trzymany przez niego przedmiot z każdą chwilą robił się coraz jaśniejszy.

Jakiś artefakt, i to tak potężny, że nawet Rhonin czuł jego emanację. Czarodziej patrzył to na przedmiot, to na szkarłatnego olbrzyma.

Jak orki utrzymywały kontrolę nad królową smoków? Takie pytanie Rhonin kiedyś sobie zadał... a teraz widział odpowiedź na własne oczy.

Szkarłatny smok walczył, z wysiłkiem większym niż człowiek potrafił sobie wyobrazić. Cała trójka słyszała jego ryki bólu, które świadczyły o cierpieniu, jakie znosiło przed nim niewiele istot.

Nagle, z ostatnim ochryplym krzykiem, behemot zwiotczał. Przez chwilę unosił się w powietrzu, po czym spadł na ziemię w pewnej odległości od pola bitwy.

- Zginął? - zapytała Vereesa.

- Nie wiem.

Nawet jeśli artefakt nie zabił smoka, z całą pewnością groził tym upadek z dużej wysokości. Mag odwrócił się, gdyż nie chciał patrzeć, jak tak nieustępliwa istota ginie, i nagle zobaczył kolejną potężną postać wydostającą się spomiędzy chmur, tym razem czarną.

- Skrzydła Śmierci - ostrzegł Rhonin pozostałych.

Czarny smok poleciał w stronę kolumny, lecz nie w kierunku Nekrosa czy dwóch uwięzionych smoków. Miast tego poleciał prosto do nieoczekiwanego celu - wozów z jajami.

Orczy wódz w końcu go zobaczył. Obracając się, Nekros uniósł artefakt w stronę Skrzydeł Śmierci, jednocześnie coś wykrzykując.

Rhonin wraz z pozostałą dwójką oczekiwał, że nawet czarny smok podda się potężnemu talizmanowi, jednak, co ciekawe, Skrzydła Śmierci zachowywał się tak, jakby nic mu się nie stało. Kontynuował lot w stronę wozów i, bez wątplenia, jaj.

Czarodziej nie mógł uwierzyć swym oczom.

- Nie obchodzi go Alexstrasza, żywa czy martwa! Chce jej - jej!

Skrzydła Śmierci uniósł dwa wozy z zadziwiającą delikatnością. Siedzące na nich orki natychmiast zeskoczyły. Zwierzęta pociągowe krzyczały z przerażenia, zwisając bezradnie na uprzężach, kiedy smok obrócił się i natychmiast odleciał.

Skrzydła Śmierci chciał mieć jaja w całości. Dlaczego? Na co przydadzą się samotnemu smokowi?

Rhonin uświadomił sobie, że właśnie odpowiedział na swoje pytanie. Skrzydła Śmierci chciał mieć jaja na własność. Wyklują się z nich smoki czerwone, lecz pod opieką mrocznego staną się równie złe jak on.

Być może Nekros również to sobie uświadomił, a może zareagował na kradzież, gdyż nagle obrócił się i krzyknął coś w stronę tyłu kolumny. Nadal unosił wysoko artefakt, lecz tym razem drugą ręką wskazywał w stronę znikającego olbrzyma.

Jeden z dwóch czerwonych lewiatanów, samiec, dość ostrożnie rozłożył skrzydła i ruszył w pościg. Rhonin nigdy nie widział smoka, który wyglądałby tak niezdrowo. Zdziwił się, że istota w ogóle była w stanie latać. Z pewnością Nekros nie myślał, że ten chory smok będzie w stanie dorównać młodszemu, pełnemu sił czarnemu?

Tymczasem orki i krasnoludy wciąż walczyły, jednak te ostatnie wydawały się być zdesperowane, rozczarowane. Wydawało się niemal, że wiązały swoje nadzieje z pierwszym czerwonym samcem. Jeśli tak, to Rhonin rozumiał ich brak nadziei.

- Nie rozumiem tego - odezwała się stojąca u jego boku Vereesa. - Dlaczego Krasus nie pomaga? Czarodziej powinien tutaj być! Przecież to dlatego krasnoludy atakują!

- Krasus! - W całym tym zgiełku Rhonin zapomniał o swoim patronie. W rzeczy samej, miał kilka pytań do czarodzieja bez twarzy. - Co on ma do tego?

Opowiedziała mu. Rhonin słuchał, wpierw ze zdziwieniem, później z rosnącą wściekłością. Tak, jak zaczynał już podejrzewać, został wykorzystany przez członka rady. I to nie tylko on, ale także Vereesa, Falstad i najwyraźniej rozpaczliwie walczące krasnoludy poniżej.

- Po zajęciu się smokiem wprowadził nas do wnętrza góry - zakończyła. - Wkrótce potem przestał się do mnie odzywać. - Elfka zdjęła medalion i pokazała go czarodziejowi.

Zadziwiająco przypominał ten, który Skrzydła Śmierci wcześniej dał Rhoninowi, łącznie z wzorami. Mag przypominał sobie, że zauważył go wcześniej, kiedy elfka i Falstad próbowali go uratować. Czy Krasus nauczył się od smoków, jak je robić?

W jakimś momencie kamień musiał oddzielić się od obudowy. Rhonin jednym palcem

wepchnął go na miejsce, po czym spojrział wściekle na klejnot, wyobrażając sobie, że jego patron może go usłyszeć.

- I co, Krasusie? Jesteś tam? Czy chcesz, żebyśmy jeszcze coś zrobili? Może powinniśmy dla ciebie zginąć?

Bez sensu. Nawet jeśli wcześniej medalion miał jakąś moc, ta już zniknęła. Poza tym Krasus nie trudziłby się z odpowiedzią, nawet gdyby było to możliwe. Rhonin uniósł wisior, gotów go wyrzucić.

Słaby głos w jego głowie zapytał - Rhonin?

Wściekły czarodziej zatrzymał się, zdziwiony, że w ogóle dostał odpowiedź.

Rhonin... chwała... niech będzie... może... wciąż... jest... nadzieja.

Towarzysze patrzyli na niego, nie wiedząc, co robi. Rhonin nic nie mówił, próbując się zastanowić. Krasus brzmiał, jakby był chory lub nawet umierał.

- Krasus! Czy jesteś...

Słuchaj! Muszę oszczędzać... siły. Widzę... widzę, że... możesz być w stanie to naprawić...

Mimo złych przeczuć, Rhonin zapytał - Czego chcesz?

Najpierw muszę cię sprowadzić do siebie.

Medalion nagle zapłonął, otaczając zaskoczonego czarodzieja czerwonym światłem.

Vereesa wyciągnęła do niego rękę.

- Rhonin!

Jej dłoń przeszła przez jego ramię. Patrzył przerażony, jak ona i Falstad... i cała półka... zniknęli.

Prawie natychmiast wokół niego zmaterializował się inny, kamienisty krajobraz, jałowe miejsce, które widziało zbyt wiele bitew, a teraz, w pewnej odległości, było świadkiem kolejnej. Krasus przeniósł go na zachód od góry, niezbyt daleko od miejsca, gdzie orki walczyły z krasnoludami. Nie myślał wcześniej, że czarodziej jest aż tak blisko. Myśląc o swoim zdradzieckim patronie, Rhonin obrócił się.

- Krasus! Niech cię, pokaż się, ty...

Odkrył, że patrzy w oko upadłemu olbrzymowi, temu samemu czerwonemu smokowi, który na oczach czarodzieja spadł z nieba zaledwie kilka chwil wcześniej. Smok leżał na boku, z jednym skrzydłem uniesionym w górę, a głową przyciśniętą do ziemi.

- Przyjmij moje... moje najszczerze przeprosiny, Rhoninie - powiedziała z pewnym trudem olbrzymia istota - za... za cały ból, jaki sprawiłem tobie i innym...

DWADZIEŚCIA

Tak prosto. Tak bardzo prosto. Kiedy Skrzydła Śmierci zawracał, by zabrać kolejne jaja, zastanawiał się, czy może nie przesadził w ocenie trudności swojego planu. Zawsze zakładał, że wejście do wnętrza góry w postaci swojej lub innej byłoby bardziej niebezpieczne, zwłaszcza gdyby Alexstrasza wyczuła jego obecność. Oczywiście, szansa, żeby został ranny, była naprawdę niewielka, ale orki mogłyby zniszczyć jaja, których tak bardzo pragnął. Bał się tego, zwłaszcza gdyby w którymś z jaj była zdolna do życia samica. Skrzydła Śmierci już dawno uznał, że nigdy nie uda mu się kontrolować Alexstraszy, więc potrzebował każdego jaja, które mógł dostać w swoje szpony, żeby zwiększyć szansę. To, bardziej niż cokolwiek innego, powodowało, że się wahał. Teraz jednak wydawało mu się, że tylko marnował czas na czekanie, gdyż nawet wcześniej nic nie mogło stanąć mu na drodze, tak jak nic nie stało mu na drodze teraz.

Poprawił się. Nic, oprócz chorego, trzęsącego się smoka, którego najlepsze lata już dawno minęły i który nawet teraz leciał na spotkanie przeznaczeniu.

- Tyran... - Skrzydła Śmierci nie miał zamiaru uhonorować przeciwnika przez podanie jego pełnego imienia. - Jeszcze żyjesz?

- Oddaj jaja! - wychrypiał szkarłatny behemot.

- Żeby mogły z nich wyrosnąć psy orków? Ja przynajmniej uczynię z nich prawdziwych władców świata! Smoki znów będą rządzić na niebie i ziemi!

Jego przeciwnik parsknął.

- A gdzie twoje stado, Skrzydła Śmierci? A, to ból sprawia, że zapominam! Całe zginęło dla twojej chwały! Czarny lewiatan zasyczał i szeroko rozłożył skrzydła.

- Chodź do mnie, Tyranie! Z chęcią poślę cię w zapomnienie!

- Na rozkaz orków czy nie, i tak będę walczył z tobą do ostatniego oddechu! - warknął Tyran, usiłując chwycić za gardło czarnego. Prawie mu się to udało.

- Odeślę cię do twych panów w krwawych kawałeczkach, stary głupcze!

Smoki ryczały na siebie, ryk Tyrana był słaby w porównaniu ze Skrzydłami Śmierci.

Zbliżyły się do walki.

* * *

Rhonin trwał ogłupiały.

- Krasus?!

Szkarłatny smok uniósł głowę na tyle, by nią skinąć.

- Tego imienia... używam, kiedy... kiedy jestem człowiekiem...

- Krasus... - Zaskoczenie zmieniło się w gorycz. - Zdradziłeś mnie i moich przyjaciół!
Zaaranżowałeś to wszystko! Zrobiłeś ze mnie marionetkę!

- Czego zawsze będę... żałował...

- Nie jesteś lepszy od Skrzydeł Śmierci! Słowa te sprawiły, że lewiatan skulił się, lecz ponownie skinął głową.

- Zasługuję na to. Może taką właśnie ścieżkę... przyjął wiele lat temu. T-tak łatwo nie rozumieć, co... co robi się innym...

Dźwięki odległej bitwy niosły się echem nawet tutaj, przypominając Rhoninowi o sprawach ważniejszych niż jego duma.

- Vereesa i Falstad wciąż tam są... i te krasnoludy! Wszyscy mogą przez ciebie zginąć!
Czemu mnie wezwałeś, Krasusie?

- P-ponieważ wciąż istnieje nadzieja, że odniesiesz zwycięstwo w chaosie... chaosie, który pomogłem stworzyć... - Smok próbował się podnieść, jednak udało mu się tylko usiąść.

- Ty i ja, Rhoninie... mamy szansę...

Czarodziej skrzywił się, ale nic nie powiedział. Pragnął jedynie, żeby Vereesa, Falstad i krasnoludy ze wzgórz przeżyły tę masakrę.

- Nie... nie odrzucasz mnie od razu... dobrze. Dziękuję ci za to.

- Powiedz mi tylko, co zamierzasz.

- Dowódca orków używa artefaktu... Duszy Demona. M-ma władzę nad wszystkimi smokami... oprócz Skrzydeł Śmierci.

Rhonin przypomniał sobie, jak Nekros próbował użyć go przeciw Skrzydłom Śmierci, bez rezultatu jednak.

- Dlaczego nie Skrzydła Śmierci?

- Ponieważ to on go stworzył - odpowiedział cichy, kobiecy głos.

Czarodziej obrócił się gwałtownie. Usłyszał, jak smok wciąga powietrze ze zdziwieniem.

Za czarodziejem stała piękna, choć eteryczna kobieta odziana w suknię ze szmaragdowego, lejącego się materiału. Na bladych wargach miała delikatny uśmiech. Rhonin dopiero dużo później uświadomił sobie, że oczy miała zamknięte, jednak nie sprawiało jej kłopotu zwracanie się w stronę jego czy smoka.

- Ysera... - wyszeptał czerwony olbrzym z szacunkiem. Nie zwróciła na niego uwagi, lecz dalej odpowiadała na pytanie Rhonina.

- To Skrzydła Śmierci stworzył Duszę Demona, w szlachetnym celu, jak wtedy

wierzyliśmy. - Postąpiła krok w stronę czarodzieja. - Wierzyliśmy tak mocno, że zrobiliśmy, co chciał i oddaliśmy talizmanowi część naszej mocy.

- Ale on nie oddał swojej, nie oddał swojej - wtrącił męski głos, piskliwy i nie do końca normalny. - Powiedz mu, Ysero! Powiedz mu, jak po pokonaniu demonów zwrócił się przeciwko nam! Wykorzystał naszą moc przeciwko nam!

Na potężnym kamieniu siedziała szkieletowa, nie całkiem ludzka postać o rozczochranych, niebieskich włosach i srebrnej skórze. Odziany w szatę z wysokim kołnierzem w tych dwóch kolorach, wyglądał jak szalony błazen. Jego oczy płonęły. Przypominające sztylety palce wbijały się w głaz, na którym siedział, żłobiąc w nim rysy.

- Usłyszysz to, co powinien usłyszeć, Malygosie. Nie mniej i nie więcej. - Znów się uśmiechnęła. Im dłużej Rhonin na nią patrzył, tym bardziej przypominała mu Vereesę... lecz Vereesę, o której kiedyś śnił. - Tak, Skrzydła Śmierci nie wspomniał nam o tym, a z pewnością udawał, że on również się poświęcił. Dopiero kiedy uznał, że jest przyszłością naszego gatunku, poznaliśmy straszną prawdę.

Rhonin w końcu uświadomił sobie, że Ysera i Malygos mówili o czarnym smoku, jakby był jednym z nich. Odwrócił głowę do czerwonego lewiatana, bezgłośnie pytając istotę, którą znał pod imieniem Krasus, czy jego podejrzenia byty prawdą.

- Tak... - odrzekł ranny smok. - Są tym, czym myślisz. Dwójką z pięciu wielkich smoków, zwanych w legendzie Aspektami świata. - Czerwony olbrzym wydawał się nabierać sił wraz z ich przybyciem. - Ysera... Śniąca. Malygos... Dłoń Magii...

- Tracimy tu czas - wyszeptał trzeci głos, znów męski. - Cenny czas...

- I Nozdormu... Pan Czasu! - zdziwił się czerwony smok. - Wszyscy przybyliście!

Okryta płaszczem postać zrobiona, zdawało się, z piasku, stanęła obok Ysery. Spod kaptura wyłaniała się twarz tak wysuszona, że ciało z trudem okrywało kość. Oczy z klejnotów patrzyły na smoka i czarodzieja z rosnącą złością.

- Tak, przybyliśmy! A jeśli to spotkanie zajmie więcej czasu, może i odejdę! Mam mnóstwo do zebrania, mnóstwo do sskatalogowania...

- Mnóstwo do gadania, mnóstwo do gadania! - przedrzeźniał z góry Malygos.

Nozdormu uniósł wysuszoną, lecz silną rękę na błazna, który machnął ostrymi paznokciami w stronę zakapturzonej postaci. Obaj wydawali się gotowi do walki, fizycznej i nie tylko, lecz stanęła między nimi eteryczna kobieta.

- I dlatego Skrzydła Śmierci prawie zatriumfował - szepnęła.

Obaj niechętnie się wycofali. Ysera obróciła się tak, żeby stanąć twarzą do wszystkich. Wciąż miała zamknięte oczy.

- Skrzydła Śmierci już raz nas prawie pokonał, lecz zjednoczyliśmy się i sprawiliśmy, że przynajmniej nie mógł posługiwać się Duszą Demona. Wyrwaliśmy mu jaz ręki i wrzuciliśmy w trzewia ziemi...

- Ale ktoś znalazł jądła niego - wtrącił się czerwony smok, przychodząc do siebie. Najwyraźniej powróciła mu nadzieja. - Wydaje mi się, że mógł nawet doprowadzić orki do artefaktu, wiedząc, co zrobią, kiedy już go dostaną. Jeśli sam nie mógł go używać, z pewnością mógł zmanipulować innych, żeby używali go do jego celów... nawet jeśli sobie tego nie uświadamiają. Myślę, że odpowiadało mu, kiedy Alexstrasza została uwięziona, nie tylko dlatego, że pozostawała jedyną siłą, której się bał, ale również dlatego, że pomagała Hordzie wywoływać chaos w świecie, czego pragnął mroczny. Teraz... teraz, kiedy widzi, że Horda go zawiodła, lepiej dla niego, że orki ją wywożą.

- Nie ją - poprawiła Ysera. - Jej jaja.

- Jej jaja! - wyrzucił z siebie smok znany jako Krasus. - Nie moją królową?

- Tak, jej jaja. Wiesz, że ostatnia z jego małżonek zginęła w pierwszych dniach wojny - odrzekła. - Zabita przez jego własną lekkomyślność... więc teraz wychowa potomstwo naszej siostry jako swoje.

- By rozpocząć nową Erę Sssmoków... - splunął Nozdormu. - Erę Sssmoków Ssskrzydeł Śmierci!

Nagle Rhonin zauważył, że cała czwórka wpatruje się w niego, nawet Ysera z zamkniętymi oczyma.

- Nie możemy dotknąć Duszy Demona, człowieku, a ponieważ jesteśmy nieufni, nigdy nie pozwoliliśmy innej istocie używać jej za nas. Chyba wiem, czego biedny Korialstrasz pragnął od ciebie tak bardzo, że aż oderwał cię od twoich przyjaciół, ale choć jest to najlepsze wyjście, nie on będzie walczył ze Skrzydłami Śmierci.

- To mój obowiązek - zaryczał czerwony. - Moja pokuta!

- Byłoby to marnotrawstwo. Jesteś zbyt wrażliwy na dysk. Zresztą jesteś potrzebny z innych powodów. Tyran, który walczy teraz dla swojej królowej i swoich panów, nie przeżyje. Alexstrasza będzie cię potrzebować, drogi Korialu.

- Poza tym Skrzydła Śmierci jest naszym bratem - śmiał się Malygos. - Więc to my powinniśmy się nim pobawić, powinniśmy się nim pobawić!

- Co chcecie, żebym zrobił? - zapytał Rhonin, pełen entuzjazmu, a jednocześnie przestraszony. On sam najbardziej pragnął powrócić do Vereesy.

Ysera stanęła przed nim... i otworzyła oczy. Przez krótką chwilę człowiekowi zakręciło się w głowie. Te senne oczy, które spoglądały na niego, przypominały mu każdego,

kogo kiedykolwiek znał, kochał czy nienawidził.

- Ty, śmiertelniku, musisz zabrać orkowi Duszę Demona. Bez dysku nie będzie mógł z nami zrobić tego, co z naszą siostrą, a zabierając go, być może będziesz mógł ją uwolnić spod jego kontroli.

- Ale to nie pomoże na Skrzydła Śmierci - nalegał Korialstrasz. - A z powodu przeklętego dysku jest silniejszy niż wy wszyscy razem...

- Fakt, który wszyscy znamy - zasyczał Nozdormu. - Ty też, kiedy przyszedłeś do nas! To już nas masz! Musisz ci to wystarczyć! - Spojrzał na swoich dwoje towarzyszy. - Koniec gadania! Zajmijmy się tym!

Ysera, ponownie zamknąwszy oczy, zwróciła się do smoka.

- Musisz zrobić jedną rzecz, Korialstrasz, i wymaga ona ryzyka. Tego człowieka nie można po prostu przenieść magicznie między orki. Dusza Demona sprawia, że jest to ryzykowne, istnieje też możliwość, że znajdzie się prosto pod toporem. Miast tego musisz go tam zanieść, i módl się, żeby w ciągu tych kilku chwil, kiedy będziesz blisko, ork nie związał cię przeklętym dyskiem. - Podeszła do leżącego smoka, dotknęła jego pyska. - Nie jesteś jednym z nas, nawet jeśli jesteś jej małżonkiem, Korialstrasz, jednak walczyłeś z głodną Duszą Demona i uciekłeś przed nią...

- Ciężko pracowałem, żeby to osiągnąć, Ysero. Myślałem, że moje zaklęcia ochronne są mocniejsze, ale w końcu przegrałem.

- Możemy zrobić to dla ciebie. - Nagle Malygos i Nozdormu stanęli obok niej. Cała trójka lewymi dłońmi dotykała pyska smoka. - Dusza Demona odebrała nam tyle mocy, że ta odrobinka niewiele znaczy...

Wokół uniesionych dłoni trójki utworzyły się aury, każda w kolorze przypominającym istotę, od której pochodziła. Trzy aury połączyły się i szybko przepłynęły od Aspektów do pyska smoka i dalej. W ciągu kilku chwil całą potężną postać Korialstrasza otoczyła moc.

Ysera i pozostali w końcu się wycofali. Szkarłatny behemot zamrugnął i wstał.

- Czuję się... odnowiony!

- Będziesz tego potrzebował - stwierdziła. Do swoich towarzyszy powiedziała - Musimy zająć się naszym błędzącym bratem.

- Najwyższy czas! - warknął Nozdormu.

Nie mówiąc ni słowa więcej do Rhonina czy czerwonego smoka, odwrócili się w stronę odległego czarnego lewiatana. Jak jeden mąż, trójka rozłożyła szeroko ręce... a ich ramiona stały się skrzydłami, które rozrastały się coraz bardziej. W tym samym czasie ich ciała poszerzyły się i powiększyły. Zniknęły ubrania, zastąpione przez łuski. Ich twarze

wydłużyły się, wyostrzyły, wszystkie ludzkie cechy przekształciły się w smocze.

Trzy olbrzymie smoki uniosły się w powietrze. Był to widok tak wspaniały, że czarodziej mógł się tylko przyglądać.

- Modłę się, żeby to wystarczyło - wyszeptał Korialstrasz. - Ale obawiam się, że tak nie będzie. - Spojrzał w dół na małą postać obok niego. - Co powiesz, Rhoninie? Czy zrobisz tak, jak pragną?

Dla samej Vereesy by się zgodził.

- W porządku.

* * *

Dla Tyrana walka skończyła się szybko, a wraz z nią jego życie. Skrzydła Śmierci ryczał triumfalnie, ściskając bezwładne ciało smoka. Krew wciąż sączyła się z kilkunastu głębokich ran - w większości na piersi czerwonego - zaś łapy Tyrana pokrywały oparzenia, efekt dotknięcia kwaśnego jadu, który spływał z ognistych żył na ciele czarnego. Nikt, kto dotknął Skrzydeł Śmierci, nie unikał cierpienia.

Mroczny ponownie zaryczał, po czym wypuścił martwe ciało. Tak naprawdę to oddał przysługę choremu czerwonemu. Czyż nie cierpiałby bardziej, gdyby zmuszono go do życia z chorobą? Skrzydła Śmierci zapewnił mu zejście godne wojownika, nawet jeśli bitwa była łatwa.

Zaryczał po raz trzeci, chcąc, żeby wszyscy usłyszeli o jego zwycięstwie...

... i odkrył, że z zachodu również rozbrzmiewają ryki.

- Jaki głupiec się odważył? - syknął. Niejeden głupiec, zobaczył od razu Skrzydła Śmierci, lecz trójka. I to nie zwyczajna trójka.

- Ysssera... - powitał ich zimno. - I Nozdormu, i mój drogi przyjaciel Małygoss...

- Czas skończyć z twoim szaleństwem, bracie - stwierdziła spokojnie smukła zielona smoczyca.

- Nie jestem twoim bratem w niczym, Ysero. Otwórz oczy na ten fakt i zdaj sobie sprawę, że nic nie powstrzyma mnie przed rozpoczęciem nowej ery dla naszego rodzaju!

- Chodzi ci tylko o erę, w której będziesz władał, o nic więcej.

Czarny pochylił głowę.

- Dla mnie to jedno i to samo. Lepiej wracaj do snu. A ty, Nozdormu? W końcu wyjąłeś głowę z piasku? Nie przypominasz sobie, kto jest tu najmocniejszy? Nawet was troje nie wystarczy!

- Twój czas minął! - splunął błyszczący brązowy lewiatan. Oczy z klejnotów

płoneży. - Chodź! Zajmij miejscssce w mojej kolekcji rzeczy, które już przeminęły...

Skrzydła Śmierci prychnął.

- A ty, Malygosie? Czy nie masz nic do powiedzenia staremu towarzyszowi?

W odpowiedzi mroźna, srebrno-błękitna bestia szeroko otworzyła paszczę. Wystrzelił z niej strumień lodu, otaczając Skrzydła Śmierci z niezwykłą dokładnością. Kiedy jednak lód dotknął przerażającego smoka, przekształcił się, zmieniając się w tysiące tysięcy malutkich, przypominających kraby istotek, które próbowały wgryzać się w łuski i ciało nosiciela.

Skrzydła Śmierci zasyczał, a z karmazynowych żył wypłynął kwas. Stwory Malygosa ginęły setkami, aż pozostało ich tylko kilka.

Wprawnie używając dwóch pazurów, czarny smok uchwycił jedną z pozostałych istotek, po czym połknął ją w całości. Uśmiechnął się do przeciwników, ukazując ostre zęby.

- A więc to tak ma być...

Z potężnym rykiem rzucił się na nich.

* * *

- Nie pokonają go! - szeptał Korialstrasz, kiedy wraz z Rhoninem zbliżał się do oblężonej kolumny orków. - Nie mogą!

- Więc po co to w ogóle robią?

- Ponieważ wiedzą, że czas się przeciwstawić, niezależnie od wyniku! Wolą odejść z tego świata, niż patrzeć, jak ginie w strasliwym uścisku Skrzydeł Śmierci!

- Nie możemy im w jakiś sposób pomóc?

Milczenie smoka było odpowiedzią.

Rhonin patrzył na orki przed nimi, myśląc o własnej śmiertelności. Nawet jeśli uda mu się odebrać artefakt Nekrosowi, jak długo go utrzyma? W rzeczy samej, co mu to da? Czy będzie umiał się nim posługiwać?

- Kras... Korialstrasz, dysk ma w sobie moc wielkich smoków, prawda?

- Wszystkich, za wyjątkiem Skrzydeł Śmierci, dlatego moc dysku nie ma na niego wpływu.

- Ale nie może go sam używać ze względu na jakieś zaklęcie, które rzucili inni?

- Na to wygląda... - Smok skrzywił się.

- Jak myślisz, co może zrobić dysk?

- Wiele rzeczy, ale żadna z nich nie jest w stanie bezpośrednio czy pośrednio wpłynąć na mrocznego. Rhonin skrzywił się.

- Jak to możliwe?

- Jak długo zajmowałaś się magią, przyjacielu?

Czarodziej zachmurzył się. Ze wszystkich sztuk, magia była jedną z najbardziej sprzecznych, rządziła się własnymi prawami, które w najlepszym wypadku były niestabilne.

- Punkt dla ciebie.

- Wielcy się zdecydowali, Rhoninie! Mając szansę wzięcia Duszy Demona, nie tylko uwolnisz moją królową, która bez wątplenia podaży im na pomoc, lecz również zyskasz możliwość zgniecenia resztek Hordy! Dusza Demona może tego dokonać, jeśli nauczysz się nią posługiwać.

Nawet się nad tym nie zastanawiał, ale oczywiście taki artefakt dobrze posłużyłby mu przeciwko orkom.

- Za długo zajmie mi nauczanie się, jak się nią posługiwać!

- Orki nie miały chętnych nauczycieli! Nie jestem jednym z piątki, ale mogę pokazać ci wiele, tak sądzę!

- Zakładając, że obaj przeżyjemy... - szepnął mag do siebie.

- O tak. - Najwyraźniej smoki miały wyjątkowy słuch. - O, tutaj jest nasz ork! Bądź gotów!

Rhonin przygotował się. Korialstrasz nie odważył się zbliżyć do Nekrosa, gdyż obawiał się, że padnie ofiarą Duszy Demona, co znaczyło, że mimo talizmanu czarodziej musiał użyć magii, żeby dostać się do dowódcy. Rhonin wiele razy rzucał zaklęcia w gorączce bitwy, lecz nic wcześniej nie przygotowało go do takiego wysiłku. Smok mógł próbować, lecz w pobliżu dysku jego magia była mniej wiarygodna niż magia czarodzieja.

- Przygotuj się... Korialstrasz opadł niżej.

- Teraz!

Rhonin wyrzucił z siebie słowa zaklęcia... i nagle płynął w powietrzu, prosto na jeden z wozów. Kierujący nim ork popatrzył w górę, a kiedy zobaczył czarodzieja, szeroko otworzył usta.

Rhonin spadł na niego. Zderzenie złagodziło upadek czarodzieja, lecz nie pomogło orkowi. Rhonin odepchnął nieprzytomnego woźnicę na bok i rozejrzał się w poszukiwaniu Nekrosa.

Jednonogi dowódca pozostał na grzbiecie konia, wpatrując się w zawracającego Korialstrasza. Uniósł wysoko błyszczącą Duszę Demona...

- Nekrosie! - zawołał Rhonin.

Ork spojrział w jego stronę, o co zresztą chodziło czarodziejowi. Teraz smok znalazł się poza zasięgiem Nekrosa.

- Człowieku! Czarodzieju! Jesteś martwy! - Jego ciężkie czoło zmarszczyło się, a grube rysy stężały. - No... zaraz będziesz!

Skierował artefakt w stronę Rhonina.

Czarodziej szybko postawił tarczę, z nadzieją, że cokolwiek Nekros na niego rzucił, nie będzie tak straszne jak płomień golema. Wielkie smoki nie uznały za konieczne dodać mu sił, jak zrobiły to z Korialstraszem, ale z drugiej strony czerwony behemot prawie się załamał, a oni potrzebowali reszty mocy do walki ze Skrzydłami Śmierci. Cała nadzieja Rhonina leżała w jego już nieco osłabionych możliwościach.

Olbrzymia dłoń, dłoń z płomieni, sięgnęła w jego stronę, próbując otoczyć maga. Zaklęcie Rhonina wytrzymało jednak i dłoń, odbiwszy się od ledwo widocznej tarczy, otoczyła orczego wojownika, który miał właśnie skrócić o głowę krasnoluda. Ork wydał jeszcze krótki krzyk i upadł na ziemię, płonąc.

- Twoje sztuczki nie uratują cię przed śmiercią! - zaryczał Nekros.

Ziemia pod wozem zaczęła się trząść i pękać. Rhonin uskoczył w bok w chwili, kiedy wóz i ciągnące go zwierzęta zaczęły się zapadać w dziurę, która uformowała się pod wozem. Zaklęcie tarczy rozplynęło się, a mag został zupełnie bez ochrony, trzymając się tego, co pozostało z drogi. Nekros zbliżył swojego wierzchowca.

- Cokolwiek się dziś wydarzy, przynajmniej się ciebie pozbędę!

Rhonin wypowiedział krótkie, proste zaklęcie. Pojedyncza grudka ziemi poleciała w twarz orka i pozostała tam mimo prób jej oderwania. Przeklinając głośno, Nekros próbował coś zobaczyć.

Czarodziej podniósł się i skoczył na orka.

Nie do końca mu się to udało. Chwycił rękę, która trzymała Duszę Demona, ale nie był w stanie podnieść się wyżej. Nekros wciąż był oślepiiony, lecz mimo to chwycił Rhonina za kołnierz, próbując umieścić jedną ciężką rękę na szyi maga.

- Zabiję cię, ludzki śmieciu!

Szyję Rhonina otoczyły palce. Próbując z jednej strony wyrwać talizman, a z drugiej uratować życie, Rhonin nie osiągnął żadnego z tych celów. Nekros zaczął wyciskać z niego dech, niewiarygodna siła orka nie dawała mu szans. Rhonin zaczął wypowiadać zaklęcie...

Obok Nekrosa przeleciała nagle jakaś skrzydlata istota. Coś wylądowało na plecach orka, zrzucając go i czarodzieja z grzbietu konia na twardą ziemię.

Uderzyli mocno. Morderczy chwyt na gardle Rhonina zniknął, gdy obaj polecili w przeciwnych kierunkach. Ktoś chwycił zamroczonego maga za ramiona.

- Wstawaj, Rhoninie, zanim się ocknie!

- Vereesa? - Patrzył w jej uderzająco piękną twarz, zdziwiony i ucieszony, że ją widzi.
- Widzieliśmy, jak smok opada z nieba, a ty przenosisz się w bezpieczne miejsce!

Przybyliśmy jak najszybciej, myśląc, że możesz potrzebować pomocy!

- Falstad? - Czarodziej spojrział w górę i zobaczył jeźdźca gryfów krążącego nad nimi na grzbiecie swojej bestii. Falstad nie miał broni, ale ryczał, jakby wyzywając każdego orka w kolumnie, żeby mu się przeciwstawił.

- Prędko! - zawołała łowczyni. - Musimy się stąd wydostać!

- Nie! - Cofnął się niechętnie. - Nie, dopóki... uważaj!

Odepchnął ją na bok tuż przed tym, jak potężny topór przeciąłby ją na pół. Przysadzisty ork z rytualnymi bliznami na policzkach ponownie uniósł topór, znów koncentrując się na Vereesie, która upadła na ziemię.

Rhonin machnął ręką. Rękojeść topora nagle się rozciągnęła i zaczęła wić, jakby była wężem. Ork próbował ją opanować, lecz nagle zobaczył, że broń owija się wokół niego. Zdjęty przerażeniem, wypuścił ją i kiedy udało mu się uwolnić od ożywionej broni, uciekł.

Czarodziej chciał podać rękę swojej towarzysze...

... lecz upadł na ziemię, uderzony pięścią w plecy.

- Gdzie ona jest? - ryczał Nekros Miażdzący Czaszki. - Gdzie jest Dusza Demona!

Przez chwilę zamroczony, Rhonin nie bardzo rozumiał orka. Przecież Nekros miał talizman...

Czuł przeszywający nacisk na plecach. Słyszał, jak Nekros mówi - Zostań tam, gdzie jesteś, elfko! Wystarczy, że pochylę się trochę bardziej i zgmiotę twojego przyjaciela jak kawałek owocu! - Rhonin czuł zimny metal na policzku. - Żadnych sztuczek, magu! Oddaj mi dysk, a może pozwolę ci żyć!

Nekros pozostawił mu na tyle swobodę ruchu, że Rhonin widział orka kątem oka. Dowódca umieścił drewnianą nogę na kręgosłupie czarodzieja i Rhonin był pewien, że dodatkowy nacisk złamałby go.

- N-nie mam jej! - Ciężar potężnego ciała prawie uniemożliwiał mu oddychanie, nie wspominając już o mówieniu. - Nawet nie wiem, g-gdzie jest!

- Nie mam cierpliwości do twoich kłamstw, człowieku! -Nekros popchnął odrobinę mocniej. Rozpacz zabarwiła jego arogancki ton. - Potrzebuję jej teraz!

- Nekrosss... - przerwał mu grzmiący, wypełniony nienawiścią głos. - Kazałeś im zabić moje dzieci! Moje dzieci!

Rhonin poczuł, że ork nagle się przesunął, jakby się obracał. Nekros krzyknął - Nie!

Cień spowił Rhonina i jego przeciwnika. Gorący, niemal parzący wiatr otoczył maga.

Usłyszał, jak Nekros Miażdżący Czaszki krzyczy...

... i nagle ciężar orka przestał przygniatać jego plecy.

Rhonin natychmiast przeturlał się, pewien, że ktokolwiek zaatakował jego wroga, teraz zajmie się nim. Vereesa przysłała mu na pomoc, podnosząc go na nogi. W tym momencie mag uświadomił sobie, skąd wziął się ten wielki cień i dlaczego głos wydawał mu się znajomy.

Królowa smoków Alexstrasza, mimo wiszących luźno łusek i niewygodnie zgiętych skrzydeł, nadal stanowiła wspaniały widok. Unosiła się nad wszystkim wokół, głowę skierowała w niebo i ryczała wyzywająco. Rhonin nie widział Nekrosa. Smoczyca albo połknęła go w całości, albo odrzuciła gdzieś daleko.

Alexstrasza zaryczała ponownie, po czym opuściła głowę w stronę czarodzieja i elfki. Vereesa wydawała się gotowa bronić, jednak Rhonin gestem nakazał jej opuścić miecz.

- Człowieku, elfko, będę wam dozgonnie wdzięczna za umożliwienie mi pomszczenia moich dzieci! Teraz jednak inni oczekują mojej pomocy, choćby nawet okazała się bardzo mała!

Spojrzała w górę, gdzie walczyło czworo tytanów. Rhonin spojrzał za nią i przyglądał się przez chwilę, jak Ysera, Nozdormu i Malygos walczą ze Skrzydłami Śmierci, najwyraźniej bez rezultatu. Raz po raz smoki rzucały się na niego, lecz za każdym razem czarny potwór bez trudu je odpychał.

- Troje przeciwko jednemu i nie mogą nic zrobić? Alexstrasza, już sprawdzająca skrzydła przed odlotem, przerwała, żeby mu odpowiedzieć.

- Z powodu Duszy Demona mamy mniej niż połowę mocy! Tylko Skrzydła Śmierci dysponuje całą mocą! Gdyby można było ją wykorzystać przeciwko niemu lub gdybyśmy mogli odzyskać moc, którą jej oddaliśmy... ale to nie jest możliwe! Możemy tylko walczyć i mieć nadzieję! - Ryk z góry aż zatrzęsł ziemią. - Muszę już ruszać! Wybaczcie mi, że tak was zostawiam! Dziękuję raz jeszcze!

Mówiąc te słowa, królowa smoków uniosła się w powietrze, jej ogon niedbale odepchnął otaczające ją orki, jednocześnie omijając walczone krasnoludy.

- Musi być jakaś możliwość! - Rhonin rozejrzał się wokół za Duszą Demona. Musiała gdzieś tam być.

- Nieważne! - zawołała Vereesa. Sparowała atak toporem i przebiła orczego wojownika. - Musimy się uratować!

Rhonin jednak nadal szukał, mimo szalejącej bitwy. Nagle jego spojrzenie spoczęło na błyszczącym przedmiocie częściowo przykrytym przez ramię martwego krasnoluda.

Czarodziej podbiegł do niego, mając nadzieję wbrew rozsądkowi.

Oczywiście był to smoczy artefakt. Rhonin przyglądał mu się z nieukrywany podziwem. Tak prosty i elegancki, a jednak zawierał moce przerastające moce jakiegokolwiek czarodzieja, może za wyjątkiem niesławnego Medivha. Tak wiele mocy. Mając go, Nekros mógł zostać głównym wodzem Hordy. Mając go, Rhonin mógł zostać mistrzem Dalaranu, cesarzem całego Lordaeron...

O czym myślał? Rhonin potrząsnął głową, rozpraszając takie myśli. Dusza Demona miała w sobie coś uwodzicielskiego, na co musiał uważać.

Falstad, siedzący na gryfie, przyłączył się do nich. Gdzieś po drodze udało mu się zdobyć orczy topór, który najwyraźniej dobrze wykorzystywał.

- Czarodzieju! Co cię martwi? Rom i jego ludzie może i pogonili orki, ale to nie miejsce, żeby stać i gapić się na błyskotki!

Rhonin zignorował go, podobnie jak Vereesa. Klucz do pokonania Skrzydeł Śmierci wiązał się w jakiś sposób z Duszą Demona! Jaka inna moc mogła tego dokonać? Nawet cztery wielkie smoki nie wystarczyły.

Uniósł artefakt, wyczuwając jego potężną moc i wiedząc, że nie jest w stanie pomóc, przynajmniej w obecnej formie.

Co oznaczało, że nic, nic nie powstrzyma Skrzydeł Śmierci przed osiągnięciem swoich celów.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Rzucili przeciwko niemu całą swoją moc - a właściwie to, co z niej pozostało. Atakowali Skrzydła Śmierci fizycznie i magicznie, lecz on odpierał wszelkie ataki. Walczyli z całych sił, ale mimo to, ze względu na Duszę Demona, w porównaniu z czarnym lewiatanem pozostałe Aspekty były słabe jak dzieci.

Nozdormu rzucił przeciwko niemu piasek wieków, grożąc, przynajmniej przez chwilę, że zabierze Skrzydłom Śmierci jego młodość. Czarny smok czuł, jak ogarnia go słabość, kości sztywnieją, a myśli spowalniają. Zmiana jednak nie zdążyła się utrwalić, surowa moc wewnątrz chaotycznego smoka zapłonęła mocniej, wypalając piach i przebiegłe zaklęcie.

Malygos zastosował prostszy atak, a szaleńcza wściekłość pozwoliła mu prawie dorównać Skrzydłom Śmierci, choć tylko na chwilę. Sople błyskawic zaatakowały znieawidzonego wroga Malygosa ze wszystkich stron, ogromne gorąco i obezwładniające zimno jednocześnie napierały na Skrzydła Śmierci. Zaczarowane metalowe płyty na skórze czarnego odbiły szalejącą burzę prawie w całości, a Skrzydła Śmierci spokojnie przetrwał to, co pozostało.

Z nich wszystkich najbardziej przebiegłym i niebezpiecznym wrogiem okazała się Ysera. Z początku trzymała się z tyłu, najwyraźniej pozwalając towarzyszom wysilać się na próżno. Wówczas Skrzydła Śmierci zauważył w sobie zadowolenie, usatysfakcjonowanie, które zaczęło go rozpraszać. Niemal za późno uświadomił sobie, że zaczął śnić na jawie. Potrząsając głową, szybko pozbył się ze swego umysłu rzuconej przez nią pajęczyny... w chwili, kiedy cała trójka miała go rozszarpać.

Kilkoma uderzeniami potężnych skrzydeł wydostał się z ich uchwytu, po czym odpowiedział kontratakami. Między jego przednimi łapami utworzyła się ogromna kula czystej energii, pierwotnej mocy, którą rzucił pomiędzy nich.

Kula wybuchła, kiedy dotarła do trójki, a Ysera i pozostali polecili do tyłu. Skrzydła Śmierci zaryczał wyzywająco.

- Głupcy! Rzucajcie we mnie wszystkim, czym możecie! Wynik będzie taki sam! Jestem wcieleniem mocy! Jesteście tylko cieniami z przeszłości!

- Nigdy nie lekceważ tego, czego możesz nauczyć się od przeszłości, mroczny...

Jego pole widzenia wypełnił szkarłatny cień, którego Skrzydła Śmierci nie spodziewał się już nigdy zobaczyć na niebie. Nawet on był zaskoczony.

- Alexstrasza... przybyłaś pomścić małżonka?

- Przybyłam pomścić małżonka i dzieci, gdyż dobrze wiem, że wszystko to wydarzyło się z twojej winy!

- Mojej? - Czarny behemot wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ja nawet nie mogę dotknąć Duszy Demona, ty i pozostali o to zadbaliście!

- Coś jednak doprowadziło orki w miejsce, o którym wiedziały tylko smoki, i coś powiedziało im o mocy dysku! A czy to ma znaczenie? Twój dzień minął, Alexstraszo, a mój dopiero nadchodzi!

Czerwona smoczyca szeroko rozłożyła skrzydła i pokazała pazury. Mimo lat uwięzienia nie wyglądała wcale na osłabioną.

- To twój dzień minął, mroczny!

- Przeciwwstawiłem się zniszczeniom czasu, przekleństwu koszmarów i mgłom magii, którymi atakowali inni! Jaką broń przynosisz?

Alexstrasza przeciwstawiła jego złowieszczemu spojrzeniu swoje zdeterminowane, nie mrugające oczy.

- Życie... nadzieję... i wszystko, co z nimi związane...

Skrzydła Śmierci przyjął jej słowa... i roześmiał się na głos.

- W takim razie już jesteś martwa!

Dwa olbrzymy rzuciły się na siebie.

* * *

- Nie może go pokonać - szepnął Rhonin. - Żaden z nich nie może, ponieważ brakuje im tego, co zabrał im ten przeklęty artefakt!

- Jeśli nie możemy nic zrobić, musimy odejść, Rhoninie.

- Nie mogę, Vereeso! Muszę zrobić coś dla niej... dla nas wszystkich! Jeśli oni nie powstrzymają Skrzydeł Śmierci, to kto to zrobi?

Falstad spojrział na Duszę Demona.

- Czy nie możesz nic z tym zrobić?

- Nie, nie jest w stanie w żaden sposób zaszkodzić Skrzydłom Śmierci.

Krasnolud potarł brodę.

- Szkoda, że nie można oddać im magii, którą ukradła ta rzecz! Wtedy przynajmniej mogliby z nim walczyć jak równy z równym.

Czarodziej potrząsnął głową.

- Nie może być... - przerwał, próbując się zastanowić. Ze złamanym palcem, pulsującą głową i siniakami na całym ciele, z trudem w ogóle utrzymywał się na nogach. Rhonin

skoncentrował się na tym, co powiedział właśnie jeździec gryfów. - Z drugiej strony, może tak!

Towarzysze patrzyli na niego zadziwieni. Rhonin szybko rozejrzał się na boki, żeby upewnić się, że nie grozi im niebezpieczeństwo ze strony orków, po czym wziął najtwardszy kamień, jaki udało mu się znaleźć.

- Co robisz? - zapytała Vereesa. Jej głos brzmiał, jakby zastanawiała się, czy przypadkiem nie stracił rozumu.

- Oddaję im ich moc! - Położył Duszę Demona na innym kamieniu, po czym uniósł wysoko ten, który miał w ręce.

- Co, na płomienie, sobie myślisz... - udało się powiedzieć Falstadowi.

Rhonin z całych sił uderzył kamieniem w dysk.

Kamień pękł na dwie części. Dusza Demona błyszczała, uderzenie nie zostawiło nawet śladu.

- Przekleństwo! Powinienem być się domyślić! - Spojrzał w górę na krasnoluda. - Czy potrafisz tym machać z jakąś celnością?

Falstad wyglądał na obrażonego.

- Może ten topór to poślednia orcza robota, ale nadaje się do użytku i mogę nim machać równie dobrze jak każdym innym!

- Wypróbuj go na dysku! Teraz!

Łowczyni z troską położyła dłoń na ramieniu czarodzieja.

- Rhoninie, myślisz, że to zadziała?

- Znam zaklęcie, które przywróci im moc, odmianę tego, którego mój zakon używa do pobierania mocy z innych artefaktów. Konieczne jest niestety, żeby rzeczony przedmiot został zniszczony, a siły wiążące w nim magię przestały istnieć. Mogę oddać smokom to, co straciły, ale tylko jeśli otworzę Duszę Demona.

- A więc to dlatego? - Falstad uniósł topór. - Cofnij się, czarodzieju! Chcesz mieć dwie równe części czy mnóstwo małych kawałków?

- Po prostu to zniszcz!

- Prosta sprawa... - Krasnolud wziął głęboki oddech, uniósł wysoko topór i zamachnął się tak mocno, że Rhonin widział, jak natężają się mięśnie jego towarzysza.

Topór trafił...

Poleciały kawałki metalu.

- Na Aerie! Ostrze! Jest całkiem zniszczone!

Wielka szczyrba na krawędzi była dowodem na twardą powierzchnię Duszy Demona. Falstad wyrzucił topór z niesmakiem, przeklinając kiepską orczą robotę.

Rhonin jednak wiedział, że nie była to wina topora.

- Jest gorzej, niż myślałem!

- Musi go chronić magia - szepnęła Vereesa. - Czy magia nie może go także zniszczyć?

- Musiałoby to być coś bardzo potężnego. Sama moja magia nie wystarczyłaby, ale gdybym miał inny talizman... - Przypomnił sobie medalion, który Krasus... a raczej Korialstrasz... dał Vereesie, ale nie, zostawił go, kiedy razem z czerwonym smokiem wrócił na pole bitwy. Poza tym Rhonin wątpił, czy medalion wystarczyłby. Lepiej gdyby miał coś należącego do samego czarnego lewiatana, ale tamten medalion zginął we wnętrzu góry...

Ale przecież wciąż miał kamień! Klejnot stworzony z jednej z łusek Skrzydeł Śmierci!

- Musi zadziałać! - wykrzyknął, sięgając do sakiewki.

- Co masz? - zapytał Falstad.

- To! - Wyjął niewielki kamień, który nie wywarł zbyt dużego wrażenia na pozostałej dwójce. - Skrzydła Śmierci stworzył to z samego siebie, podobnie jak stworzył Duszę Demona ze swojej magii! Może dokonać tego, co nie udało się niczemu innemu!

Dwoje wojowników przyglądało się, jak Rhonin przybliży kamień do dysku. Rhonin zastanawiał się, jak najlepiej go użyć, i uznał, że wykorzysta podstawową zasadę swojej sztuki - najpierw spróbować najprostszej metody.

Czarny klejnot wydawał się połyskiwać w jego uścisku. Czarodziej obrócił go najostrzejszą krawędzią w stronę dysku. Wiedział, że jego plan może nie zadziałać, lecz nie miał innego wyjścia.

Z ogromną ostrożnością przeciągnął kamieniem przez środek przeklętego talizmanu.

Łuska Skrzydeł Śmierci przecięła utwardzoną, złotą, zewnętrzną część Duszy Demona jak nóż masło.

- Uważaj! - Vereesa odciągnęła go w ostatniej chwili, gdyż z cięcia wytrysnął strumień czystego światła.

Rhonin poczuł, jak potężna magiczna energia ucieka ze zniszczonego talizmanu, i wiedział, że musi działać szybko, gdyż inaczej będzie stracona na zawsze dla tych, do których naprawdę należała.

Wyszeptał zaklęcie, dopasowując je tak, jak uznał za konieczne. Zmęczony mag skoncentrował się, gdyż nie chciał ryzykować jakiegoś błędu w tak krytycznym momencie. Musiało zadziałać.

Fantastyczna, połyskliwa tęcza unosiła się coraz wyżej i wyżej w niebo. Rhonin powtórzył zaklęcie, podkreślając, jakich efektów pragnął.

Niemalże oślepiająca tęcza, teraz wysoka na setki stóp, obróciła się i podążyła w stronę walczących smoków.

- Udało ci się? - zapytała łowczyni, z trudem łapiąc oddech.

Rhonin patrzył na odległe sylwetki Alexstraszy, Skrzydła Śmierci i innych.

- Tak sędzę... mam nadzieję...

* * *

- Czy nie przesłaś już wystarczająco dużo? Czy wciąż będziesz walczyć z tym, czego nie jesteś w stanie pokonać? -Skrzydła Śmierci patrzył na swoich wrogów z absolutną pogardą. Ta resztką szacunku, którą miał dla nich, dawno zginęła. Głupcy nie przestawali walić głową w przysłowiową ścianę, choć wiedzieli, że nawet ich połączona moc nie wystarczała.

- Zadałeś zbyt wiele bólu i cierpienia, Skrzydła Śmierci - odrzekła Alexstrasza. - Nie tylko nam, ale wszystkim śmiertelnym istotom tego świata!

- Czym one są dla mnie... czy, w rzeczy samej, nawet ty? Nigdy tego nie zrozumiem!

Potrząsnęła głową w geście, jak sobie uświadomił, litości.

- Nie... nigdy...

- Bawiłem się z tobą wystarczająco długo... z wami wszystkimi! Powinienem was zniszczyć cztery lata temu!

- Nie mogłeś! Stworzenie Duszy Demona nawet ciebie osłabiło na jakiś czas... Parsknął.

- Ale już odzyskałem swoją pełną siłę! Moje plany wobec tego świata szybko posuwają się do przodu... a po tym jak was zabiję, zabiorę twoje jaja, Alexstraszo, i stworzę swój doskonały świat!

W odpowiedzi szkarłatna smoczyca zaatakowała ponownie. Skrzydła Śmierci zaśmiał się, wiedząc, że jej zaklęcia nie zaszkodzą mu bardziej niż poprzednie. Miał swoją moc i zaczarowane płyty wtopione w skórę, więc nic nie mogło go zranić...

- Aaaa!

Zaatakowała go z furją, której nie potrafił sobie wyobrazić. Płyty z adamantium niewiele osłabiły moc ataku. Skrzydła Śmierci natychmiast zareagował, stawiając potężną tarczę, ale zniszczenia już się dokonały. Całe ciało bolało go tak jak nigdy przez ostatnie setki lat.

- Co... mi... zrobiłaś?

Z początku Alexstrasza wyglądała na zdziwioną, lecz później na jej smoczej twarzy pojawił się triumfalny uśmiech.

- Rozpoczęłam coś, o czym marzyłam przez ostatnie lata!

Wydawała się większa, silniejsza. Właściwie cała czwórka tak wyglądała. Czarny smok miał dziwne odczucie, że coś w jego planie poszło straszliwie nie tak.

- Czy to czujecie? Czy to czujecie? - bełkotał Malygos. - Znów jestem sobą! Co za cudowne uczucie!

- Najwyższy czas! - odrzekł Nozdormu. Jego oczy z klejnotów były niezwykle jasne i błyszczące. - Tak, ssstanowczo najwyższy czas!

Ysera otworzyła swoje niesamowite oczy, tym razem tak przyciągające uwagę, że Skrzydła Śmierci z trudem oderwał od nich swoje spojrzenie.

- To koniec koszmaru - szepnęła. - Nasz sen stał się jawą! Alexstrasza pokiwała głową.

- Zostało nam oddane to, co straciliśmy tak dawno temu. Dusza Demona przestała istnieć!

- Niemożliwe! - ryknął metaliczny behemot. - Kłamstwa! Kłamstwa!

- Nie - poprawiła go szkarłatna istota. - Jedynym kłamstwem, które musimy rozwiązać, jest to, że jesteś niezwykły.

- Tak - stwierdził Nozdormu. - Nie mogę ssię doczekać, kiedy rozwiejemy to złudzenie.

Skrzydła Śmierci został zaatakowany przez cztery siły, potężniejsze niż wszystko, czemu kiedykolwiek musiał stawić czoła. Już nie walczył z cieniami swoich rywali, lecz z czwórką, z której każdy był równie silny jak on. Nie mógł się równać z nimi wszystkimi.

Malygos sprowadził na niego chmury, które, otoczywszy jego szczęki i nozdra, zaczęły go dusić. Nozdormu przyspieszył czas jedynie dla czarnego smoka, zmuszając go do wytrzymywania tygodni, miesięcy a nawet lat bez odpoczynku. Te ataki tak osłabiły obronę Skrzydeł Śmierci, że Ysera bez trudu weszła do wnętrza jego umysłu, zmieniając myśli opancerzonego behemota w najgorsze koszmary.

Dopiero wtedy, jak straszliwe fatum, pojawiła się przed nim Alexstrasza. Popatrzyła na Skrzydła Śmierci zabarwionym litością spojrzeniem i powiedziała - Moim aspektem jest życie, mroczny, i jak każda matka znam ból i cud z tym związany. Przez ostatnie lata patrzyłam, jak moje dzieci były wychowywane na morderców i zabijane, jeśli okazywały się zbyt słabe lub zbyt samowolne. Żyłam ze świadomością, że tak wiele ich zginęło, a ja nie

mogłam im pomóc.

- Twoje słowa nic dla mnie nie znaczą - ryknął Skrzydła Śmierci, próbując obronić się przed atakami pozostałych. -Nic!

- Nie, pewnie nie... i dlatego pozwolę ci przeżyć wszystko, co ja wycierpiałam...

I to zrobiła.

Przed każdym atakiem, nawet koszmarami Ysery, mógł znaleźć jakąś obronę, lecz nie przed Alexstraszą. Zaatakowała go bowiem bólem, własnym bólem. Było to cierpienie, jednak nie takie, jakie on znał, tylko cierpienie kochającej matki, której odbierano dzieci i zmieniano je w coś strasznego.

I której dzieci ginęły.

- Przeżyjesz wszystko, co ja przeżyłam, mroczny. Zobaczymy, czy poradzisz sobie lepiej niż ja.

Skrzydła Śmierci nie miał jednak doświadczenia. Cierpienie docierało do miejsca, gdzie nie mógł dotrzeć ból zadawany przez ostre kły i pazury, do samego wnętrza jego jestestwa.

Najstrasliwszy ze smoków ryczał jak nigdy przedtem żaden smok.

I to właśnie go uratowało. Pozostali byli tak zaskoczeni, że osłabili moc swoich zaklęć. Skrzydła Śmierci mógł się w końcu wyrwać i uciec. Całe jego ciało drżało i wciąż krzyczał, znikając z pola widzenia.

- Nie możemy pozwolić, żeby nam ssię wymknął! - uświadomił sobie Nozdormu.

- Tak, tak, lećmy za nim! - zgodził się Malygos.

- Zgadzam się - dodała cicho Śniąca. Ysera spojrzała na Alexstraszę, która unosiła się w powietrzu, zdziwiona tym, czego udało jej się dokonać. - Siostró?

- Tak - odrzekła czerwona smoczyca, kiwając głową. - Oczywiście, ruszajcie. Wkrótce do was dołączę...

- Rozumiem...

Trzy pozostałe Aspekty poleciały, szybko nabierając prędkości w pogoni za renegatem.

Alexstrasza patrzyła, jak się oddalają, prawie gotowa dołączyć się do pościgu. Nie wiedziała, czy uda im się na zawsze skończyć z zagrożeniem ze strony Skrzydeł Śmierci, nawet z całą swoją mocą, ale z pewnością trzeba go powstrzymać. Najpierw jednak musi się zająć innymi sprawami.

Królowa smoków przeszukała wzrokiem niebo i ziemię, aż w końcu znalazła tego, którego szukała.

- Korialstrasz - szepnęła. - A więc nie byłeś tylko jednym z marzeń Ysery...

* * *

Gdyby krasnoludy walczyły same, ich los mógłby być zupełnie inny. Z pewnością utrzymałyby się bardzo długo, lecz orki miały przewagę liczebną, a do tego były w lepszej kondycji. Lata ukrywania się w podziemiach zahartowały bandę Roma pod pewnymi względami, lecz pod innymi osłabiły.

Całe szczęście więc, że ich szeregi wzmocnili: mag bojowy, wyszkolona elfia łowczyni i jeden z ich szalonych kuzynów na grzbiecie gryfa z ostrymi jak brzytwy pazurami i dziobem. Po zniszczeniu Duszy Demona cała trójka skierowała swe umiejętności do pomocy krasnoludom ze wzgórz, co zmieniło przebieg bitwy.

Oczywiście czerwony smok, który regularnie atakował z góry orki, kiedy tylko usiłowały zewrzeć szyki, niewątpliwie był pomocny.

Resztki orków z Grim Batol w końcu się poddały, tak pobite, że klękały przed zwycięzcami, pewne, że zaraz nastąpi ich śmierć. Rom, z ręką na temblaku, mógłby im to zapewnić, gdyż wielu z jego ludu i rodu zginęło, włączając w to Gimmela. Krasnoludzki przywódca musiał jednak słuchać rozkazów kogoś innego... a kto by się kłócił ze smokiem?

- Wszyscy pomaszerują na zachód, a tam statki Sojuszu zabiorą ich do enklaw, które już zostały dla nich przygotowane. Dzisiaj i tak popłynęło dużo krwi, a na północy Khaz Modan popłynie jej jeszcze więcej... - Korialstrasz wyglądał na zmęczonego, bardzo zmęczonego. - Widziałem dzisiaj wystarczająco dużo krwi, dziękuję...

Gdy Rom obiecał, że zrobi tak, jak kazał lewiatan, Korialstrasz odwrócił się do Rhonina.

- Nie powiem nikomu prawdy o tobie, Krasusie - stwierdził natychmiast młody czarodziej. - Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś.

- Nigdy jednak nie wybaczę sobie własnych błędów. Modłę się tylko, żeby moja królowa to rozumiała. - Olbrzymi gad niemal po ludzku wzruszył ramionami. - Jeśli chodzi o moje miejsce w Kirin Tor, będzie to kwestia do dyskusji. Nie tylko nie wiem, czy chciałbym tam pozostać, ale też jestem pewien, że prawda o wydarzeniach tutaj w końcu wyjdzie na jaw, przynajmniej w części. Zrozumieją, że wysłałem cię na coś więcej niż prosty rekonesans.

- Co się teraz będzie działo?

- Dużo... za dużo. Horda wciąż trzyma się w Dun Algaz, ale to wkrótce się skończy. Później świat musi się odbudować... jeśli tylko dostanie szansę. - Przerwał. - Poza tym są pewne kwestie polityczne, które po wydarzeniach dzisiejszego dnia na pewno ulegną zmianie.

- Korialstrasz niepewnie patrzył na niewielkie istoty przed sobą. - I powiem wam, że mój rodzaj jest równie winien tym zmianom, jak ktokolwiek inny.

Rhonin miał ochotę go przycisnąć w tej kwestii, ale natychmiast zauważył, że Korialstrasz nie odpowiedziałby na takie pytanie. Dowiedziawszy się, że Skrzydła Śmierci i czerwony smok potrafili udawać ludzi, czarodziej nie wątpił, że starożytna rasa przez wieki wpływała na losy nie tylko ludzi, ale też elfów i innych.

- To, co zrobiłeś, Rhoninie, wymagało szybkiego myślenia - zauważył behemot. - Zawsze byłeś dobrym uczniem...

Rozmowa skończyła się gwałtownie, kiedy nad grupą pojawił się olbrzymi cień. Przez chwilę zmęczony mag obawiał się, że Skrzydła Śmierci jakimś sposobem uciekł przed pogonią i powrócił, by zemścić się na tych, którzy doprowadzili do jego klęski.

Smok nad nimi nie był jednak czarny, lecz szkarłatny jak Korialstrasz.

- Mroczny ucieka! Jego zło, nawet jeśli nie zostanie powstrzymane, będzie ograniczone!

Korialstrasz spojrział w górę, w jego głosie była tęsknota.

- Moja królowo...

- Myślałam, że zginąłeś - szepnęła Alexstrasza do małżonka. - Przez długi czas nosiłam po tobie żałobę. Wyglądało na to, że samiec czuł się winny.

- Ten podstęp był niezbędny, moja królowo, by dać mi szansę na wywalczenie wolności dla ciebie. Przepraszam nie tylko za ból, jaki ci sprawiłem, ale też za nierozważne manipulowanie śmiertelnikami. Wiem, co czujesz wobec ich gatunku...

Pokiwała głową.

- Jeśli oni ci wybaczą, ja też. - Opuściła ogon, który na chwilę splótł się z jego. - Inni wciąż podążają za mrocznym, ale zanim przyłączę się do pościgu, musimy zebrać pozostałości naszego stada i odbudować nasz dom. Myślę, że to najważniejsze.

- Jestem twoim sługą - odrzekł, pochylając potężną głowę. - Teraz i na zawsze, miłości moja.

Patrząc na czarodzieja i jego przyjaciół, królowa smoków stwierdziła - Za wszystkie wasze ofiary możemy wam przynajmniej zaoferować przelot do domu - pod warunkiem, że trochę poczekacie.

Gryf Falstada, choć z wielkim trudem, mógłby w końcu zanieść ich do domu, lecz mimo to Rhonin z wdzięcznością przyjął tę propozycję. Odkrył, że lubi oba smoki, mimo wcześniejszych oszustw Korialstrasza. Będąc w takiej sytuacji, czarodziej prawdopodobnie zachowałby się tak samo jak on.

- Krasnoludy ze wzgórz zapewnią wam jedzenie i miejsce do odpoczynku. Wrócimy do was jutro, kiedy już odbierzemy i bezpiecznie ukryjemy wszystkie jaja. - Na jej smoczej twarzy pojawił się gorzki uśmiech. - Całe szczęście nasze jaja są wytrzymałe, inaczej Skrzydła Śmierci zadałyby mi bolesny cios...

- Nie myśl o tym - poprosił ją samiec. - Chodź! Im szybciej to zrobimy, tym lepiej!

- Tak. - Alexstrasza opuściła głowę w stronę trójki. - Człowieku Rhoninie, elfko i krasnoludzie! Dziękuję wam wszystkim. Wiedźcie, że jak długo jestem królową, mój rodzaj nie będzie waszym wrogiem.

Z tymi słowami oba smoki uniosły się w niebo w kierunku, w którym udał się Skrzydła Śmierci z pierwszymi jajami. Te, które wciąż pozostały w karawanie, będą pod ochroną radosnych krasnoludów ze wzgórz, które w końcu odzyskały górską fortecę i całe Grim Batol.

- Wspaniały widok! - zaryczał Falstad, kiedy smoki zniknęły. Odwrócił się do swoich towarzyszy. - Moja elfia panienko, zawsze będziesz w moich snach! - Wziął rękę zaskoczonej łowczyni, uściskał ją i zwrócił się do Rhonina. - Czarodzieju, nie miałem zbyt wiele do czynienia z twoim rodzajem, ale wiem, że przynajmniej jeden z was ma serce wojownika! To będzie piękna opowieść: „Zdobycie Grim Batol”! Nie zdziw się, jeśli kiedyś usłyszysz w jakiejś gospodzie krasnoludy rozkoszujące się twoją historią.

- Opuszczasz nas? - zapytał Rhonin, całkowicie zagubiony. Dopiero co wygrali bitwę. Wciąż miał problemy ze złapaniem oddechu po tym wszystkim.

- Powinieneś poczekać co najmniej do rana - nalegała Vereesa.

Dziki krasnolud wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że gdyby mógł sam decydować, na pewno by został.

- Żałuję, ale wieści muszą dotrzeć do Aerie jak najprędzej! Smoki może i są szybkie, ale ja będę w domu, zanim one dotrą do Lordaeron! To mój obowiązek, a kilka ważnych osób musi się dowiedzieć, że jednak nie zginąłem.

Rhonin z wdzięcznością chwycił wielką dłoń krasnoluda, ciesząc się, że nie musi ścisnąć go ranną ręką. Mimo iż jeździec gryfów był zmęczony, jego uścisk mógł pogruchotać kości.

- Dziękuję ci za wszystko!

- Nie, człowieku, to ja ci dziękuję! Chciałbym spotkać innego jeźdźcę z równie wspaniałą historią do opowiedzenia! Panny będą się za mną oglądać, wierzcie mi!

W zadziwiającym pokazie uczucia jak na kogoś tak opanowanego, Vereesa pochyliła się i lekko pocałowała krasnoluda w policzek. Falstad zarumienił się potężnie pod wielką

brodą. Rhonin poczuł ukłucie zazdrości.

- Uważaj na siebie - ostrzegła jeźdźca.

- Będę! - Jednym, świadczącym o dużej praktyce skokiem, znalazł się na grzbiecie gryfa. Pomachał do dwójki i lekko ścisnął piętami boki zwierzęcia. - Może jeszcze się spotkamy, kiedy wojna się skończy!

Gryf uniósł się w niebo i zrobił jedno kółko, żeby Falstad mógł jeszcze raz ich pożegnać. Później bestia skręciła na zachód i niski wojownik zniknął na horyzoncie.

Rhonin pomachał do zmniejszającej się postaci, przypominając sobie z pewnym poczuciem winy swoje pierwsze opinie na temat krasnoluda. Falstad wykazał się jednak na wiele sposobów, na więcej niż on sam się wykazał, czuł czarodziej.

Łagodna dłoń wzięła jego ranną rękę, unosząc ją powoli do góry.

- Tym już dawno trzeba się było zająć - zganiła go Vereesa. - Złożyłam przysięgę, że zadbam o twoje bezpieczeństwo. To nie wygląda dla mnie dobrze.

- Czy twoja przysięga nie przestała obowiązywać, kiedy dotarliśmy do brzegów Khaz Modan?

- Może, ale wygląda na to, że ciebie trzeba chronić przed samym sobą w każdej chwili! Co jeszcze sobie zrobisz? - Elfka jednak również uśmiechnęła się lekko.

Rhonin pozwolił jej się zająć złamanym palcem, zastanawiając się, czy może uda mu się kontynuować znajomość z Vereesą po tym, jak smoki zaniósą ich do Lordaeron. Z pewnością dla przywódców byłoby lepiej, gdyby oboje razem składali raporty, co pozwoliłoby im dokładniej poznać wszystkie wydarzenia. Będzie musiał to zaproponować Vereesie i poznać jej reakcję.

Dziwne, pomyślał nagle, że można tak szybko przejść niemal od pragnienia śmierci, jak się czuł na początku, do chęci życia jak najpełniej - i to po tym jak prawie został spopielony, zgnieciony, przebity, pozbawiony głowy i pożarty. Zawsze będzie żałował tego, co stało się podczas jego poprzedniej misji, ale już go to nie dręczyło.

- Gotowe - oznajmiła Vereesa. - Trzymaj to tak, dopóki nie znajdę lepszego materiału. Powinno się wtedy dobrze zagoić.

Odcięła kawałek materii z płaszcza i przygotowała swego rodzaju łupki z kawałka drewna ze złamanego topora. Rhonin przyjrzał się uważnie jej robocie i uznał ją za wyjątkową.

Nie powiedział jej, że po powrocie do sił byłby w stanie samodzielnie wyleczyć rękę. Tak bardzo chciała mu pomóc.

- Dziękuję.

Miał nadzieję, że wypełnienie zadania zajmie smokom sporo czasu. Teraz, kiedy nie musiał się obawiać orków, Rhonin wcale nie spieszył się do domu.

* * *

Kiedy do Sojuszu w końcu dotarły wieści o upadku Grim Batol i uwolnieniu smoków, które przestały wspomagać i tak przegraną sprawę Hordy, ludzie zaczęli świętować. Teraz wojna z pewnością się skończy. Pokój z pewnością był w zasięgu ręki.

Każde z większych królestw chciało usłyszeć słowa czarodzieja i elfki, zadając tej dwójce wiele pytań. Z Aerie nadeszło słowo potwierdzenia od jednego z jeźdźców gryfów, sławnego bohatera Falstada.

Podczas gdy Rhonin i Vereesa odwiedzali kolejne królestwa - i w tym czasie robili się sobie coraz bliżsi - ten, który nosił przebranie czarodzieja Krasusa, złożył swój raport w Komnacie Powietrza. Z początku został powitany wrogo przez swoich towarzyszy, szczególnie tych, którzy wiedzieli, że okłamał ich wszystkich. Nikt jednak nie mógł kwestionować wyników, a czarodzieje byli przynajmniej pragmatyczni, gdy chodziło o wyniki.

Drenden potrząsnął ukrytą w cieniu głową w stronę czarodzieja bez twarzy.

- Mogłeś zniszczyć wszystko, co pragnęliśmy osiągnąć! - grzmiał. Burza szalejąca w tej chwili w komnacie wtórowała jego słowom. - Wszystko!

- Teraz to rozumiem. Jeśli chcecie, zrezygnuję z członkostwa w radzie, przyjmę nawet pokutę lub wygnanie, jeśli tylko takie jest wasze życzenie.

- Niektórzy proponowali coś więcej niż tylko wygnanie - stwierdziła Modera. - O wiele więcej...

- Przedyskutowaliśmy to jednak i stwierdziliśmy, że sukces młodego Rhonina przyniósł Dalaranowi same korzyści, nawet ze strony tych sojuszników, którzy początkowo protestowali, że nie wiedzieli o tej nieprawdopodobnej misji. Elfy są szczególnie zadowolone, gdyż jeden z nich również brał w tym udział. - Drenden wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że nie ma powodu, by kontynuować tę dyskusję. Uznaj się za oficjalnie zganionego, Krasusie, ale przyjmij ode mnie osobiste gratulacje.

- Drenden! - warknęła Modera.

- Jesteśmy tu sami, mogę mówić, co zechcę. - Splótł palce. - Teraz, jeśli nikt nie ma nic do powiedzenia, chciałbym podnieść temat niejakiego lorda Prestora, wybranego władcą Alterac, który, jak się zdaje, zniknął z powierzchni ziemi!

- Dworek jest pusty, słudzy uciekli - dodała Modera, wciąż niezadowolona z powodu

wcześniejszych komentarzy Drendena na temat Krasusa.

Jeden z pozostałych magów, ten przysadzisty, w końcu się odezwał.

- Zaklęcia otaczające to miejsce też się rozplynęły. Są ślady, że dla tego maga renegata pracowały gobliny!

Cała rada popatrzyła na Korialstrasza. Ten rozłożył szeroko ręce, jakby był równie zaskoczony co reszta rady. Lord Prestor najwyraźniej był górami w całej tej sytuacji, mógł zyskać wszystko. Reszta chciała oczywiście wiedzieć, dlaczego to wszystko porzucił.

- Jestem równie zdziwiony jak wy. Może uświadomił sobie, że nasze połączone siły mogły go w końcu doprowadzić do upadku. Tak bym zgadywał. Z pewnością nic innego nie wyjaśnia, dlaczego miałby zrezygnować z tego wszystkiego.

To odpowiadało innym magom. Korialstrasz wiedział, że jak inne istoty byli czuli na pochlebstwa.

- Jego wpływ już topnieje - kontynuował. - Z pewnością słyszeliście, że Genn Szara Grzywa już ponowił swój protest dotyczący objęcia przez Prestora władzy i dołączył się do tego nawet lord admirał Proudmoore. Król Terenas ogłosił, że ponowne sprawdzenie pochodzenia tak zwanego arystokraty pozostawiło wiele pytań bez odpowiedzi. Plotki o zbliżających się zaręczynach Prestora z młodą księżniczką ucichły.

- Sprawdzales jego pochodzenie - skomentowała Modera.

- Być może część informacji przedostała się do Jego Wysokości, owszem.

Drenden pokiwał głową, wyraźnie zadowolony.

- Wyprawa Rhonina przywróciła nas do łask Terenasa i innych, a my to wykorzystamy. Za dwa tygodnie imię lord Prestor będzie przekleństwem w całym Sojuszu!

Korialstrasz uniósł dłoń w geście ostrzeżenia.

- Lepiej działać subtelniej. Mamy czas. Wkrótce zapomną, że on w ogóle istniał.

- Może masz rację. - Brodaty mag patrzył na pozostałych, którzy przytaknęli. - Jesteśmy jednomyślni. Jak cudownie. - Uniósł dłoń, gotowy do zamknięcia spotkania. - Cóż, jeśli nie ma nic innego...

- Właściwie jest - przerwał smoczy mag. Przepląnęła przez niego chmura z kończącej się burzy.

- O co chodzi?

- Choć wybaczyliście mi moje wątpliwe działania, muszę wam powiedzieć, że jestem zmuszony opuścić radę na jakiś czas.

Wyglądali na oszołomionych. Nikt nie przypominał sobie, żeby Krasus opuścił choć jedno spotkanie, nie mówiąc już o wycofaniu się z rady.

- Na jak długo? - zapytała Modera.

- Nie wiem. Ona i ja... byliśmy rozdzieleni tak długo, że sporo czasu zajmie nam odzyskanie tego, co kiedyś mieliśmy.

Korialstrasz prawie widział, jak Drenden mruga, mimo zaklęcia cienia.

- Masz żonę, o to chodzi?

- Tak. Wybaczcie, jeśli nigdy wam o tym nie wspomniałem. Jak już mówiłem, długo byliśmy rozdzieleni... - Uśmiechnął się, choć oni tego nie widzieli. - ... lecz teraz została mi zwrócona.

Inni spoglądali na siebie. W końcu odezwał się Drenden.

- Tak... oczywiście... nie będziemy stać ci na drodze. Oczywiście, masz prawo to zrobić.

Sklonił się. Smok tak naprawdę miał nadzieję powrócić, gdyż była to ważna część jego trwającego stulecia życia. W porównaniu z Alexstraszą wszystko jednak błędło.

- Dziękuję. Mam oczywiście nadzieję obserwować wszystko, co się dzieje na świecie, obiecuję wam...

Unióś dłoń w geście pożegnania, gdy zaklęcie przenosiło go w miejsce odległe od Komnaty Powietrza. Pożegnalne słowa Korialstrasza były prawdziwsze, niż uświadamiali to sobie inni czarodzieje. Jako jeden z Kirin Tor - nawet nieobecny w radzie - z pewnością planował obserwować wszystkie polityczne manewry. Mimo zniknięcia lorda Prestora, pozostały potencjalnie niebezpieczne konflikty między królestwami, a sprawa Alterac znów była jednym z najważniejszych tematów. Obowiązki wobec Dalaranu wymagały, żeby Korialstrasz nadal wszystko obserwował.

A jeśli chodzi o jego królową, jego starożytny rodzaj, on i jemu podobni również będą obserwować... obserwować i wpływać, kiedy to konieczne. Po tym co zrobili Rhonin i inni, Alexstrasz wierzyła w młode rasy jeszcze bardziej niż wcześniej. Z tego powodu Korialstrasz miał zamiar umacniać jej wiarę. Był to winien jej i tym, którzy pomogli mu w wypełnieniu misji.

Nikt nie widział Skrzydeł Śmierci od czasu jego rozpaczliwej ucieczki. Teraz, kiedy inni go ciągle pilnowali, było mało prawdopodobne, żeby w przyszłości wywołał chaos. Z jego powodu jednak inni znów zainteresowali się życiem i przyszłością.

Dzień smoka minął, to prawda, lecz nie znaczyło to wcale, że smoki przestaną wywierać wpływ na świat. Nawet jeśli nikt inny tego nie podejrzewał.